

NR 5-6 (52-53)
maj-czerwiec
2005

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Zbrodnia Katyńska

Pokonani w obozie zwycięzców

ISSN 1641-9561



9 771641 956001

numer indeksu 374431
nakład 4500 egz.
cena 7,50 zł (w tym 0% VAT)

ADRESY I TELEFONY ODDZIAŁÓW IPN W POLSCE

BIAŁYSTOK	ul. Warsztatowa 1a, 15-637 Białystok tel. (0-85) 664 57 03
GDYNIA	ul. Witomińska 19, 81-311 Gdynia tel. (0-58) 660 67 00 fax (0-58) 660 67 01
KATOWICE	ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice tel. (0-32) 609 98 40
KRAKÓW	ul. Reformacka 3, 31-012 Kraków tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	ul. Wieniawska 15, 20-071 Lublin tel. (0-81) 534 59 11
ŁÓDŹ	ul. Orzeszkowej 31/35, 91-479 Łódź tel. (0-42) 616 27 45
POZNAŃ	ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań tel. (0-61) 835 69 00
RZESZÓW	ul. Słowackiego 18, 35-060 Rzeszów tel. (0-17) 860 60 18
SZCZECIN	ul. K. Janickiego 30, 71-270 Szczecin tel. (0-91) 484 98 00
WARSZAWA	pl. Krasińskich 2/4/6, 00-207 Warszawa tel. (0-22) 530 86 25
WROCŁAW	ul. Sołtysowicka 23, 51-168 Wrocław tel. (0-71) 326 76 00

BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Redaguje Biuro Edukacji Publicznej IPN

Zespół redakcyjny: Władysław Buthak (redaktor naczelny),

Janusz Kotański, Paweł Machcewicz, Krzysztof Madej,

Bartłomiej Noszczak, Barbara Polak, Jan M. Ruman

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński

Skład i łamanie: Wojciech Czaplicki

Korekta: Anna Kaniewska

Adres: ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa

Tel. (0-22) 581 89 24, fax (0-22) 581 89 26

e-mail: Barbara.Polak@ipn.gov.pl

<http://www.ipn.gov.pl>

Druk: Instytut Technologii Eksploatacji

ul. Pułaskiego 6/10, 26-600 Radom

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 5-6 (52-53)

MAJ-CZERWIEC
2005

SPIS TREŚCI

■ ROZMOWY BIULETYNU

- Zbrodnia Katyńska** – z Jędrzejem Tucholskim i Witoldem Wasilewskim
rozmawia Barbara Polak 4
- Pokonani w obozie zwycięzców** – o sprawie polskiej
w latach II wojny światowej z Markiem Kazimierzem Kamińskim
i Tadeuszem Kisielewskim rozmawiają Władysław Bułhak i Barbara Polak 23

■ KOMENTARZE HISTORYCZNE

- Sławomir Kalbarczyk – **Zbrodnia. Droga do prawdy. Kara?** 55
- Witold Wasilewski – **Komisja Katyńska Kongresu USA (1951-1952)** 71
- Piotr Łysakowski – **Kłamstwo katyńskie** 85
- Marcin Markiewicz – **Ofiary Zbrodni Katyńskiej
z województwa białostockiego** 95
- Andrzej Chmielarz – **Aresztowanie „Szesnastu”. Rekonstrukcja** 99
- Grzegorz Baziur – **Denuncjator ze Skąły** 111

■ DOKUMENTY

- Tomasz Chinciński – **Donosy PPR i aresztowania księży** 119

■ RELACJE I WSPOMNIENIA

- Waldemar Kowalski – **W cieniu wyzwolenia – Gdańsk 1945** 128
- Zdzisław Urbaniak – **Obrazki z Brzostowa** 144
- Stanisław Ruman – **Uciekłem Sowietom i Niemcom** 153
- Augustyn Jarniewski – **Barka życia** 165
- Marta Komborska, Mariusz Krzysztofiński – **Dla nas nie ma miejsca...** 169
- Zdzisław Major – **Wypędzony Polak do wypędzonych Niemców** 176
- Piotr Szubarczyk – **A my śnimy sobie przyszłość Polski – dzieci...** 181
- Halina Herbert-Żebrowska – **On będzie miasto** 187

■ RECENZJE

- Tomasz Kurpierz – **Rok ostatni – rok pierwszy. Gliwice 1945** 197
- Magia radia** 199

■ LISTY

- 200

Zdjęcie na okładce: związane dłonie jednej z ofiar Zbrodni Katyńskiej. Fot. z AIPN

Marzec–maj 2005

- 7 marca – **„Polacy–Ukraińcy 1939–1947”** – otwarcie wystawy w Białym Borze. Ekspozycję przygotowało lubelski OBEP.
- 10 marca – **„»Tak wygląda nasz świat«. Aparat Bezpieczeństwa w Polsce w latach 1956–1989”** – spotkanie przygotowane przez gdański IPN odbyło się na Wydziale Filologiczno-Historycznym Uniwersytetu Gdańskiego.
- 11 marca – **„Sowieckie piekło 1939–1956”** – wystawa poznańskiego OBEP w Muzeum Regionalnym w Pleszewie.
- 14 marca – **„Marzec 1968” w Sztokholmie** – prezes IPN prof. Leon Kieres otworzył wystawę przygotowaną przez Oddział IPN w Warszawie. Wydarzenia Marca '68 przedstawił prof. Jerzy Eisler. Przedstawiciele IPN odwiedzili Archiwum Państwowe w Sztokholmie, Muzeum Historii Żydów oraz Instytut Żywej Historii.
- 16 marca – **„Niemiecka dywersja w Polsce w 1939 r. Mit czy rzeczywistość?”** – wykład dr. Tomasza Chincińskiego w gdańskim OBEP.
- 17 marca – **„Sowieckie piekło 1939–1956”** – otwarcie wystawy poznańskiego OBEP w Bornem-Sulinowie.
- 22 marca – **Finał II ogólnopolskiego konkursu historycznego „»Budujemy nowy dom...« Społeczeństwo i władza w Polsce w latach 1944–1956. Doświadczenia świadka historii”** zorganizowanego przez BEP IPN.
- **Spotkanie z przedstawicielami Grupy Roboczej** ds. przygotowywania nowelizacji ustaw i rozporządzeń dotyczących lustracji, powołanej przez Sejm Republiki Litewskiej, w IPN w Warszawie.
- 24 marca – **„Praska Wiosna. Polska i Czechosłowacja w 1968 r.”** – prezes IPN prof. Leon Kieres i szef Urzędu Dokumentacji i Badania Zbrodni Komunizmu (ÚDV) ptk Irenej Kratochvíl otworzyli w Pradze czeską wersję wystawy wrocławskiego OBEP.
- 31 marca – **Postanowienie o umorzeniu śledztwa w sprawie deportacji Polaków z Ziemi Żywieckiej w 1940 r.** wydał prokurator OKŚZpNP w Katowicach.
- 3–12 kwietnia – **„Marzec 1968” w Kopenhadze.** Wystawa warszawskiego BEP IPN została zaprezentowana w siedzibie Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Danii. W pierwszych dniach kwietnia wizytę w Kopenhadze złożyła delegacja IPN.
- 5–20 kwietnia – **zarzut przekroczenia w dniu 13 grudnia 1981 roku przysługujących uprawnień** przedstawiła pięciu byłym członkom Rady Państwa OKŚZpNP w Katowicach.
- 11 kwietnia – **„Sowieckie piekło 1939–1956”** – otwarcie wystawy poznańskiego OBEP w Świdwinie.
- **„»Proces Szesnastu« i początki władzy komunistycznej w Polsce”** – sympozjum w Sopocie organizowane przez Okręg Pomorski ŚZZAK i prezydenta Sopotu, przygotowało gdański OBEP.
- 13 kwietnia – **Kolegium IPN zakończyło debatę nad projektem ustawy o zmianie ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej.**
- 14 kwietnia – **„Życie codzienne w okupowanej Wielkopolsce 1939–1945”** – Otwarcie wystawy w Krotoszynie.
- 15 kwietnia – **„Ludzie UB”** – otwarcie wystawy wrocławskiego OBEP w Bolesławcu.
- 18–19 kwietnia – **„Śladami zbrodni komunistycznych”** – trzecia wędrowka w ramach Historycznego Klubu Turystycznego przy gdańskim IPN.
- 25 kwietnia – **Rozstrzygnięcie konkursu o indeks Collegium Civitas.** Konkurs został zorganizowany przez Collegium Civitas, Biuro Edukacji Publicznej IPN, Centrum Edukacji Obywatelskiej oraz magazyn historyczny „Mówią wieki”.
- 27 kwietnia – **„Aparat represji PRL wobec masonerii”** – wykład dr. Krzysztofa Kaczmarskiego w IPN Gdańsk.
- 28 kwietnia – **„Pierwsze lata komunizmu – powiat zawierciański w latach 1945–1947”** – sesja naukowa zorganizowana przez katowickie OBEP w Zawierciu.
- 29 kwietnia – **„Polska–Ukraina: trudne pytania”** – spotkanie Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grotą” w Warszawie.

- 4–5 maja – **„Historia warszawskiego getta”** – wystawa edukacyjna przygotowana przez warszawski BEP, zaprezentowana na seminarium ministrów edukacji Rady Europy nt. „Nauczanie pamięci poprzez dziedzictwo kulturowe” w Krakowie.
- 5–6 maja – **„Rok 1945. Między wojną a pokojem. W 60. rocznicę zakończenia II wojny światowej”** – konferencja naukowa zorganizowana przez olsztyńską delegaturę białostockiego OBEP w Olsztynie.
- 8 maja – **„Dekret o reformie rolnej po 60 latach. Dokumenty i świadectwa z czasu wygnania”** – wystawa przygotowana przez poznański OBEP w Gorzowie Wielkopolskim.
- 11 maja – **„Rok 1945” – poświęcone pamięci szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego** spotkanie Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grotą” w Warszawie.
- 18 maja – **Kolegium IPN nie wyłoniło kandydata na stanowisko prezesa IPN.** W tajnym głosowaniu Leszek Buller nie uzyskał głosów poparcia, (oddano 9 głosów „przeciw oraz 2 wstrzymujące się), Leon Kieres uzyskał 3 głosy poparcia, 6 głosów „przeciw” oraz 2 wstrzymujące się.
- **Wizyta amerykańskich studentów** w łódzkim Oddziale IPN.
- **Podpisanie umowy o współpracy** pomiędzy przedsiębiorstwem „Zamek Książ” w Wałbrzychu a Oddziałem IPN we Wrocławiu.
- 19–20 maja – **II rajd turystyczno-historyczny dla młodzieży** „Szlakami miejsc pamięci - Żywiec-czyzna i Śląsk Cieszyński 1939–1947”, zorganizowany przez OBEP w Katowicach.
- 24 maja – **„A mury runę...« Polska droga do wolności i demokracji 1956–1989”** – wystawa w Muzeum Regionalnym w Kościanie zorganizowana przy współpracy poznańskiego OBEP.
- 31 maja – **„Uciekinierzy z PRL-u”** – wystawa w Górnośląskim Centrum Kultury w Katowicach przygotowana przez miejscowy OBEP.
- **„Epoka Prymasa Tysiąclecia”** – III edycja konkursu historycznego została zorganizowana w Częstochowie.

jmr

STATYSTYKA PRZYJMOWANIA WNIOSKÓW O UDOSTĘPNIENIE DOKUMENTÓW/ZAPYTANIE O STATUS POKRZYWDZÓNEGO

	marzec–maj 2005 r.	od początku wydawania
BIAŁYSTOK	599	2101
BYDGOSZCZ		1030
GDAŃSK	1178	5363
KATOWICE	764	3678
KIELCE	408	408
KRAKÓW	830	3578
LUBLIN	677	2193
ŁÓDŹ	557	2334
POZNAŃ	1257	4131
RADOM	157	632
RZESZÓW	921	2651
SZCZECIN	214	802
WARSZAWA	822	4574
WROCŁAW	797	3060
BUiAD		4016
KONSULATY	69	330
RAZEM	9250	40 881
WNIOSKI ZREALIZOWANE		17 091

ZBRODNIA KATYŃSKA

Z JĘDRZEJEM TUCHOLSKIM I WIToldem WASILEWSKIM
ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – Podpisanie w nocy z 23 na 24 sierpnia 1939 r. niemiecko-sowieckiego układu przez Joachima Ribbentropa i Władysława Mołotowa formalnie dotyczyło paktu o nieagresji, ale był w nim również tajny protokół specjalny określający interesy obu stron, który przewidywał głównie podział sfer wpływów na obszarze Polski i państw bałtyckich. Agresja sowiecka na Polskę 17 września 1939 r. była już tylko konsekwencją tego układu. Dla Sowieców możliwość, mimo niewypowiedzenia wojny, wzięcia do niewoli około 250 tys. jeńców wojennych – polskich żołnierzy i oficerów znajdujących się na terenach polskich Kresów Wschodnich, czyli – według Sowieców – „Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi”.

J.T. – Odmienne niż w normalnych cywilizowanych krajach, w Związku Radzieckim armia przekazywała jeńców siłom bezpieczeństwa, czyli NKWD. Zarówno wszystkie obozy przejściowe, w których gromadzono tych ludzi, jak i obozy stałe – zorganizowane we wrześniu – cały system obozów jenieckich był w gestii NKWD. Utworzono trzy obozy specjalne: obóz w Starobielsku, gdzie ostatecznie zamknięto kadrę oficerską, głównie z obrony Lwowa, niecałe 4 tys. ludzi; obóz w Kozielsku, gdzie znalazł się mój ojciec, tu również byli oficerowie WP i oficerowie Korpusu Ochrony Pogranicza, razem około 4,5 tys.; obóz ostaszowski, na wyspie na jeziorze Seliger, który był przeznaczony przede wszystkim dla Policji Państwowej, a jednocześnie dla Straży Więziennej, Straży Granicznej, dla ludzi z – dzisiaj powiedzielibyśmy – służb specjalnych, między innymi dla Oddziału II; przebywało tam około 6,3 tys. osób.

B.P. – **Wśród osadzonych w obozach oprócz zawodowych wojskowych znaleźli się rezerwiści: profesorowie wyższych uczelni, lekarze, prawnicy, inżynierowie, nauczyciele, dziennikarze, literaci i duchowni.**

J.T. – Duchowni byli kapelanami wojskowymi, jedni służby stałej, inni powołani z rezerwy w ramach mobilizacji. Mój ojciec był pracownikiem naukowym Instytutu Technicznego Uzbrojenia, a jednocześnie adiunktem Politechniki Warszawskiej. Prof. Stanisław Swianiewicz, jeden z tych, którzy przeżyli, powołany do służby wojskowej w ramach mobilizacji, był profesorem z Wilna. Nauczyciele akademicy często pracowali na rzecz wojska. Ale w obozach w Kozielsku i Starobielsku w zasadzie nie było ludzi bez mundurów; owszem, trafiali się pojedynczo ziemianie i wysocy urzędnicy państwowi.

W.W. – Większość inteligencji, która zginęła w Katyniu, to byli oficerowie rezerwy powołani w ramach mobilizacji, przedstawiciele polskich elit, również ziemiaństwa.



J.T. – Wspominałem na razie o trzech obozach, a to nie było wszystko. Decyzja z 5 marca 1940 r. obejmowała również więźniów politycznych, którzy siedzieli w więzieniach na tzw. Zachodniej Ukrainie i Zachodniej Białorusi. W więzieniach tych znajdziemy ludzi, o których pani mówi. Byli tam cywile, byli też i oficerowie, którzy zostali aresztowani indywidualnie, cywile – pracownicy państwowi, członkowie organizacji podziemnych, działacze partii politycznych, działacze samorządowi, posłowie. Tych ludzi osadzono w więzieniach. Było ich ponad 7 tys. Zostali oni również objęci decyzją z 5 marca 1940 r. To, co określamy wspólnym terminem „Zbrodnia Katyńska”, dotyczy więc rozstrzelanych jeńców z tych trzech obozów – z Kozielska w Katyniu, Starobielska w Charkowie, Ostaszkowa w Kalininie (dziś Twer) i pochowanych w Miednoje oraz więźniów straconych na Ukrainie i Białorusi, razem ponad 20 tys. ludzi.



B.P. – Była to decyzja o „zastosowaniu wobec nich najwyższego wymiaru kary – rozstrzelania” podjęta przez Biuro Polityczne KC WKP(b) 5 marca 1940 r. i zaakceptowana przez Józefa Stalina. Notatkę sporządził Ławrientij Beria. Zgodę oprócz Stalina podpisali również Mołotow, Woroszyłow, Kalinin i Kaganowicz. A 22 marca Beria wydał rozkaz o „rozładowaniu więzień NKWD USRS i BSRS”. Faktycznie ludzie przebywający w obozach w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku nie byli jeńcami wojennymi, ale więźniami systemu, czyli więźniami politycznymi. Zostali uznani przez Sowietów za wrogów ich państwa.

W.W. – Nawet w przypadku obrońców Lwowa trudno nazwać tych żołnierzy jeńcami wojennymi, bo wszyscy byli brani do niewoli faktycznie już w momencie, w którym wracali do domów. Było to szczególnym objawem barbarzyństwa...

J.T. – ...Sowieci w ogóle nie przestrzegali konwencji haskiej...

W.W. – ...formalnie zresztą jej nie podpisali.

J.T. – W przypadku kapitulacji Lwowa było ustalone, że oficerowie wychodzą z miasta. Sformowali kolumny oficerskie i... zagnano ich do pociągów towarowych, które powiozły ich na Wschód.

B.P. – **Warto przypomnieć, że w chwili wkroczenia Sowieców na ziemię polskie Naczelny Wódz, marszałek Edward Rydz-Śmigły, wydał rozkaz o niepodjęciu walki.**

J.T. – Sytuacja była taka, że wojna nie została wypowiedziana, a agresja dokonana. Część wojska mimo tego rozkazu zalecającego niewchodzenie w starcia zbrojne biła się dalej, i to wcale nie mała, natomiast część posłuchała, i to było również fatalne, że poddawano się bez strzałów.

W.W. – Rozkaz Śmigłego zakładał wycofywanie się w kierunku Rumunii i Węgier oraz walkę tylko przy próbach rozbrojenia. Niektóre oddziały na Polesiu potraktowały ten rozkaz jako dywersję sowiecką – nie wierono, że Wódz Naczelny może wydać taki rozkaz. Ocena polskiego Naczelnego Dowództwa i poszczególnych dowódców niższych szczebli, choćby we Lwowie, była oparta na błędnych przesłankach. We Lwowie celowo czekano, żeby skapitulować przed Sowiecami; uważano, że lepiej zrobić to przed nimi niż przed Niemcami, a jak wiemy, później traktowanie jeńców przez Rosjan było dużo gorsze, gdyż Niemcy zwykle przestrzegali konwencji. Wynikało to też być może z oceny sytuacji z wojny polsko-bolszewickiej, kiedy jeńcy polscy dostali się w dużej masie do niewoli sowieckiej. To jest mało znany epizod, zapewne jeszcze mniej znany w społecznym rezonansie niż cała kwestia Zbrodni Katyńskiej. Trzeba powiedzieć, że w latach 1919–1920 Sowieci traktowali polskich jeńców lepiej niż w latach 1939–1940. Na froncie dość często zdarzały się mordy na „polskich panach” w mundurach, ale po traktacie ryskim większość jeńców wróciła do kraju. To, co się stało z jeńcami polskimi po wrześniu 1939 r., mogło więc zaskakiwać. Wojskowi, ziemianie i osoby zaangażowane politycznie byli, co wynika z decyzji z 5 marca, traktowani jako najgorsi wrogowie systemu stalinowskiego, których należy zamordować. Tymczasem w roku 1920 jeńcy, przynajmniej niższą rangą, zwłaszcza szeregowcy, czyli *riadowi*, byli traktowani jako potencjalni uczestnicy armii rewolucyjnej, których można poddać indoktrynacji ideologicznej, praniu mózgow i wcielić do tej armii.



Fot. z książki J. Tucholskiego „Mord w Katyniu”





J.T. – To, że uznano ich za niepoprawnych wrogów systemu, było wynikiem rozlicznych rozmów, które były prowadzone w obozach przez doświadczonych oficerów z ramienia sowieckiego wywiadu. To oni przedstawiali swoje oceny, iż są to wrogowie Rosji, systemu sowieckiego, są niepoprawni. Sowietci nie bardzo wiedzieli, co z nimi robić. Wyżywienie kosztowało.

B.P. – Najprawdopodobniej dlatego podjęto decyzję, żeby spośród wziętych we wrześniu 1939 r. do sowieckiej niewoli wojskowych około 42 tys. szeregowców i podoficerów zwolnić z obozów. Pochodzili z terenów tzw. Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy. Uznano, że nie stanowią zbyt wielkiego zagrożenia dla Sowietów. Podobną liczbę przekazano Niemcom. To rozładowało trochę zapełnione jesienią więzienia i obozy etapowe, choć nadal trwały aresztowania. Ponad 180 tys. osób deportowano w głąb ZSRS. Te wszystkie ruchy zakończyły się w momencie przewiezienia wyselekcjonowanej grupy jeńców do obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku.

J.T. – Jeżeli chodzi o Kozielsk i Ostaszków, to mamy komplety list wywózkowych do miejsc kaźni, które się sumują. Gdy chodzi o Starobielsk, znalazła się tylko jedna lista, łączna – to jest lista akt założonych jeńcom. Tzw. ukraińska lista „więźniów politycznych” – jak ich określam – jest kompletna. Nie mamy listy białoruskiej, możemy tylko domyślać się nazwisk tych osób i miejsca zbrodni – najprawdopodobniej są to Kuropaty koło Mińska. Wiadomo, że do Mińska w tym samym czasie zwożono ludzi z więzień w Pińsku, Grodnie, Brześciu itd. W Mińsku ślad się urywa. Brakuje nam na pewno 3800 nazwisk.

Jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że chyba jako jeden, jedyny znam dokładnie datę śmierci mojego ojca. Był więziony z Kozielska w tym samym przedziale co prof. Swianiewicz. Kiedy ten transport dotarł już do stacyjki Gniezdowo opodal Katynia, profesor został wycofany do dalszego śledztwa; przegadali całą tę noc w pociągu. To był 30 kwietnia, stąd wiem, że ojca rozstrzelali 30 kwietnia rano. Pierwsza wiadomość, jaka dotarła na ten temat, pochodziła od prof. Swianiewicza jeszcze z Kanady, w czasach stalinowskich. Bardzo nielegalną drogą trafił do nas ów list.

B.P. – **Jakie były warunki transportu, przetrzymywania, więzienia? Jaka tam była atmosfera? Jakie domniemania co do przyszłego losu?**

J.T. – Atmosfera we wszystkich obozach jenieckich jest zawsze zła. Oni łudzili się ciągle liczyli na Francję, na Anglię. Mieli nadzieję, że zostaną oswobodzeni. Że tak czy inaczej z tych obozów wyjdą. Do tego stopnia, że kiedy zaczęły się wywózki, sądzili, iż Sowietci przekazują ich Niemcom.

B.P. – **Z relacji wiem, że część osób liczyła się z ewentualnością wywózki w głąb Rosji, ale z pewnością najmniej spodziewano się likwidacji.**

J.T. – Jeżeli chodzi o Starobielsk i Kozielsk, to te dwa obozy spodziewały się przekazania Niemcom. Jest to wiadome z relacji ocalałych, których powieziono do Pawliszczew Boru, a potem do Griazowca. Tak czy inaczej nastroje były podłe. Wyobraźmy sobie wielką liczbę zamkniętych mężczyzn, którzy siedzą bezczynnie. Usiłowano coś robić, np. w Starobielsku powstało Towarzystwo Kulturalne, które dzieliło się na różne sekcje zainteresowań. Oczywiście potem zostało rozpedzone przez NKWD, a najaktywniejsi jego członkowie aresztowani. Bardzo dużą rolę odgrywali w obozach księża. Prowadzili codzienne, ranne i wieczorne modlitwy, odprawiali nabożeństwa w czasie świąt i niedziel. To było bardzo ważne. Jeżeli chodzi o warunki żywienia, były one lepsze niż ludności miejscowej, która była strasznie zabiedzona. Obozy, wszystkie trzy, mieściły się – co ciekawe – w budynkach poklasztornych. Pomieszczenia były zabudowane wielopiętrowymi przyczmami, panował więc duży tłok i co się z tym wiąże, oczywiście było robactwo. Ratowali się jak mogli, choć warunki bytowe były bardzo ciężkie.

W.W. – A odnośnie do tej niewielkiej grupy, którą wyłączono z transportów śmierci, i która przeszła przez Pawliszczew Bor i Griazowiec, mamy sporo relacji. Wiemy, że np. dysponowali biblioteczką, oczywiście selekcjonowaną według upodobań założycieli państwa sowieckiego. Były tam np. dzieła Tołstoja, ale nie było Dostojewskiego, były książki Balzaca, którego Lenin cenił ze względu na jego analizę społeczną. Korzystał z nich między innymi Józef Czapski. Elementy samokształcenia nie zmieniły oczywiście ogólnie złych warunków.

J.T. – Usiłowano indoktrynować jeńców, łudząc się, że może część, czy wszyscy, w jakimś stopniu w odpowiednim momencie zasili Armię Czerwoną, ale to się nie udawało.

B.P. – **Czy da się odpowiedzieć na pytanie, według jakiego klucza została zakwalifikowana ta grupa 395, która uniknęła wyroku śmierci? Wiadomo, że tymi osobami interesował się zwłaszcza oddział NKWD zajmujący się wywiadem.**

J.T. – To było bardzo różnie, znaleźli się w niej między innymi tacy ludzie jak Berling, Bukojemski, którzy zadeklarowali w czasie indywidualnych rozmów współpracę i w ten sposób kupili sobie życie. Byli też tacy, którzy mieli miękkie charaktery, i NKWD łudziło się, że ich zwerbują na swoją stronę. W przypadku stu kilkudziesięciu osób, które znalazły się w tej grupie, to się udało. Zostali zwerbowani i donosili na swoich kolegów pułkowych – i na tych, co nie siedzieli w obozie, i na tych, którzy siedzieli. Co do innych – nie wiadomo.

W.W. – Często dochodzono do tego *post factum*. Prof. Swianiewicz wyjaśniał ocalenie swoimi badaniami nad Rzeszą Niemiecką, które mogły interesować Sowietów. Został wyłączony bezpośrednio przed egzekucją.



Z kolei w wypadku Józefa Czapskiego można domniemywać, że ocaliły go jego kontakty, a nawet pokrewieństwo z dworem włoskim.

B.P. – ...w jego sprawie interweniowała ambasada Niemiec w Moskwie...

J.T. – Było kilka czy może kilkanaście osób, w których przypadku rolę odegrały starania poselstwa litewskiego czy starania niemieckie.

B.P. – A ksiądz Peszkowski?

J.T. – To był wtedy młodzieńki podchorąży i nie bardzo wiadomo, podobnie jak w innych przypadkach, skąd się znalazł w tej grupie.

B.P. – Nie minie nas najgorsza część tej przerażającej historii, czyli opis tego, jak uruchomiono całą tę maszynę śmierci i jakich używano technik. To, co jest zatrważające, to ekonomia tej zbrodni. No i oczywiście stworzenie takiej sytuacji, żeby wszystko odbywało się w sposób jak najbardziej tajny.



J.T. – Starobielsk był likwidowany w Charkowie, w VI kwartale parku leśnego odnalazły się groby, długo ich poszukiwano. Groby jeńców z Koziel-ska w Katyniu zostały odkryte już w 1942 r. przez polskich robotników z Bau-zugu (niemiecki pociąg naprawczy), którzy tam naprawiali tory. Dowiedzieli się od miejscowych, że tu ginęli polscy oficerowie. Poszli za łopatomy, naruszili jedną z tych mogił, na których rosły młode sosenki, i znaleźli zwłoki. Zakopali je ponownie, postawili brzoźowe krzyże. Ja tu gdzieś nawet mam zdjęcie tych ludzi, ponieważ oni się sfotografowali. Dali o tym znać do Warszawy, ale wówczas nikomu nie przyszło do głowy, że tam leży aż cztery i pół tysiąca ludzi. W 1943 r. mogiły odkryli Niemcy, którzy ogłosili to 13 kwietnia 1943 r., przez radiostację Agencji Tarnsocean w Berlinie, wykorzystując odkrycie do celów propagandowych. Sprowadzili tam międzynarodową komisję, która składała się z wysoko kwalifikowanych lekarzy medycyny sądowej z niemieckich państw satelickich i okupowanych przez Niemcy bądź z nimi sprzymierzonych: Belgii, Bułgarii, Danii, Holandii, Chorwacji, Czech, Słowacji, Rumunii, Węgier, Finlandii, Włoch.

B.P. – Ale był w tej grupie również lekarz z neutralnej Szwajcarii, dr François Naville z Uniwersytetu w Genewie.

J.T. – Pojechała tam również komisja techniczna PCK, a oprócz tego znany pisarz Ferdynand Goettel. Komisja PCK rozpoznawała zwłoki, pracując zresztą w okropnych warunkach.

B.P. – Pierwszą reakcją Sowieców na wiadomość podaną przez berlińską radiostację była informacja, że natknięto się na stare,

Fot. z książki J. Tucholskiego „Mord w Katyniu”



znane stanowisko archeologiczne. To był początek kłamstwa ka-tyńskiego, którego następnym etapem było obarczenie winą za ten mord Niemców.

J.T. – Kiedy nasz rząd na uchodźstwie skierował sprawę do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Szwajcarii, równocześnie to samo zgłosili Niemcy. Sowieci uznali to za pretekst do zerwania stosunków dyplomatycznych z Polską, od tego zaczyna się aranzowanie Związku Patriotów Polskich, tworzenie Dywizji Kościuszkowskiej, czyli początek działań mających na celu trwałe zawładnięcie częścią ziem polskich i włączenie całej Polski w sowiecką orbitę.

B. P. – Powróćmy jeszcze do tych dni, kiedy dokonywano egzekucji. Jak one przebiegały?

J.T. – Najdokładniej znamy przebieg egzekucji w kalinińskim NKWD. Mamy dokładne zeznania naczelnika tamtejszego Zarządu NKWD – Tokariewa. Do Kalinina skierowano z Moskwy ekipę zawodowych morderców, katów, którzy przywieźli ze sobą niemieckie pistolety. Wcześniej długo nie było wiadomo, skąd na miejscu kaźni znalazła się niemiecka amunicja. Otóż przywieźli oni ze sobą walizeczkę waltherów PPK, bo używane dotąd nagany zrywały nadgarstek przy strzale; po dwudziestu paru strzałach człowiekowi było ciężko dalej strzelać. Z walthera strzela się bardzo miękko. Oni tę broń kupowali od Niemców, myśmy zresztą też ją kupowali. I amunicję, i broń. W czasie ekshumacji w 1991 r., w których brałem udział, znajdowaliśmy amunicję zarówno do nagana, jak i, najczęściej, do walthera. Transporty kolejowe ludzi przywożonych z Ostaszkowa do Kalinina eskortowały wojska konwojowe NKWD, od których protokolarnie przejmowało je kalinińskie NKWD. Na stacji ludzi ładowano do „czarnego worona” (autobus więzienny), który kursował między stacją a siedzibą NKWD, i tam zamykano ich w celach. Nocą włączaly się jakieś zagłuszające maszyny, ale i tak pomieszczenie w piwnicy, do którego pojedynczo doprowadzano więźniów, było wyciszone, obite kocami z wielbłądziej sierści. Znaleźliśmy to pomieszczenie. Miało dwa wejścia, jedno przez korytarz, a po drugiej stronie wyjście na zewnątrz, gdzie stały samochody ciężarowe. Skażać najpierw doprowadzano do świetlicy w piwnicy, do tzw. czerwonego kącika, poświęconego Leninowi. Tam na liście sprawdzano nazwisko, imię, rok urodzenia, imię ojca. Jeśli wszystko się zgadzało, stawiano fajeczkę przy nazwisku, ręce z tyłu skuwano kajdankami. Tak było w Twerze. W Charkowie ręce były wiązane z tyłu. Następnie dwóch bojców wprowadzało człowieka do tego wyciszonego pomieszczenia. Za drzwiami wejściowymi od strony korytarza stał kat. Miał dość potworny strój – był w skórzanej pilotce, skórzanym płaszczu, skórzanych rękawicach za łokcie. Stał za drzwiami, drzwi się zamykały, strzelał. Zamordowanemu zadzierano poły płaszcza na głowę i zakręcano dookoła



głowy, żeby nie krwawił zbyt mocno. Tak te zwłoki przeważnie znajdowaliśmy. Wynoszono je drugimi drzwiami do samochodu i wprowadzano następnego. I tak dwustu do trzystu w ciągu nocy.

B.P. – Zdejmowano im kajdanki?

J.T. – Tak, bo to było mienie państwowe, szkoda go było. I jak samochody zostały załadowane, to nad ranem jechało tych parę wozów do Miednoje. Tam koparka kopata wielkie groby i do nich wrzucano zwłoki, a następnie zakopywała.

B.P. – Wrzucano je beztładnie?

J.T. – Tak. Enkawudziści mieli bardzo mało czasu na rewidowanie i obrabowanie zwłok, tak że bardzo wiele rzeczy znaleźliśmy w tych dołach: dokumenty, zdjęcia, listy, kosztowności. Wystarczy pójść do Muzeum Katyńskiego i zobaczyć, ile tego jest. Bardzo dużo.

W.W. – Czy można, w momencie ekshumacji, z położenia zwłok czy ze sposobu zadzierzgnięcia pętli na rękach, wywnioskować, że były próby oporu bezpośrednio przed egzekucją?

J.T. – To dotyczy Lasu Katyńskiego. A ja w tej chwili opowiadam o Twerze, gdzie uczestniczyłem w ekshumacji. Ekshumacja w 1991 r. została przeprowadzona na potrzeby śledztwa, bo całe śledztwo katyńskie zaczęło się naprawdę 25 grudnia 1990 r., kiedy Naczelną Prokuraturę Armii Sowieckiej przystąpiła do naszej Prokuratury Generalnej pismo zawiadamiające, że wszczyna śledztwo i proponuje naszą Prokuraturę Generalną jako prokuraturę posiłkową wspierającą działania śledcze na zasadzie pomocy prawnej. Stąd przyjazd do Tweru całej grupy prokuratorów i polskiej ekipy ekshumacyjnej.



B.P. – Na czyj wniosek zostało rozpoczęte to śledztwo?

J.T. – Sprawa toczyła się od października 1989 r., kiedy ówczesny prokurator generalny PRL Józef Żyta wystosował do prokuratora generalnego ZSRS Aleksandra Suchariewa pismo zawierające wniosek o wszczęcie śledztwa w sprawie Zbrodni Katyńskiej.

B.P. – Czyli to był wniosek strony polskiej.

J.T. – Pierwszy był wniosek strony polskiej z października 1989 r.; ostatecznie jesienią 1990 r. do Moskwy pojechał minister Skubiszewski, któremu towarzyszył prokurator Stefan Śnieżko. W rozmowie z ministrem Eduardem Szewardnadze nareszcie ta sprawa się wyklarowała i minister dał polecenie natychmiastowego wszczęcia śledztwa. Wcześniej obie-



cywał to Michaił Gorbaczow. Minęły jeszcze dwa miesiące i w grudniu, i to nie przez kanały dyplomatyczne, tylko przez Północną Grupę Wojsk, nadeszła do polskiej prokuratury propozycja włączenia się do wspólnego śledztwa. Przywiózł ją oficer. Pokazali dokumenty, Śnieżko jeździł, oglądał, dogadali się, tu przyjechało czterech sowieckich prokuratorów wojskowych, zwołano zebranie, na którym oprócz grupki wytypowanych przez Śnieżkę polskich prokuratorów znaleźli się także biegli eksperci, między innymi ja, jako historyk. Wszystko zostało ustalone. Sowietów porobili zdjęcia terenów z helikopterów, zarówno w Charkowie, jak i w Miednoje. Chodziło o te dwa miejsca, gdzie nie zostały jeszcze precyzyjnie zidentyfikowane masowe groby. W lipcu 1991 r. wyjechaliśmy do Charkowa na trzy tygodnie i znaleźliśmy masowe groby polskie oraz wcześniejsze – ukraińskie i sowieckie. Potem pojechaliśmy do Miednoje, gdzie natrafiliśmy na największy chyba grób. Przez moje ręce przeszły szczątki 243 policjantów. Dalsze ekshumacje prowadzono dopiero w latach 1994–1996, w związku z budową przyszłych cmentarzy.

B.P. – W Kalininie i Charkowie więźniów mordowano w pomieszczeniach na terenie siedzib NKWD, w Lesie Katyńskim zabijano ludzi bezpośrednio nad wykopami ziemnymi albo w wykopach. Z czasem pojawiła się hipoteza, że i tam mord odbywał się w pomieszczeniu zamkniętym.

J.T. – To są domniemania. Jeśli chodzi o Las Katyński, to charakteryzował się on przede wszystkim tym, że część zwłok była związana i to w sposób okrutny, taką pętlą od szyi do rąk i stóp, każdy ruch kończynami powodował zaciskanie się pętli. Część miała worki czy kaptury na głowach. Musieli strasznie krzyczeć i wyrwać się, to byli silni mężczyźni, nawet znaleziono w ich ustach trociny.

B.P. – No właśnie, to ich obecność naprowadziła na trop, by myśleć o egzekucji w zamkniętym pomieszczeniu wysypanym trocinami. W tej stojącej nieopodal willi.

J.T. – Ale to była wypoczynkowa willa dla NKWD. Najprawdopodobniej zabijano ich jednak nad samymi dołami (było ich osiem), bo wiemy, którędy był wjazd do lasu, gdzie było miejsce rewizji, gdzie np. majorowi Solskiemu, o czym zdążył napisać, odebrano szczyryk, i dosłownie trzy kroki dalej był wielki masowy grób wypełniony zwłokami. Cztery masowe groby, do których komisja techniczna PCK przełożyła zwłoki podczas ekshumacji, zachowały się nienaruszone do czasu ostatnich ekshumacji, które prowadzono w Katyniu na dużą skalę w 1994 i 1995 r. Wtedy te doły zostały odkryte. To jest dosłownie morze szkieletów. Wcześniej, w 1943 r., zwłoki były rewidowane przez członków komisji PCK, którzy zabierali wszystkie mobilia – dokumenty, zdjęcia, a także przedmioty osobiste. Zwłoki generałów Smorawińskiego i Bohaterewicza udało się zidentyfikować, ponieważ spoczywały w trumnach.



B.P. – Jest dość tajemnicza historia z dołem numer 8.

J.T. – Ten dół odkryliśmy w roku 1994, ale już był pusty, znaleziono tam chyba tylko dwie rogiatki i jakieś drobiazgi. Był opróżniony. Dół ten znajduje się już poza cmentarzyskiem, po przeciwnej stronie bagna.

W.W. – Jak pan tłumaczy zagadkę tego ósmego dołu?

B.P. – Są jakieś hipotezy na ten temat?

J.T. – Trudno dociec, może zrobiła to sowiecka fałszerska komisja Burdenki. W pobliżu tego dołu był zakopany chłop w kożuchu. Czekał przeciwnie rozstrzeliwali tam też swoich, i to przez wiele lat.



W.W. – Czy można przypuszczać, że spoczywały tam zwłoki, na których ukryciu mogło szczególnie zależeć sprawcom?

J.T. – Nie sądzę, na kim mogło im zależeć? Dla nich było wszystko jedno, kogo grzebią, generała czy porucznika, oficera zawodowego czy rezerwy.

B.P. – To może przejdźmy do etapu ujawniania informacji o popełnionej zbrodni i o reakcjach świata. Bo tragedia katyńska nie zamyka się tylko i wyłącznie na przerwaniu życia kilkudziesięciu tysięcy

ludzi, ale dotyczy i tego, jak współcześni odsuwali od siebie z różnych powodów i różnymi sposobami przyjęcie takiej informacji. Nie tylko jej przyjęcie, ale przede wszystkim wyciągnięcie wniosków i konsekwencji. Na poziomie wniosków dotyczyło to zweryfikowania swojej polityki wobec Związku Sowieckiego, a w konsekwencji odłożenia aż do dzisiejszych czasów pociągnięcia do odpowiedzialności za zbrodnię. To przedłużenie tej tragedii jest dramatycznym, wymownym etapem tego, co rozpoczęło się w kwietniu 1940 r.

J.T. – Zbrodnia posłużyła jako pretekst do zerwania stosunków polsko-sowieckich. Za skandal moralny należy uznać próby wyciszenia tej sprawy przez naszych aliantów, którzy jednocześnie byli aliantami sowieckimi. Chodzi głównie o Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i o Wielką Brytanię. A tutaj przede wszystkim wybija się postać prezydenta Franklina Roosevelta.

B.P. – Skutecznie odsuwał w cień tych ze swego otoczenia, którzy bombardowali go informacjami o Katyniu.

J.T. – W mniejszym stopniu, bo miał ludzkie odruchy – odnosi się to do Winstona Churchilla. Ale Brytyjczycy też zamknęli usta polskiej prasie emigracyjnej, z premedytacją wyciszali tę sprawę. Był po prostu ciągly strach, że Stalin się obrazi i zawrze pokój z Niemcami.

W.W. – Postawa taka trwała również i po zakończeniu wojny, kiedy w grę nie wchodził już ani straszak niemiecki w Europie, ani gra Roosevelta na wciągnięcie Rosjan do wojny z Japonią, co również miało wpływ na jego politykę niedrażnienia Stalina, kosztem choćby Polaków, którzy w wojnie na Dalekim Wschodzie pomóc nie mogli.

B.P. – To nie jest czas przeszły, taki stan rzeczy trwa do tej pory.

J.T. – Trochę zaczęli pisać na ten temat Anglosasi. Pierwszy raz sprawa pojawiła się na forum politycznym, kiedy wzięła ją w swoje ręce Komisja Kongresu USA po wybuchu wojny koreańskiej.

W.W. – Kongresowa komisja Raya Maddena faktycznie przeprowadziła dowód zbrodni, gromadząc olbrzymi materiał, który został nawet po części opublikowany.

B.P. – No tak, ale to był 1951 r. i wówczas chciano wykorzystać tę sprawę do załatwienia doraźnych interesów zimnowojennych.

J.T. – Kwestię zbrodni chciano przenieść na forum ONZ, żeby wszcząć postępowanie przed Międzynarodowym Trybunałem, ale nikt tego nie podjął i sprawa ucichła.





W.W. – Gwoli sprawiedliwości powiedzmy, że około roku 1970 w Wielkiej Brytanii pojawiła się inicjatywa budowy pomnika w londyńskiej dzielnicy Kingston-Chelsea, również prace Louisa Fitzgibbona, a nawet poświęcony Katyniowi program BBC. Wywołało to zresztą wściekłość władz sowieckich i peerelowskich.

J.T. – Trzeba też pamiętać, że na Zachodzie ciągle funkcjonowały partie komunistyczne i lewackie, we Francji, w Wielkiej Brytanii. Jaka była awantura o pomnik katyński w Londynie!



W.W. – Partie te zostały zresztą wykorzystane bezpośrednio do budowy kłamstwa. Mianowicie tam, gdzie nie sięgnęła władza sowiecka po II wojnie, nie można było świadków zbrodni z międzynarodowej komisji spacyfikować w sposób bezpośredni, jak w przypadku Marko Markowa w Bułgarii czy Františka Hajka w Czechosłowacji. I tu odegrały swoją rolę środowiska komunistyczne, lewicowe.

B.P. – Trzeba przypomnieć, że Bułgar Marko Markow i František Hajek wchodzili w skład powołanej przez Niemców międzynarodowej komisji lekarzy, pracującej w opaskach Czerwonego Krzyża w Katyniu w 1943 roku. Niektórzy członkowie komisji, jak Szwajcar François Naville czy zbiegły na zachód jej węgierski przewod-

niczący dr Orós, byli poza bezpośrednim zasięgiem komunistycznego aparatu przymusu, ale ci, którzy znaleźli się w krajach podporządkowanych ZSRS, byli szybko zmuszani do zmiany wcześniejszych opinii.

W.W. – Tam można to było zrobić bezpośrednio, używając środków przymusu z dobrze znanego nam arsenału komunistycznych metod, a tam, gdzie nie można było jawnie sięgnąć po przemoc, sięgano do metody inspirowania nagonki środowisk lewicowych. François Naville’a szwajcarscy komuniści oskarżyli w 1946 r. o pomocnictwo w propagandzie niemieckiej i chcieli zmusić do odwołania wyników badań świadczących o winie sowieckiej, ale na szczęście Wielka Rada Kantonu Genewa, przed którą sprawa ta została wniesiona, odrzuciła ich argumenty i uznała, że Naville działał podczas ekshumacji i prac komisji prawidłowo. Były również prowadzone podobne działania, niewątpliwie inspirowane przez NKWD, w innych krajach, które nie znalazły się w bloku sowieckim, jak choćby w Danii. W bloku sowieckim podjęto je już zaraz po wojnie i istnieją np. telefonogramy do późniejszego ministra spraw zagranicznych, słynnego Andrieja Wyszyńskiego, wówczas wiceministra spraw wewnętrznych, informujące, że w Bułgarii podjęto działania mające na celu wyciszenie sprawy katyńskiej. Są to działania skierowane w Markowa, jeszcze z 1945 r. Tenże Markow, jak wspominała wiele lat później jego córka, był prześladowany w sposób straszny i niestety wymuszono na nim zmianę wersji.

B.P. – To taki „bułgarski ślad” w sprawie katyńskiej.

W.W. – Sprawa zmiany opinii przez dr. Hajka z Uniwersytetu w Pradze jest chyba najbardziej znana, zmuszono go do tego jeszcze przed Norymbergą i jego zeznanie sprokurowane na potrzeby tego procesu, w którym Sowietom nie udało się zresztą osiągnąć skazania Niemców, wraca jako podstawowy argument kłamców katyńskich po dziś dzień, dostownie. 3 lutego 2005 r. na stronie internetowej www.fromua.com ukazała się wypowiedź Władimira Wietrowa, najnowszego kłamcy katyńskiego, który jako dowód na to, że zbrodni nie popełnili Rosjanie, podaje zmianę zeznań przez Hajka. Jest to przykład uporów. To jest najnowszy wykwit kłamstwa, nowszy nawet niż prace Jurija Muchina, który w połowie lat dziewięćdziesiątych napisał *Katyński kryminał (Katin'skij detiektiw)*, a dwa lata temu *Antyrosyjską niegodziwość (Antyrossijskaja podłost')*. Wietrow jeszcze raz powrócił też do sprawy użycia pistoletów walthera, co jest oczywiście kwestią dawno wyjaśnioną, podobnie jak zmuszenie Hajka do zmiany zeznań. Ale wysunął też nowy, absurdalny argument, że niepodjęcie przez Polskę w latach dziewięćdziesiątych własnego śledztwa i nieprzekazanie dotąd sprawy do międzynarodowych instytucji sądowych wskazuje, iż strona polska ma w sprawie katyńskiej coś do ukrycia.



B.P. – Była jednak próba własnego, polskiego śledztwa, które nie znalazło poparcia rządu Hanny Suchockiej. Ale chciałabym, żebyśmy opisali stan dzisiejszy. IPN pod wpływem silnej presji społecznej wszczął śledztwo w sprawie Zbrodni Katyńskiej. Niewyjaśnienie w sensie prawnym odpowiedzialności za tę zbrodnię jest jednym z najbardziej zdumiewających i bolesnych problemów nie tylko dla rodzin pomordowanych, ale dla Polaków w ogóle. Wciąż ciąży nad naszą współczesnością ten cień: z jednej strony buta, z jaką Rosjanie odmawiają nam ujawnienia prawdy i dokumentów, z drugiej strony milczenie świata przez te kilkadziesiąt lat. Jak wygląda śledztwo prowadzone przez stronę rosyjską?



J.T. – Początkowo wyglądało dosyć solidnie. Mieli zgromadzonych mnóstwo dokumentów, przesłuchali trójkę żyjących jeszcze świadków. Nazwali ich „świadkami”, ale faktycznie byli to sprawcy. Żaden z nich już nie żyje.

B.P. – ...choć przez wiele lat utrzymywali, że wcześniej dokumenty zostały zniszczone...

J.T. – Jak np. te listy wywózkowe, sprawozdania z wizytacji obozów, rozmów. Tego naprawdę jest dużo. W Polsce opublikowano trzy tomy dokumentów, wydała je Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych. To jeszcze nie wszystko. Oni nam część istotnych dokumentów zdążyli



Jędrzej Tucholski podczas ekshumacji

przekazać, około 60 proc. Poza tym mamy ekspertyzy przeprowadzone po ekshumacji z 1991 r., bo tam byli medycy sądowi zatrudnieni jako biegli, był oficer policji, znawca broni, wyjaśnił kwestie tej niemieckiej broni, był znawca odznaczeń i mundurów wojskowych. Powstały ekspertyzy cząstkowe, a potem jedna zbiorcza, którą Naczelną Prokuraturę Armii Rosyjskiej dostała od nas, bo oni sami nie prowadzili takiej dokumentacji. Ekshumacje prowadziliśmy razem, szefem był rosyjski prokurator, ale dokumentację myśmy zrobili, potem oni traktowali nas jako równorzędnych partnerów. Mierzyliśmy między innymi kąty strzałów w czaszkach. Robiło się mapy strzałów. Enkawudziści strzelali z dużą precyzją, zwykle w to samo miejsce – w potylicę lub najwyższy krąg szyjny. Oprócz tego są gromadzone przez Muzeum Katyńskie materiały – listy od rodzin, od jeńców. To są bardzo ważne wskazówki. W czasie ekshumacji wydobywaliśmy wiele rzeczy, stanowiących materiał dowodowy wielkiej wagi, np. drewniane

tabakierki z napisem „Ostaszków 1940”. Tego jest bardzo dużo, to bardzo bogaty materiał dowodowy.



W.W. – W grę wchodzi jednak kwestia woli politycznej. Przykrą konkluzją śledztwa rosyjskiego jest niezgoda na uznanie Zbrodni Katyńskiej za ludobójstwo, co oznacza potraktowanie jej w tym momencie w wymiarze prawnym jako przedawnionej i jako takiej dla Federacji Rosyjskiej po prostu niebyłej.

J.T. – Kiedy w 1991 r. mówiło się, że jest to zbrodnia ludobójstwa, to samo powtarzali Rosjanie. Obecnie się z tego wycofali na rzecz zwykłego przestępstwa kryminalnego.

B.P. – Nasza rozmowa odbywa się na początku marca. Wiemy już, że Federacja Rosyjska powiedziała po raz kolejny naszym prośbom o udostępnienie dokumentów – „nie!”. I celowo zmieniając kwalifikację czynu spowodowała, że zbrodnia uległa przedawnieniu.

W.W. – Dokładnie tak, śledztwo zostało zakończone ze względu na przedawnienie czynów, bo stwierdzono, że nie można tego uznać za ludobójstwo.

J.T. – Rosjanie jeszcze we wrześniu ubiegłego roku zadeklarowali przekazanie materiałów śledczych stronie polskiej. Obecnie wycofali się z tego, a ponadto część utajnili, uniemożliwiając dostęp do nich.



Jędrzej Tucholski – ur. w 1932 r. w Poznaniu, mgr inż., absolwent Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej, z zamiłowania historyk i dokumentalista, w latach 1995–2000 wicedyrektor Centralnego Archiwum MSWiA, od 2000 r. zastępca Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN, obecnie na emeryturze; autor książek: *Cichociemni* (Warszawa 1984, 1985 i wyd. uzup. 1988), *Spadochroniarze* (Warszawa 1991), *Mord w Katyniu* (Warszawa 1991) i wielu innych publikacji z zakresu najnowszej historii Polski, zwłaszcza dot. wysiłku zbrojnego i martyrologii żołnierza polskiego. Uczestnik ekshumacji w Charkowie i Miednoje w 1991 r. oraz w Katyniu w 1994 r.



Witold Wasilewski – ur. w 1972 r. w Warszawie, w rodzinie kresowiackiej. Doktor nauk humanistycznych. Absolwent IH UW, studiował w Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, wykładowca UKSW w Warszawie. Historyk dziejów nowożytnych i najnowszych, specjalizuje się w problematyce Europy Wschodniej i Rosji. Autor monografii *Wyprawa bukowińska Stanisława Jabłonowskiego w 1685 roku*, wkrótce ukaże się jego książka *Marian Dziedziechowski wobec myśli rosyjskiej*. Obecnie zajmuje się zagadnieniem kłamstwa katyńskiego.



POKONANI W OBOZIE ZWYCIĘZCÓW

**O SPRAWIE POLSKIEJ W LATACH II WOJNY ŚWIATOWEJ
Z MARKIEM KAZIMIERZEM KAMIŃSKIM I TADEUSZEM
KISIELEWSKIM ROZMAWIAJĄ WŁADYSŁAW BUŁHAK
I BARBARA POLAK**

B.P. – Nie jest wcale prosto mówić na ten temat po budzących wielkie emocje obchodach rocznicowych w Moskwie. Będziemy rozmawiać o sprawach związanych z sytuacją polityczną w okresie rozpoczęcia, przebiegu i zakończenia II wojny światowej na terenie Europy. To właśnie bardziej aspekt polityczny niż militarny zaowocował takimi a nie innymi rozstrzygnięciami kończącymi wojnę. Będziemy zatem rozmawiać o polityce międzynarodowej w podziale na mniej więcej trzy kategorie: polityce aliantów wobec Polski i ZSRS, międzynarodowej polityce Stalina i o polityce prowadzonej przez Polskę. Zaczniemy od tego, czy wywiady państw zaangażowanych później w wojnę znały zapisy tzw. tajnego protokołu do paktu niemiecko-sowieckiego, czyli paktu Ribbentrop-Mołotow.

M.K.K. – Znany był on Amerykanom, Francuzom i Włochom. Nie wiem, czy znali go Brytyjczycy.

B.P. – Polityka, którą prowadzili wobec Stalina Anglosasi, była nacechowana wielkim pragmatyzmem. Zarówno Wielka Brytania, jak i Francja w przededniu wojny podpisały z Polską zobowiązania wzajemnej pomocy w wypadku napaści państwa obcego. Czekaliśmy na ich pomoc po napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę i po sowieckiej agresji w siedemnaście dni później. Późniejsza historia pokazała, jak bardzo instrumentalnie traktowali nas sojusznicy, którzy już w 1939 r. znacznie bardziej liczyli się ze Stalinem niż z nami. Stalin zresztą od początku wobec nich prowadził podwójną grę.

M.K.K. – Strona brytyjska i francuska pragnęły przyciągnąć Stalina do układu politycznego, który blokowałby możliwość wybuchu II wojny światowej. Stalin natomiast rzeczywiście prowadził podwójną grę. Był zainteresowany tym, żeby ta wojna wybuchła, dlatego szybko dogadał się z Niemcami.

T.K. – Przed wybuchem wojny było zupełnie inne postrzeżenie Związku Sowieckiego. To Niemcy były rzeczywistym i bezpośrednim zagrożeniem dla państw zachodnich – dla Francji i Wielkiej Brytanii. Sowiecka Rosja była daleko i mogła stać się, wedle ich kalkulacji, potencjalnym sojusznikiem przeciwko Niemcom. Tak była ona postrzegana przed wojną.



B.P. – Wpływy komunistyczne w Anglii były przecież bardzo silne.

T.K. – Znane jest powiedzenie Churchilla, że gotów jest paktować z samym diabłem, byle byłoby to w interesie Wielkiej Brytanii. W 1941 r., natychmiast po napaści Hitlera na Związek Sowiecki, poszedł na sojusz ze Stalinem, ale jeszcze przed wojną postrzegał on Rosję jako ewentualnego sojusznika w przypadku konfliktu z Niemcami. A był przecież starym antykomunistą – od czasów rewolucji bolszewickiej.

W.B. – Jak panowie oceniają polską politykę zagraniczną kojarzoną z osobą ministra i pułkownika Józefa Becka? Czy ona mogła być inna?

M.K.K. – Oczywiście, mogła być inna, co nie znaczy, że nie niostaby ze sobą różnego rodzaju ryzyka. Można było zrezygnować z koncepcji, którą Józef Piłsudski realizował aż do swojej śmierci, a która była później kontynuowana. Była to polityka równych odległości Warszawy od Berlina i Moskwy, czyli niesprzymierzanie się z żadnym z wielkich sąsiadów – z zachodnim przeciw wschodniemu i ze wschodnim przeciw zachodniemu. Trzeba powiedzieć wyraźnie, że Hitler traktował Polskę nie jako wroga, tylko jako państwo, które należało zwasalizować i następnie wprzęgając w rydwan niemieckiej maszyny wojennej, skierować przeciwko wschodowi, ale oczywiście nie w pierwszej kolejności. Według tego, co jest zapisane w tzw. protokole Hossbacha (od nazwiska pułkownika niemieckiego, adiutanta wodza III Rzeszy, który protokołował posiedzenie najwyższych czynników Rzeszy z Hitlerem na czele 5 listopada 1937 r.), plany Hitlera były takie, żeby skierować uderzenie niemieckie najpierw na południe. Przez uderzenie nie rozumiem tutaj wojny, tylko ekspansję – na Austrię i Czechosłowację, a następnie w kierunku Francji. Polska potrzebna była w 1939 r., już po konferencji monachijskiej, po to, by Niemcy mogły mieć pewność, że z tyłu nikt ich nie zaatakuje, a Francja z Polską była przecież w układzie sojuszniczym od 1921 r. Gdyby Rzesza miała pewność, że Polska nie zaatakuje, zostawiono by ją w spokoju i uderzono by na Francję. Oczywiście, Niemcy stawiali Polsce pewne warunki, ale nie były one aż tak straszne, przynajmniej na pierwszy rzut oka, jak później próbowano to interpretować. Polska za cenę utraty części podmiotowości mogła uniknąć tego, co stało się we wrześniu 1939 r. Gdyby podporządkowała się postulatami niemieckim, ich żądaniom, wówczas nie byłoby paktu Ribbentrop-Mołotow, nie byłoby rozbioru Polski, ze wszystkimi straszliwymi konsekwencjami tego faktu. Ale oczywiście ekipa rządząca Polską musiała się liczyć – mimo że mówi się, iż to była półdyktatura – otóż musiała liczyć się z nastrojami społecznymi, a nastroje społeczne były antyniemieckie i nie można było sobie pozwolić na to, żeby zrewidować dotychczasową politykę. Było to szalenie trudne, wówczas opozycja występowałaby przeciwko ekipie rządzącej

i to mogłoby się źle skończyć. Sytuacja była bardzo zagmatwana, ale ośmielałam się twierdzić, że wyjście polegające na chwilowym przyciśnięciu się i pójściu na pozorne ustępstwa wobec Niemiec w oczekiwaniu na lepszą koniunkturę międzynarodową było rozwiązaniem lepszym niż to, które nastąpiło w 1939 r.

T.K. – Zwróciłbym uwagę na Władysława Studnickiego, który wprawdzie nie miał za sobą jakiegось siły politycznej, ale warto o nim pamiętać. Jest autorem interesującej broszury wydanej w czerwcu 1939 r. *Wobec nadchodzącej II wojny światowej*. Przewidywał on „opłakane konsekwencje” sojuszu z Anglią. Sądził, że Niemcy najpierw „zlikwidują” słabszego sojusznika – Polskę. Za największe niebezpieczeństwo uważał zabiegi Londynu zmierzające do wciągnięcia Moskwy do koalicji, za co Anglia może „zapłacić” ZSRS wschodnimi województwami Polski. Broszurę tę rząd skonfiskował. Druga sprawa – kierunek rosyjski. Trzeba powiedzieć, że w gruncie rzeczy nie było dostatecznego rozeznania co do ewentualności agresji sowieckiej na Polskę. Rezydujący w Moskwie ambasador Wacław Grzybowski nie spisał się najlepiej jako przedstawiciel Polski – nie informował o ewentualności zagrożenia sowieckiego. Minister spraw zagranicznych Józef Beck, którego uważam za dobrego polityka, również nie docenił tego niebezpieczeństwa. Być może zagrała tu psychologia dwóch wrogów. Józef Piłsudski przestrzegał, że w takiej sytuacji pozostawałby Polakom tylko pojedynek na placu Saskim w Warszawie – w imię honoru. Polska nie miała żadnych szans w wojnie z Niemcami i Związkiem Sowieckim.

W.B. – **Wróćmy jednak do pytania o to, czy władze Polski zdawały sobie w pełni sprawę ze skutków swoich decyzji? Można powiedzieć, że – z taką wiedzą i takimi doświadczeniami historycznymi jakie wówczas posiadali, działając w konkretnej sytuacji społecznej – Beck, Mościcki i Rydz-Śmigły podjęli racjonalną decyzję. Idąc z głównym prądem polskiej opinii publicznej, wybrali opcję prozachodnią i antyniemiecką, obóz zwycięzców z I wojny światowej, który – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – miał się stać obozem zwycięzców także i w następnej nadchodzącej wojnie. Nie docenili jednak roli czynnika sowieckiego i Stalina osobiście.**

M.K.K. – Liczono na to, że opowiedzenie się po stronie polskiej Wielkiej Brytanii i Francji będzie dla Rosji elementem odstrasającym. Założenie było takie, że Niemcy i Związek Sowiecki ze względów ideologicznych ze sobą się nie dogadają, nie widziano takiej możliwości. To był oczywiście potężny błąd ekipy rządzącej, takie przeświadczenie, że reżimy, które dotychczas publicznie tak się zwalczały, nie mogą się nagle porozumieć. Gdyby Hitler nie miał w ręku paktu Ribbentrop-Mołotow, prawdopodobnie nie zdecydowałby się na rozpoczęcie wojny światowej, po-

nieważ jemu zależało przede wszystkim na izolowaniu Polski i wyeliminowaniu jej z gry po stronie mocarstw zachodnich.

T.K. – Jest jeszcze jeden element, na który się czasami nie zwraca uwagi. Beck był znakomitym graczem politycznym i lubił grę polityczną. Można przypuszczać (nie ma na to dowodów), że zgoda na wzajemne gwarancje polsko-brytyjskie ogłoszona 6 kwietnia 1939 r. i zapowiedzi układu polsko-brytyjskiego, co rozwścieczyło Hitlera i zmieniło jego politykę wobec Polski, była też ze strony Becka grą wobec Hitlera, obliczoną na to, że w obliczu sojuszu polsko-brytyjskiego wycofa się ze swoich żądań wobec Polski, utrzymując z nią nadal dobre stosunki. Wtedy Polska będzie mogła balansować między Niemcami i Anglią. Beck przeliczył się. Jeśli chodzi o Francję, to od dawna była oceniana w Warszawie jako partner słaby i za bardzo na nią nie liczono. Liczono na Wielką Brytanię, ale nieco przesadnie, bo ona nawet nie miała takich możliwości militarnych i politycznych, jakie jej przypisywano. Anglia wyszła z I wojny światowej zbiedniała i zadłużona u Amerykanów, musiała odbudowywać swoje finanse, a jednocześnie utrzymywać pewien ekonomiczny i socjalny poziom życia społecznego – dopiero w drugiej połowie lat trzydziestych przeznaczyła większe sumy na zbrojenia. Wszakże w Polsce pamiętano i o doświadczeniach Monachium. Jednakże o wojnie – podzielam ten pogląd – zdecydował sojusz Hitlera ze Stalinem. Ten sojusz zadecydował o tym, że kalkulacje Becka zawiodły. Warszawa nie brała takiej możliwości pod uwagę. Beck uważał, że różnice ideologiczne między Hitlerem a Stalinem uniemożliwiają im sojusz.

B.P. – Czy państwa zachodnie miały świadomość, co oznacza pakt Ribbentrop-Mołotow?

M.K.K. – Kiedy do Londynu dotarła informacja o podpisaniu tzw. układu o nieagresji między Związkiem Sowieckim a Niemcami, to był poważny moment zawahania się strony brytyjskiej. Dał temu świadectwo w specjalnym zeznaniu z 21 kwietnia 1941 r. złożonym dla komisji rządowej ambasador Polski przy rządzie brytyjskim, Edward Raczyński. Strona brytyjska próbowała wycofać się z rozmów z Polską. W końcu nie zrobiła tego, ale to był moment szalenie groźny dla Polski. Niewiele brakowało, a Polska zostałaby całkowicie na lodzie, bo nawet nie byłoby tego układu sojuszniczego o wzajemnej pomocy z 25 sierpnia 1939 r. wraz z załączonym doń tajnym protokołem...

W.B. – ...który na kilka dni wstrzymał wojnę.

M.K.K. – Brytyjczycy zdawali sobie sprawę z tego, że kończą się teoretyczne rozważania i zaczyna okres bardzo niebezpieczny dla Europy, wymagający zajęcia zdecydowanego stanowiska w obliczu wojny wiszącej na włosku. I dopóki nie było żadnych informacji o układach niemiecko-

Fot. z AIPN



NIEMCY • POLSKA • Z. S. R. R.
78,5 → 35,5 ← 175,5
LUDNOŚĆ W MILIONACH





-sowieckich, dopóty można było prowadzić grę, bo Brytyjczycy liczyli na to, że Niemców da się powstrzymać, strasząc ich groźbą wojny na dwa fronty, czego Hitler naprawdę się bał. Pamiętał o doświadczeniach wielkiej wojny, czyli I wojny światowej, i wiedział, że Niemcy znajdą się w sytuacji trudnej, gdy będą musiały walczyć na dwa fronty. Odrzucając żądania Hitlera, Polacy udowodnili, że będą wykonywać wiernie postanowienia sojuszu polsko-francuskiego. Polskę można było spróbować osaczyć i wówczas – na to liczył Hitler – Zachód nie zdecydowałby się na przystąpienie do wojny, widząc całą beznadziejność sytuacji wschodniego partnera. Dzięki Bogu tak się nie stało, choć Brytyjczycy i Francuzi z góry niejako zakładali, że Polakom w trakcie działań wojennych w ogóle nie pomogą, bo na wiosnę i we wrześniu 1939 r. przyjęli założenie, iż losy Polski rozstrzygną się dopiero pod koniec wojny w zależności od jej wyniku. Ale tak naprawdę bardzo chcieli uniknąć wojny. Ani Wielka Brytania, ani Francja nie były do niej przygotowane pod względem militarnym.

Summa summarum, Hitler zdawał sobie sprawę, że Polska jest dla niego bardzo niewygodnym sąsiadem i chciał takiego rozwiązania – by Zachód zrozumiał, że jednak nie ma sensu iść Polsce z pomocą, skoro on się dogadał ze Związkiem Sowieckim.

W.B. – Wystawili tutaj panowie tu ostrą cenzurę przedwojennym polskim politykom. Popętnili oni błąd w ocenie polityki sowieckiej, popełnili go również w ocenie polityki i możliwości, ale i determinacji mocarstw zachodnich. Polscy politycy i wojskowi nie oczekiwali chyba, że we wrześniu przyjdzie im samotnie odierać ataki obydwu odwiecznych wrogów.

M.K.K. – Beck liczył na to, że Hitlera powstrzyma układ polsko-brytyjski. Prawdopodobnie rzeczywiście tak by się stało, gdyby wcześniej Hitler nie zawarł układu z Sowietami. Towarzysz Stalin – w odróżnieniu od towarzysza Adolfa Hitlera – dobrze potrafił rachować. O ile Hitler liczył na to, że dojdzie do izolacji Polski i wojna będzie miała charakter ograniczony do terytorium Europy Wschodniej (na razie oczywiście), o tyle Stalin wiedział (i nie przeliczył się), że wojna wybuchnie i będzie to wojna Europy Zachodniej z Niemcami. Dlatego do niej parł. W pamiętnikach Chruszczowa jest takie zdanie, że Stalin po podpisaniu układu Ribbentrop-Mołotow nie posiadał się z radości, wykrzykując: – udało mi się Hitlera oszukać! Oszukał Hitlera, bo on wpakował się w coś takiego, z czego, jak się okazało, trudno było wybrnąć. Przed Związkiem Sowieckim otwierały się świetlane perspektywy zwycięskiego pochodu Armii Czerwonej w kierunku zachodnim.

B.P. – Żeby o przenikliwości Stalina nie padło ostatnie słowo, to trzeba dodać, że po 22 czerwca 1941 r., po agresji niemieckiej, Stalin zapadł ze zgrozy w kilkutygodniową depresję i nie chciał pokazywać się nawet najbliższym współpracownikom. Jego przenikliwość okazała się więc trochę ograniczona.

M.K.K. – Bo to on planował uderzenie na Niemcy, a został uprzedzony.

T.K. – Miał prawo być zdenerwowany – nie wyprzedził swojego dotychczasowego sojusznika. Zresztą Hitler twierdził, że uderzył na Związek Sowiecki, by uprzedzić uderzenie Stalina, i mówił prawdę. Ale Moskwa, a za nią inni, mówiła, że to kłamstwo, propaganda. Przed zdobyciem Wysp Brytyjskich dla Hitlera to posunięcie było szalenie niekorzystne – otwierał drugi front, czego w Niemczech tak się obawiano. Czego i on się bał.

M.K.K. – W zamyśle Stalina Niemcy miały odegrać rolę, którą zresztą odgrywały – lodołamacza, który miażdży Europę Zachodnią. Związek Sowiecki czekał na odpowiednią chwilę. Ten plan Józef Wissarionowicz wyłożył 19 sierpnia 1939 r. na posiedzeniu Politbiura partii bolszewickiej – należy uderzyć w odpowiednim momencie, kiedy Hitler zrobi już swoje, i zebrać owoce zwycięstwa. Hitler wyprzedził Stalina, więc ten mógł mieć chwilową depresję, która mu zresztą po pewnym czasie minęła, gdy okazało się, że siły niemieckie zaczęły tracić swój pierwszy impet, bardzo niebezpieczny dla Związku Sowieckiego.

T.K. – Ąpropoz tej przenikliwości Stalina. To nie ona zdecydowała, lecz stare pragnienie bolszewickie Lenina i Trockiego doprowadzenia do II wojny światowej, w szczególności wtedy, gdy załamała się ofensywa Armii Czerwonej niosącej „płomień rewolucji” do Europy Zachodniej – do Niemiec, Francji, Włoch. Druga wojna światowa miała przynieść rewolucje na Zachodzie, nie bez pomocy Rosji. Stalin chciał wojny światowej i robił wszystko, co mógł, aby do niej doszło – oczywiście w momencie, kiedy będzie do niej dobrze przygotowany. Przede wszystkim wtedy, kiedy będzie miał najsilniejszą armię świata. Przyszłemu zwycięstwu Związku Sowieckiego i rewolucji światowej podporządkowano w kraju wszystko. Została uruchomiona wielka machina zbrojeniowa. W 1939 r. nadarzyła się Stalinowi znakomita okazja. Hitler doprowadził do II wojny światowej. Stalin liczył, że utknie on we Francji. Nie przewidział tylko tego (nikt zresztą nie przewidział), że Francja tak szybko skapituluje. Gdyby Hitler ugrzązł we Francji, to Stalin w odpowiednim czasie uderzyłby na Niemcy i „wyzwolił” Europę. To wszystko było zakorzenione w „mesjanistycznej”, rewolucyjnej ideologii bolszewickiej – a Stalin był wiernym uczniem Lenina. No i pragnął władzy nad światem.

M.K.K. – 30 czerwca 1934 r. na polecenie Hitlera doszło w Niemczech do tzw. nocy długich noży, kiedy esesmani wymordowali czołwagę starej gwardii hitlerowskiej, czyli ówczesnej opozycji esamańskiej. Niektórzy obserwatorzy niemieckiej sceny politycznej doszli do wniosku, że reżim nazistowski pęka w szwach. Ale nie Stalin, który podobno szalenie się z tego powodu ucieszył, bo doszedł do wniosku, że Hitler jednak opanował sytuację i od tego momentu będzie już twardo siedział w siodle. Starzy towarzysze partyjni nie wysadzą go z siodła pod pretek-

stem drugiej rewolucji, a Hitler już wie, jak dalej prowadzić rewolucję nazistowską, i będzie realizował cele ekspansjonistyczne. Te cele były zgodne z interesami Stalina, który wiedział, że żadne powstania, żadne rewolucje w krajach zachodnich nie dokonają się same z siebie, bez pomocy Armii Czerwonej.

T.K. – Wróć jeszcze na chwilę do 1939 r. Kiedy Hitler rozpoczynał wojnę, w Niemczech panował wielki strach przed wojną. Pamiętano jeszcze przegraną w I wojnie światowej. Była też niepewność pośród niektórych generałów, którzy obawiali się wojny na dwa fronty. Po klęsce Francji niektórzy generałowie byli ogromnie zdumieni, że nie uruchomiła ona swoich sił, przecież wcale nie miały, by wszystkimi tymi siłami uderzyć na Niemcy na froncie zachodnim. Wtedy, gdy gros sił niemieckich zaangażowane było w Polskę. Ale Francja była opanowana jakąś niemocą. Stalin do wojny wszedł dopiero 17 września mimo wcześniejszych ponagleń Hitlera. Wyraźnie czekał. 12 września było francusko-brytyjskie spotkanie w Aberville, gdzie potwierdzono, że państwa te nie przyjdą z obiecaną Polsce pomocą. 14 września sowiecka „Prawda” podała, że Polska poniosła klęskę. 17 września o godzinie drugiej Stalin poinformował ambasadora niemieckiego, że za cztery godziny Armia Czerwona uderzy. Na co Stalin czekał? Gdyby Francja i Anglia uderzyły na zachodzie wszystkimi swoimi siłami i Niemcom groziłaby klęska, być może porzuciłby Hitlera i rozpoczął grę z Francuzami i Anglikami. Pewnie domagałby się, aby jego wojska mogły przejść przez Polskę na front niemiecki. Albo sam by pod tym pretekstem do Polski wkroczył przeciw Niemcom. Dla Polski byłoby to fatalne.

B.P. – **To znów symptomatyczne, przecież to spotkanie brytyjsko-francuskie, ustalające powstrzymanie się od jakichkolwiek akcji przeciwko Niemcom, miało miejsce po serii dramatycznych apeli o pomoc płynących od ich sojusznika, zaatakowanej Polski.**

T.K. – Stalin prawdopodobnie wiedział o rezultatach spotkania w Aberville albo przynajmniej się ich domyślał. Cała polityka francuska i angielska była jeszcze wtedy prowadzona w duchu Monachium, czyli w duchu polityki ustępstw wobec agresywnych poczynań Hitlera. Warszawa doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Stąd Edward Rydz-Śmigły, opracowując scenariusz wojny z Niemcami, jako pierwszą zaplanował bitwę graniczną. Z wojskowego punktu widzenia nie miała ona większego sensu, natomiast miała sens z politycznego punktu widzenia, bo obawiano się czegoś na kształt nowego Monachium. I tak naprawdę Hitler już nowego Monachium nie chciał, bo Anglicy i Francuzi prawdopodobnie na to by poszli. Gotowi byłiby na przykład „oddać” Hitlerowi Pomorze i Wielkopolskę, które również zajęliby Niemcy – w imię ratowania pokoju. Są to oczywiście tylko przypuszczenia. I w tym tkwił sens bitwy granicznej – wytrzymać pierwsze uderzenie Niemiec na linii granicznej.

W.B. – Następuje okres przejściowy między tragiczną jesienią 1939 r. a wiosną 1940. Na Zachodzie trwa tzw. „dziwna wojna”. Polska jest już pokonana, Sowieci niejako przyczajają się. Dobrze byłoby teraz zdefiniować, o co Polska w tym momencie walczy...

T.K. – ...Polska jest po przegranej kampanii wrześniowej i po powstaniu władz emigracyjnych... Od tego zaczniemy.

W.B. – Ocenialiśmy już tutaj politykę min. Becka. Klęska wrześniowa to jednocześnie zasadnicza zmiana ekipy – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – odpowiedzialnej „wobec Boga i historii” za sprawę polską. Nadchodzi epoka kojarzona z osobą gen. Władysława Sikorskiego. Nie unikniemy oceny jego polityki.

M.K.K. – Istniała ciągłość prawna między rządem gen. Władysława Sikorskiego powołanym we Francji a poprzednim rządem polskim zmuszonym przez Armię Czerwoną do przekroczenia granicy z sojuszniczą Rumunią. Pragnę podkreślić, że nowe władze polskie na uchodźstwie były całkowicie legalne w świetle prawa międzynarodowego. Powtórzę, że nie została przerwana ciągłość prawna między oboma polskimi ośrodkami władzy, niezależnie od różnic politycznych dzielących obie ekipy rządowe. Rząd na uchodźstwie funkcjonował przy boku sojuszników, którzy zachowywali się tak, jak się zachowywali. Jeden z nich przegrał wojnę w czerwcu 1940 r. Wtedy oczywiście rząd polski ewakuował się do Wielkiej Brytanii i tam, uczestnicząc w różnych bardzo ważnych przedsięwzięciach ratujących Wielką Brytanię, dochowywał wierności sojusznikowi. To jest dla mnie zupełnie oczywiste, że niezależnie od tego, jak poszczególne pociągnięcia gen. Sikorskiego będziemy oceniać, *per saldo* było to działanie całkowicie na korzyść państwa polskiego, gdyż innego działania właściwie nie można sobie wyobrazić. No, można byłoby po prostu nie mieć rządu, ale my mieliśmy dzięki Bogu rząd cieszący się niekwestionowanym autorytetem w okupowanym kraju.

T.K. – Realizowano dwa cele, w gruncie rzeczy fundamentalne. Pierwszy – zaczęto budować armię polską, bo bez niej nie mielibyśmy żadnego znaczenia politycznego, pomijając już wszystkie inne aspekty. Drugi – wmontowywano Polskę w ówczesny układ polityczny mocarstw antyniemieckich – starano się zapewnić jej odpowiednie miejsce polityczne po stronie Francji i Wielkiej Brytanii. I to już od końca 1939 r. Jak to wyglądało w praktyce – z uwagi na politykę Paryża i także Londynu wobec polskiego rządu na emigracji – to już jest zupełnie inna sprawa.

B.P. – Niemniej efekt był taki, że Brytyjczycy bardziej przejęli się losem Finlandii niż losem Polski.

M.K.K. – Wydaje się, że ma pani rację. W każdym razie dopiero po agresji Sowietów 30 listopada 1939 r. na Finlandię, nie zaś po zdradzieckim ataku Armii Czerwonej na Polskę 17 września 1939 r., wreszcie wygnano Związek Sowiecki z Ligi Narodów 14 grudnia 1939 r.

T.K. – Ani Francja do swojego upadku nie traktowała Polski w sposób partnerski, mimo że rząd jej rezydował na terytorium francuskim, ani Wielka Brytania, która wówczas jeszcze kłopotów wojennych specjalnie nie miała. Głównym naszym wtedy partnerem była Francja. Ale Polska wówczas – jak zauważał gen. Kazimierz Sosnkowski – spychana była z pozycji pełnoprawnego partnera do pozycji ubogiego krewnego. Przede wszystkim nie uzyskała pełnoprawnego udziału w Najwyższej Radzie Wojennej powołanej przez Francję i Anglię, o co się rząd polski starał. Jednocześnie Paryż i Londyn prowadziły dwuznaczną politykę wobec Moskwy, zmierzającą do wbicia klina między Moskwę a Berlin. Natomiast Francja i Anglia zainteresowane były tworzeniem Wojska Polskiego, ale jednocześnie unikały sprecyzowania celów wojny, na co naciskała Polska.

W.B. – **Paradoksalnie upadek Francji potężnie wzmocnił i wypuklił pozycję Polski w koalicji antyniemieckiej. Na krótki okres staliśmy się najważniejszym chyba, aktywnym sojusznikiem Wielkiej Brytanii.**

M.K.K. – Pozycja rządu polskiego była znacznie silniejsza w okresie od czerwca 1940 r. do czerwca 1941 r. niż kiedykolwiek wcześniej i później ze względu na fakt, że Francja została wyeliminowana z wojny po stronie brytyjskiej, gdy skapitulowała przed Niemcami, Związek Sowiecki zaś, mimo zakulisowych zabiegów brytyjskich, nie zamierzał dołączyć do koalicji antyniemieckiej.

T.K. – Do upadku Francji uważano, że ta wojna może się rychło skończyć, więc to była zupełnie inna perspektywa polityczna i inaczej to się wszystko rysowało. Dopiero po upadku Francji sytuacja zaczęła się zmieniać, inaczej kształtować wobec nacisku Niemiec na Wielką Brytanię, bitwy o Wielką Brytanię.

M.K.K. – Jak już zaznaczyłem, po upadku Francji premierowi brytyjskiemu Winstonowi Churchillowi bardzo zależało na pozyskaniu Związku Sowieckiego dla wspólnej akcji. To oczywiście Brytyjczykom się nie udało, gdyż Stalin nie zamierzał bronić Wielkiej Brytanii przed zakusami Hitlera.

W.B. – **Zatrzymajmy się nad polityką Stalina w tym okresie. Jednym z najbardziej charakterystycznych jej przejawów jest Zbrodnia Katyńska, która, poza całym jej ludobójczym wymiarem, była – z punktu widzenia Kremla – wyrachowanym posunięciem o charakterze politycznym.**



Pomnik postawiony w „Dolinie Katyńskiej” na warszawskich Powązkach w lipcu 1981 r. Ukradziony przez „nieznanych sprawców” w nocy przed 1 sierpnia (patrz fot. na III stronie okładki)

T.K. – Stalin w ten sposób ścinał głowę narodowi polskiemu. No i oczywiście likwidował swoich ewentualnych przeciwników politycznych, tak jak to miał w zwyczaju czynić. Ścinali Polakom głowę Niemcy na terenach przez nich okupowanych i to samo robił Stalin. Zresztą była między nimi współpraca – między NKWD a gestapo. Przecież były wspólne spotkania w Zakopanem i Krakowie.

M.K.K. – Mówiąc Katyń, mówimy oczywiście o pewnym symbolu, bo sprawa dotyczy nie tylko Katynia. Wszystko to rozgrywało się wówczas, kiedy Niemcy jeszcze nie pokonały Francji. Na to warto zwrócić uwagę. To, co robił Stalin, było próbą pozbawienia społeczeństwa polskiego najistotniejszej jego części, czyli elit. On mordował wtedy, gdy Hitler walczył na froncie zachodnim. Gdy niemiecki dyktator pokonał Francję, Stalin przyspieszył swoje działania – bo zdołał już osiągnąć w znacznej mierze cel pierwszoplanowy, jakim było pozbawienie społeczeństwa polskiego jego elity – i zajął się poszerzaniem granic Związku Sowieckiego. Napadł w czerwcu 1940 r. na państwa bałtyckie, Litwę, Łotwę i Estonię, które wcielił do Związku Sowieckiego, od Rumunii oderwał zaś pod koniec tego samego miesiąca Besarabię i północną Bukowinę. Stalin nie był zachwycony faktem, że Hitlerowi tak łatwo udało się pokonać Francję, gdyż Niemcy wyszły z tego zwycięstwa bardzo wzmocnione, a jemu zależało na tym, żeby walczące strony jak najdłużej wzajemnie się wykrwawiały. Stalinowi mogło się wydawać, że zaczyna tracić kontrolę nad poczynaniami Hitlera, gdyż niemiecki dyktator zbyt szybko kończył wojnę na froncie zachodnim. Dlatego sam w wielkim pośpiechu realizował swoje cele ekspansjonistyczne w Europie Wschodniej. Ale polskich oficerów, przedstawicieli polskiej elity inteligenckiej, wymordował, nim jeszcze miał powody do zmartwienia ze względu na sukcesy Hitlera. Wyniszczenie polskich warstw przywódczych, o których wiedział, że są w stanie mu się przeciwstawić, traktował priorytetowo.

T.K. – Trzeba na to patrzeć w kontekście całości polityki Stalina. Przecież on już przed wojną wymordował elitę Ukraińców, Białorusinów. On mordował wszystkich tych, których uważał za swoich ewentualnych przeciwników politycznych. O ile dla normalnego człowieka, Europejczyka, to była ohydna zbrodnia, o tyle dla niego było to tylko procedurą, działaniem politycznym. Nie wiem, czy on w ogóle rozumował w kategoriach zbrodni. To było dla niego rozwiązanie problemu politycznego. Zresztą nie tylko dla niego, dla ówczesnego biura politycznego WKP(b) także. To była kontynuacja „wielkiego dzieła” Lenina.

B.P. – O jeszcze jednej rzeczy należy wspomnieć, która przy okazji tych obchodów rocznicowych i towarzyszących im rozważań o tym, jak źle potraktowała nas historia i sojusznicy, często umyka. Chodzi mi o ten moment, kiedy Stalin darowuje Litwinom Wilno. O tym się teraz mówi raczej rzadko. Stawiamy się, Polacy i Litwini, w jednym

rzędzie – ofiar, a to przecież bardzo istotna i w wielu aspektach obrzydliva sprawa, warto by i o tym powiedzieć.

M.K.K. – Oczywiście, przecież to była integralna część Rzeczypospolitej, co więcej, zamieszкана przez ludność polską, nie zaś Litwinów, która najpierw została zajęta przez Armię Czerwoną w ramach agresji z 17 września 1939 r., a następnie „wielkodusznie” odstąpiona państwu litewskiemu. Stalina stać było na podobny „gest”, gdyż w przyszłości zamierzał Litwę wraz z jej nabytkami terytorialnymi anektować.

B.P. – **A to zachowanie Litwinów było bardzo nieprzychylnie Polsce.**

M.K.K. – Zapewne, choć oczywiście Litwini mogliby się jeszcze dużo gorzej zachować i przystąpić do ataku na Polskę, jak to zrobili Niemcy i Związek Sowiecki.

W.B. – **I pewnie wówczas pod koniec wojny uchroniliby chociaż taką dawkę niepodległości, jak inni sojusznicy Hitlera, np. Rumunia.**

M.K.K. – Na pewno byliby objęci ochronnym parasolem niemieckim. Nie byłaby to niepodległość *sensu stricto*. Litwa stałaby się wasalem Niemiec, co z punktu widzenia litewskiego było raczej pozytywnym rozwiązaniem w kontekście tego, co później spotkało państwo litewskie ze strony Sowieców. Ja nie bronię Litwinów. Wilno było integralną częścią państwa polskiego. Było to miasto polskie, zamieszkanе przede wszystkim przez ludność polską i następnie żydowską. Na obszarze Wilna i obwodu wileńskiego, które Stalin oddał państwu litewskiemu w październiku 1939 r., przewaga ludności polskiej nad litewską była aż dziesięciokrotna. Władze polskie na uchodźstwie dążyły do *restitutio in integrum* Rzeczypospolitej, czyli odtworzenia po wojnie państwa polskiego w takim kształcie, w jakim było ono przed wrześniem 1939 r. Zachowanie zaś Litwinów w 1939 r. trudno nazwać przyjaznym, gdyż wprawdzie postępowanie okupacyjnych władz litewskich było nieporównywalne z tym, co wyczyniali Niemcy i Sowieci, ale nosiło cechy wymuszanej administracyjnie depolonizacji zaanektowanego obszaru.

T.K. – Ale zadziałała pewna tradycja. Pierwszy raz Wilno zostało przekazane na początku 1919 r., w styczniu, powołanej wówczas sowieckiej republice Litwy i Białorusi. Wszak w kwietniu tegoż roku miasto to zajęli Polacy. W czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. Sowieci przekazali Wilno Litwie, ale po ich przegranej miasto wróciło do Polski. Litwini tworzyli wtedy i umacniali swoje państwo narodowe przede wszystkim w opozycji do kultury polskiej, tradycji polskiej, co zresztą jest typowe dla państw nowo tworzących się i kształtujących się narodów. A Wilno jako historyczna stolica Litwy stało się ich największym pragnieniem i jednocześnie kością niezgody z Polską i powodem wrogości do Polaków. Stalin w 1939 r. wrócił w pewnym sensie do tamtej sytuacji.

M.K.K. – Można powiedzieć, że w jakimś sensie była to powtórka z roku 1920, tyle tylko że zrealizowana w odmienniej sytuacji, bardziej skomplikowanej dla Polski.

B.P. – I znacznie bardziej udana.

T.K. – Litwini wyszli na tym jak Zabłocki na mydle, choć w pierwszej chwili demonstrowali swoją siłę w mieście. W sposób haniebny potraktowali Uniwersytet Stefana Batorego itd. Stalin oczywiście wygrał to wszystko dla siebie. Litwa szybko stała się republiką sowiecką, a miasto zostało zsowietyzowane po aneksji Litwy przez Związek Sowiecki w czerwcu 1940 r. Wilno litewskie naprawdę stało się dopiero po odzyskaniu przez Litwę niepodległości w 1990 r.

W.B. – Dla zachowania wszelkich proporcji warto jednak powiedzieć, że zarówno pod okupacją niemiecką, jak i sowiecką działy się rzeczy o stokroć straszniejsze. Litwini zachowywali się jak zwykły reżim dyktatorski, narodowy, ale jednak w granicach przedwojennej kultury.

M.K.K. – Bo Litwa jednak nie była państwem totalitarnym.

B.P. – Podsumujmy sytuację polityczną Polski u progu wojny sowiecko-niemieckiej. Mam na myśli przede wszystkim stosunek naszych aliantów do kwestii wschodnich ziem polskich, bo działania Stalina, represje, deportacje Polaków, umacnianie na nich administracji sowieckiej itd. zdawały się dość wyraźnie zmierzać do stworzenia sytuacji nieodwracalnej.

M.K.K. – Polska znajdowała się *de facto* w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim, między 17 września 1939 r. a 30 lipca 1941 r., kiedy to po podpisaniu układu Sikorski-Majski nawiązane zostały między Rzeczpospolitą a Sowietami stosunki dyplomatyczne. Układ z 30 lipca był bardzo niedoskonały w formie. Brytyjczycy jak mogli, wspierali stronę sowiecką, a nie polską, więc układ ten był pełen dwuznaczności. Nie mówił na przykład wyraźnie o tym, że obie strony w kwestii wspólnej granicy międzypaństwowej wracają do *status quo ante bellum*. Uznawał jedynie, że układ Ribbentrop-Mołotow jest nieważny. Stracił on jednak swoją moc nie dlatego, że podpisano układ polsko-sowiecki o wznowieniu stosunków dyplomatycznych, tylko dlatego, że Niemcy go pogwałcili, uderzając na Związek Sowiecki. Ale takie sformułowanie, jakie znalazło się w układzie Sikorski-Majski, sprawiło, że Stalin mógł w momencie dla siebie dogodnym podnieść kwestię granicy polsko-sowieckiej, jako rzekomo wymagającej ponownego rozpatrzenia.

B.P. – W rozmowach z Anglikami albo nie podejmował tego tematu, albo dawał wymijającą odpowiedź, na tym polegała jego taktyka.



Fot. z AIPN

3

2

1

Premier Tomasz Arciszewski (pierwszy z prawej) z małżonką i ks. Stopa

M.K.K. – Początkowo Stalin nie miał jeszcze żadnej potrzeby mówienia na ten temat. Ale już w grudniu 1941 r., kiedy do Moskwy pojechał premier, gen. Władysław Sikorski, Stalin próbował wciągnąć go w rozmowy na temat granicy polsko-sowieckiej. Nieustępliwość, z jaką strona sowiecka od samego początku rozmów dyplomatycznych trwała przy takich a nie innych sformułowaniach przygotowywanego układu polsko-sowieckiego, świadczyła o tym, że Stalin myślał kategoriami strategicznymi i przyjmował założenie, że kiedyś zdoła wyplątać się z bardzo groźnej sytuacji, w której znalazły się Sowiety po napadzie Niemiec, i wtedy będzie realizował nie tylko cele militarne, ale również polityczne. A jednym z nich było oderwanie od państwa polskiego wschodniej części Rzeczypospolitej oraz zwasalizowanie Polski. Przed 22 czerwca 1941 r. Stalin nie brał pod uwagę nawet takiej ewentualności, gdyż wówczas w ramach swych maksymalistycznych celów podboju Europy przewidywał dla ziem polskich okupowanych przez Niemcy status republiki sowieckiej. Warto zwrócić uwagę, że Churchill błędnie sądził, iż za cenę ustępstw terytorialnych, które chciał wymusić na rządzie polskim na rzecz Sowietów, uda mu się doprowadzić do reaktywowania po wojnie niepodległego państwa polskiego. Bardzo więc brutalnie naciskał na rząd polski w styczniu i lutym 1944 r. po powrocie z konferencji teherańskiej, by ten skapitulował przed sowieckimi roszczeniami. Rząd polski dzięki Bogu nie zgodził się, aczkolwiek w jednej z dwóch rezolucji z 15 lutego 1944 r. dopuszczał po raz pierwszy ewentualność rozmów na temat polsko-sowieckiej granicy po zakończeniu działań wojennych oraz proponował wprowadzenie tymczasowo linii demarkacyjnej między polską a sowiecką administracją, która to linia przebiegałaby na wschód od Wilna i Lwowa. Ziemie na wschód od linii demarkacyjnej, zdaniem rządu polskiego, powinny być administrowane przez sowieckie władze wojskowe z udziałem przedstawicieli innych mocarstw. W rezolucji też zostało zawarte stanowcze stwierdzenie, że rząd polski nie godzi się na tzw. linię Curzona jako na przyszłą granicę polsko-sowiecką.

T.K. – Jest jeszcze kilka spraw z wcześniejszego okresu. Przede wszystkim wśród polityków, głównie brytyjskich, także intelektualistów, sporo było takich, którzy uważali, że Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej mogą i powinny należeć do Rosji. Już w 1939 r., po sowieckiej napaści na Polskę, bodaj w październiku 1939 r. David Lloyd George, który co prawda nie był już wówczas aktywnym politykiem, ale miał wpływ na opinie w określonych środowiskach, mówił, że należy wrócić do koncepcji linii Curzona. A był to przypomnijmy nie byle kto – były premier brytyjski z okresu I wojny światowej i kształtowania się porządku wersalskiego w Europie.

B.P. – Linia Curzona uchodziła przy tym za pomysł brytyjski.

T.K. – No właśnie. Brytyjczycy, ale i Amerykanie, jak się później okazało, byli do niej przywiązani. Z kolei w niektórych intelektualnych środo-

wiskach brytyjskich, zwłaszcza w Oksfordzie (sir Bernard Pares, prof. Hugh Seton-Watson), uznano, że właściwie dobrze się stało, iż Rosja w 1939 r. i w 1940 r. poszerzyła się na zachodzie, ponieważ jest to poważny cios dla Niemiec. Liczono przy tym na konflikt niemiecko-sowiecki. Ale po wygranej Sowieców nie mogło być mowy o odzyskaniu przez Polskę ziem wschodnich. Te ziemie, twierdzono, nie są polskie. A ich utrata przez Polskę skończy spór polsko-sowiecki.

B.P. – A jeśli chodzi o politykę rządu polskiego?

T.K. – Jeszcze przed wizytą gen. Sikorskiego w grudniu 1941 r. w Związku Sowieckim szef dyplomacji brytyjskiej Anthony Eden składał wizytę w Związku Sowieckim. Już wtedy pojawiła się kwestia ustępliwości brytyjskiej w sprawie wschodnich ziem polskich. Moskwa też informowała Edena, że po wojnie chciałaby mieć w Europie swą strefę wpływów. Gdy rząd polski dowiedział się o tym, Sikorski wywarł presję na Amerykanów, oni na Churchilla i sprawę tę wówczas zdjęto z politycznej wokandy. A było to niedługo po przystąpieniu Związku Sowieckiego do wojny, czy wciągnięciu go do wojny, w grudniu 1941 r. Jednocześnie układ Sikorski-Majski, który był układem taktycznym ze strony Stalina, okazał się nietrwały. I dość szybko po jego zawarciu można było nabrać takiego podejrzenia. Zresztą pozostawienie otwartej sprawy granicy wschodniej już nosiło zarzewie konfliktu. Nie bez powodu wywołało to kryzys w polskich władzach emigracyjnych. Taki układ został na gen. Sikorskim wymuszony, także szantażem ze strony Sowieców. Zapowiadali oni, że w razie niezawarcia układu wzmogą represje wobec Polaków będących w Związku Sowieckim.

M.K.K. – Mówiłem już o najdalej idącym ustępstwie polskim wobec naciśków Churchilla, czyli rezolucji z 15 lutego 1944 r. To wszystko, na co podczas wojny zgodziły się legalne władze na uchodźstwie. Nie przeceniajmy jednak roli rządu polskiego. Wspomniałeś o wizycie Edena w Moskwie, kiedy to strona polska zorientowała się, że Eden jest gotów iść na pewne ustępstwa, bo istniała wtedy kwestia zawarcia układu sowiecko-brytyjskiego, podpisanego 26 maja 1942 r. Brytyjczycy chcieli dać Sowiecom *placet* na zabór państw bałtyckich, Besarabii i północnej Bukowiny, nie godząc się wszakże na aneksję ziem polskich na wschód od Bugu, opanowanych przez Armię Czerwoną 17 września 1939 r. Strona polska jednak uważała, że nawet ugodowość brytyjska ograniczona do państw bałtyckich stanowi poważne zagrożenie dla Polski ze względu na swój precedensowy charakter. Strona rosyjska, uzyskawszy zgodę brytyjską na aneksję państw bałtyckich oraz obszarów oderwanych w 1940 r. od Rumunii, będzie mogła, powołując się na ten fakt, wywierać tym większą presję na stronę polską w sprawie obszarów wschodnich Rzeczypospolitej.

T.K. – Nie było pewności, czy Brytyjczycy będą twardzi co do wsparcia stanowiska polskiego.

M.K.K. – Dlatego kierownik polskiego MSZ Edward Raczyński udał się w lutym 1942 r. do Waszyngtonu i tam próbował oddziaływać na polityków amerykańskich w kierunku zgodnym z polskimi interesami. A Amerykanie w tym czasie głosili zasadę nieuznawania żadnych zmian granicznych w Europie po 1 września 1939 r. Wizyta Raczyńskiego mogła wyglądać na sukces polskiej dyplomacji. W pewnym sensie takim sukcesem była, gdyż nietrudno było przekonywać Amerykanów, którzy uważali wówczas, że nie powinni się angażować w akceptację dla zmian granic europejskich spowodowanych wojną. Nawiasem mówiąc, Raczyński występował w Waszyngtonie w roli żarliwego orędownika niepodległego państwa litewskiego.

W.B. – Wystąpię tutaj jako adwokat diabła. Polska przyjęła generalnie politykę restytucji integralnej. Czy oddając Kresy mogliśmy zachować niepodległość? Takie było zdanie Churchilla, ale takie pytanie nurtowało także niektóre polskie środowiska. Istnieje memoriał z listopada 1943 r. autorstwa płk. Mariana Drobika „Dzięcioła” szefa wywiadu AK. Analizował on sytuację po klęskach Niemców na froncie i doszedł do słusznego skądinąd wniosku, że pod koniec wojny karty w Europie Środkowo-wschodniej rozdawać będzie Rosja. W związku z tym brutalnie stwierdzał: „W aktualnym położeniu wojskowo-politycznym istnieją tylko dwie możliwe decyzje: a) walka z Rosją na granicy 1939 r.; b) zawarcie szczerego kompromisu z Rosją. W moim przekonaniu jedynie słusznym rozwiązaniem jest rozwiązanie »b«. Rozwiązanie »a« grozi narodowi polskiemu śmiercią w pełnym odosobnieniu i bez sensu, ale z »honorem«. Trwanie w dotychczasowej bierności [...] jest śmiercią bez sensu i bez honoru”. Drobik stawia konkretne propozycje: władzę nad decyzjami w sprawie polskiej przenieść do kraju, odsunąć polityków emigracyjnych, wreszcie ponieść ofiary terytorialne na Wschodzie. Cały ten memoriał idzie pod prąd polityki, jaką polskie władze wtedy prowadziły. Czy przed Polakami stała wówczas taka szansa, czy też opcja?

M.K.K. – Nigdy nie istniała taka szansa. Oczywiście, tonący chwyta się brzytwy i pułkownik takiej brzytwy się chwytał. Prawda była taka, że za cenę okrojenia Rzeczypospolitej – okrojenia to jest mało powiedziane – odcięcia połowy ziem przedwojennego państwa polskiego, nie można było uzyskać żadnych gwarancji, iż Polska będzie państwem niepodległym. Tak kombinował Churchill. Niewiele z tego wyszło, nawet pod koniec wojny. W Polsce, jak wszyscy dobrze wiemy, istniała agentura sowiecka w postaci PPR, której głównym celem była destabilizacja sytuacji w kraju; działała w tym kierunku, żeby społeczeństwo było jak najśabsze. Celem polityki sowieckiej było zwasalizowanie Polski i jej częściowe skomunizowanie. To nie oznaczało, że Stalin planował włączenie Polski jako kolejnej republiki w skład Związku Sowieckiego. Inaczej zapewne wyglądałaby sytuacja, gdyby Hitler nie ubiegł Stalina, przekreślając jego plany marszu na zachód. Wówczas

perspektywa stworzenia z ziem polskich znajdujących się pod okupacją niemiecką republiki sowieckiej, w wyniku zwycięskiego pochodu Armii Czerwonej, miałyby szanse realizacji. Natomiast po czerwcu 1941 r. Sowietom chodziło o zwasalizowanie państwa polskiego osłabionego po oderwaniu od niego wschodnich obszarów. Aneksja wschodniej Polski nie służyła więc wyłącznie powiększeniu terytorium ZSRS.

T.K. – W moim przekonaniu na politykę Stalina należy patrzeć z punktu widzenia szerszych celów ideologicznych i politycznych Związku Sowieckiego, poczynsz od rewolucji bolszewickiej. Sowietom mieli „mesjanistyczną” ideologię zaprowadzenia w Europie komunizmu i wszystkie ich działania były temu podporządkowane. Zresztą Stalin rozgrywał całą tę historię dwoma sposobami: przez dyplomację oraz przez działalność wywiadu i partii komunistycznych. Tak było również w czasie wojny. W grudniu 1941 r., kiedy Sikorski pojechał do Związku Sowieckiego, Stalin zachęcał go do podjęcia rozmów w sprawie polskiej granicy wschodniej, obiecując równocześnie pomoc w „sporach z Ukraińcami o Lwów”. Sikorski nie podjął tej zachęty, uważając, że sprawa jest jasna – należy respektować granicę ryzyk. Niektórzy historycy stawiali tezę, że gdyby Sikorski dogadał się wtedy ze Stalinem, to może nie całe, ale znaczna część ziem wschodnich zostałaby zachowana dla Polski. Jest to myślenie ahisteryczne. Przykładem realizacji ówczesnej polityki Stalina jest jego rozgrywka z prezydentem Czechosłowacji Edvardem Benešem. Beneš w czasie wojny prezentował wielką otwartość wobec Stalina, ulegał mu, także w stosunkach z Polakami na emigracji, z którymi jakoby chciał tworzyć po wojnie konfederację polsko-czechosłowacką i środkowoeuropejską. Beneš liczył na to, że dzięki takiej polityce ocali niepodległość Czechosłowacji. Więcej nawet, że będzie ona pomostem między Wschodem a Zachodem. Beneš przegrał. Jak się miało okazać, żaden kraj tego regionu nie mógł zachować niezależności.

M.K.K. – Stalin przedkładał sprawy terytorialne jako pierwsze do zataśnienia po swojej myśli, ale miał też w zanadru kolejne żądania. Gdyby strona polska zdecydowała się na zaakceptowanie żądań granicznych, czyli wyraziłaby zgodę tzw. linię Curzona, to Stalin wcale nie zamierzał zmienić swego stosunku do legalnego rządu polskiego na uchodźstwie. Wręcz bezczelnie ośmielał się kwestionować jego reprezentatywność, domagając się na przykład jego „reorganizacji”. Stalin nie po to zrywał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim 25 kwietnia 1943 r., by potem nawiązywać z nim te stosunki ponownie. Chodziło mu o stworzenie wolnej przestrzeni dla powołania takiego rządu, który spełniałby jego wymogi, byłby rządem marionetkowym, a udawałby tylko rząd reprezentatywny. Do tego dążył Stalin.

B.P. – **Poprzedzająca spotkanie w Teheranie konferencja ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Trójki w Moskwie jesienią 1943 r. pokazuje, w jaki sposób te państwa traktowały problem polski.**

Fot. z AIPN





Odczytywanie manifestu PKWN z wojskowego samochodu, Lublin 1944 r.



T.K. – Przed tym spotkaniem ambasador RP w Waszyngtonie Jan Ciechanowski był u amerykańskiego sekretarza stanu Cordella Hulla. Ambasador Edward Raczyński zaś złożył wizytę u ministra spraw zagranicznych Edena. Eden nie czynił żadnych nadziei i mówił, że ziemie wschodnie nie dadzą się uratować. Ciechanowski błagał, żeby nie zawierać jakiegoś odrębnego porozumienia z Rosjanami bez Polaków, żeby Amerykanie i alianci zachodni wprowadzili swoje jednostki wojskowe na terytorium Polski w chwili wyzwolenia, żeby to zagwarantować w umowie z Rosjanami, ponieważ jeżeli wejdą tu Sowieci i będą tu sami, to zsowietyzują Polskę. Hull na to powiedział, że będzie bronił sprawy polskiej jak sprawy amerykańskiej. Nawet się nie odezwał, kiedy Mołotow narzucał zachodnim aliantom sposób rozwiązywania spraw związanych z Polską.

B.P. – **Przez cały okres wojny i okupacji stosunek naszych europejskich aliantów, potem również Stanów Zjednoczonych, był dwulicowy. Niby coś obiecywali, a z drugiej strony Polskę traktowali w najlepszym razie jako element przetargowy.**

T.K. – Byli wiarołomni, mimo że na przykład Sikorski był przez nich szanowany. Myślę, że był szanowany i premier Stanisław Mikołajczyk.

B.P. – **Ich strategia w stosunku do Polski rozpoczynała się od odwlekania – nawet w przypadku zbrojnej pomocy, czy to na początku wojny, czy podczas Powstania Warszawskiego.**

T.K. – Była to gra polityczna z punktu widzenia wyłącznie ich interesów. Chociaż sytuacja nie była łatwa. Stalin wiele żądał, ale to Związek Sowiecki ponosił główny ciężar wojny nie tylko na Wschodzie, ale w ogóle w Europie. I, jak sądzono, wielkim problemem będzie pokonanie Japonii. O tym, że w Teheranie Churchill i Roosevelt zgodzili się na to, żeby ziemie wschodnie znalazły się w Związku Sowieckim, nie został poinformowany polski premier Stanisław Mikołajczyk.

B.P. – **Przez wiele miesięcy...**

T.K. – A paradoks polega na tym, że formalnie dowiedział się o tym od Mołotowa w październiku 1944 r. Zwłaszcza tego, że na linię Curzona zgodził się w Teheranie prezydent Roosevelt, który jeszcze w czerwcu 1944 r. mówił do polskiego premiera, że w Teheranie nie zajął stanowiska w tej sprawie. To, że Churchill chciał, by Polacy uznali linię Curzona – dla Mikołajczyka nie było tajemnicą. Ale po Rooseveltcie tego się nie spodziewał. Ba, liczył na prezydenta amerykańskiego w swym dążeniu do uzyskania przynajmniej części ziem wschodnich, Lwowa i borysławskiego zagłębia naftowego. Sojusznik, którym była Polska, nie został o takiej sprawie poinformowany.

B.P. – Po wybuchu Powstania Warszawskiego zwlekano z oświadczeniem, że żołnierze Powstania są w składzie wojsk koalicji antyhitlerowskiej.

T.K. – Możemy sformułować taką tezę, że odpowiedzialność za to, co się stało w Europie Środkowowschodniej, oczywiście ponosi przede wszystkim Stalin, ale także alianci zachodni z uwagi na swoją ustępliwość w stosunku do Stalina i politykę, jaką prowadzili. Wiele rzeczy można było uratować, nawet mimo dysproporcji sił wojskowych między aliantami zachodnimi a Stalinem. To jest przykład tej konferencji moskiewskiej, gdzie ustępowano w sposób skandaliczny przed żądaniami Mołotowa.

To zresztą dotyczyło nie tylko Polski. Anglicy i Amerykanie nie zawsze zachowywali się w porządku w stosunku do Francji, podobnie Roosevelt w stosunku do Churchilla, chociaż między nimi były zupełnie inne relacje. Tak czy inaczej, można powiedzieć, że niekiedy Roosevelt uzgadniał ze Stalinem politykę, która wcale nie odpowiadała Churchillowi. Stalin był politycznym bandytą, a tamci jego polityce sprzyjali. Całe nieszczęście polegało na tym, że aliantem Amerykanów i Anglików była totalitarna Rosja. Przecież Stalin również tych swoich aliantów traktował taktycznie. Tak jak taktycznie traktował Hitlera. Tylko pamiętajmy o jednym, większość wysiłku zbrojnego w koalicji antyniemieckiej wzięli na siebie Sowieci. Nie dlatego, że chcieli, ale dlatego, że musieli, bo w 1941 r. Hitler na Związek Sowiecki skierował gros swoich sił.

M.K.K. – Trzeba też pamiętać o tym, że nie było skoordynowanej polityki amerykańsko-brytyjskiej. Gdyby istniała, prawdopodobnie Stalin miałby mniejsze pole manewru i jego agresywne cele byłyby w mniejszym stopniu realizowane. Oczywiście ważniejszym partnerem w tym tandemie anglosaskim były Stany Zjednoczone. Brytyjczycy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa sowieckiego, oni przecież wyznawali tę starą zasadę *balance of power* i wcale nie byli zainteresowani tym, żeby Związek Sowiecki głęboko wchodził w Europę. Z kolei dla Amerykanów Europa była drugorzędym obszarem. W koncepcji Roosevelta Stany Zjednoczone po zwycięskiej wojnie miały wyrosnąć na supermocarstwo, Wielka Brytania i Związek Sowiecki miały zostać zepchnięte do roli mocarstw, ścierających się na obszarze europejskim. Stany Zjednoczone, jako supermocarstwo, miały prowadzić politykę dotyczącą całego świata.

B.P. – W rezultacie polityki ustępstw amerykański prezydent przyczynił się do tego, że Sowiety stały się jednym z dwóch supermocarstw.

M.K.K. – Gdyby Roosevelt, który był fatalnym politykiem, jeśli chodzi o politykę zagraniczną, trochę uważniej wsłuchiwał się w głos Brytyjczyków, to nie twierdzę, że zostałaaby uratowana cała Europa Środkowowschodnia, ale postępy w sowietyzacji tych krajów byłyby zapewne nieco mniejsze. Churchill zaczął przemawiać donośnym głosem dopiero w 1945 r. Zwraca-

cał uwagę stronie amerykańskiej, że można nieco inaczej prowadzić politykę. Jeśli zaś chodzi o te nasze ziemie wschodnie, to oczywiście Anglosasi nie przyznawali się stronie polskiej, że w Teheranie (konferencja szefów rządów trzech mocarstw trwała od 28 listopada do 1 grudnia 1943 r.) zgodzili się na wschodnią granicę biegnącą tak a nie inaczej. Przypominę, że strona sowiecka uzyskała wtedy zgodę Anglosasów na włączenie bezpośrednio do obszaru sowieckiego północnej części Prus Wschodnich z Królewcem i Tylżą, w zamian za co „zrezygnowała” z ziem takich jak Łomżyńskie, Białostoczczyzna, Chełmszczyzna (która notabene we wrześniu 1939 r. nie została włączona do sowieckiej strefy okupacyjnej) czy też południowa i południowo-zachodnia część Przemyskiego. Krótko mówiąc, została tam dokonana bezczelna transakcja ziemi polskimi. Oczywiście nie traktują Królewca jako miasta polskiego, ale ziemie niemieckie zostały przyznane stronie sowieckiej w zamian za to, że odstąpiłaby od roszczeń w stosunku do niektórych ziem polskich zajętych we wrześniu 1939 r. przez Armię Czerwoną. Do strony polskiej docierały pewne nieoficjalne informacje, że w Teheranie stało się coś bardzo przykrego. Na podstawie nacisków, które Churchill wywierał na Mikołajczyka aż do połowy lutego 1944 r., strona polska mogła nabrać podejrzeń, że na konferencji teherańskiej została sprzedana. Churchill żądał, żeby strona polska wyraziła zgodę na jego list do Stalina, w którym informowałby sowieckiego dyktatora, że rząd polski gotów jest przyjąć za podstawę dyskusji o granicy z Sowietami tzw. linię Curzona. Polscy politycy mieli więc prawo domniemywać, że strona brytyjska nie tylko wspierała Stalina, ale wręcz zaakceptowała jego żądania terytorialne.

T.K. – W czasie wizyty Mikołajczyka w Moskwie w październiku 1944 r., przy okazji wizyty Churchilla, premiera polskiego zaatakował nie tylko Stalin, domagając się uznania przezeń linii Curzona i porozumienia z PKWN, ale i Churchill – wspierając Stalina. Mikołajczyk już w czasie poprzedniego pobytu w Moskwie, na przełomie lipca i sierpnia 1944 r., na żądanie Stalina spotkał się z przedstawicielami KRN i PKWN. Taka była geneza Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej powstałego w 1945 r.

M.K.K. – Stanowisko brytyjskie, przychylne stronie sowieckiej, było, rzecz jasna, już dawno znane Mikołajczykowi, choć nie mógł on być zupełnie pewny, że Churchill w Teheranie po prostu zgodził się na tzw. linię Curzona jako wschodnią granicę państwa polskiego.

T.K. – Churchill miał złudną nadzieję, że jeżeli Polacy zgodzą się na linię Curzona, to wtedy państwo polskie zachowa niepodległość. To było złudzenie, a on tak myślał jeszcze w czasie Jałty, dopiero później dotarło do niego, że to jest niemożliwe. To było za późno, przed Poczdamem. Jeśli chodzi o włączenie okręgu królewieckiego do Związku Sowieckiego, to trzeba tu zauważyć jedną rzecz, że cały rząd polski *in corpore* był temu przeciwny.

M.K.K. – Strona polska miała pretensje do niektórych ziem niemieckich i Prus Wschodnich, które zresztą były Polsce obiecywane. Co do Prus Wschodnich nie było wątpliwości, że one muszą być zlikwidowane, bo była to forpoczta niemiecka zbyt daleko wysunięta na wschód, która niejako stała się przyczyną wojny i mogłaby nią być w przyszłości.

T.K. – Nawet myślano o tym, żeby część Prus Wschodnich przekazać Litwie, gdyby przystąpiła do federacji środkowoeuropejskiej. Rząd polski – zauważmy przy okazji – zachował się bardzo sensownie w sprawie aneksji krajów bałtyckich – przy każdej okazji wyrażając swoją dezaprobatę dla tego faktu.

M.K.K. – Strona polska zdawała sobie sprawę ze swych ograniczonych możliwości, niemniej uporczywie stała na stanowisku, że przede wszystkim Litwa nie może być w żadnym przypadku wchłonięta przez Związek Sowiecki. Co do Estonii i Łotwy, oczywiście strona polska była zainteresowana tym, żeby i one pozostały państwami niepodległymi, ale nie występowała w tej sprawie w taki zasadniczy sposób. Od 1942 r. czynniki polskie zwracały uwagę, że Litwa jest przedmiotem szczególnego zainteresowania Polski. Były bowiem świadome, że likwidacja Litwy jako państwa niepodległego będzie równoznaczna z utratą wschodnich ziem polskich przez Rzeczpospolitą. To wynikało z geografii i rzeczywiście władzom polskim bardzo zależało na uratowaniu przynajmniej niepodległego bytu państwowego Litwy.

T.K. – Kiedy Stalin „zrezygnował” z Białostoczczyzny, ówczesny republikański sekretarz partii bolszewików na Białorusi wystosował do Stalina list z protestem, że odstępuje ziemie białoruskie Polsce. Być może była to gra polityczna i Stalin mógł w ten sposób okazać swoją wielkoduszność; trudno uwierzyć, żeby ten funkcjonariusz partyjny sam z siebie był taki odważny.

W.B. – Trochę już zostało tutaj powiedziane o polskich politykach okresu II wojny światowej. Powiedzieliśmy, że oni mieli słabe karty, mimo to nimi grali jak potrafili. Przychodzi czas najtrudniejszy – Polska naprawdę traci swoją niepodległość, część terytorium, w pełnej krasie ujawnia się wiarołomność sojuszników. Sikorski, Mikołajczyk, gen. Sosnkowski, trochę zapomniany Tomasz Arciszewski – na nich spoczywała odpowiedzialność za losy państwa. Prosiłbym pańców o krytyczne podsumowanie ich dokonań.

M.K.K. – Według mnie następca gen. Sikorskiego na stanowisku premiera, Mikołajczyk, wcale nie był gorszy od gen. Sikorskiego, a może nawet w wielu wypadkach lepszy. Wiedział, o co walczy. Celem głównym rządu polskiego, kiedy przejmował jego ster, było odnowienie stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Sowieckim. Przede wszystkim

Mikołajczyk nie godził się na żadne ustępstwa terytorialne, nie ulegał presji brytyjskiej i kiedy wreszcie po rozmowach, które prowadził ze Stalinem, zdając sobie sprawę, że sytuacja jest beznadziejna, przestał być premierem, to też miał jasną wizję dalszego postępowania. Gotów był w tej beznadziejnej sytuacji walczyć o to, o co walczyć się da. I dlatego mój stosunek do Mikołajczyka jest nacechowany pewną sympatią.

B.P. – A jakie można mu postawić zarzuty?

M.K.K. – Ja mu żadnych zarzutów nie stawiam. Trzeba powiedzieć, że strona polska usiłowała grać na kilku fortepianach, nie przyglądała się biernie sytuacji. Mamy Jałtę (konferencja szefów rządów trzech mocarstw trwała od 4 do 11 lutego 1945 r.) i jej postanowienia. Przypomnę, że był legalny rząd Tomasza Arciszewskiego. Nie pytając strony polskiej, mocarstwa anglosaskie zabrały się do rozwiązywania sprawy polskiej ze Związkiem Sowieckim tak, jakby istniał „problem polski”. Przecież były normalne stosunki międzypaństwowe i problem polski nie powinien jako taki po prostu istnieć, ale istniał. Wówczas postanowiono, że należy powołać nowy rząd przez rozszerzenie tzw. Rządu Tymczasowego, czyli PKWN, który był marionetkowym ciałem powołanym przez Stalina jeszcze w 1944 r., o elementy demokratyczne w kraju i za granicą. W ostatecznym komunikacie nie było słowa o legalnych władzach na uchodźstwie. Druga sprawa, ten tymczasowy rząd miał przeprowadzić w czasie możliwie jak najkrótszym wolne i nieskrępowane wybory. Jak się do tego ustosunkowały władze polskie, te legalne? Z jednej strony rząd Arciszewskiego w specjalnym oświadczeniu odrzucił postanowienia jałtańskie, zwracając uwagę, że bez jego zgody decyduje się o sprawach Polski, że przyznanie ziem wschodnich Rzeczypospolitej Związkowi Sowieckiemu jest kolejnym rozbiorem Polski, ale z drugiej strony władze polskie, które pozostawały w kraju, czyli Krajowa Rada Ministrów, zostały powiadomione przez premiera Arciszewskiego o tym, że należy podjąć próbę dalszej gry. „Spróbujcie ze swojego grona wyłonić tych demokratycznych przedstawicieli z kraju...”

B.P. – ...co się kończy procesem szesnastu...

M.K.K. – No właśnie. Ale ja o tym mówię nie tylko dlatego, żeby ten bardzo smutny dla Polski fakt przypomnieć, ale żeby zwrócić uwagę na to, że strona polska nie ograniczała się do konstatacji. Istniał pewien podział ról między rządem polskim na uchodźstwie a przywódcami Państwa Podziemnego w kraju. Rząd polski reprezentował pryncypialne stanowisko. Przywódcy Państwa Podziemnego – pragmatyczne. Również były premier Mikołajczyk przyjął rolę pragmatyka, aczkolwiek znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Brał udział w rozmowach moskiewskich w czerwcu 1945 r. dotyczących powołania tzw. Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, na który potem mocarstwa anglosaskie przeniosły

swoje uznanie z legalnych władz Rzeczypospolitej. W tym samym czasie odbywał się w Moskwie pokazowy proces szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Niedawno został opublikowany sowiecki dokument z przebiegu rozmowy Mikołajczyka z Mołotowem, podczas której polski polityk usiłował wstawić się za podsądnymi. Usłyszał w odpowiedzi, że wszyscy obiektywni ludzie uważają, iż proces był obiektywny. Zarówno ta rozmowa, jak i cały pobyt Mikołajczyka w Moskwie były dla niego upokarzające.

B.P. – Mimo to zdecydował się na dalszą grę ze Stalinem.

M.K.K. – Tak, gdyż pragnął wyegzekwowania tych postanowień konferencji jaltańskiej, które dotyczyły przeprowadzenia w Polsce wolnych i nieskrępowanych wyborów, a zostały potwierdzone na konferencji przywódców trzech mocarstw w Poczdamie (trwała od 17 lipca do 2 sierpnia 1945 r.). Mikołajczyk postanowił sprawdzić, czy mocarstwa anglosaskie są w stanie wywiązać się z przyjętych na siebie dobrowolnych zobowiązań. Anglosasi dogadali się z Sowietami, że będą wolne wybory. No to zróbmy te wybory, żeby oni później nam, Polakom nie zarzucili, że myśmy nie wykorzystali wszystkich szans, że byliśmy tymi, którzy paraliżowali najlepszą wolę mocarstw anglosaskich. Tak najprawdopodobniej rozumował Mikołajczyk. Chciałbym jeszcze w związku z konferencją jaltańską zwrócić uwagę, że właśnie wówczas Roosevelt osiągnął apogeum swojego zakłamania. Amerykański prezydent, działając nawet wbrew swojemu własnemu Departamentowi Stanu, storpedował pomysł powołania tzw. Nadzwyczajnej Wysokiej Komisji dla Wyzwolonej Europy (Emergency High Commission for Liberated Europe), która miałaby obowiązek nadzorowania wolnych i nieskrępowanych wyborów w różnych państwach europejskich. Roosevelt tego nie chciał, bo miał zamiar wycofać żołnierzy amerykańskich z Europy. Bez ich obecności w Europie żadna efektywna kontrola wyborów nie byłaby możliwa. Z góry rezygnował z zapobieżenia fałszerstwom wyborczym na obszarach europejskich opanowanych przez Armię Czerwoną. Udawał tylko, że zależy mu na unormowaniu sytuacji w Europie zgodnie z zasadami demokracji. Jeszcze gorsze stanowisko zajmował inny polityk amerykański, nie tego szczebla, ale znany powszechnie, George Kennan, który mówił – oddajmy połowę Europy Sowietom i nie bawmy się w żadne ustalenia, niech oni tam rządzą, a my będziemy sprawowali opiekę nad pozostałą częścią Europy.

B.P. – Dlaczego Roosevelt nie poszedł na takie rozwiązanie?

M.K.K. – Z bardzo prostej przyczyny, bo wówczas wzmocniłby kręgi izolacjonistyczne w Stanach Zjednoczonych i zostałby zmuszony do wycofania się ze swojego pomysłu, jakim była ONZ. On naprawdę nie chciał niczego nadzorować. Czyli te wybory były skazane niejako na niepowodzenie. W proteście rządu polskiego na uchodźstwie Tomasza Arciszew-



skiego jest wyraźnie powiedziane, że nie uda się prawdopodobnie zachować kontroli nad wolnymi, nieskrępowanymi wyborami. Co nie zmienia postaci rzeczy, że ten sam rząd powiedział członkom podziemnych władz państwa polskiego – próbujcie się porozumieć, jedźcie tam, rozmawiajcie. Rząd polski na uchodźstwie przekazał przecież nazwiska tych szesnastu rządów anglosaskim, które z kolei przekazały to rządowi sowieckiemu, a rząd sowiecki doprowadził do ich aresztowania. Tych wolnych i nieskrępowanych wyborów nie było i system komunistyczny zadomowił się u nas na całego od stycznia 1947 r., kiedy to komuniści sfalszowali wyniki wyborów, a mocarstwa anglosaskie ograniczyły się do dania wyrazu swojej dezaprobacji dla tego faktu.

T.K. – Jeżeli ocenia się polityków polskich tak jak polityków innych państw, to trzeba wziąć pod uwagę dwa elementy – jaka siła stała za tymi politykami i jakie oni mieli możliwości. Błędy polityczne Churchilla czy Roosevelta należy oceniać, mając na względzie siłę i możliwości, jakie oni mieli. Inne zresztą Roosevelt i inne Churchill. I tak się składa, że niekiedy więcej pretensji ma się do polityków, którzy niewiele mogli zrobić, bo za nimi w gruncie rzeczy nie stała żadna siła, a układ polityczny bywał dla nich tragiczny. Dotyczy to i Sikorskiego, i Mikołajczyka, i innych polityków Europy Środkowowschodniej. Sikorski realizował politykę polską na tyle, na ile ona mogła być wtedy realizowana, w tamtym układzie politycznym, będąc najpierw „na garnuszku” Francji, a potem Wielkiej Brytanii. Sikorski zginął 4 lipca 1943 r. Premierostwo Mikołajczyka przypadło na najtragiczniejszy okres dla Polski – po zerwaniu stosunków dyplomatycznych przez Sowiety, czyli na drugą połowę roku 1943 i na 1944 r. Zrobił to, co mógł. Polscy politycy popełniali takie czy inne błędy, ale nawet gdyby byli geniuszami politycznymi, nie uzyskaliby nic więcej. Natomiast inna polityka Roosevelta, w mniejszym zakresie Churchilla, mogła prowadzić do całkowicie innego rezultatu politycznego po wojnie, i to nie tylko w odniesieniu do Polski. Fałszywa koncepcja polityczna – głównie w przypadku Roosevelta – egoizm i partykularyzm interesów własnego kraju, a w dodatku nierzadko obłuda mocarstw zachodnich, przyniosły wiadome rezultaty dla Polski i innych krajów.

W.B. – **Niekiedy mówi się o tym, że Mikołajczyk, decydując się na przyjazd do kraju i grę „znaczonymi kartami” z komunistami i ich sowieckimi poplecznikami, w gruncie rzeczy z góry skazywał się na polityczną klęskę.**

T.K. – Nie podzielam tej opinii. On wracając do kraju zakładał, że może „przegrać”, liczył się nawet ze śmiercią. Miał inny pogląd niż ten, który reprezentował np. gen. Władysław Anders czy wielu innych polityków i generałów, że jednak wybuchnie III wojna światowa, zatem jest nadzieja, że ona przyniesie rozwiązanie dla sprawy polskiej. Uważał, że jeśli doszłoby do niej, to byłoby to nieszczęście dla Polski, która wtedy

Fot. z AIPN



Siedziba PKWN, Lublin 1944 r.

mogłaby zostać starta z powierzchni ziemi. Nie wierzył w tę wojnę i nie oczekiwał jej. Przyjeżdżając do Polski, wiedział, że może zrobić bardzo niewiele, ale w miarę możliwości chciał uratować wolnorynkowy ustrój ekonomiczny i pewną niezależność polityczną. Wiedział, że dominacji Sowieców w Europie Środkowowschodniej nie da się podważyć. Uważał, że Sowieci mogą sprowokować wielkie powstanie w Polsce, które utopią we krwi, mając równocześnie pretekst do pacyfikacji całego narodu. Przy tym przedstawią to powstanie jako działanie wicherzycielskie skierowane przeciw ich dobrej woli i ustaleniom jałtańskim. I zyskają zrozumienie Zachodu. On się takiego powstania rzeczywiście bał. Czy doszłoby do niego, czy nie, to jest już inna sprawa.

B.P. – Komuniści i bez powstania spacyfikowali naród, przynajmniej do pewnego stopnia.

T.K. – Mikołajczyk pragnął „rozładować lasy” – wyprowadzić z nich młodzież i skierować ją do szkół i do pracy. Podziemie uważał za skazane na tragiczną klęskę. To, że Mikołajczyk niejako przegrał ten przyjazd i potem uciekł z kraju, to była jednocześnie jego wygrana. Tu nie ma sprzeczności. Gdyby nie przyjechał do kraju z emigracji – a tylko on wchodził tu w grę – i Stalin zaprowadziłby tu szybko swój reżim, to wówczas najprawdopodobniej na Zachodzie by powiedziano: my w Jałcie zrobiliśmy co mogliśmy, zagwarantowaliśmy Polsce niepodległość i demokrację, ale Mikołajczyk czy inny polityk nie pofatygował się i nie przyjechał do Warszawy. I Polacy mają to, co mają. To ich wina. Przyjazd Mikołajczyka do kraju takie przedstawienie sprawy uniemożliwił. I to była jego wygrana. Więcej – udowodnił, że ze Stalinem nie można się porozumieć, chyba że na jego warunkach. Jasne, że Mikołajczyk, jadąc do Polski, uwiarygodnił ówczesną politykę Stalina i komunistów polskich. Ale w ogólnym bilansie jego przyjazd był korzystny. Zresztą Stalin – jeżeli nie Mikołajczykiem – to kim innym by się uwiarygodnił. I byłby chyba zadowolony, gdyby Mikołajczyk odmówił przyjazdu do Polski. Najbardziej do tego wyjazdu namawiał go Churchill. Dla polityków angielskich i amerykańskich wyjazd Mikołajczyka do Polski oznaczał jakby znormalizowanie sprawy polskiej, co było ważne i z uwagi na opinię ich społeczeństw, które pamiętały, że Polska była aliantem Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Politycy polscy z okresu wojny nie byli gorsi od polityków innych krajów. Ja cenię ich wyżej niż na przykład Beneša czy polityków innych rządów emigracyjnych. Rząd polski na emigracji był rządem najbardziej szanowanym z uwagi na wielkość i potencjał Polski itd., także z uwagi na politykę, jaką prowadził, i za czasów Sikorskiego, i za czasów Mikołajczyka, a także Arciszewskiego.

M.K.K. – Polska nie prosiła ani Amerykanów, ani Brytyjczyków o to, żeby za nią zatowali sprawy polskie. Oni się zdecydowali i przyjęli na siebie

pewne zobowiązania. Te zobowiązania jałtańskie i poczdamskie, które na siebie przyjęły Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, nie zostały zrealizowane. Można zatem powiedzieć z pełną odpowiedzialnością, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania są naszymi politycznymi dłużnikami.



Prof. dr hab. Marek Kazimierz Kamiński – ur. w 1948 r., pracownik naukowy Instytutu Historii PAN w Warszawie (kierownik zakładu Dziejów Europy XIX i XX w. oraz Pracowni dziejów Europy środkowo-Wschodniej), pracownik naukowo-dydaktyczny Instytutu Historii i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, jest m.in. autorem następujących monografii: *Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne 1945–1948*, Warszawa 1990; *Polska i Czechosłowacja w polityce Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii 1945–1948*, Warszawa 1991; *Konflikt polsko-czeski 1918–1921*, Warszawa 2001; *Edward Beneš kontra gen. Władysław Sikorski. Polityka władz czechosłowackich na emigracji wobec rządu polskiego na uchodźstwie 1939–1943*, Warszawa 2005. Specjalizuje się w badaniach nad najnowszą historią Polski i historią stosunków międzynarodowych po 1918 r.



Prof. dr hab. Tadeusz Kisielewski – ur. w 1939 r., kierownik Zakładu Historii Ustroju Polski w Instytucie Nauk Politycznych Akademii Bydgoskiej im. Kazimierza Wielkiego, pracownik naukowo-dydaktyczny Szkoły Wyższej im. Bogdana Jańskiego w Warszawie, jest autorem m.in. książek: *Heroizm i kompromis. Portret zbiorowy działaczy ludowych*, Warszawa, cz. I 1977, cz. II 1979; *Rodowody naszej tożsamości. Szkice*, Warszawa 1980; *Ojczyzna, chłopci, ludowcy*, Warszawa 1987; *Piłsudski, Sikorski... Mikołajczyk*, Warszawa 1991; *Federacja środkowoeuropejska. Pertrakcje polsko-czechosłowackie 1939–1943*, Warszawa 1991. Jako historyk specjalizuje się w badaniach nad najnowszą historią Polski oraz w badaniach stosunków międzynarodowych ze szczególnym uwzględnieniem historii stosunków polsko-czechosłowackich w czasie II wojny światowej.

W niniejszym numerze zamierzaliśmy opublikować także rozmowę z dr. Andrzejem Kunertem o roli Polskiego Państwa Podziemnego w wysiłku zbrojnym aliantów w II wojnie światowej. Z przyczyn technicznych nie mogliśmy odtworzyć zapisu tej rozmowy.

Pana Doktora i Czytelników przepraszamy. Mamy nadzieję, że po ponownym nagraniu powrócimy do tego tematu.

redakcja



Fot. z AIPN

ZBRODZIA. DROGA DO PRAWDY. KARA?

KATYŃ PO 65 LATACH

Katalog dwudziestowiecznych zbrodni, za które odpowiedzialność ponosi państwo oraz jego funkcjonariusze, jest przygnębiająco obszerny. Znajdziemy w nim m.in. ludobójstwo, deportacje, mordy polityczne, osadzanie w obozach koncentracyjnych – wszystko to stosowane na niespotykaną dotąd skalę. W katalogu tym nie brakuje też zbrodni na jeńcach wojennych.

Zbrodnia

Wśród tych ostatnich bez wątpienia na czoło wysuwa się Zbrodnia Katyńska – planowe wymordowanie przez władze Związku Sowieckiego w 1940 r. ponad 14 tysięcy polskich jeńców wojennych. Należy dodać, że akcja eksterminacyjna, którą hasłowo nazywamy Zbrodnią Katyńską, nie ograniczyła się do jeńców. Objęła także ponad 7 tys. cywilnych obywateli polskich – byli to ludzie aresztowani i przetrzymywani w więzieniach na okupowanych przez ZSRS Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej – wymordowanych w tym samym czasie, choć w innych niż jeńcy miejscach.

Zbrodnia Katyńska, właśnie z uwagi na niejednorodny status ofiar, stanowi swego rodzaju fenomen. Skumulowały się w niej bowiem aż trzy kategorie zbrodni: ludobójstwo, zbrodnia wojenna i zbrodnia przeciwko ludzkości. Jak i dlaczego doszło do tej potwornej zbrodni?

Zacząć wypada od przypomnienia, że odrodzona w 1918 r. Rzeczpospolita miała odległych sojuszników i bliskich potężnych wrogów. Pomimo zmiany granic i formy rządu nasi najbliżsi sąsiedzi – Niemcy i Rosja – niezmiennie trwali na pozycjach wrogich polskiej państwowości. Dla powersalskich Niemiec Polska była „państwem sezonowym”, które wkrótce zniknie z mapy Europy, dla bolszewickiej Rosji – przeszkodą, którą należy usunąć, bo blokuje drogę do podboju kontynentu europejskiego.

Trzeba podkreślić, że wzajemne stosunki między Rosją a Niemcami nie były prostą funkcją ich nastawienia do Polski i nie zawsze układały się dobrze. Wręcz doskonałe w latach dwudziestych, zdecydowanie popsuły się po dojściu Hitlera do władzy w 1933 r. Führer III Rzeszy szermował agresywnie antykomunistyczną ideologią, a ziemie rosyjskie widział jako tereny przyszłej ekspansji niemieckiej. Sytuacja polityczna nie sprzyjała szybkiej realizacji marzeń o „niemieckiej przestrzeni życiowej” na Wschodzie. Hitler musiał najpierw pokonać mocarstwa zachodnie z Francją na czele, choćby po to, by uniknąć wojny na dwa fronty. Z kolei planowane uderzenie na Zachodzie skłaniało do podjęcia próby neutralizacji wiernego sojusznika Francji – Polski. Wywierane od jesieni 1938 r. naciski Niemiec na stronę polską, zmierzające do zmiany jej profrancuskiej orientacji i wrzęgnięcia w rydwan polityki niemieckiej, skończyły się fiaskiem. Wiosną 1939 r. Polska definitywnie określiła się jako sojusznik aliantów zachodnich, co znalazło wyraz w przyjęciu brytyjskich gwarancji i wzajemnym ich udzieleniu.

Odpowiedzią Hitlera było podjęcie przygotowań do wojny ze wschodnim sąsiadem. W ramach tych przygotowań sondowano stanowisko graniczącego z Polską Związku Sowieckiego. Rozpoczęcie działań wojennych bez porozumienia się ze Stalinem było bowiem niemożliwe. Odpowiedź Sowieców na przyjazne gesty ze strony Niemiec była przychylna. Krok po kroku usuwano przeszkody na drodze do porozumienia obu mocarstw. Finałem tego procesu stał się układ o nieagresji wraz tajnym protokołem dodatkowym, podpisany 23 sierpnia 1939 r. w Moskwie (od nazwisk sygnatariuszy, ministrów spraw zagranicznych obu państw, zwany układem Ribbentrop–Mołotow). W owym tajnym protokole podzielono Europę Wschodnią między ZSRS i Niemcy, przy czym linię podziału „stref wpływów” obu tych państw na terenie Polski ustalono wzdłuż rzek: Narew, Wisła, San.

Układ moskiewski rozwiązywał Hitlerowi ręce. 1 września 1939 r. wojska niemieckie uderzyły na Rzeczpospolitą. Tego samego dnia ruszyły sowieckie przygotowania do wojny z Polską. Pomimo ponagler ze strony Niemiec Sowietci ociągali się z podjęciem akcji zbrojnej i zajęciem „swojej” sfery wpływów – czekając na upadek Warszawy. Wreszcie, kiedy dalsza zwłoka stwarzała zagrożenie dla ich interesów, 17 września 1939 r. przystąpili do działania. Na Polskę uderzyły liczące pół miliona żołnierzy siły zbrojne ZSRS, zorganizowane w dwa Fronty: Białoruski i Ukraiński. W nocy odczytanej tegoż dnia polskiemu ambasadorowi w Związku Sowieckim Wacławowi Grzybowskiemu władze ZSRS przewrotnie tłumaczyły podstępny atak „rozpadem” państwa polskiego i koniecznością zapewnienia ochrony życia i mienia ludności „Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi”.

W starciu z przeważającymi siłami napastnika oddziały Wojska Polskiego nie miały większych szans, jednak w niektórych miejscach (Grodno, Szack, Wytyczne i in.) stawily Armii Czerwonej zacięty opór. W wyniku agresji w niewoli sowieckiej znalazły się tysiące polskich żołnierzy. Dwa dni po napaści na Polskę, rozkazem marszałka Klimenta Woroszyłowa, unormowano sposób postępowania z jeńcami polskimi. Mieli być oni konwojowani przez specjalnie wydzielone z Armii Czerwonej oddziały do punktów zbórnych, zorganizowanych przez Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRS (NKWD ZSRS). Stamtąd zaś transportowani dalej – do Kozielska i Putywła. Tego samego dnia stojący na czele NKWD Ławrientij Beria wydał rozkaz nr 0308, tworzący specjalną komórkę do zajmowania się jeńcami – Zarząd ds. Jeńców Wojennych NKWD ZSRS z mjr. Piotrem Soprunienką na czele.

Zasadniczy wpływ na losy polskich jeńców wojennych (w obozach NKWD znalazło się ich ponad 125 tys., w tym 8 tys. oficerów i 6 tys. policjantów) wywarła uchwała Biura Politycznego WKP(b) z 2 października 1939 r. „o jeńcach wojennych”. Uchwała wprowadzała znamienne różnice w traktowaniu różnych kategorii jeńców wojennych, dzieląc ich wedle kryteriów klasowo-politycznych. I tak oficerowie mieli być osadzeni w obozie „specjalnym” w Starobielsku, natomiast funkcjonariusze Policji i innych organów odpowiedzialnych za szeroko rozumiane bezpieczeństwo (wywiad, kontrwywiad, żandarmeria, straż więzienna itd.) mieli być zatrzymani w oddzielnym obozie – w Ostaszkwie. Szeregowców – mieszkańców tzw. Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy – należało zwolnić, natomiast tych, którzy pochodzili z terenów zajętych przez Niemców, zgromadzić w obozach w Kozielsku i Putywlu do czasu zakończenia pertraktacji z władzami niemieckimi i podjęcia decyzji o ich odesłaniu. Ponadto 25 tys. jeńców (szeregowych) miano zatrzymać do budowy drogi Nowogród Wołyński–Korzec–Lwów.

Jaki był sens nakazanych przemieszczeń? Chodziło przede wszystkim o zatrzymanie jeńców, gdyż z racji swego statusu byli oni postrzegani jako podpora państwa polskiego, które w nowym układzie rozbiorowym zostało skazane na zagładę. Decyzja o zwolnieniu ogrom-

nej większości szeregowych (ok. 85 tys.) wynikała z traktowania ich jako przedstawicieli „mas pracujących”, nieidentyfikujących się z polską państwowością (zatrzymanych 25 tys. szeregowych traktowano jako siłę roboczą, nie zaś „wrogów klasowych”).

Do końca listopada 1939 r. uchwała Biura Politycznego została zasadniczo wykonana, z tą jednak korektą, że z uwagi na przepiętanie obozu w Starobielsku oficerów WP skoncentrowano w jeszcze jednym obozie – w Kozielsku (z którego wcześniej odesłano szeregowych na teren okupacji niemieckiej). W końcu grudnia 1939 r. w obozie w Starobielsku w obwodzie woroszytówgradzkim znajdowało się 3916 jeńców, w Kozielsku w obwodzie smoleńskim 4766 i w Ostaszkowie w obwodzie kalinińskim 6291 jeńców.

Jeńcy przetrzymywani w trzech wymienionych obozach stanowili elitę Wojska Polskiego i kwiat inteligencji polskiej. Byli wśród nich oficerowie wyższych stopni, nauczyciele, lekarze, prawnicy, literaci, artyści. Z konkretnych osób wymieńmy tylko prof. neurologii i psychiatrii Włodzimierza Godłowskiego, doc. matematyki Stefana Kaczmarza, doc. ekonomii Janusza Libickiego (Kozielsk), doc. matematyki Józefa Marcinkiewicza, prof. szczegółowej uprawy roślin Edwarda Ralskiego, prof. anatomii opisowej Zygmunta Szantrocha, poetę Władysława Sebyłę (Starobielsk).

Los osadzonych w obozach był niepewny. Wydaje się, że władze sowieckie same nie wiedziały, co z nimi zrobią w przyszłości. Na razie jeńców zaczęto rozpracowywać agenturalnie, zmierzając do wykrycia wśród nich elementu „kontrrewolucyjnego”: oficerów od stopnia pułkownika wzwyż, wyższych urzędników państwowych i wojskowych, pracowników wywiadu i kontrwywiadu, członków „antysowieckich” partii i organizacji politycznych, ziemian itd. Poddano ich też zmasowanemu oddziaływaniu propagandowemu z ewidentnym celem pozyskania dla sprawy komunizmu i ZSRS. Pomimo stałego i nękającego charakteru oddziaływania na psychikę jeńców: całodzienne transmisje radiowe, prelekcje, seanse filmowe itd., nie odnotowano praktycznie żadnego efektu w „reedukacji” ideologicznej. Jeńcy manifestowali patriotyczne nastroje, przywiązanie do religii, władze NKWD odnotowały też ich liczne wypowiedzi o charakterze „antysowieckim”, a nawet próby tworzenia organizacji konspiracyjnych w obozach.

Pewną wskazówkę co do dalszego losu jeńców stanowi kierunek, w którym poszły wspomniane działania o charakterze agenturalnym. W Kozielsku i Starobielsku ich sens wyczerpywał się w samym wykryciu „kontrrewolucjonistów”. Inaczej było w Ostaszkowie, gdzie „materiały obciążające” zgromadzone na poszczególnych jeńców miały stanowić podstawę do pociągnięcia ich do odpowiedzialności karnej. Wyroki za „przestępstwa” popełnione przez jeńców miała wydawać Narada Specjalna przy NKWD ZSRS, pozasądowy organ o dość ograniczonych kompetencjach – mógł skazywać najwyżej na 8 lat łagrów, nie miał natomiast prawa ferowania wyroków śmierci.

W tym miejscu stykamy się z pierwszą zagadką Zbrodni Katyńskiej. Dlaczego procedurą karną objęto tylko jeńców Ostaszkowa? Czy dlatego, że byli to „bezużyteczni” z sowieckiego punktu widzenia funkcjonariusze organów „represyjnych” „burżuazyjnego państwa”? Czy były zatem jakieś plany wobec oficerów zgromadzonych w dwóch pozostałych obozach?

Sowieckie dokumenty nie dają odpowiedzi na te pytania. Jednak nie można zapominać, że jesienią 1941 r. władze ZSRS, opierając się na grupce ocalałych oficerów z płk. Zygmuntem Berlingiem na czele, przystąpiły do organizowania polskiej dywizji, przeznaczonej do walki z Niemcami. Może plany takiego wykorzystania całej polskiej kadry oficerskiej – oczywiście, po jej skutecznej „reedukacji” w duchu komunistycznym – istniały już wcześniej (przemawia za tym fakt prowadzenia rozmów z różnymi znajdującymi się w wię-

zieniach generałami, w których proponowano stworzenie podległej Sowietom armii polskiej; ktoś musiał jednak stanowić jej kadre)? Czy oficerowie zapłacili życiem, bo – wbrew nadziejom – okazali się, jak pisał później Beria „nierokującymi poprawy [sic! – S.K.] wrogami władzy radzieckiej”, a zatem stali się również „bezużyteczni”?

Wybiegliśmy nieco w przyszłość, było to jednak konieczne do refleksji nad wydarzeniami z przełomu 1939 i 1940 r. W tym czasie działania zmierzające do pociągnięcia jeńców Ostaszkowa do odpowiedzialności karnej szły pełną parą. 1 lutego 1940 r. zakończono przygotowywanie spraw śledczych; łącznie było ich 6050. Część z nich przestano Naradzie Specjalnej już w grudniu, pozostałe były sukcesywnie przekazywane w celu rozpatrzenia.

Co zarzucano jeńcom Ostaszkowa? Z zachowanego aktu oskarżenia jednego z nich, Karola Olejnika, można wnosić, że dotyczyły czynów z okresu przedwojennego. Olejnikowi zarzucono, że od 1936 do 1939 r. służył jako policjant w Borszczowie i prowadził aktywną walkę z ruchem rewolucyjnym. Na podstawie – jak możemy przypuszczać – podobnie sformułowanych aktów oskarżenia, będących, nawiasem mówiąc, prawnym *horrendum*, do końca lutego 1940 r. Narada Specjalna skazała pierwszych 600 jeńców Ostaszkowa na kary od 3 do 6 lat obozów pracy poprawczej na Kamczatce. W związku z tym na początku marca tegoż roku odbyła się w Moskwie dwudniowa narada, na której omawiano tryb ekspedycji skazanych do łagrów.

W tym samym czasie dojrzał albo też narodził się – tego nie wiemy – zupełnie nowy projekt dotyczący jeńców trzech obozów, który czynił całą tę akcję bezprzedmiotową. Pojawił się jako gotowa, przemyślana propozycja na zasadzie *Deus ex machina* – nie zachowały się, a w każdym razie nie są znane, żadne dokumenty, które zapowiadały jego powstanie. Oto druga wielka zagadka Zbrodni Katyńskiej.

Autorem owej propozycji, noszącej datę 5 marca 1940 r., był szef NKWD, Ławrientij Beria. Jej adresatem natomiast – Józef Stalin, sekretarz generalny WKP(b). Tekst propozycji Berii zawiera następujący wywód: w obozach dla jeńców wojennych i więzieniach zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi przetrzymywana jest wielka liczba polskich oficerów, członków partii kontrrewolucyjnych, organizacji powstańczych, uciekinierów itd. Jeńcy wojenni próbują kontynuować działalność kontrrewolucyjną, prowadzą agitację antysowiecką. Oczekują uwolnienia, by włączyć się do walki z władzą sowiecką. W związku z tym, że wszyscy oni (14 736 jeńców, w 97 proc. Polacy i 18 632 więźniów, z tego 10 685 Polaków) są zatwardziały, nierokującymi poprawy wrogami władzy sowieckiej, należy sprawy 14 700 jeńców i 11 000 więźniów rozpatrzyć w trybie specjalnym i zastosować wobec nich najwyższy wymiar kary – rozstrzelanie.

Ów tryb specjalny był czystą formalnością: decyzje miały być podejmowane bez wzywania oskarżonych i przedstawiania im zarzutów przez tzw. trójkę, w składzie: dwaj zastępcy Berii – Wsiewołod Mierkułow i Bogdan Kobałow oraz naczelnik 1 Wydziału Specjalnego NKWD – Leonid Basztakow. O czym miała „decydować” trójka – nie bardzo wiadomo, przecież z samej propozycji wynikało, że „decyzja” mogła być tylko jedna – kara śmierci.

Zastanawia, że zgodnie z propozycją Berii rozstrzelani mieli być praktycznie wszyscy jeńcy, natomiast liczbę przewidzianych do likwidacji więźniów zredukowano do 11 tys., czyli z góry zakładano pozostawienie przy życiu ponad 7,5 tys. więźniów. Najwyraźniej uważano ich za mniej groźnych i rokujących nadzieje na „poprawę” (oczywiście w „poprawczych obozach pracy”, czyli w łagrach). Z propozycji nie wynika jednoznacznie, kim było 11 tys. więźniów, przewidzianych do rozstrzelania. Czy liczba ta powstała po prostu z zaokrąglenia liczby Polaków przetrzymywanych w więzieniach (10 685 osób)? Przypuszczenie takie niejako samo się narzuca, jednak zbieżność liczb może być myląca. Bo przecież, wspominając o 11 tys.

Fot. z. AIPN



aresztowanych, mówi się wyraźnie, że są to m.in. członkowie różnorodnych „kontrrewolucyjnych” organizacji oraz uciekinierzy. To spostrzeżenie podaje w wątpliwość hipotezę, że rozstrzelani mieli być wyłącznie Polacy. Dla NKWD „różnorakie” organizacje „kontrrewolucyjne”, były to, jak skądinąd wiadomo, nie po prostu „różne” organizacje, ale organizacje tworzone przez „rozmaite” narodowości, a więc: polską, ukraińską, białoruską itd.

Z kolei kategoria uciekinierów w niewielkim jedynie stopniu mogła stosować się do Polaków, przyniatającą część uciekinierów bowiem (chodziło o osoby „uciekające” z terenu okupacji niemieckiej pod okupację sowiecką i aresztowane podczas przekraczania „granicy” sowiecko-niemieckiej) stanowiły osoby innych narodowości, głównie Żydzi. Ciężar gatunkowy tej uwagi jest znaczny, ponieważ uciekinierzy stanowili jedną trzecią wszystkich więźniów i ponad połowę przewidzianych do rozstrzelania (było ich ponad 6 tys.). Te konstatacje zdają się potwierdzać częściowo znane listy rozstrzelanych. Nie brakuje na nich bowiem nazwisk osób innych narodowości aniżeli polska (będzie o nich jeszcze mowa). Oczywiście powyższe rozważania niczego nie przesądzają. Rozstrzygnięcie przynieść mogą jedynie nowe dokumenty – o ile takowe w ogóle się zachowały.

W świetle omawianego dokumentu Zbrodnia Katyńska jawi się jako akcja o charakterze przede wszystkim prewencyjnym: chodziło o unicestwienie ludzi, którzy z uwagi na uparte dążenie do restytucji państwa polskiego stanowili zagrożenie dla interesów państwowych ZSRS, w szczególności zaś dla trwałości panowania tego państwa na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej.

Ze względu na wspomniany brak dokumentów obrazujących proces podejmowania zbrodniczej decyzji z 5 marca 1940 r. nie możemy powiedzieć, jak doszło do „scalenia” jeńców i więźniów w jedną grupę i jednolitego ich potraktowania. Przecież każdą z tych kategorii zajmowały się w praktyce odrębne działy NKWD (jeńcami Zarząd ds. Jeńców Wojennych, a więźniami NKWD BSRS i NKWD USRS). Wgląd w całość miały jedynie najwyższe szczeble hierarchii resortu spraw wewnętrznych i kierownictwo partyjne. Tylko tam zatem mógł powstać ów projekt, który firmował Ławrientij Beria, choć niekoniecznie był jego właściwym twórcą. Propozycja Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych została zaaprobowana przez Stalina i całe Biuro Polityczne WKP(b), i to jeszcze tego samego dnia. Podjęto uchwałę, w której „polecano” NKWD ZSRS podjąć działania zaproponowane przez szefa tej instytucji.

Przygotowania do całej akcji zabrały odpowiedzialnemu za jej przeprowadzenie resortowi spraw wewnętrznych blisko miesiąc. Operacja rozpoczęła się 3 kwietnia 1940 r., kiedy to na podstawie nadsyłanych z Moskwy imiennych list dyspozycyjnych (będących wynikiem działalności „trójki”) rozpoczęto wywożenie kolejną grupę jeńców z obozu w Kozielsku. W dwa dni potem ruszyły „transporty śmierci” z dwóch pozostałych obozów: Starobielska i Ostaszkowa.

Jeńców z Kozielska dowożono najpierw na stację kolejową Gniezdowo, położoną w odległości ok. 18 km od Smoleńska. Tu następowała zmiana środka transportu na samochody więzienne, którymi oficerów wieziono dalej – na teren ośrodka wypoczynkowego NKWD w Lesie Katyńskim. Miejsce to już w latach trzydziestych było wykorzystywane do egzekucji przez sowiecką policję polityczną. Tu następował ostatni akt dramatu. Jeńcom wiązano ręce, a następnie uśmiercano ich strzałem z pistoletu w tył głowy. Zwłoki wrzucano do wykopanych uprzednio dołów. Ogółem zamordowano nie mniej niż 4410 jeńców z obozu w Kozielsku.

Transporty ze Starobielska kierowane były do Charkowa. Z miejscowej stacji kolejowej jeńcy przewożeni byli do gmachu Zarządu NKWD obwodu charkowskiego i tam mordowani strzałem w potylicę. Miejscem pochówku zamordowanych Starobielszczan była wieś Pia-

tichatki, położona w odległości ok. 1,5 km od Charkowa. Łącznie w Charkowie zamordowano nie mniej niż 3739 jeńców ze Starobielska.

Jeńców trzeciego obozu, w Ostaszkwie, transportowano do Kalinina, gdzie – w obitej wojtkiem celi Zarządu NKWD obwodu kalinińskiego – specjalna ekipa profesjonalnych zabójców przybyłych z Moskwy pozbawiała ich życia, strzelając w tył głowy. Ogółem zamordowano nie mniej niż 6314 jeńców obozu ostaszkwowskiego.

Decyzja Biura Politycznego z 5 marca 1940 r. miała charakter całościowy i nie dawała żadnych możliwości wyłączenia kogokolwiek z egzekucji. Wszystkich 14 700 jeńców i 11 000 więźniów miało zginąć. Stało się jednak inaczej, a korektę decyzji Biura Politycznego przeprowadziły centralne organy NKWD. W rezultacie do „transportów śmierci” nie trafiło 205 jeńców Kozielska, 78 ze Starobielska i 112 z Ostaszkowa, łącznie 395 osób. Co ciekawe, owo „korygowanie” jednoznacznej przecież decyzji budziło sprzeciw u niektórych wysoko postawionych funkcjonariuszy NKWD. Przeciwny całej procedurze był np. szef Zarządu ds. Jeńców Wojennych – Soprunienko. O improwizowanym charakterze działań centrali NKWD świadczy fakt, że niektóre polecenia dotyczące wyłączenia z ekspedycji do miejsc kaźni przyszły za późno – danej osoby nie można było już uratować. Jeden z jeńców, Stanisław Swianiewicz, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, został wycofany z transportu dopiero na stacji w Gniezdowie. Na rozkaz z Moskwy, który dotarł niemal w ostatniej chwili do tego „przedsonka śmierci”, przewieziono go najpierw do Smoleńska, a potem do stolicy ZSRS. O wyłączeniu z egzekucji decydowały różne względy: zabiegi władz niemieckich o zwolnienie niektórych jeńców, analogiczne działania Misji Litewskiej w Związku Sowieckim, polecenia Mierkułowa, a także sowieckiego wywiadu, zainteresowanego konkretnymi osobami spośród jeńców. Oszczędzonych skoncentrowano w obozie w Juchnowie, potem w Griażowcu, gdzie doczekali układu Sikorski–Majski i „amnestii”. Decyzja Biura Politycznego z 5 marca 1940 r. nie została w pełni zrealizowana również w odniesieniu do więźniów. Jak wiadomo z sowieckich dokumentów, ostatecznie zamordowano ich mniej – 7305.

Zanim jednak omówimy szczegóły kolejnej „korekty” wspomnianej decyzji, powiedzmy kilka słów o więźniach na tzw. Zachodniej Ukrainie i Zachodniej Białorusi, był to bowiem wątek, który pojawiał się dotąd tylko marginalnie. Ludzie ci zostali aresztowani przez organy NKWD po 17 września 1939 r. i osadzeni w różnych więzieniach na Kresach. Do największych należały więzienia we Lwowie, Białymstoku, Grodnie, Brześciu nad Bugiem, Głębokiem (Berezweczu), Wilejce, Baranowiczach, Pińsku, Łucku, Równem, Drohobyczu i Tarnopolu.

Aresztowania prowadzono według klucza polityczno-klasowego, osadzając w więzieniach osoby związane z aparatem państwowym (oficerowie WP, policjanci, żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza, sędziowie, prokuratorzy), członków „antysowieckich” partii politycznych i organizacji społecznych (Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Narodowe, „Bund”, Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, Związek Strzelecki, Związek Legionistów i in.), przedstawicieli klasy „wzyskiwaczy” (arystokracja, ziemianie, fabrykanci, bogaci chłopi korzystający z pracy najemnej). Do więzień trafiały także osoby zatrzymane podczas próby przekroczenia „granicy”, ustalonej w sowiecko-niemieckim układzie z 28 września 1939 r. (określano je mianem „uciekierów”).

Wewnętrzna struktura populacji aresztowanych do 5 marca 1940 r., liczącej – przypomnijmy – 18 632 osoby, przedstawiała się w świetle propozycji Berii następująco (zachowujemy nomenklaturę tego dokumentu):

byli oficerowie	1207
byli policjanci, agenci wywiadu i żandarmi	5141
szpiegdy i dywersanci	347

byli obszarnicy, fabrykanci i urzędnicy	465
członkowie różnorakich kontrrewolucyjnych i powstańczych organizacji i różne kontrrewolucyjne elementy	5345
uciekierzy	6127.

Niestety, nie jest znany analogiczny podział na kategorie liczącej ponad 7305 osób grupy rozstrzelanych. Nie jest to zresztą jedyna niewiadoma związana z cywilnymi ofiarami Zbrodni Katyńskiej. Nie wiemy np., dlaczego i na podstawie jakich kryteriów z 11 tys. więźniów przewidzianych pierwotnie do rozstrzelania wyodrębniono 3695 osób i darowano im życie. Szczątkowa jest wiedza na temat realizacji tej części zbrodniczej uchwały. Domniemywa się, że pismo Berii do Łazara Kaganowicza z 21 marca 1940 r. w sprawie przygotowania wagonów do przewozu więźniów w celu „wykonania pilnego zadania operacyjnego”, a także rozkaz pierwszego z wymienionych z 22 marca tegoż roku, nakazujący przemieszczenie 3 tys. więźniów z więzień we Lwowie, Równem, Tarnopolu, Drohobyczu, Stanisławowie i na Wołyniu do więzień w Kijowie, Charkowie i Chersoniu oraz kolejnych 3 tys. z więzień w Brześciu, Wilejce, Pińsku i Baranowiczach do więzienia w Mińsku – to dokumenty związane z akcją mordowania więźniów. Zgodnie z tą hipotezą owe cztery docelowe więzienia miały być miejscami ich kaźni.

Mocnym punktem rozpatrywanej hipotezy jest czas: przemieszczanie więźniów nakazano krótko po podjęciu decyzji przez Biuro Polityczne. Nasuwają się tu też pewne wątpliwości:

– z żadnego ze wspomnianych dokumentów wprost nie wynika, że miał on jakkolwiek związek z uchwałą z 5 marca 1940 r.,

– liczba więźniów, których miano przetransportować do domniemyanych miejsc egzekucji, jest o 1305 osób niższa niż liczba faktycznie rozstrzelanych. Tłumaczy się to tym, że najwyraźniej ludzie ci przebywali już w więzieniach w Mińsku, Kijowie, Charkowie i Chersoniu. W istocie jednak – z punktu widzenia dowodowego – jest to tylko kolejna hipoteza, której nie sposób udowodnić.

Co zatem wiemy na pewno? Z dokumentów NKWD wynika jednoznacznie, że z 7305 osób zamordowanych ogółem 3435 to więźniowie z tzw. Zachodniej Ukrainy, pozostałych 3870 przebywało w więzieniach na tzw. Zachodniej Białorusi. Odnalazła się imienna lista więźniów z tzw. Zachodniej Ukrainy (otrzymała ona miano „Ukraińskiej Listy Katyńskiej”). Niestety, mimo usilnych poszukiwań nie udało się odnaleźć analogicznej listy dla tzw. Zachodniej Białorusi („Białoruska Lista Katyńska”). Jest swego rodzaju dramatem, że wiedząc na pewno o zamordowaniu blisko 4 tys. ludzi, nie możemy ich zidentyfikować i przywrócić narodowej pamięci. Czy uda się to kiedykolwiek?

Istniejące hipotezy sugerują, jak już wspomniano, że miejscem mordowania polskich więźniów były więzienia w Kijowie, Charkowie i Chersoniu, a także więzienie w Mińsku. Znalaziono poszlaki częściowo potwierdzające te przypuszczenia. Oto w miejscowości Bykownia pod Kijowem podczas ekshumacji ofiar stalinowskich represji ujawniono ważny ślad – prawo jazdy wystawione na Franciszka Paszkiela, który figuruje na tzw. Ukraińskiej Liście Katyńskiej. Jak ustalono, Paszkiel przebywał po aresztowaniu w więzieniu w Równem, skąd 31 maja 1940 r. wywieziono go do Kijowa. Czy znaleziony dokument dowodzi grzebania ofiar „Ukraińskiej Listy Katyńskiej” w Bykowni? Niestety, nie. Prace ekshumacyjne prowadzone na Ukrainie potwierdziły bowiem, że niekiedy ciała grzebano oddzielnie, a odzież, dokumenty i wszelkie inne przedmioty – ukrywano oddzielnie, w wykopanych gdzie indziej dołach. Trzeba dodać, że z bykowniańskich dołów śmierci wydobyto znacznie więcej przedmiotów należących do obywateli polskich – mundurów, guzików z „orzetkami”, oficerskich butów,

Fot. z AIPN



polskich monet itd. Nie można ich jednak przypisać żadnym konkretnym osobom, figurującym na wspomnianej liście (a co za tym idzie, w ogóle wiązać ze Zbrodnią Katyńską).

Z kolei w Kuropatach pod Mińskiem ujawniono podczas analogicznych prac ekshumacyjnych liczne przedmioty pochodzenia polskiego albo też wytworzone w Europie Zachodniej. Z całą pewnością nie należały one do obywateli ZSRS. Niestety, również te znaleziska nie mogą być przypisane konkretnym osobom, a nawet gdyby się to udało, personalia właścicieli musiałyby występować na Białoruskiej Liście Katyńskiej – która do dziś jest nieznaną.

Szczególne znaczenie wśród przedmiotów znalezionych w Kuropatach zajmuje męski grzebień, na którym więzień wydrapał następujący napis w języku polskim:

Ciężkie chwile więźnia. Mińsk 25 IV 1940.

Myśl o was doprowadza mnie do szaleństwa.

26 IV Rozpłakałem się – ciężki dzień.

Przedmiot ów dowodzi, że wśród pogrzebanych w Kuropatach byli Polacy, którzy przed egzekucją przebywali w więzieniu w Mińsku – i to w tym czasie, kiedy dokonywała się Zbrodnia Katyńska. Ale też niczego więcej – z powodów wyżej podanych.

Trudno dziś wyrokować, czy uda się wyrwać z tego „kręgu niemożności” i wyjaśnić wszystkie okoliczności Zbrodni Katyńskiej do końca. Nadzieję można wiązać z wszczętym niedawno przez Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu śledztwem w sprawie wymordowania nie mniej niż 21 768 obywateli polskich na podstawie decyzji Biura Politycznego WKP(b) z 5 marca 1940 r.

Jednocześnie należy wystrzegać się nierealnych oczekiwań i przekonania, że polskie śledztwo jest „skazane na sukces” i nad każdym „i” postawi brakującą kropkę. Może tak być, i oby tak było, ale nie wolno zapominać o realiach: jurysdykcja państwa polskiego nie rozciąga się na obszar innych, suwerennych państw, na których terytoriach zbrodnia ta się dokonała. Od nastawienia władz tych państw wiele zależy.

Opis Zbrodni Katyńskiej byłby niepełny, gdyby pomijał losy rodzin pomordowanych. Władzom ZSRS nie wystarczyła fizyczna eliminacja jeńców i więźniów. Za popełnione przez nich „zbrodnie” musieli odpowiedzieć także ich krewni. Decyzja o deportowaniu 22–25 tys. rodzin obywateli polskich przetrzymywanych w obozach jenieckich i więzieniach na Kresach zapadła jeszcze zanim światło dzienne ujrzała ludobójcza propozycja Berii – 2 marca 1940 r. na posiedzeniu Biura Politycznego WKP(b). W rezultacie w kwietniu 1940 r. do Kazachstanu wywieziono ponad 60 tys. osób.

Droga do prawdy

Droga do prawdy o Zbrodni Katyńskiej była długa i zawikłana. Była? Raczej ciągle jeszcze jest, bo mimo upływu 65 lat wciąż się na niej znajdujemy. I nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy dotrzemy wreszcie do jej końca. Pomimo to od punktu wyjścia, którym było tajemnicze „zaginienie” tysięcy oficerów i policjantów z obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, do punktu, w którym jesteśmy dzisiaj, kiedy znamy setki dokumentów obrazujących przebieg wydarzeń, dzieli nas olbrzymi dystans. Wychodząc od stanu pełnej niewiedzy; osiągnęliśmy stan niepełnej, ale pewnej, opartej na niepodważalnych dowodach wiedzy. A to już prawdziwy przełom.

Trudno choćby zarysować rozliczne działania mające doprowadzić do wyjaśnienia losów polskich oficerów w Związku Sowieckim, po których zaginęł ślad. Przypomnieć jednak należy, że próbę ustalenia, co stało się z jeńcami Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, podjęto już w 1941 r. w Armii Polskiej w ZSRS, dowodzonej przez gen. Władysława Andersa. Poszukiwania 15 tys. jeńców, uważanych za „zaginionych”, a raczej, z nieznanych

względów, jeszcze nie zwolnionych (nikomu nie przychodziło do głowy, że tysiące jeńców mogło zostać zamordowanych) prowadził rotmistrz Józef Czapski, notabene były jeńiec obozu w Starobielsku. Nie przyniosły one rezultatu. I nie mogło być inaczej: dokonana zbrodnia była niczym beczka prochu podłożona pod całą antyhitlerowską koalicję. Sowieci, potem także alianci zachodni, mieli tego pełną świadomość.

Tak więc na pytania dotyczące jeńców z trzech obozów władze sowieckie nieodmiennie odpowiadały, że wszyscy polscy jeńcy zostali zwolnieni. Stalin, który jako pierwszy opowiedział się za propozycją ich wymordowania (co potwierdza jego własnoręczna adnotacja na tym dokumencie), sugerował w czasie wizyty gen. Władysława Sikorskiego na Kremlu w grudniu 1941 r., że poszukiwani oficerowie... uciekli do Mandżurii.

Prawdy o zbrodni nie udało się jednak ukryć. Sowieci zostali zmuszeni do wycofania się z Katynia, który znalazł się pod okupacją niemiecką. W styczniu 1943 r. miejscowa ludność poinformowała władze niemieckie, że w Kozich Górach koło Katynia NKWD wymordowało polskich oficerów, których poszukuje gen. Sikorski. Przekazana Niemcom wiadomość uruchomiła lawinę. Oto władze III Rzeszy postanowiły wykorzystać zdobytą wiedzę, którą potwierdzały rozpoczęte prace ekshumacyjne, do rozsadzenia wrogiej koalicji państw zachodnich ze Związkiem Sowieckim. W kwietniu 1943 r. ogłosili o swym odkryciu, powołali też Międzynarodową Komisję Lekarską do zbadania znalezionych szczątków.

Pomimo instrumentalnego podejścia do sprawy mordu na polskich oficerach działania inspirowane przez Niemców doprowadziły do ważkich ustaleń faktycznych. Przede wszystkim dowiodły one niezbicie, że zbrodnia została dokonana w 1940 r., a więc jej sprawcami mogli być tylko Sowieci. Wyniki badań potwierdzały zeznania miejscowych mieszkańców, mówiące o transportowaniu wiosną 1940 r. autobusami więziennymi (tzw. czarnymi woronami) polskich oficerów ze stacji Gniezdowo do Kozich Gór koło Katynia, znanego miejsca rozstrzeliwań NKWD. Chociaż nikt nie widział przebiegu egzekucji, niektórzy słyszeli strzały i krzyki mordowanych.

Znaczenie odkrycia dołów śmierci w Katyniu trudno przecenić. Katyń wyjaśniał jednak tylko część ponurej zagadki „zaginionych” jeńców, mianowicie los jeńców obozu w Kozielsku. Tajemnicą pozostawało nadal to, co stało się z jeńcami dwóch pozostałych obozów. Nie było już wątpliwości, że także oni zostali wymordowani. Ale też nie było żadnej konkretnej wiedzy na ten temat.

W późniejszym okresie nie brakowało inicjatyw, które miały wyjaśnić kwestię odpowiedzialności za mord w Katyniu oraz wyświetlić los „zaginionych” jeńców polskich w Związku Sowieckim. Do najbardziej znanych należy powołanie w 1951 r. przez Izbę Reprezentantów Kongresu USA specjalnej komisji celem zbadania masakry w Lesie Katyńskim (tzw. Komisja Maddena, od nazwiska jej przewodniczącego – Raya J. Maddena). Komisja, na podstawie przeprowadzonego postępowania (przesłuchano 81 świadków), uznała winę władz ZSRS za wymordowanie polskich oficerów w Katyniu. Z uwagi na brak dowodów nie była w stanie ustalić, co stało się z jeńcami Ostaszkowa i Starobielska. Zaznaczyła jednak, w jej opinii również oni zostali zamordowani.

Na uzyskanie materiałów potwierdzających te przypuszczenia, a także innych – w sposób jednoznaczny obciążających winą za śmierć polskich jeńców wojennych w ZSRS władze tego państwa – trzeba było czekać aż do czasów gorbaczowowskiej „pierestrojki”. Przyniosły one m.in. politykę „głasności” (jawności), a w jej ramach – nie do końca zresztą szczerą – dążenie do likwidacji tzw. białych plam w historii stosunków Związku Sowieckiego z Polską w XX stuleciu. Nie bez nacisków ze strony polskiej ekipa Gorbaczowa nakazała

w 1989 r. Prokuraturze ZSRS, KGB, MSZ podjęcie działań, które miały doprowadzić do wyświetlenia sprawy rozstrzelania polskich jeńców w Katyniu.

Wspomniane instytucje nie znalazły nowych elementów w sprawie zbrodni w Katyniu. Jednak jeszcze w tym samym roku w Państwowym Archiwum Specjalnym Głównego Zarządu Archiwów przy Radzie Ministrów ZSRS prowadzący tam badania historycy odkryli liczne dokumenty archiwalne dowodzące udziału NKWD w likwidacji polskich jeńców w 1940 r. w czasie wizyty prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego w Moskwie, 13 kwietnia 1990 r., prezydent Gorbaczow przekazał dwie teczki zawierające część odnalezionej dokumentacji. Były to głównie imienne listy dyspozycyjne (listy śmierci) jeńców obozów w Kozielsku i Ostaszkowie. Tego samego dnia ukazał się komunikat Agencji TASS, w którym strona sowiecka przyznała, że odpowiedzialność za wymordowanie polskich jeńców w Lesie Katyńskim, określona mianem ciężkiej zbrodni stalinizmu, ponoszą Beria, Mierkułow i ich pomocnicy.

We wrześniu tego samego roku śledztwo w sprawie rozstrzelania polskich jeńców wojennych powierzono Głównej Prokuraturze Wojskowej ZSRS. W śledztwie tym aktywną rolę odgrywała polska Prokuratura Generalna i powołani przez nią w charakterze biegłych specjaliści z różnych dziedzin wiedzy, wykonujący czynności w ramach tzw. pomocy prawnej.

Śledztwo, którym osobiście interesował się prezydent ZSRS, nabrało dużego rozmachu i tempa. Latem 1991 r. – przy udziale przedstawicieli strony polskiej, z zastępcą Prokuratora Generalnego RP Stefanem Śnieżką na czele – przeprowadzono ekshumacje w Charkowie (6. kwartał strefy leśno-parkowej) oraz Miednoje koło Kalinina, lokalizując w sposób niebudzący żadnych wątpliwości nieznanne dotąd miejsca pochówku jeńców Starobielska i Ostaszkowa.

Kapitałne znaczenie miało przesłuchanie w latach 1990–1992 trzech funkcjonariuszy NKWD, bezpośrednio zaangażowanych w likwidację polskich jeńców: b. szefa Zarządu ds. Jeńców Wojennych Piotra Soprunienki, b. naczelnika Zarządu NKWD obwodu kalinińskiego Dmitrija Tokariewa oraz Mitrofana Syromiatnikowa, pracownika Zarządu NKWD obwodu charkowskiego. Dwaj ostatni szczegółowo opisali technikę mordowania polskich jeńców w budynkach obwodowych Zarządów NKWD, a także podali nazwiska funkcjonariuszy dokonujących rozstrzeliwań. Podane przez nich informacje były wprost bezcenne, ponieważ dokumenty wytworzone przez NKWD w czasie trwania całej „operacji”, a także zeznania innych świadków, milczą na ten temat. W październiku 1992 r. ujawniono dokumenty, z których wynikało, że odpowiedzialność za dokonaną zbrodnię spada nie tylko na Berię i jego współpracowników, ale także na kierownictwo partyjno-państwowe Związku Sowieckiego. Były to wspomniane już: propozycja Berii z 5 marca 1940 r. i uchwała Biura Politycznego z tegoż dnia.

Odnalezione dokumenty nadały Zbrodni Katyńskiej nowy, szerszy wymiar, mówiły bowiem o zamordowaniu w ramach tej samej akcji nie tylko jeńców, ale także więźniów; najpierw w liczbie 11, ostatecznie zaś ponad 7 tysięcy. Tym samym w śledztwie pojawił się zupełnie nowy wątek wymagający zbadania: wymordowanie 7305 osób cywilnych z więzień tzw. Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi.

W maju 1994 r. odnotowano pierwszy znaczący sukces w wyświetlaniu tej sprawy: Służba Bezpieczeństwa Ukrainy przekazała prokuratorowi Śnieżce odnalezioną w archiwum byłej KGB USRS w Kijowie imienną listę rozstrzelanych z więzień tzw. Zachodniej Ukrainy, na której figurowało 3435 osób. Niestety, nie odnaleziono żadnych dokumentów wytworzonych przez NKWD, mówiących o sposobie dokonania zbrodni: miejscach rozstrzeliwań, pochówku itd.

W tej sytuacji strona polska w latach 1995–1996 przeprowadziła dodatkowe ekshumacje w Charkowie, gdzie, jak podejrzewano, mogły znajdować się ofiary z tzw. Ukraińskiej Listy Katyńskiej. Prace wykopaliskowe przyniosły dość zaskakujący efekt: w miejscach

Fot. z AIPN



Fot. z AIPN



pochówku polskich oficerów z obozu w Starobielsku ujawniono ok. 400 zwłok obywateli polskich, które nie były zwłokami oficerów ani też nie udało się ich zidentyfikować jako zwłoki osób znajdujących się na „Ukraińskiej Liście Katyńskiej”. Tym samym pojawiła się kolejna zagadka w całej sprawie, do dziś niewyjaśniona – kim są osoby, których zwłoki znaleziono w Charkowie podczas ekshumacji w połowie lat dziewięćdziesiątych.

W 1996 r. Wojskowa Prokuratura w Kijowie udostępniła stronie polskiej spis przedmiotów pochodzenia polskiego, wydobytych w 1971 r. podczas ekshumacji w Bykowni pod Kijowem. Znajdowało się wśród nich, wspomniane już, prawo jazdy Franciszka Paszkiela. Niestety, na tym sukcesy definitywnie się skończyły, jeśli chodzi o pozyskiwanie dokumentacji obrazującej wymordowanie więźniów. Na Ukrainie nie odnaleziono już żadnych nowych materiałów na ten temat.

Pewne nadzieje można wiązać z umorzonym w 2001 r. przez Wojskową Prokuraturę Regionu Północnego Ukrainy śledztwem nr 50–0092. Śledztwo to doprowadziło do ustalenia, że w Kijowie pochowane są szczątki 270 niezidentyfikowanych polskich oficerów. Czy ludzi tych można wiązać z uchwałą z 5 marca 1940 r.? Nie wiadomo. Zostanie to wyjaśnione w ramach prowadzonego przez Instytut śledztwa.

Poszukiwania tzw. Białoruskiej Listy Katyńskiej nie przyniosły, jak dotychczas, żadnego rezultatu. Władze Białorusi poinformowały, że nie posiadają żadnych dokumentów związanych z rozstrzelaniem obywateli polskich w 1940 r.

Śledztwo, prowadzone początkowo z dużym dynamizmem przez Naczelną Prokuraturę Wojskową, z końcem 1992 r. zaczęło wytracać swój impet. W tym roku stronie polskiej przekazano jeszcze kserokopie 93 tomów akt śledztwa (akt w znacznej części zresztą nieczytelnych i z zaburzoną numeracją), ale widoczne były już symptomy wygaszania bliskiej dotąd współpracy. Od 1993 r. strona rosyjska zaniechała korzystania z pomocy prawnej polskiej prokuratury, a ciągu kilku kolejnych lat doprowadziła do tego, że strona polska straciła orientację co do postępów śledztwa i jego stanu.

Próba zmiany tego stanu rzeczy przyniosła w końcu 2001 r. dość zdumiewającą odpowiedź strony rosyjskiej, że wszelkie materiały śledcze zostały już Polsce przekazane. Takie stawianie sprawy zmuszało do konstatacji, że śledztwo od niemal dziesięciu lat znajduje się w martwym punkcie. Budziło to, ze wszech miar zrozumiale, zaniepokojenie polskiej opinii publicznej.

Próbie skierowania sprawy śledztwa „katyńskiego” na nowe tory stanowiła wizyta delegacji Instytutu Pamięi Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, z prezesem Instytutu, prof. Leonem Kieresem, oraz dyrektorem Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, prof. Witoldem Kuleszą, w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej w Moskwie w sierpniu 2004 r. W trakcie rozmów stronie polskiej okazano materiały śledztwa, na które składało się 157 tomów akt, czyli o 64 tomy więcej, aniżeli, jak wynikało z deklaracji strony rosyjskiej, miało stanowić całość materiałów śledczych (93 tomy). Delegacja Instytutu Pamięi Narodowej uzyskała zgodę na zapoznanie się przez prokuratora i historyka z IPN z „dodatkowymi”, nieznanymi jej dotąd tomami, co pozwoliłoby wyrobić sobie zdanie na temat aktualnego stanu sprawy. Do przyjazdu przedstawicieli IPN miało dojść szybko, jeszcze w sierpniu 2004 r.

Ku zdziwieniu władz Instytutu, które zaraz po powrocie podjęły przygotowania do wyekspediowania swych przedstawicieli do Moskwy, zaproszenie do złożenia wizyty w siedzibie Naczelnej Prokuratury Wojskowej nie nadchodziło. Wreszcie we wrześniu 2004 r. strona rosyjska poinformowała, że wizyta będzie możliwa dopiero wówczas, gdy z dokumentów, które miały być badane przez przedstawicieli IPN, zostanie zdjęta klauzula taj-

ności. Deklaracja ta była zaskakująca, w trakcie wizyty w Moskwie bowiem problem tajności tych dokumentów nie był w ogóle podnoszony.

Nie był to koniec działań strony rosyjskiej, które, co zrozumiałe, musiały budzić pewną konsternację w IPN. Oto bowiem 21 września 2004 r. Naczelną Prokuraturę Wojskową umorzyła śledztwo w sprawie Zbrodni Katyńskiej. Pomimo wielokrotnych próśb IPN nie udostępniono uzasadnienia decyzji o umorzeniu śledztwa.

Zaistniała sytuacja skłoniła IPN do podjęcia refleksji nad zasadnością wszczęcia własnego śledztwa w sprawie Zbrodni Katyńskiej. Z różnych źródeł wiadomo było, że śledztwo zakończono uznaniem Zbrodni Katyńskiej za ulegające przedawnieniu zabójstwo, odrzucając tym samym postulowane przez stronę polską uznanie jej za zbrodnię ludobójstwa, zbrodnię wojenną i zbrodnię przeciwko ludzkości.

Taka kwalifikacja prawna nie mogła być zaakceptowana przez IPN, rozmięta się też z oczekiwaniami i poczuciem sprawiedliwości całego społeczeństwa polskiego. Dodajmy, że przyjęta kwalifikacja sprawiała, że liczbę osób odpowiedzialnych za popełnienie zbrodni ograniczono do kilku osób z kręgów kierowniczych ZSRS. Analizy dokonane w IPN doprowadziły do wniosku, że polskie śledztwo w sprawie Zbrodni Katyńskiej jest niezbędne. Ostatecznie więc, uwzględnivszy dzielące ten punkt widzenia głosy organizacji społecznych, z Rodzinami Katyńskimi na czele, Instytut Pamięci Narodowej 30 listopada 2004 r. wydał postanowienie o wszczęciu śledztwa w sprawie wymordowania około 22 tys. obywateli polskich na podstawie decyzji Biura Politycznego WKP(b) z 5 marca 1940 r. Zbrodnię tę zakwalifikowano jako nieulegającą przedawnieniu zbrodnię ludobójstwa, zbrodnię wojenną oraz zbrodnię przeciwko ludzkości, jednocześnie szeroko to uzasadniając na gruncie zarówno prawa polskiego, jak i międzynarodowego.

Spółeczeństwo polskie ze zrozumieniem i aprobatą przyjęło decyzję IPN, jako akt, który państwo polskie było winne swym najlepszym, wymordowanym właśnie za wierność temuż państwu obywatelom. Akt, który przywracał im godność, ponieważ przyjęto, że nie padli oni ofiarą zbrodni pospolitej (tj. zabójstwa), jak przyjęła to strona rosyjska, ale zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.

Na początku marca 2005 r. strona rosyjska powróciła do kwestii udostępnienia przedstawicielom IPN dokumentów śledztwa katyńskiego. Jednak formuła, w której miało się to dokonać, stanowiła kolejne zaskoczenie dla polskiego partnera. Oto prokurator i historyk IPN mieli otrzymać wgląd jedynie w 67 tomów akt śledztwa, pozostałe 100 tomów akt pozostało bowiem tajne. Kilkumiesięczny proces odtajniania dokumentów skutkowało więc... zwiększeniem liczby tomów akt, do których strona polska nie miała dostępu. Oczywiście takie stawianie sprawy czyniło całą propozycję bezprzedmiotową. Naczelną Prokuraturę Wojskową Federacji Rosyjskiej złożyła 11 marca 2005 r. oświadczenie, że nie znalazła



Fot. z IPN

podstaw do uznania mordu katyńskiego za zbrodnię ludobójstwa. Jednocześnie poinformowała, iż akta śledztwa w sprawie Zbrodni Katyńskiej liczą 183 tomy, z czego 116 jest tajnych, pozostałe 67 to materiały jawne, które mogą być udostępnione stronie polskiej. Z tym jednak zastrzeżeniem, że z akt tych nie można sporządzać kserokopii.

W komentarzu do powyższego oświadczenia dyrektor Głównej Komisji, prof. Witold Kulesza, podniósł, że strona rosyjska stosuje dość szczególną metodę podejścia do Zbrodni Katyńskiej, polegającą na mówieniu, czym ona nie jest, nie pokusiła się natomiast dotąd – jak strona polska – o własną kwalifikację prawną tej zbrodni i nie przedstawiła przemawiającej za nią argumentacji.

Bilans piętnastoletniego śledztwa w sprawie Zbrodni Katyńskiej jest rozczarowujący. Polska, która śledztwo to zainicjowała, zmierzając do wyjaśnienia losów zamordowanych obywateli Rzeczypospolitej i wymierzenia sprawiedliwości osobom odpowiedzialnym za ich śmierć, nie otrzymała nawet prawa do wglądu w całość materiału śledczego. Nie udostępniono jej też decyzji o umorzeniu śledztwa i jej uzasadnienia. Z prawdy o Zbrodni Katyńskiej znowu zatem robi się tajemnicę. Nie można nie zadać pytania: dlaczego?

Kara?

Śledztwo prowadzone przez rosyjską Prokuraturę Wojskową dość szybko doprowadziło do ujawnienia trzech żyjących funkcjonariuszy NKWD, zaangażowanych w mordowanie polskich oficerów wiosną 1940 r. Byli to wspomniani już Soprunienko, Tokariew i Syromiatnikow. Ich zeznania nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości, że są to zbrodniarze, którzy powinni zostać aresztowani i oskarżeni o współudział w dokonaniu zbrodni. Pomimo to rosyjska prokuratura potraktowała ich inaczej, uznając za... świadków zbrodni. Śmierć całej trójki w kilka lat po rozpoczęciu śledztwa zamknęła ewentualną możliwość zmiany ich aż nadto komfortowego statusu, który im przyznano. Prowadzone zaś dalej śledztwo steroowało coraz wyraźniej w kierunku ograniczenia odpowiedzialności za mord na Polakach do garstki nieżyjących już członków Politbiura i „wierchuszki” NKWD.

Przy innej niż zastosowana kwalifikacji prawnej taki kierunek śledztwa byłby niemożliwy: należałoby ustalić wszystkie osoby, które w taki czy inny sposób brały udział w zbrodni, a żyjącym postawić zarzuty. Niestety, do tego nie doszło, a umorzenie śledztwa i późniejsze problemy z zapoznaniem się z zebrany w jego trakcie materiałem nie pozwalają odpowiedzieć na pytanie, ile osób i kto personalnie ponosi odpowiedzialność za wymordowanie polskich obywateli.

Polskie śledztwo, trzeba sobie wyraźnie z tego zdawać sprawę, nie może zakończyć się procesem sprawców, nawet jeśli takowi jeszcze żyją, albowiem prawo Federacji Rosyjskiej nie dopuszcza wydawania obywateli Federacji organom wymiaru sprawiedliwości innego państwa w celu osadzenia. W przedstawionej sytuacji prawnej perspektywa ukarania być może jeszcze żyjących sprawców Zbrodni Katyńskiej rysuje się w najlepszym razie niejasno. Tym bardziej więc należy dołożyć wszelkich starań, by Zbrodnia Katyńska została wyjaśniona do końca.

Naszym moralnym obowiązkiem jest ustalenie pełnej listy ofiar, personaliów zbrodniarzy, mechanizmu podejmowania zbrodniczej decyzji oraz odtworzenie przebiegu jej realizacji. Póki kwestie te nie zostaną wyświetlone w sposób wyczerpujący, Zbrodnia Katyńska będzie się kładła cieniem na stosunki polsko-rosyjskie teraz i w przyszłości.

Rozumie to Polska. Czy zrozumie Rosja?

KOMISJA KATYŃSKA KONGRESU USA (1951–1952)

W roku 1951 Izba Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych powołała do życia komisję do zbadania okoliczności Zbrodni Katyńskiej. Od popełnienia przez Sowietów w roku 1940 mordu na oficerach polskich minęło 11 lat, od jego ujawnienia przez Niemców w roku 1943 lat 8. Przyczyny podjęcia w tym właśnie momencie przez jeden z najwyższych organów władzy USA kwestii zbrodni należy upatrywać w ówczesnej sytuacji międzynarodowej.

Jeszcze w czasie II wojny światowej mocarstwa anglosaskie: USA i Wielka Brytania, otrzymywały wiarygodne informacje o charakterze, rozmiarze i sprawcach straszliwego mordu na polskich jeńcach. Obawiając się jednak wyjścia ZSRS z koalicji antyhitlerowskiej, wołały w tej sprawie milczeć, co faktycznie oznaczało akceptację szerzonej przez propagandę sowiecką kłamliwej wersji, spreparowanej przez Komisję Specjalną Nikołaja Burdenki w roku 1944, o odpowiedzialności niemieckiej za zbrodnię. Franklin D. Roosevelt osobiście pilnował, by informacje o Katyniu nie psuły atmosfery stosunków amerykańsko-rosyjskich. Również po wojnie podejmowanie sprawy Katynia, wobec chęci szukania *modus vivendi* ze Stalinem, uznano w Anglii i Stanach Zjednoczonych – odgrywających wiodącą rolę w świecie zachodnim – za zbędny luksus. Jednak rozwój wydarzeń na świecie: rozwianie wiary Anglosasów w pokojowe współistnienie z blokiem sowieckim i początek zimnej wojny, sprawił, że w Waszyngtonie uznano za niebyły niepisany układ o niepodejmowaniu kwestii sowieckich zbrodni z czasów wojny, respektowany od procesu norymberskiego 1945–1946 do końca lat czterdziestych. Przy czym, co stanowi ironię losu, podjęcie w Waszyngtonie sprawy mordu dokonanego pod Smoleńskiem zdecydowało się na Dalekim Wschodzie. Tak jak zdecydowane przejście do polityki powstrzymywania komunizmu i rywalizacji z ZSRS rozpoczęło się w USA nie w związku z sowietyzacją Europy Środkowej, ale po szokującym Departament Stanu i większość polityków zwycięstwie komunistów w Chinach w roku 1949, tak przejście w fazę ostrej konfrontacji i determinacja do użycia szerokiej gamy środków dla zwalczania komunizmu pojawiły się po inwazji komunistycznej na Koreę, w połowie roku 1950.

Sygnalem zmiany atmosfery w USA w kierunku umożliwiającym podniesienie sprawy katyńskiej było powołanie w roku 1949 przez Arthura Bliss-Lane'a komitetu ds. zbadania mordu katyńskiego, ale była to cały czas tylko inicjatywa grupy obywateli amerykańskich (można powiedzieć: komitet społeczny), a nie władz USA. Znamienne, że jeszcze w roku 1950 Departament Stanu (spraw zagranicznych), za pośrednictwem urzędników rozgłośni „Głos Ameryki”, polecił usunąć wszystkie wzmianki o Katyniu (włącznie z samym słowem Katyń) z audycji Józefa Czapskiego¹; rok później działała już oficjalna komisja najwyższej legislatury USA ds. Katynia! W arsenale działań towarzyszących otwartej wojnie w Azji klu-

¹ J.K. Zawodny, *Katyń*, Lublin–Paryż 1989, s. 151. Relację J. Czapskiego o tym zdarzeniu odnotowano w 1952 r., w protokole 82. Kongresu USA, s. 5390.

czowe zadanie przypadło bowiem propagandzie, stąd rozwój rozgłośni nadających do bloku sowieckiego, stąd też wydobyte na światło dzienne treści niewygodnych dla stojącego za komunistami chińskimi i koreańskimi Związku Sowieckiego. Choć ustanowienie komisji katyńskiej Kongresu było uwikłane w politykę chwili, nie przeszkadzało to jej w autentycznym dążeniu do prawdy i rozgłoszenia jej w świecie. Dla wielu jej członków, niezależnie od celów politycznych, wyjaśnienie prawdy materialnej i napiętnowanie winnych stało się niewątpliwie, zwłaszcza w toku wychodzenia na światło dzienne straszliwych faktów, motywem zasadniczym i niepotrzebującym innych uzasadnień.

Podstawa prawna, zasady procedowania i skład personalny komisji

„Komisja specjalna do przeprowadzenia śledztwa w sprawie faktów, wydarzeń i okoliczności masakry w lesie katyńskim” – tak brzmiała oficjalna nazwa organu, określanego z reguły skrótowo mianem komisji katyńskiej Kongresu – została powołana przez Izbę Reprezentantów 82. Kongresu na mocy rezolucji nr 390 w roku 1951. Czynności miała rozpocząć na początku roku 1952. Podstawy formalne jej działań oraz zadania przed nią postawione zostały określone we wspomnianej uchwale izby niższej amerykańskiego parlamentu. Konstrukcja prawna komisji wpisywała się w tradycję funkcjonowania podobnych, wkraczających śmiało w domenę władzy sądowniczej ciał śledczych, powoływanych przez najwyższą władzę ustawodawczą Stanów Zjednoczonych i zadających kłam rzekomo wzorcowemu trójpodziałowi władz. Komisja (*committee*) była ciałem o uprawnieniach prokuratorских, niestawienie się na jej wezwanie czy utrudnianie jej działań w inny sposób podlegało sankcji (*subpena*). Miała ona kończyć działania nie wydaniem wyroku, lecz ogłoszeniem raportu końcowego, którego treść zawierała: orzeczenie o prawdzie w materii podlegającej jej badaniu oraz wnioski dla Kongresu co do dalszego postępowania w sprawach stanowiących pole zainteresowania komisji. Czytelnik polski najprościej może uzmysłowić sobie charakter amerykańskich komisji Kongresu tego typu przez odniesienie do działań współczesnych komisji śledczych Sejmu RP, wzorowanych na komisjach zza oceanu. Pamiętajć jednak należy o niepodważalnym dla nikogo autorytecie odpowiednich komisji Kongresu i głęboko, już w czasie funkcjonowania komisji katyńskiej, ugruntowanej praktyce ich działania. Przykładem komisji o uprawnieniach śledczych mogły być: Komisja Izby Reprezentantów ds. Działalności Antyamerykańskiej oraz Senacka Podkomisja Bezpieczeństwa Wewnętrznego McCarthy’ego. Komisja Izby Reprezentantów działała od 1941 r., najpierw zwalczała infiltrację nazistowską, następnie komunistyczną (w latach 60. została przekształcona i przemianowana), a jej najstynniejszym członkiem był Richard Nixon. Podkomisja senacka zastąpiła w związku z krytyką Hollywood, w latach 50., gdy przewodził jej senator McCarthy, tropiący skutecznie członków i sympatyków Komunistycznej Partii Ameryki. Podobieństwo tych komisji z katyńską dotyczy tylko śledczych form działania, gdyż pola aktywności i stały charakter dwóch pierwszych przydawał im oczywiście szczególnego, niepomniernie większego znaczenia, co właśnie sprawiało, że dla bardziej okazjonalnych ciał mogły być wzorcem postępowania. Konkretny cel działania, mogący dotyczyć bardzo szerokiej gamy zagadnień, przede wszystkim wewnętrznych, ale jak widzimy na przykładzie katyńskim, również międzynarodowych, każdorazowo określała Izba w rezolucji. W sumie zapewniało to dużą sprawność i skuteczność tych instytucji.

Zgodnie z praktyką parlamentarną USA Kongres ma pełną swobodę w formowaniu komisji i obdarzaniu ich wyznaczonymi zadaniami; pamiętać należy, iż komisje są każdorazowo

zapisywane w regulaminie, a ewentualna stałość ich zadań, jak w wypadku np. komisji budżetu lub obrony, wynika z tradycji i przyzwyczajenia. Regulamin, inny dla Izby Reprezentantów, inny dla Senatu, ustalają dowolnie kongresmani. Kongres stosuje takie metody w swoim działaniu, jakie sam uzna za stosowne dla rozwiązania stojącego przed nim zadania, przy czym nie mogą one naruszać konstytucyjnego porządku. W wypadku sprawy katyńskiej uznał za właściwe powołanie specjalnej komisji, której cel działania jasno sprecyzował: przeprowadzenie dogłębnego śledztwa nad faktem i okolicznościami masakry tysięcy polskich oficerów pochowanych w masowym grobie w lesie katyńskim (o Miednoje i Charkowie nadal nie wiadomo) pod Smoleńskiem, na terenie okupowanym w chwili ujawnienia zbrodni przez Niemców, a wcześniej przez ZSRS. Dochodzeniem miały być też objęte wypadki mające miejsce zarówno bezpośrednio przed dokonaniem zbrodni, jak i po jej dokonaniu (sprawcy w samej rezolucji nie wymieniano, pozostawiając to ustaleniom komisji). Całość postanowienia zwykle była zwięzła i komunikatywna, co pozwalało postronnym obserwatorom łatwo zrozumieć motywy powołania komisji. Lapidarna była też rezolucja katyńska (por. tekst źródłowy).

Członków komisji katyńskiej, na mocy rezolucji i zgodnie z praktyką, powołał Przewodniczący (*Speaker*) Izby Reprezentantów po przeprowadzeniu wcześniejszych konsultacji z przywódcami demokratów i republikanów w Izbie, co miało zapewniać reprezentatywność organu i pomóc w selekcji przydatnych dla jego działań członków. Działania komisji w tym przypadku nie dotyczyły najżywoźniejszych interesów głównych sił politycznych kraju, kluczowe znaczenie przy przydziale miała niewątpliwie chęć uczestnictwa w jej pracach. Jak się zdaje, sporów o miejsca nie było, na co może wskazywać dublowanie się reprezentantów z jednego stanu. Motywami mobilizującymi do zgłoszenia chęci pracy w komisji katyńskiej mogły być: znajomość i wcześniejsze zaangażowanie w propagowanie wiedzy o zbrodniach sowieckich czy szerzej działalność antykomunistyczna. W skład komisji katyńskiej weszli: Daniel L. Flood z Pensylwanii, Thaddeus M. Machrowicz z Michigan, George A. Dondero również z Michigan, Foster Furcolo z Massachusetts, Alvin K. O’Konski z Wisconsin, Timothy P. Shennan z Illinois oraz Ray J. Madden z Indiany. Ostatni z wymienionych został powołany na przewodniczącego komisji, nazywanej potem często od jego nazwiska komisją Maddena. Przewodniczący, odpowiedzialny za organizację jej prac, *de facto* decydował o dynamice i sprawności działań całego organu, ustalając daty i porządek posiedzeń, prowadząc je, a tym samym i odbywające się na nich przesłuchania. Komisja pracowała również z dokumentami i opiniami biegłych, korzystając oczywiście z zaplecza eksperckiego. Kierował nim, również osobiście zadający świadkom pytania, szef jej biura i zespołu ekspertów John J. Mitchell². Uchwały komisji, w tym raport końcowy, zapadały, jako nie regulowane żadnymi specjalnymi zasadami, zwykłą większością głosów, przy zwykłym kworum, co w praktyce oznaczało konieczność oddania trzech głosów „za” w obecności czterech członków komisji. W pracach tej akurat komisji wyliczenia takie nie miały jednak znaczenia, zarówno ze względu na jej specjalny charakter, jak i nietraktowanie zagadnienia jako źródła wewnątrzamerykańskich napięć, np. na linii demokracji–republi-

² „Chief Counsel” w zwykłym postępowaniu przed sądem pełni funkcję głównego prawnika strony, np. w procesie cywilnym. Przewodniczącemu Izby pomocy, głównie prawnej, dostarcza „office of counsel general”. W poszczególnych komisjach kongresowych są również zespoły ekspertów, szefem takiego zespołu oraz całego biura, odpowiedzialnego za przygotowanie materiałów dla komisji, był J. Mitchell. Na jego wniosek załączano do protokołów większość świadectw (*exhibits*) zbrodni, które komisja otrzymywała z różnych źródeł. Mitchell brał również istotny udział w przesłuchaniach, np. płk. Stewarta (por. przyp. 3).

kanie; przeciwnie, dążono, z sukcesem, do jednomyślności, a jedyny problem stanowiło raczej gromadzenie kworum (*vide* posiedzenie inauguracyjne) niż zebranie większości dla przegłosowania wniosku. W tej komisji poglądy „ucierano” jak na wyjątkowo spokojnym sejmie w szesnastowiecznej Polsce, jeśli by użyć takiego „polskiego” porównania.

Sam skład komisji był bardzo znamienity i bardzo... polski. Thaddeus (Tadeusz) Machrowicz z Michigan był kongresmanem polskiego pochodzenia, korzeni polskich można doszukiwać się także u Alvina O’Konskiego (Okońskiego?) z Wisconsin, którego nazwisko złośliwie komentowała następnie prasa PRL. Timothy Shennan był kongresmanem ze skupiającego ówczasie absolutnie najliczniejszą Polonię w USA stanu Illinois, w którym położone jest najbardziej „polskie” miasto Ameryki Chicago (szczególnie wyraźne było to wówczas, kiedy nowojorski Greenpoint nie mógł jeszcze konkurować z chicagowskim Jackowem). Kolejnym stanem zamieszkanym przez bardzo liczną Polonię było Michigan z wielkoprzemysłowym Detroit. Dla Machrowicza, występującego jako polityk pochodzenia polskiego, i startującego z Illinois Shennana pozyskanie Polonii i jej głosów w wyborach było niewątpliwie sprawą kluczową z punktu widzenia szans reelekcji. Wytknęła im to prasa komunistyczna w Polsce, suponując, że ich zaangażowanie w sprawę płynęło wyłącznie z właściwego zgniliznie zachodniej demokracji karierowiczostwa i chęci pozyskania głosów w kolejnych wyborach. Warto zauważyć, na co nie zwrócili uwagi warszawscy propagandyści, że faktycznie również cała reszta członków komisji pochodziła z obszaru Ameryki zamieszkiwanego przez znaczącą liczbę ich współobywateli pochodzenia polskiego, a mianowicie: północnego wschodu i rejonu Wielkich Jezior z Detroit i Chicago; nawet mniej „polska” Indiana Maddena graniczy wszak z Illinois, Michigan i Ohio. Nadreprezentacja osób pochodzenia polskiego, w tym najświeższej wówczas emigracji wojennej, w stanach kongresmanów wyznaczonych do komisji była uderzająca; nikt nie wywodził się z głębokiego Południa i Zachodu, gdzie tradycyjnie żyło bardzo mało Polaków. Stwierdzić jednak należy, że geograficzno-etniczny aspekt konstrukcji komisji, jak i inne, *stricte* amerykańskie uwarunkowania jej działań (włącznie z relacjami pomiędzy kongresmanami a administracją) nie odegrały podczas samych jej prac istotnej roli.

Dla sprawy Katynia najważniejsze było, że – powstała w bezpośrednim związku z polityką światową, uwarunkowana w składzie wewnątrzamerykańskimi stosunkami – komisja Kongresu uzyskała w roku 1951 roku zadania, uprawnienia i kształt, których właściwe wykorzystanie mogło uczynić bardzo wiele dla ujawnienia prawdy o sowieckim mordzie na polskich oficerach.

Działalność komisji katyńskiej Kongresu, 1951–1952

Komisja wedle pierwotnego planu miała rozpocząć przesłuchania dopiero w roku 1952. Jednak ze względu na nadzwyczajne okoliczności R. Madden zwołał pierwsze posiedzenie już na 11 października 1951 roku, o godzinie 9.30. Oprócz przewodniczącego spośród członków komisji obecni byli: T. Machrowicz, G. Dondero, F. Furcolo, co dawało kworum; pozostali nie mogli, bądź nie zdążyli, przybyć do Waszyngtonu na nieoczekiwane wezwanie. W posiedzeniu wzięli natomiast udział kongresmani o polsko brzmiących nazwiskach: Kluczyński z Chicago (Illinois); Siemiński (New Jersey); Sadlak (Connecticut)³. Nagłośność

³ *The Katyn Forest Massacre. Hearings before the Select Committee to Conduct an Investigation of the Facts, Evidence, and Circumstances of the Katyn Forest Massacre, Eighty-Second Congress: First Session on Investigation of the Murder of Thousands of Polish Officers in the Katyn Forest near Smolensk, Russia, Washington 1952, sesja 1, cz. 1, t. 1, s. 1 i 29.*

decyzji była spowodowana koniecznością przesłuchania świadka, który za dwa tygodnie miał udać się na front koreański, co można uznać za swoiste *memento* okoliczności politycznych, w których została powołana komisja. Tym pierwszym świadkiem był pułkownik Donald B. Stewart, który jako amerykański jeńiec wzięty do niemieckiej niewoli w lutym 1943 r. w Afryce Północnej brał udział w wyprawie oficerów alianckich do Katynia i wizji lokalnej miejsca ekshumacji pomordowanych⁴. Teraz zeznawał o tym, co zobaczył, pod przysięgą, a jako oficer amerykański, znany od roku 1936 z West Point członkowi komisji G. Dondero (co zostało zgłoszone do protokołu), był niewątpliwie świadkiem szczególnie wiarygodnym. Stąd wezwanie go i zwołanie komisji w trybie pilnym, mimo że nie działało jeszcze jej biuro i zaplecze eksperckie. Przesłuchanie Stewarta wypełniło całą pierwszą sesję komisji, inaugurując jej prace, które od początku kolejnego roku potoczyły się już planowym i dynamicznym trybem, obejmując dziesiątki przesłuchań oraz prezentacji: pisemnych zeznań, relacji, dokumentów i dowodów rzeczowych.

Drugą sesję rozpoczęto 4 lutego 1952 r. przesłuchaniem pułkownika Johna Van Vlieta⁵. Zakończono ją, formalnie finalizując część śledczą działań Kongresu w sprawie katyńskiej, przesłuchaniem generała Clayтона Bissella 14 listopada tegoż roku⁶. Równolegle prezentowano przed komisją świadectwa (*exhibits*), które po uznaniu za wartościowe numerowano i włączano do akt sprawy. Dotyczyły one samej zbrodni bądź świadków. Dokumenty, listy, memoranda, zdjęcia etc., przedstawiane niezależnie od konkretnych przesłuchań, przygotowywał dla komisji J. Mitchell; np. w początkowej (4–7 lutego) części drugiej sesji na jego wniosek załączono do protokołu korespondencję Tadeusza Romera z Wiaczesławem Mołotowem⁷. Poważną ilościowo, ale i niewątpliwie jakościowo, część świadectw stanowiły materiały dostarczone przez Rząd RP na wychodźstwie⁸ (por. schemat i plan). Niektóre świadectwa dostarczali sami przesłuchiwanymi; ostatnimi uzyskanymi tym sposobem były dokumenty dotyczące drogi życiowej i kariery gen. Bissella, a wśród nich rozkaz nadający mu Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski z podpisem Kazimierza Sosnkowskiego.

W sumie komisja przesłuchała 81 istotnych dla sprawy świadków, wzywanych czasem parokrotnie, oraz przyjęła zeznania około 200 kolejnych, których wyjaśnienia miały dla sprawy poboczne znaczenie. Ponadto zebrano około 100 pisemnych oświadczeń i relacji od świadków oraz zbadano 183 dowody rzeczowe, uzyskując przy tym wgląd do dokumentacji Departamentów: Stanu (spraw zagranicznych) i Wojny (dziś Obrony). Poza Stanami Zjednoczonymi przesłuchania komisji prowadzone były w: Londynie, Frankfurtu i Neapolu, gdzie żyli świadkowie, głównie polscy, istotni dla sprawy. Czynności prowadziła również w Berlinie specjalna podkomisja komisji R. Maddena. W samych Stanach Zjednoczonych poza stolicą posiedzenia odbywały się jeszcze w Chicago. Wśród świadków komisji był np.

⁴ *Ibidem*, cz. 1, t. 1, s. 3 i n. Stewart, wówczas w stopniu kapitana, brał udział w wyjeździe oficerów z Oflagu IX A/Z do Katynia wraz ze znanym później z roli w wyjaśnianiu sprawy katyńskiej amerykańskim pułkownikiem Johnem Van Vlietem (oraz brytyjskim płk. Stevensonem).

⁵ *The Katyn Forest Massacre. Hearings...*, sesja 2, cz. 2, t. 2, s. 32–74.

⁶ *Ibidem*, cz. 7, t. 5, s. 2298–2330. W ostatnich protokołowanych słowach R. Madden podziękował w imieniu Kongresu członkom komisji za ich zaangażowanie w pracę.

⁷ *Ibidem*, cz. 2, t. 2, s. 130–132. Podczas II wojny T. Romer był ambasadorem RP w Moskwie, a W. Mołotow Komisarzem Ludowym Spraw Zagranicznych ZSRS. Załączone listy pochodziły z 1943 r., momentu odkrycia zbrodni.

⁸ *Ibidem*, cz. 6, t. 5, s. 1621–1823, *passim*. Część szósta *Hearings* zawiera wyłącznie materiały Rządu RP, określone jako *white paper*, czyli biała księga zbrodni katyńskiej.

pisarz Ferdynand Goetel, uczestnik słynnej misji do Katynia w roku 1943 i autor raportu o mordzie dla Międzynarodowego Czerwonego Krzyża; osoba tyleż zasłużona dla wyjaśnienia sprawy Katynia, co budząca kontrowersje w związku z niesprawiedliwym zarzutem kolaboracji z Niemcami. Listę interesujących świadków można ciągnąć długo, ograniczymy się do podania jeszcze dwóch, wiele mówiących nazwisk: byłego premiera rządu polskiego na emigracji Stanisława Mikołajczyka i byłego ambasadora USA w Moskwie W. A. Harrimana, zeznających w drugiej fazie działań komisji (3 czerwca–14 listopada), gdy koncentrowała się ona na naświetleniu kontekstu zbrodni, której anatomię już poznała i solidnie udokumentowała. Znanym stał się też, tyle że nie ze względu na (wątpliwą) wartość merytoryczną składanych zeznań, ale sposób ich złożenia, świadek *incognito* „Joe Doe”⁹, który stanął przed komisją zamaskowany, na czym używała sobie potem propaganda peerelowska (por. karykatura Sz. Kobylińskiego).

Całość zapisu przesłuchań świadków przed komisją i załączone do nich świadectwa (ale nie wszystkie materiały ze śledztwa) na podstawie protokołów zaczęto wydawać już od stycznia roku 1952, jako oficjalny druk kongresowy, na użytek członków komisji i innych kongresmanów (por. ilustracja). Edycja, licząca pięć tomów i przeszło dwa tysiące stron, nie została dotychczas w Polsce przyswojona; w drugim obiegu część pracy wydał Instytut Katyński w Krakowie (tzw. Macedońskiego); zeznanie F. Goetla przypomnieli dopiero niedawno, całkiem słusznie jako sporą ciekawostkę, Stanisław M. Jankowski i Ryszard Kotarba¹⁰. Wydawnictwo Kongresu z zapisem tak istotnego dla wyjaśnienia sprawy katyńskiej dochodzenia nie znalazło się w zasobach bibliotecznych KŚZpNP, a tym samym obecnie IPN. Jeden z nielicznych przekazanych do Polski egzemplarzy znajduje się w Bibliotece Sejmowej, opatrzony pieczęcią kongresmana Raya Maddena, wskazującą go jako darczyńcę¹¹ (por. ilustracja na stronie 79).

Konkluzją końcową, sformułowaną jeszcze w 1952 roku, a wynikającą z zasygnalizowanych prac komisji w latach 1951–1952, było jednomyślne stwierdzenie przez jej członków odpowiedzialności sowieckiego aparatu bezpieczeństwa (chodziło oczywiście o NKWD) za wymordowanie tysięcy polskich oficerów w Katyniu, co do których liczby oraz ewentualnych innych miejsc kaźni i pochówku nadal pozostało wiele niejasności. Tym samym zbrodnia obciążała Związek Sowiecki, który wymieniono jako państwo, choć ponieważ nie dysponowano znanymi nam dziś dokumentami, nie orzekano o winie takich czy innych naczelnych władz partyjno-państwowych, np. Politbiura lub imiennie ich członków, np. Stalina i Berii. Przypomnijmy przy tym, że nie był to wyrok wskazujący i skazujący winnych, lecz raport o stanie faktycznym zleconej przez Izbę Reprezentantów sprawy. Wraz z opisem prawdy materialnej komisja przedstawiła Kongresowi wnioski co dalszego postępowania, czyli su-

⁹ *Ibidem*, cz. 2, t. 2, s. 144–160. Ochrona świadków w trakcie procesu i po nim, a nawet nadawanie skruszonym oskarżonym statusu świadka koronnego i zapewnianie im anonimowości (obecnie z oporami wprowadzane w Polsce), jako tradycja USA, nie były znane na gruncie polskim, co stanowiło dogodny punkt wyjścia do ośmieszania w prasie PRL tego wydarzenia. Joe Doe przedstawił się do protokołu (zeznawał po polsku za pośrednictwem tłumacza) jako urodzony w Polsce (44 l.), który przeszedł w 1940 r. przez Pawliszczew Bor.

¹⁰ S.M. Jankowski, R. Kotarba, *Literaci a sprawa katyńska*, Kraków 2004, il. po s. 112: faksymilia strony zeznań Goetla z 17 IV 1952 r.; wcześniej przytaczał je J.K. Zawodny, *op. cit.*, s. 141 i 155.

¹¹ *The Katyn Forest Massacre. Hearings...*, sesja 1–2, cz. 7, t. 5, United States Government Printing Office, Washington 1952. Część tomów w Bibliotece Sejmowej, ksero z oryginału; poza tym egz. w Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Szpilki

Cena 60 gr

W NUMERZE:

BRUDZIŃSKI ♦ JURANDOT
KERN ♦ PRUTKOWSKI

JWARDZIWA CNOTA KRYTYK SIĘ NIE BOI (KRAJCEK)

№ 11 (155)

Rok XVIII

16.II.1932



rys. Eugen Kobyliński

*Celownik w masce przed komisją Kongresu amerykańskiego:
– Jestem nocnym świadkiem Katynia!...*

gestie, co dalej robić z poznanymi w trakcie czynności faktami. Komisja zaproponowała przekazanie Zgromadzeniu Ogólnemu Narodów Zjednoczonych pisemnych zeznań, wraz z innymi materiałami dowodowymi i wynikami jej dochodzenia, celem wniesienia do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości pozwu przeciw ZSRS o popełnienie zbrodni, stanowiącej pogwałcenie praw wszystkich cywilizowanych narodów. Rekomendację tę w trakcie dalszych prac w Kongresie uzupełniono zapisem, aby w sytuacji niepodjęcia przez Narody Zjednoczone proponowanych działań prezydent USA zwrócił się o pomoc do międzynarodowej komisji, złożonej z przedstawicieli innych niż Niemcy i Rosjanie narodów, która odegrałaby rolę ławy przysięgłych, zapoznaby się z zeznaniami świadków i materiałem dowodowym dotyczącym zbrodni katyńskiej, a po zaprotokołowaniu swoich ustaleń wydała zalecenia zgodne z wymogiem sprawiedliwości¹². Była to w istocie propozycja przeprowadzenia na arenie międzynarodowej dochodzenia podobnego amerykańskiemu.

Skutki i ocena działań komisji Maddena

Wypracowane przez komisję Maddena propozycje nie zostały zastosowane w praktyce. W życie nie weszła koncepcja postawienia sprawy katyńskiej na forum ONZ i osądzenia jej przed Międzynarodowym Trybunałem. Mimo funkcjonowania w latach pięćdziesiątych prozachodniej większości w ONZ, działanie na jej forum wprost przeciwko interesom sowieckim było w praktyce niemożliwe. Pamiętać należy, że korzystnej dla USA rezolucji w sprawie koreańskiej nie zawetowano w Radzie Bezpieczeństwa ONZ tylko dzięki opuszczeniu obrad Rady przez delegację sowiecką¹³. Narody Zjednoczone, targane walką dwóch bloków, a jednocześnie determinowane wolą części reprezentowanych państw dążących do rozładowania skrajnego napięcia w świecie, wywołanego wojną w Korei, nie były absolutnie zdolne do przeprowadzenia działania uderzającego w interes Sowieców i ich satelitów; nawet w imię prawdy. Nie udało się też sformować specjalnej komisji międzynarodowej. W tym wypadku legislatura, mniej uczulona na uwarunkowania polityki międzynarodowej, zobligowała władzę wykonawczą do aktywności, której charakter nie był jasno określony, i której precyzyjnej wizji nie miał chyba sam uchwałodawca. Wprowadzona jako poprawka (zapewne wobec przewidywanego fiaska w ONZ) propozycja bazowała wyraźnie na doświadczeniu samej komisji katyńskiej, które miano przenieść na grunt międzynarodowy. Stworzenie jednak podobnego ciała, z założenia poza strukturami Narodów Zjednoczonych, było zadaniem z wszech miar politycznie i prawnie karkołomnym, trudno się więc dziwić, że nie zostało zrealizowane.

Fiasko tych propozycji można również wyjaśnić dojściem do głosu różnic w podejściu do sprawy katyńskiej i zagadnienia walki ze Związkiem Sowieckim pomiędzy poszczególnymi instytucjami i postaciami amerykańskiego życia publicznego. Duża grupa kongresmanów, wojskowych, nie tworzących co prawda na gruncie amerykańskim polityki, ale mających wśród siebie np. niepozbanionego ambicji politycznych generała Douglasa McArthura,

¹² Protokół 82. Kongresu USA, 1952, s. 8864; poprawka *ibidem*, s. 9240 [za:] J.K. Zawodny, *op. cit.*, s. 152 i 158. Raport końcowy komisji został przyjęty jako raport Izby Reprezentantów nr 2430 (82. Kongres, sesja 3, 1952 r.).

¹³ Rosjanie nie uczestniczyli w obradach w proteście przeciwko reprezentowaniu Chin w ONZ (i RB) przez Rząd Narodowy Republiki Chińskiej (Kuomitangu), rezydujący od 1949 r. na Tajwanie, a nie Rząd Robotniczo-Chłopski Chińskiej Republiki Ludowej (KPCh), rządzący na kontynencie; uchwałę koreańską, podjętą przy własnej absencji, oprotestowali jako nieformalną, odmawiając jej uznania.

USA 150
THE KATYN FOREST MASSACRE

HEARINGS

BEFORE THE

SELECT COMMITTEE TO CONDUCT AN
INVESTIGATION OF THE FACTS, EVIDENCE,
AND CIRCUMSTANCES OF THE
KATYN FOREST MASSACRE
EIGHTY-SECOND CONGRESS

SECOND SESSION

ON

INVESTIGATION OF THE MURDER OF THOUSANDS OF
POLISH OFFICERS IN THE KATYN FOREST
NEAR SMOLENSK, RUSSIA

PART 7

Printed for the use of the Select Committee To Conduct an Investigation
of the Facts, Evidence, and Circumstances of the Katyn Forest Massacre

JUNE 3, 4, AND NOVEMBER 11, 12, 13, 14, 1952



FROM
RAY J. MADDEN
Congressman
FIRST DISTRICT - INDIANA

a nawet sterników Departamentu Obrony, była skłonna nagłaśniać prawdę o Katyniu i używać jej jako ostrego narzędzia w wojnie politycznej i propagandowej z komunizmem. Ale już bezpośrednio odpowiedzialny w administracji prezydenckiej za politykę zagraniczną Departament Stanu był wyraźnie odmiennego zdania. Interesujące może być zestawienie, wspomnianego już, sprzeciwu Departamentu Stanu z roku 1950 wobec nagłaśniania sprawy katyńskiej z ostentacyjnie przychylną postawą Departamentu Obrony w początkach samego śledztwa, która umożliwiła przesłuchanie pułkownika Stewarta, przed jego służbowym wyjazdem do Korei, za co solennie podziękował przewodniczący R. Madden¹⁴. Wskazywałoby to na dysonans w podejściu do sprawy Katynia pomiędzy jastrzębiami z Departamentu Wojny a gołębiami z Departamentu Stanu.

W ostatecznym rozrachunku, w ramach administracji, arbitrem w sporach pomiędzy departamentami był prezydent. Trudno powiedzieć coś bliższego na temat osobistego stosunku prezydenta Harry'ego Trumana do prac komisji. Raport komisji, przyjęty przez Kongres, wraz z wnioskami został przekazany do Białego Domu. Pamiętać jednak należy, że wedle zgodnej opinii amerykańistów, prezydent nie czyta tekstów dłuższych niż jedna-półtorej strony. Kwestii dotarcia z omawianą sprawą „do ucha” prezydenta Trumana nie sposób więc rozstrzygnąć. Można natomiast stwierdzić, że ostatecznie ani demokracja Truman, ani żaden inny prezydent nie podniósł sprawy katyńskiej, choć dysponował ustaleniami i postulatami Kongresu.

Przyczynić się do tego mógł również koniec kadencji prezydenckiej. W 1952 roku w Stanach Zjednoczonych wybory prezydenckie, w czasie prac komisji trwała kampania, a w momencie gdy jej prace dobiegły końca, odbyły się wybory. Po wyborach prezydent sprawował jeszcze formalnie urząd do końca roku, ale jest oczywiste, jakkolwiek cynicznie by to zabrzmiało, że miał już inne problemy niż inicjowanie nowego tematu w polityce zagranicznej. To samo dotyczyło dużej części urzędników, szczególnie że wygrał przedstawiciel konkurencyjnej partii, republikanin Dwight Eisenhower. W systemie „podziału łupów” oznaczało to konieczność szukania nowej pracy. Faktycznie ani prezydent Truman, ani jego urzędnicy nie mieli czasu na wdrożenie działań postulowanych przez komisję. Zajęcie się tą kwestią przez nową administrację, tuż po wyborach, było ze zrozumiałych względów jeszcze mniej realne. Nowa ekipa musiała przejąć administrację przed podjęciem się realizacji ryzykownych inicjatyw, jak zwykle też preferowano te zrodzone już w nowej kadencji.

Prezydent Eisenhower, niezależnie od wskazanych ograniczeń, przystąpił do realizacji obietnic wyborczych, wyznaczających priorytety rządu. Była wśród nich walka z komunizmem, a tu kwestia katyńska mogła wydawać się użytecznym narzędziem. Elekt obiecał jednak także zakończenie konfliktu koreańskiego. Tymczasem o ile w wypadku działań Kongresu na gruncie amerykańskim sprawa miała przede wszystkim wymiar propagandowy, o tyle podjęcie sprawy przez administrację wyprowadzało ją na arenę międzynarodową, powodując ostry konflikt dyplomatyczny z ZSRS. Eisenhower zaś bezpośrednio po wyborze dążył do zakończenia konfliktu w Korei. Spotkał się w tym dążeniu z polityką Moskwy i w 1953 roku doszło do podpisania porozumienia pokojowego. Nie był to moment, w którym USA chciałyby podejmować sprawę zbrodni sowieckiej z czasu II wojny światowej. W roku 1954 skończyła się kadencja Kongresu, z którego demokratyczną większością w Izbie Reprezentantów walczył prezydent, w nowej izbie przewagę nadal mieli demokraci, co nie sprzyjało podejmowaniu jej inicjatyw, tym bardziej tych starych. W sumie czynniki te sprawiły, że postulaty komisji trafiły do lamusa historii.

¹⁴ *The Katyn Forest Massacre. Hearings...*, sesja 1, cz. 1, t. 1, s. 1. Dziękuję Maciejowi H. Jabłońskiemu za konsultację amerykańską.



The population of these camps amounted approximately to—

Kozielsk.....	4, 500
Starobielsk.....	4, 000
Ostashkov.....	6, 500
Total approxi.....	15, 000

Obozy jeńców polskich w ZSSR oraz miejsce mordu w Katyniu wraz z szacunkowym zestawieniem liczby przetrzymywanych w: Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkuwie.

Strona 1625 wydawnictwa Kongresu USA z 1952 roku.

Niezrealizowanie wytycznych Kongresu co do postępowania z ustaleniami Komisji nie oznaczało jednak, że praca kongresmanów poszła na marne. Zaryzykować można wręcz twierdzenie, że omawiane postulaty komisji nie należały do najistotniejszych wyników jej prac. Koncepcje zaangażowania ONZ i tworzenia komisji międzynarodowej były od początku mało realne. Pozostało coś ważniejszego – dorobek komisji w zakresie wyświetlenia i rozpropagowania prawdy o zbrodni na oficerach polskich w Katyniu. Ustalono ponad wszelką wątpliwość masowy charakter zbrodni, rok 1940 jako datę jej popełnienia i prawdziwych jej sprawców – rosyjskich komunistów. Ustalenia te potwierdzały oczywiście znaną już wcześniej Polakom prawdę, ale o ich wielkiej wadze nie decydowała nowość. Istotne było, że werdykt, choć bez wyroku, został wydany przez instytucję państwa niebędącego stroną, ani nawet uczestnikiem, tragicznych wydarzeń sprzed dwunastu lat, a równocześnie państwa o olbrzymim znaczeniu i autorytecie międzynarodowym. Autorytet ten, nawet jeśli usilnie podważany zza żelaznej kurtyny, sprawiał, że od tego momentu nie mogło być już mowy o niepodzielnym panowaniu sowieckiej wersji wydarzeń. W Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanii, w całej tzw. anglosferze, a do pewnego stopnia i w całym niekomunistycznym świecie, prawda nie mogła być już od tej pory zagłuszona. Mogła być ta prawda nadal dla Zachodu mało interesująca, mogła podlegać świadomemu przemilczaniu, ale od momentu, w którym została zaprotokołowana w dokumentacji komisji Kongresu USA R. Maddena, była faktem politycznym i prawnym.

Najlepszym zaś chyba świadectwem znaczenia działań Komisji było rozpętanie, w reakcji na jej prace, największej w dziejach fałszerstwa kampanii propagandowej Moskwy i Warszawy, mającej na celu podtrzymanie kłamstwa katyńskiego.

Dokument

[H. Res. 390, 82d Cong., 1st sess.]¹⁵

REZOLUCJA

Postanawiamy, iż niniejszym utworzona zostaje specjalna komisja [*selected committee*], w składzie siedmiu Członków Izby Reprezentantów, wyznaczonych przez jej Przewodniczącego, spośród których jednego desygnuje on na przewodniczącego [komisji]. Każdy wakat, powstały w składzie komisji, będzie uzupełniony tym samym sposobem, którym dokonano pierwotnego wyboru.

Komisja jest uprawniona i przeznaczona do przeprowadzenia pełnego i kompletnego śledztwa oraz studiów nad faktami, wypadkami i okolicznościami łagodzącymi [*extenuating*], zaszłyymi zarówno przed, jak i po masakrze tysięcy polskich oficerów, pochowanych w masowym grobie w lesie katyńskim nad brzegami Dniepru, w pobliżu Smoleńska, który był wówczas¹⁶ terytorium okupowanym przez nazistów, a wcześniej był okupowany i kontrolowany przez Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich.

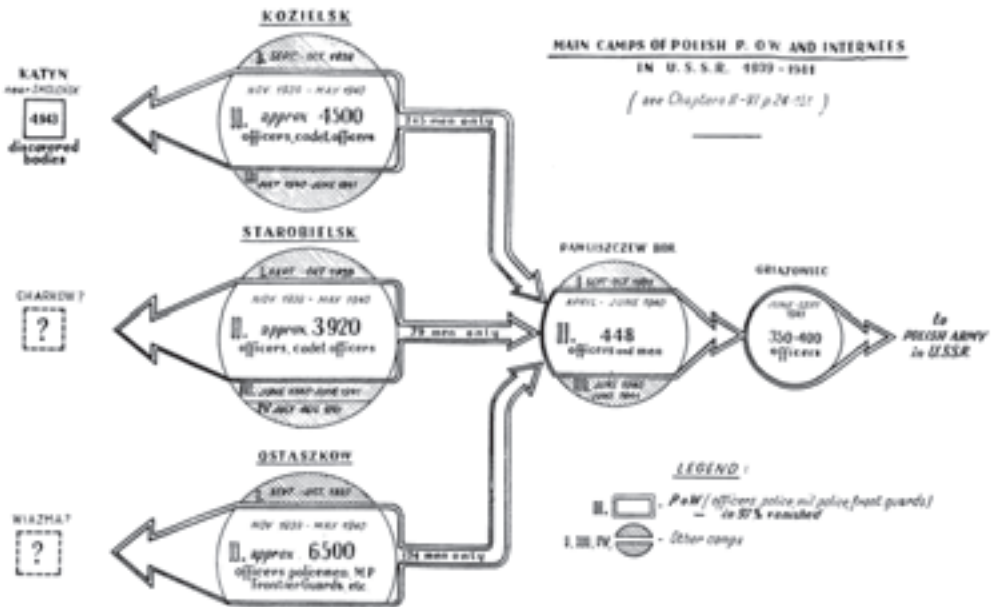
¹⁵ H[ouse] Res[olution] 390, czyli House of Representatives Resolution, oznacza rezolucję Izby Reprezentantów nr 390; dalej 82d [eighty-second] Cong[ress], numer kadencji Kongresu (nie mają tu znaczenia rotacje w Senacie), podobnie chętnie Amerykanie numerują prezydentury; 1st [first] sess[ion] to numer sesji odpowiadający latom kadencji.

¹⁶ Czyli w trakcie odkrycia mogił i ekshumacji ciał, co pozostało niedopowiedziane. W tym akapicie powstała zatem niezręczna konstrukcja (pozostawiona w tłumaczeniu), która czytana literalnie wskazuje, że teren był pod władzą Niemców bezpośrednio przed i po dokonaniu zbrodni, a pod władzą Sowieków – wcześniej.

Po zebraniu potrzebnych zeznań komisja zda sprawę Izbie Reprezentantów (lub Urzędnikowi Izby, jeśli Izba nie będzie obradować) przed przekazaniem Osiemdziesiątemu Drogiemu Kongresowi rezultatów tego dochodzenia i studiów, wraz ze wszystkimi rekomendacjami, które komisja uzna za słuszne doradzić.

W celu wypełnienia tej rezolucji komisja, lub każda jej podkomisja, są uprawnione: do obradowania i działania w czasie kadencji obecnego Kongresu, w takim czasie i miejscu w Stanach Zjednoczonych, podczas gdy Kongres ma sesję, ferie lub obrady są odroczone, do prowadzenia przesłuchań i do żądania pod groźbą sankcji¹⁷, lub w inny sposób, stawienia się i zeznań takich świadków i otrzymania takich ksiąg, nagrań, korespondencji, memorandów, notatek i dokumentów, jakie uzna za potrzebne. Sankcja może być ustanowiona podpisem przewodniczącego komisji albo innego członka komisji wyznaczonego przez niego i może być użyta przez każdą osobę wyznaczoną przez tegoż przewodniczącego lub członka.

Rezolucja katyńska Izby Reprezentantów Kongresu USA, tłum. W. Wasilewski [w:] *The Katyn Forest Massacre. Hearings...*, sesja 1, cz. 1, t. 1, s. 1–2.



Miejsca przetrzymywania polskich oficerów, policjantów, pograniczników (KOP) w ZSSR z uwzględnieniem kierunków przepływów pomiędzy obozami, drogi ocalenia nielicznych oraz zaznaczenie pewnych (Katyń) i prawdopodobnych (Charków, Wiaźma) miejsc kaźni 97 proc. spośród ogółu internowanych. Strona 1624 wydawnictwa Kongresu USA z 1952 roku.

¹⁷ W oryginale *subpena*, wł. dziś *subpoena*, oznaczała faktyczny przymus stawienia się na wezwanie komisji i składanie przed nią wyjaśnień, uchylenie się od obowiązku groziło sankcjami karnymi.

Śladami Goebbelsa



AMERYKĄSCY FAŁSZERZE DO GOEBBELSA:
 — Dziękujemy za pomoc kolego. Wszystkie pańskie łgar-
 stwa już wykorzystaliśmy. Obecnie przygotowujemy własne
 rys. JERZY ZARUBA

Karykatura Śladami Goebbelsa zamieszczona pod tekstem: Amerykańska prowokacja w sprawie Katynia służy przygotowaniu nowej wojny. Głos prasy [w:] „Trybuna Ludu”, czwartek, 6 marca 1952 r. (nr 66), s. 2.

KŁAMSTWO KATYŃSKIE

Nim dnia 5 marca 1940 roku Stalin, Beria, Woroszyłow, Mołotow, Mikołaj, Kalinin i Kaganowicz wydali i podpisali rozkaz wymordowania polskich oficerów, policjantów i funkcjonariuszy KOP, ludzie ci znaleźli się w sowieckiej niewoli – będącej skutkiem wiarołomnej napaści ZSRS na broniącą się przed Niemcami Polskę. 17 września faktycznie oznaczał dla ponad dwudziestu tysięcy reprezentantów polskiej inteligencji wyrok śmierci. Dla Polski zaś utratę znacznej części warstwy przywódczej – co miało odegrać niebagatelną rolę w latach powojennych w trakcie „utrwalania władzy ludowej” w naszym kraju.

Paradoksalne jest w tym wszystkim to, że część polskich inteligentów – oficerowie rezerwy (mimo niezwykle intensywnych niemieckich działań uderzających w elity, a prowadzonych w latach 1939–1945) znajdowała „ochronę” w niemieckich obozach jenieckich, a ginęła od strzału w tył głowy z rąk funkcjonariuszy państwa niebędącego w stanie wojny z Rzeczpospolitą.

Na dobrą sprawę do dziś nie wiemy, jakie były zasadnicze przyczyny wydania polecenia mordu na Polakach – wspomina się często o zemście za porażkę w roku 1920, uwarunkowaniach ideologicznych, rzadziej napomykając o bardzo wyraźnym rosyjskim (sowieckim) antypolonizmie i chęci zainstalowania w Polsce „nowej władzy”, co wymagało „oczyszczenia przedpola” z trudnego do opanowania patriotycznego elementu inteligenckiego. Na dziwną koincydencję faktów zwracał uwagę w „drugim obiegu” Dariusz Fikus, pisząc: „W kwietniu nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych między rządem polskim a sowieckim. Pretekstem była sprawa katyńska [...] 30 czerwca następuje aresztowanie przez Niemców »Grot«-Roweckiego, Komendanta Głównego AK w Warszawie, a 5 lipca w katastrofie pod Gibraltarem ginie premier i Wódz Naczelny, gen. Władysław Sikorski. Trudno o większe nagromadzenie fatalnych wydarzeń¹. Z perspektywy czasu widać rzeczywiście, że przypadku tu nie było, a wręcz przeciwnie – tak rozpoczęło się ujarzmianie Polski i narzucanie jej „nowego systemu”. Jednym z kroków w tym kierunku była likwidacja jej warstw przywódczych. Zarówno te właśnie kwestie, jak i późniejszy rozwój sytuacji politycznej na terenie Polski wpłynęły zasadniczo na powstanie atmosfery, w której „Katyń” musiał być i był zakłamywany.

Mit założycielski PRL-u, a później cała konstrukcja ideologiczna Polski Ludowej nie zniósłyby ujawnienia prawdy o tym bezprzykładnym mordzie, który możemy bez obawy popełnienia błędu prawnego (i wbrew dzisiejszym twierdzeniom rosyjskiej prokuratury) określić mianem ludobójstwa. Fakt ujawnienia go delegalizowałby bowiem i czyniłby zupełnie niewiarygodną sowiecko-polską „przyjaźń”. Kazałby też pytać o motywy „wyzwolenia” Polski przez ZSRS, tak różne przecież od tych deklarowanych oficjalnie.

Kłamstwa niemieckie

Kłamstwo katyńskie ma długą historię – zaczęła się ona praktycznie już w chwili odkrycia grobów, czyli w kwietniu 1943 roku. Zaczęli je Niemcy, sugerując, że w grobach w Kozich

¹ D. Fikus, *Pseudonim „Łupaszka” – Z dziejów V Wileńskiej Brygady Śmierci Mobilizacyjnego Ośrodka Wileńskiego Okręgu AK*, Warszawa 1988, s. 43.

Górach leży więcej ciał, niż było w rzeczywistości. Wiedząc, ilu było faktycznie pomordowanych i ilu zaginionych, chcieli zamknąć problem i wykorzystać go propagandowo z obawy, że później ze względu na skomplikowaną sytuację militarną może nie starczyć na to czasu.

Zaznaczyć też od razu należy, że niemiecka propaganda nie odniosła w stosunku do polskiej opinii publicznej w kraju i działań Rządu RP na wychodźstwie takich skutków, jakich sami Niemcy oczekiwali. Ich zamiary odczytywano prawidłowo, charakteryzując je w sposób następujący w dokumencie stworzonym w kraju, a stanowiącym później podstawę do szczegółowych opracowań w Londynie:

„a) Wytworzenie w społeczeństwie polskim dreszczu grozy przed widmem bolszewizmu i narzucenie opinii polskiej świadomości, że hitleryzm broni Polaków przed zagładą, jaką niesie ościenna despotia komunistyczna narodom zachodnim.

b) Sparaliżowanie akcji komunistycznej na ziemiach polskich i odebranie jej debitu moralnego, a więc zabezpieczenie tyłów i etapów armii wschodniej przed dywersją bolszewicką, której rozmiary w r. 1942 stawały się niepokojące.

c) Próba moralnego oddziaływania na Rząd Polski w Anglii postawienia go w trudnej sytuacji międzynarodowo-politycznej i albo skłócenia go z Anglosasami, albo zaszachowanie pozycji Sowieców w bloku antyniemieckim.

d) Zdepopularyzowanie Rządu Polskiego w opinii polskiego społeczeństwa i stworzenie warunków do utrwalenia się poglądu, że czynniki emigracyjne nie mają moralnego prawa zarządzania opinią i działaniami w kraju, oraz że rolę tę mogłyby przejąć czynniki krajowe, współdziałające z okupantem.

e) Stworzenie po prostu dogodniejszych warunków politycznych dla werbunku sił roboczych z GG dla potrzeb wojny niemieckiej.

f) Uzasadnienie masakry antyżydowskiej w oczach społeczeństwa polskiego”.

Ich usiłowania można skwitować sformułowaniem z wyżej cytowanej publikacji: „Z próby politycznej początków 1943 r. Naród Polski wbrew intencjom Geobbelsa wychodzi z podsumowanym bilansem: Katyń i Oświęcim – jednacy wrogowie”².

Pierwsze kłamstwa Sowieców i aliantów

Niedługo po pierwszych komunikatach niemieckich do akcji wkroczyły media sowieckie, rozpoczynając to, co twórczo kontynuowali później polscy komuniści i usłużni „historycy”. Umownie można też przyjąć, że dzieje „kłamstwa katyńskiego” kończą się w zasadzie w latach 1988–1990. Dla osiągnięcia pełnego obrazu problemu dodać należy i to, że niestety nie mniejszy udział w jego tworzeniu mieli też alianci wpisujący się w sowiecką poetykę oskarżania Polski o wszelkie możliwe naruszenia sojuszniczego *savoir vivre*, włącznie ze ścisłą współpracą z Niemcami przeciwko ZSRS. Marian Hemar w swoim wierszu *Racja stanu*, odnosząc się do ostrożnych postaw i ocen kwestii katyńskiej, wykpiwał bezlitośnie poprawność polityczną. Czynił to w sposób następujący:

² Dokument ten, zatytułowany *Katyń i propaganda niemiecka*, opublikowałem jako aneks do tekstu *Prasa niemiecka o Katyniu – jak niemiecka propaganda przedstawiała w 1943 r. sprawę mordu popełnionego na polskich oficerach*, który został zamieszczony w: „Katyń – problemy i zagadki. Zeszyty katyńskie”, nr 1, Wydawnictwo Pomost, Warszawa 1990, s. 108–114. Można dodać na marginesie: jedynym i wręcz nieprzewidzianym skutkiem działań niemieckiej propagandy w sprawie Katynia były sowieckie zyski i otworzenie przed Sowiecami szerokich możliwości działania, które to możliwości Stalin w odniesieniu do Polski skwapliwie wykorzystał.

Kiedy w Katyniu ziemia na światło wydała
 Mierzwę trupów – pobite, porzucone ciała...
 Jak skwapliwie pyskali nasi politycy,
 Realni demokraci, trzeźwi anglofile,
 Żeby nie mówić o byle mogile...
 Żeby nie psuć humoru angielskiej ulicy...
 Żeby nie robić gwałtu z jednego Katynia...
 Bo pan Goebbels o Katyń Sowiety obwinia –
 Więc jak nam demokratom, popierać Goebbelsa?
 Jak – za Goebbelsem – Rosję oskarżać przed światem?
 Jak nam Anglię przed takim stawiać dylematem?
 Szyki psuć Churchillowi? Drażnić Pana Wellesa?
 A jeszcze kto napisze: „Polacy faszyści!
 Basują Goebbelsowi z wspólnej nienawiści
 Do sowieckiego rajy... ręka rękę myje”...
 Jak polski demokrata ten zarzut przeżyje?
 Więc trzeźwi, polityczni, realni i mili.
 Zrobili tak, że właśnie – wiemy, jak zrobili”.

Po kilkudziesięciu latach od omawianej sytuacji w wielu przypadkach część polskiej i zachodniej opinii publicznej (które są gotowe „sprzedać” prawdę za „święty spokój”) w obliczu polsko-rosyjskiej dyskusji o przeszłości nadal zachowuje się dokładnie tak, jak opisał to Marian Hemar.

Kłamstwa polskich komunistów

○ Katyniu polscy komuniści i ludzie z nimi współpracujący kłamali wszędzie, gdzie się tylko dało i wszędzie tam, gdzie było to w danym momencie potrzebne. Już 1 maja 1943 roku w odezwie KC PPR pisano: „W antyradzieckiej kampanii posłużył się rząd Sikorskiego prowokacją katyńską. [...] Rząd Sikorskiego dlatego podchwycił tak skwapliwie hitlerowską prowokację, gdyż szła mu na rękę jako środek pomocniczy w jego kampanii i realizacji terytorialnych pretensji na ziemiach wschodnich etnograficznie niepolskich [...] Sikorski stał się dobrowolnym i świadomym narzędziem w rękach Hitlera”⁴.

Podstawę do formułowania nieprawdziwych opinii o mordzie oprócz oficjalnej propagandy dały (*de facto* także wmontowane w nią) wyniki prac komisji Burdenki, która zakończyła swe prace w 1944 roku. Michał Rola-Żymierski, Zygmunt Berling, Karol Świerczew-

³ M. Hemar, *Satyry patetyczne*, Londyn 1947, s. 48–49.

⁴ *Polska Partia Robotnicza – Dokumenty programowe 1942–1948*, red. M. Malinowski, R. Halaba, R. Nazarewicz, T. Sierocki, Warszawa 1984, s. 132. W tym samym zbiorze zamieszczono następujący tekst (s. 134–135): „Rząd radziecki przerwał stosunki dyplomatyczne z polskim rządem emigracyjnym 25 kwietnia w następujących okolicznościach. Bezpośrednio po opublikowaniu przez propagandę III Rzeszy wiadomości o rzekomym wymordowaniu przez radzieckie organa bezpieczeństwa tysięcy polskich oficerów prasa ugrupowań burżuazyjnych w kraju i na emigracji przyłączyła się do antyradzieckiej kampanii rozpętaanej przez hitlerowców. Pod presją sił zachowawczych i reakcyjnych polski rząd emigracyjny – bez konsultacji z rządem radzieckim, a nawet brytyjskim – ogłosił 17 kwietnia komunikat, iż zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie [...]”.

ski, Wanda Wasilewska, Jerzy Borejsza, Aleksander Zawadzki w różnym czasie, ale jednym głosem określali dążenia do wyjaśnienia przyczyn i nazwania sprawców mordów działaniami sprzyjającymi bitym właśnie Niemcom, których całkowicie obciążano winą za to masowe morderstwo. Wpisywano je przy tym (propagandowo mądrze) w ogólny obraz niemieckich okrucieństw w okupowanej Polsce. Czerpano tu pełnymi garściami z sowieckiej propagandy z okresu, gdy Moskwa zerwała stosunki z Rządem RP na wychodźstwie w 1943 roku. I tak na przykład w *Słowniczku politycznym dla żołnierzy* wydany w maju 1945 roku pod hasłem „Katyń” pisano co następuje: „[...] miejscowość pod Smoleńskiem, gdzie jesienią 1941 roku Niemcy rozstrzelali 11 000 oficerów polskich. Później przedstawili oni to morderstwo jako zbrodnię bolszewików. Cały świat odwrócił się z pogardą od hitlerowskiej prowokacji, rozumiejąc, że jej celem jest ukrycie własnego przestępstwa [...]”⁵.

Kłamiąc w sprawach zasadniczych, posuwano się do fałszerstw mających uprawdopodobnić i dokumentować głoszoną „prawdę”. Wszystkich mających odwagę mówienia prawdy atakowano i poddawano presji. Tak uczyniono między innymi z Ferdynandem Goetlem.

Przy kolportowaniu kłamstwa katyńskiego nie obywało się też bez wyraźnych nacisków z zewnątrz. W 1945 roku sowiecki ambasador przy „rządzie lubelskim” W. Lebediew po ojcowsku upomniał niezwiązanych z lewicą polityków, dając im szansę na zmianę swej postawy wobec problemu – był to sygnał, że „wielki brat” nie pozostawi sprawy bez kontroli. Jednym z elementów tego działania było opublikowanie po polsku treści opinii komisji Burdenki. Uczyniono to w 30 tysiącach egzemplarzy. Wszystkie te działania były głęboko przemyślane i oprócz bieżących i perspektywicznych działań propagandowych miały służyć wniesieniu sprawy pod jurysdykcję Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze. Przedkładając własne dowody, Sowietom usiłowano obciążyć winą ludobójstwa Niemców (od 1 do 3 lipca 1946 r. badano sprawę po zreferowaniu jej przez przedstawiciela ZSRS) – zarówno władze w Warszawie, jak i przebywający w Norymberdze delegaci strony polskiej (T. Cyprian, S. Kurowski, S. Piotrowski, J. Sawicki) przyglądali się działaniom sowieckim bez jakiegokolwiek reakcji. Było to znamienne. Mądra obrona spowodowała, że po zeznaniach pułkownika F. Ahrensa oskarżanego o udział i kierowanie zbrodnią Sowietom wycofali się z oskarżeń, widząc ostatecznie pełne fiasko swoich poczynań.

W pierwszych latach istnienia Polski Ludowej do akcji zakłamywania Katynia przyłączył się Władysław Gomułka, wyznaczając przy tym oficjalną wykładnię ideologiczną, gdy mówił o niemieckich prowokacjach, łączył podpalenie Reichstagu i sprawę katyńską w jeden ciąg propagandowych działań Goebbelsa. W tej konwencji utrzymane było także wystąpienie Jana Karola Wendego (w drugiej połowie lat 40. podsekretarz stanu w MKiS, wicemarszałek sejmu PRL, członek Stronnictwa Demokratycznego), który w partyjnym wydawnictwie SD atakował rząd polski za ewakuację armii z terenu ZSRS i zerwanie stosunków z potężnym sąsiadem, pisząc przy tym, że dramatyczna sytuacja stałaby się jeszcze gorsza, gdyby nie to, że ZSRS obdarzył zaufaniem „naród polski”⁶. Stefan Litauer (w czasie wojny korespondent Polskiej Agencji Telegraficznej – czasami jako Stefan Lityński – w Londynie, po 1945 r. w kraju) i Tadeusz Polak, pisząc o Katyniu z zupełnie odmiennych ideologicznie pozycji, dochodzili do tych samych wniosków i sugerowali Rządowi RP podjęcie do tragedii z większym rozsądkiem i przyjęcie za prawdziwe twierdzenia władz radzieckich, które wie-

⁵ *Słowniczek polityczny dla żołnierzy*, Z[arząd] Pol[ityczno-] Wych[owawczy] WP, maj 1945 – hasło „Katyń”.

⁶ J.K. Wende, *Polska a Związek Radziecki*, Warszawa 1945, s. 14, 18.

lokrotnie szczerze ustami swych przedstawicieli informowały: „[...] że niestety [...] mimo starań nie zdołały ustalić, gdzie się ci oficerowie znajdują [...] Raczej prawdopodobne było, że nie zdążyło się ich ewakuować”⁷.

Reakcja na raport Kongresu

Początek lat pięćdziesiątych, wojna w Korei, niepokój o los amerykańskich jeńców spowodowały wzrost zainteresowania problematyką wymordowanych Polaków w USA. Powołana do życia (1951) Komisja Kongresu USA opublikowała liczący ponad dwa tysiące stron raport, który nie pozostawiał cienia wątpliwości co do sprawstwa mordu na polskich oficerach. Było jasne, że musiało to wywołać „pełne słusznego oburzenia” reakcje. Zarówno propaganda ZSRS, jak i polscy komuniści zaatakowali Amerykę za „kłamstwa i oszczerstwa”. W Polsce pierwsze skrzypce grały Wydział Propagandy KC i oczywiście „Trybuna Ludu”. Oprócz intensywnej propagandy antyamerykańskiej wewnątrz kraju wzmocniono istotnie inwigilację środowisk mogących głośno dopominać się o prawdę. Zapadały wyroki za mówienie o Katyniu⁸.

Mała stabilizacja kłamstwa

Rok 1956 nie przyniósł zasadniczych zmian w traktowaniu problemu poza rzekomymi sugestiami Chruszczowa wobec Gomułki (ujawnione później, w 1972 roku) co do odkrycia prawdy o zbrodni, których ten ostatni, ze zrozumiałych względów, nie przyjął. Do obawy przed kompromitacją doszedł tu jeszcze lęk przed wzbudzeniem fali antysowieckich nastrojów. Tak więc szansa (jeśli w ogóle była) na rozwiązanie problemu została zaprzepaszczona, kłamstwo zaś w różnych formach kontynuowane.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz (dziennikarz, pisarz, publicysta, oficer prasowy Armii gen. Władysława Andersa w ZSRS, po wojnie osiadł w kraju) widział w sprawie intrygę Goebbelsa, na którą udało się nabrać tylko Polaków. Generalnie jednak tylko oni właśnie okazali się głupcami, a „[...] świat nie uwierzył Niemcom [...]”⁹. Cynizm tego wywodu jest porażający – Goebbels rzeczywiście chciał grać (i grał) sprawę katyńską, a Rząd RP na wychodźstwie – jeśli chciał zachować twarz i polityczną legitymację – nie miał innych możliwości działań niż takie właśnie, jakie podjął, a że był w tej walce i kompletnie osamotniony i zarazem skazany na porażkę, to już zupełnie inna sprawa.

Maria Turlejska¹⁰ (która później zmieniła poglądy) z kolei przyjmowała, że polska burżuazja, błędnie analizując sytuację i przyjmując niemieckie zmyślenia, uniemożliwiła kontynuowanie przyjaźni polsko-radzieckiej. W ogóle sprawa wystąpienia rządu polskiego do MCK w całym ciągu czasowym, który nas interesuje, przedstawiana jest jako prywatna inicjatywa

⁷ S. Litauer, *Zmierzch Londynu*, Warszawa 1945, s. 23. Ta sama oficyna (Czytelnik) wydała (co niewątpliwie nie jest przypadkowe) w roku 1952 „pomnikowo” kłamliwą publikację Bolesława Wójcickiego *Prawda o Katyniu*; T. Polak, *Zbrodnicza polityka rządu polskiego w Londynie (jej przyczyny i skutki)*, Kraków 1945, s. 53.

⁸ Kroniki rejestrują tu aresztowanie (1951 rok) Zofii Dwornik studium w Łódzkiej Szkole Filmowej za rozpowszechnianie fałszywych informacji, między innymi o zbrodni katyńskiej.

⁹ S. Strumph-Wojtkiewicz, *Gwiazda Władysława Sikorskiego*, Warszawa, s. 365.

¹⁰ M. Turlejska, *O wojnie i podziemiu – dyskusje i polemiki*, Warszawa 1959, s. 76. Ta sama Turlejska po pewnym czasie pod pseudonimem Łukasz Socha wyrażała diametralnie inne opinie o sprawie, widząc przygotowania polskich komunistów do przejścia władzy w Polsce, gdy sprawa Katynia była tylko pretekstem do zerwania stosunków dyplomatycznych z Rządem RP i początkiem instalowania w Polsce nowego ustroju (zob. Ł. Socha, *Te pokolenia załobami czarne... Skazani na śmierć i ich sędziowie 1944–1954*, Warszawa 1986, s. 16).

grupki oszalałych reakcyjnych polityków, nosząca też znamiona sabotażu wobec polityki generała Sikorskiego. Takie stawianie sprawy było oczywistą manipulacją, wszelkie bowiem decyzje Rady Ministrów RP nie mogły być podejmowane bez zgody Władysława Sikorskiego. Historyk dziejów PPR Władysław Góra informował w jednej ze swoich prac, że: „W Katyniu wymordowali hitlerowcy kilka tysięcy oficerów polskich znajdujących się uprzednio w radzieckich obozach jenieckich, których władze nie zdążyły ewakuować w związku z szybkim posuwaniem się wojsk niemieckich w głąb ZSRR latem 1941 r. Na początku 1943 roku hitlerowcy, którzy wymordowali już od tego czasu miliony obywateli polskich, »odkryli« nagle te obozy, oskarżając o wymordowanie oficerów polskich władze radzieckie. Do kampanii antyradzieckiej rozpętanej w związku z tym przez władze hitlerowskie włączył się rząd emigracyjny”¹¹.

Krajowa historiografia (mam na myśli tych historyków, którzy podjęli się reprezentowania oficjalnej wykładni Zbrodni Katyńskiej) w tym czasie zasadniczo przedstawiająca zbliżone do powyższych poglądy, starała się jednak unikać artykułowania opinii w tak drastyczny sposób, ograniczając się do atakowania Sikorskiego i jego rządu za umiędzynarodowienie kwestii Katynia i zerwanie stosunków z ZSRS. Lokowało to piszących o sprawie w szeregu fałszywej historii. Klasycznym przykładem na powyższe twierdzenie są następujące sformułowania: „Nie potrafili skarbca leninowskich idei pochwyć ci, w których rękach znalazły się losy Polski międzywojennej [...] doprowadziło to do trwałego rozłamu między obozem londyńskim a Związkiem Radzieckim na tle prowokacji katyńskiej”¹². W pracy W.T. Kowalskiego zaś zwracano uwagę na to, że w chwili odkrycia „[...] masowych grobów oficerów polskich w Katyniu zamordowanych rzekomo przez władze radzieckie [...]” rząd polski chciał użyć sprawy katyńskiej, wykorzystując niemieckie działania propagandowe do zmiany terytorialnego *status quo*¹³. Była to wyjątkowo podła sugestia, można bowiem z dużą dozą pewności powiedzieć, że kwestie mordu na polskich oficerach nie były rozpatrywane w szerszym kontekście prowadzenia jakiegś gry politycznej wobec straconych w 1939 roku na rzecz ZSRS ziem Rzeczypospolitej.

Kłamstwa lat siedemdziesiątych

Zdecydowaną i pozytywną aktywność w sprawach katyńskich przejawiały środowiska emigracyjne; oprócz nieprzerwanej fali publikacji¹⁴, czczono poległych bohaterów pomnikami. Ważne byłoby, w kontekście kłamstwa rozpowszechnianego w kraju i milczenia polskich czynników oficjalnych wobec „antykatyńskich” działań ZSRS, przypomnienie aktywnych poczynań dyplomacji (A. Gromyko) tego państwa wywierającego wpływ na lokalną społeczność, by nie dopuścić do budowy pomnika katyńskiego na londyńskim cmentarzu Gunnersbury. Działania te jednak nie przyniosły oczekiwanych efektów.

Sprawa ta musiała w sposób istotny interesować polską Służbę Bezpieczeństwa, bo po powrocie z Londynu w 1976 roku w trakcie oddawania paszportu oprócz tzw. rutynowych i pełnych troski pytań w stylu „czy nie było jakichś kłopotów” padło także pytanie o to, czy jest mi cokolwiek wiadomo o „jakimś pomniku na jakimś cmentarzu”, który to pomnik miał być związany z kwestiami stosunków polsko-radzieckich.

¹¹ W. Góra, *Rola PPR w historycznym przeobrażeniu stosunków polsko-radzieckich*, Warszawa 1962, s. 9.

¹² T. Cieślak, *Geneza sojuszu polsko-radzieckiego*, Warszawa 1965, s. 13.

¹³ W.T. Kowalski, *Sprawa polska w II wojnie światowej*, Warszawa 1963, s. 20–21.

¹⁴ Chciałbym tu wspomnieć nazwisko zmarłego niedawno Pana Zdzisława Jagodzińskiego, szefa biblioteki w londyńskim POSK, którego mrówcza praca i działalność przyniosła wiele dobrego, a nie została do tej pory w sposób należyty doceniona.

ЗДЕСЬ
ЗАХОРОНЕНЫ
ВОЕННОПЛЕННЫЕ
ПОЛЬСКИЕ ОФИЦЕРЫ,
ЗВЕРСКИ ЗАМУЧЕННЫЕ
НЕМЕЦКО-ФАШИСТ-
СКИМИ ОККУПАНТАМИ
ОСЕНЬЮ 1944 ГОДА.

S. P.

TU SA POGRZEBANI
NIEWOLNICY OFICER-
ROWIE WOJSKA POLS-
KIEGO W STRASZYCH
MECZENIACH ZAMOR-
DOWANYCH PRZ
NIEMIECKO-FASZYST-
KICH OKUPANTOM
JESIENIA 1944 ROKU.

W kraju zaś, wśród chętnych do zajmowania się sprawą historyków i publicystów (ci, którym uczciwość nie pozwalała na aktywne uczestnictwo w głoszeniu propagandowych kłamstw, zajmowali się innymi kwestiami lub badali okresy mniej kontrowersyjne), nadal powielano ustalone wcześniej schematy pisania; dodawano jedynie do poprzednio stawianych Sikorskiemu i „emigrantom” zarzutów nowe, łączyąc je z propagowaniem obrazu komunistów polskich, którzy jako jedyni mieli być zdolni do poprawy losu Polaków w ZSRS zagrożonego w efekcie „kryzysu katyńskiego”.

ZSRS zaś zachowywał się przewidywalnie, reagując ostro i nie tolerując wypowiedianych pod swoim adresem „nieodpowiedzialnych zarzutów”, jak pisał Stefan Turlej. Przyczyny tego stanu rzeczy Turlej widział w uwstecznianiu się „obozu burżuazji”, który nieodpowiedzialnie wywołał sprawę katyńską¹⁵. Podejmując niemiecką inicjatywę i oskarżając o wymordowanie oficerów „władze bezpieczeństwa ZSRR”, Sikorski przerwał współpracę ze Stalinem rozpoczętą w 1941 roku – takiego zdania byli W.T. Kowalski i Andrzej Skrzypek¹⁶.

Lata siedemdziesiąte to z jednej strony milczenie i aktywne przeciwdziałanie władz PRL, z drugiej nasilająca się działalność środowisk niezależnych w odniesieniu do kwestii katyńskich. Odbicie tych tendencji było bardzo wyraźne w dyspozycjach cenzury odnoszących się do sprawy. Główny Urząd Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk rezydujący w Warszawie przy ulicy Mysiej nakazywał, by: nie dopuszczać do jakichkolwiek prób obarczania ZSRR odpowiedzialnością za śmierć polskich oficerów, w pracach naukowych czy pamiętnikach dopuszczać zaś do używania określeń „rozstrzelany przez hitlerowców w Katyniu”, „zmarł w Katyniu”, „zginął w Katyniu” tylko wtedy, gdy opatrzony jest powyższą informacją datą po lipcu 1941 roku. Nie wolno było używać w odniesieniu do polskich żołnierzy internowanych przez ZSRS we wrześniu 1939 roku pojęcia „jeńcy wojenni”. Ingerowano też w tak osobiste obszary jak treść nekrologów i klepsydry, które mogły być publikowane tylko po wcześniejszej zgodzie wspomnianego urzędu. Eliminowano nazwiska osób związanych z publikacjami i zdarzeniami sprzecznymi z oficjalną wersją „Katynia”. Chodziło tu o wspomnianego już wyżej Goetla, Bregmana, Czapskiego, Mackiewicza i innych.

Kłamstwa lat osiemdziesiątych

Prawdziwą ofensywę „innej” wizji Katynia zapoczątkował ostatecznie „festiwal Solidarności”. Liczne publikacje tzw. drugiego obiegu nie zmieniły nic w oficjalnym widzeniu problemu. Nie dość tego, w tym okresie (1980/1981–1988/1989) można zauważyć pewnego rodzaju kontrofensywę zwolenników tezy o niemieckiej winie za Katyń.

Longin Pastusiak pisał w swojej pracy *Roosevelt a sprawa polska* co następuje: „Napięcie w stosunkach między rządem emigracyjnym a rządem radzieckim wzrastało jednak szybko.

¹⁵ S. Turlej, *Koncepcje ustrojowe obozu londyńskiego*, Warszawa 1978, s. 215. Wywody Turleja można skomentować wypowiedzią Stanisława Cata Mackiewicza: „I oto półtora roku zachwyty rządu polskiego nad Rosją, Niemcy, którym nikt nie wierzy i których my sami na co dzień traktujemy jako oszustów, ogłaszają komunikat, że Rosjanie pomordowali polskich oficerów, i oto rząd polski w oczach zdumionego świata, przed którym starannie zatajano wszelkie antecedencje tej sprawy, daje wiarę oświadczeniu niemieckiemu [...] Należało oczywiście od początku, od 1941 r. nie tać sprawy zaginięcia 15 000 osób [...] i wzbudzić zainteresowanie dookoła tej sprawy [...] W odpowiedzi na nasz komunikat »zelżona niewinność« rząd sowiecki wykazał święte oburzenie cnotliwej Zuzanny i zerwał z nami stosunki dyplomatyczne [...]” – cyt. za: *Lata nadziei (17 września – 5 lipca 1946)* t. 4, Warszawa 1986, s. 142.

¹⁶ W.T. Kowalski, A. Skrzypek, *Stosunki polsko-radzieckie 1917–1945*, Warszawa 1980, s. 215–217.

12 kwietnia 1943 r. Goebbelsowska propaganda ogłosiła, że Niemcy natrafili w Katyniu na mogiły kilku tysięcy oficerów polskich rzekomo rozstrzelanych przez Rosjan [...] ale 17 kwietnia minister obrony narodowej w rządzie polskim, generał Marian Kukiel, opublikował komunikat, w którym sugerował, powtarzając za Goebbelsem, że uczynili to Rosjanie [...]”¹⁷.

Tak więc „Pod naciskiem żywiołowych reakcji antyradziecko nastawionej emigracji londyńskiej, polegając jedynie na informacjach hitlerowskich bez porozumienia z rządem radzieckim, równocześnie z rządem Trzeciej Rzeszy (!) wystąpił do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o przeprowadzenie dochodzenia” – pisała Walentyna Korpalska¹⁸. Zbigniew Kumoś zaś twierdził, że: „kosztem interesu narodowego” wykorzystano niemiecką prowokację do ataków na ZSRS, a „[...] rozpoczęta kampania przekroczyła normy przyzwoitości nie tylko dyplomatycznej [...]”¹⁹. Abstrahując od rzeczywistości, Jacek Ślusarczyk i Antoni Czubiński twierdzili, że skład społeczny Rządu RP w Londynie uniemożliwił z definicji współpracę z ZSSR²⁰.

Im bliżej końca lat osiemdziesiątych, tym wyraźniejsze były znaki nadchodzących zmian i coraz odważniejsi stawali się poszczególni badacze naszych dziejów najnowszych – niestety, nie odkrywali tu „ziemi nieznanej”. Zasadniczy i podstawowy zrąb wiedzy o Katyniu opartej na dostępnych w latach 1943–1988/1989 materiałach archiwalnych był opracowany na emigracji i później w drugim obiegu w kraju. Wielu badaczom pozostawało się tylko wstydić pisanych poprzednio tekstów lub udawać, że się ich nigdy nie pisało²¹.

Konfrontacja w kwestii katyńskiej toczyła się nie tylko na stronach książek; przenosiła się też na cmentarne aleje. Ustawiony w tzw. Dolince Katyńskiej na warszawskich Powązkach kamienny krzyż (31 lipca 1981 r.) został potajemnie w kilka godzin potem wywieziony przez „nieznanych sprawców” w „nieznane miejsce” i odnaleziony dopiero po kilku latach, już w czasach III RP.

Z końcem istnienia PRL-u padły też ofiary. Można stwierdzić, że było to (niestety) zwieńczenie walki komunistów z prawdą o Katyniu – w nocy z 20 na 21 stycznia 1989 roku „nieznani sprawcy” zamordowali księdza Stefana Niedzielaka, który stworzył istniejące do dziś miejsce pamięci o Pomordowanych na Wschodzie, zwane Ścianą Katyńską, w kościele św. Karola Boromeusza na Powązkach.

Kwestie związane z polską krajową historiografią w sprawach katyńskich można opisać w sposób następujący: „Katyń” nigdy nie był (do lat 1988/1989) samoistnym przedmiotem badań krajowej historiografii. Wzmacniałoby to bowiem wymowę faktów z nim związanych i wskazywało precyzyjnie sprawców. Sprawę zawsze przedstawiano w ciągu zdarzeń:

- 1) wycofanie polskiej armii z ZSRS,
- 2) spór o granice i obywatelstwo między Rządem RP a Moskwą,

¹⁷ L. Pastusiak, *Roosevelt a sprawa polska*, Warszawa 1980, s. 98–99 i dalej.

¹⁸ W. Korpalska, *Władysław Eugeniusz Sikorski. Biografia polityczna*, Wrocław 1981, s. 236.

¹⁹ Z. Kumoś, *O wolną i demokratyczną Polskę. Myśl polityczna i wojskowa lewicy polskiej w ZSRR 1940–1944*, Warszawa 1985, s. 49–50. Tak zupełnie na marginesie: ten historyk na stronie 90 swej pracy lokalizuje śmierć gen. Władysława Sikorskiego w Gibraltarze dnia 6 VI 1943 r.

²⁰ J. Ślusarczyk, *Rola sojuszu polsko-radzieckiego w formowaniu nowego kształtu państwa polskiego i jego orientacji międzynarodowej, kwiecień 1945*, Warszawa 1986, s. 3; zob. także inne publikacje tegoż autora. A. Czubiński, *Najnowsze dzieje Polski 1914–1983*, Warszawa 1987, s. 295.

²¹ Pytanie o uczciwość naukową i ludzką wymienionych wyżej jest istotnym problemem, o którym trzeba rozmawiać (a nie rozmawia się). Tym bardziej że ci sami ludzie, jeżdżąc za granicę, deklarowali się jako patrioci walczący heroicznie z „władzą ludową”. Opowiadał mi o takich wizytach podczas mojego pobytu w Londynie w roku 1980 pan Andrzej Stypułkowski (szef wydawnictwa „Polonia Book Found”), wymieniając między innymi prof. W.T. Kowalskiego.

3) Katyń i zerwanie przez ZSRS stosunków z RP (przedstawiane jako zawinione tylko przez Polaków).

Ten układ logiczny powielany w zasadzie we wszystkich analizowanych pracach ułatwiał w sposób kapitalny ukrycie meritum sprawy, tworząc przy okazji pozory obiektywizmu piszących, ostatecznie zaś umożliwiał stawianie zarzutów antysowieckości, braku politycznego rozsądku, reakcyjności Sikorskiemu i jego gabinetowi. *Per saldo* służyło to ukrywaniu prawdziwych sprawców mordu, a także legitymizowaniu władzy sprawowanej przez komunistów w Polsce.

W tym miejscu w zasadzie można by było zakończyć opisywanie kwestii kłamstwa katyńskiego. Wydawałoby się, że przyznanie się do winy przez przywódców ZSRS – Michaiła Gorbaczowa i Rosji – Borysa Jelcyna skończy sprawę. Tak się niestety nie stało. Zarówno zupełnie niezrozumiałe działania władz polskich po roku 1989 (odwołanie prokuratora prowadzącego śledztwo katyńskie – Stefana Śnieżki), jak i postawa przewodniczącego Europarlamentu Hiszpana Josepa Borrella odmawiającego uczczenia minutą ciszy naszych pomordowanych podstępnie rodaków, bo jak powiedział, „każdego dnia przypada jakaś tragiczna rocznica, ponieważ Europa była podzielona przez konflikty, w których zginęły miliony obywateli”, czy ostatnia agresywna ofensywa rosyjska udowadniająca Polsce (według starego sowieckiego kanonu) wszystkie możliwe winy łącznie ze współpracą z Niemcami oraz negująca ludobójczy charakter zbrodni katyńskiej, wskazują na to, że nie jest to jeszcze koniec opisywanej powyżej historii.



Wydana ostatnio (w 2003 r.) w Moskwie książka powtarzająca kłamstwo katyńskie

OFIARY ZBRODNI KATYŃSKIEJ Z WOJEWÓDZTWA BIAŁOSTOCKIEGO

Zbrodnia Katyńska dotknęła bardzo wiele rodzin w Polsce. Na podstawie dostępnej dziś wiedzy trudno jest ustalić dokładną liczbę osób z województwa białostockiego zmobilizowanych w 1939 r., przetrzymywanych w obozie jenieckim w Kozielsku, a następnie zastrzelonych w Katyniu. Podstawowym źródłem informacji są spisy osób zamordowanych z obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie¹. Nie przynoszą one jednak zbyt wielu danych biograficznych dotyczących interesujących nas postaci. W większości przypadków zawierają jedynie lakoniczne informacje dotyczące miejsca urodzenia, stopnia wojskowego, przydziału mobilizacyjnego, czasem wykształcenia i zawodu. Dokładniejsze dane biograficzne odnaleźć można w rozszerzonych biogramach jeńców rozstrzelanych w Katyniu, drukowanych w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym”². Pomocna okazała się również książka wydana przez Stowarzyszenie „Rodzina Katyńska” w Białymstoku³. Autorzy tego ostatniego opracowania podają liczbę 153 osób z województwa białostockiego, przetrzymywanych w trzech wspomnianych wyżej sowieckich obozach jenieckich. Spośród nich 51 oficerów miało zginąć właśnie w Lesie Katyńskim. Spis ten zawiera jednak luki i nieścisłości.

Stosując szersze kryteria – oprócz miejsca urodzenia również miejsce zdobycia wykształcenia, pracy i przydział mobilizacyjny podczas kampanii wrześniowej – szacować można, że ok. 120 rozstrzelanych w Katyniu polskich jeńców wojennych miało związki z województwem białostockim w jego przedwojennych granicach (z powiatami Grodno i Wołkowysk).

W większości (71 osób) byli to oficerowie rezerwy piechoty zmobilizowani w sierpniu 1939 r. i przydzieleni do 42. pułku piechoty w Białymstoku, 41. pułku piechoty w Suwałkach, 81. pułku piechoty w Grodnie oraz 77. pułku piechoty w Lidzie. Wśród nich znalazło się także piętnastu oficerów rezerwy artylerii oraz siedmiu oficerów rezerwy kawalerii (czterech służyło w 9. pułku strzelców konnych w Grajewie). Oprócz tego są pojedynczy przedstawiciele wojsk saperskich, łączności i zaopatrzenia. Jedynym lotnikiem był kpt. Stanisław Stankiewicz urodzony w Białymstoku w 1899 r. Służył w 2. i 5. pułku lotniczym oraz dowodził kompanią Baonu Szkolnego Lotnictwa w Świeciu.

Oprócz wyżej wymienionych jednostek służyli oni w ponad dwudziestu innych pułkach, dywizjonach i batalionach. Charakteryzując ich szarzę wojskową, z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że było ok. 80 podporuczników, 18 poruczników, 16 kapita-

¹ Wykorzystano następujące pozycje: J. Tucholski, *Mord w Katyniu. Kozielsk. Ostaszków. Starobielsk. Lista ofiar*, Warszawa 1991; *Katyń. Księga cmentarna Polskiego Cmentarza Wojennego*, t. 1, Warszawa 2000; T. Mikulski, *Biogramy jeńców. Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków*, Wrocław 1999; *Rozstrzelani w Katyniu*, Ośrodek KARTA, Warszawa 1995.

² *Pro Memoria*, „Wojskowy Przegląd Historyczny”, numery: 2/1989 – 4/1994.

³ *Ostatnia droga ...*, Białystok 1998.

nów, 5 majorów, 1 podpułkownik. W grupie tej znalazło się także dwóch generałów: gen. bryg. Bronisław Bohaterewicz oraz gen. dyw. Henryk Minkiewicz.

Gen. bryg. Bronisław Bohaterewicz urodził się 27 lutego 1870 r. w Grodnie. Przed I wojną światową pełnił służbę w armii rosyjskiej jako oficer zawodowy. W listopadzie 1914 r. został ranny i dostał się do niewoli niemieckiej, ale już cztery lata później dowodził oddziałem samoobrony grodzieńskiej, która dała początek Dywizji Litewsko-Białoruskiej. Jako dowódca 81. pułku piechoty tejże dywizji walczył w 1920 r. w wojnie polsko-bolszewickiej. W bitwie warszawskiej bronił Radzyna i został ranny. Uczestniczył w operacji pościgowej, a później w kampanii nadniemeńskiej i w bitwie nad Lebiodką. Następnie pracował w Sztapie Naczelnego Dowództwa Wojsk Środkowej Litwy. Działał aktywnie na rzecz przyłączenia do Polski Litwy Środkowej, w tym swego rodzinnego Grodna. Później był dowódcą 18. i 20. dywizji piechoty. W 1927 r. został awansowany do stopnia generała, w tymże roku przeszedł w stan spoczynku. Gen. Bohaterewicz był odznaczony Krzyżem Walecznych czterokrotnie i Krzyżem Zasługi Wojsk Litwy Środkowej.

Gen. dyw. Henryk Minkiewicz urodził się 19 stycznia 1880 r. w Suwałkach. W latach 1898–1902 studiował nauki przyrodnicze na uniwersytecie w Petersburgu, następnie medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim i malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Od 1904 r. był członkiem PPS. Pełnił funkcję komendanta Związku Walki Czynnej w Krakowie oraz komendanta oddziału Związku Strzeleckiego w Zakopanem. W sierpniu 1914 r. wstąpił do Legionów Polskich. Od 1916 r. znajdował się w niewoli rosyjskiej, skąd zbiegł w końcu lipca 1917 r. Wrócił do kraju i wstąpił do Polskiej Siły Zbrojnej jako inspektor kursów wyszkolenia. Przebywał na kursie dla wyższych dowódców armii niemieckiej w Sedanie. W niepodległej Polsce w grudniu 1918 r. objął stanowisko dowódcy Okręgu Przemyśl, następnie dowództwo Grupy Operacyjnej działającej na froncie ukraińskim. W kwietniu 1919 r. został mianowany dowódcą Grupy „Bug” operującej na tymże froncie. Od sierpnia 1920 r. był zastępcą generała-gubernatora Warszawy, a od września głównym

inspektorem piechoty przy Naczelnym Wodzu. W latach 1925–1929 był dowódcą Korpusu Ochrony Pogranicza. W stan spoczynku przeszedł w 1934 r. Odznaczony Krzyżem Walecznych, Medalem za Wojnę 1918–1921.

Osoby rozstrzelane w Lesie Katyńskim stanowiły elitę intelektualną i kulturalną przedwojennej Polski. Wśród białostoczan prawie trzydziestu to absolwenci uniwersytetów: Stefana Batorego w Wilnie, Jana Kazimierza we Lwowie, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Warszawskiego oraz uczelni technicznych.

Nauczyciele

Najliczniejszą grupę zawodową – 29 osób – stanowili nauczyciele szkół powszechnych i gimnazjalnych. Przy tym wielu z nich ukończyło Seminarium Nauczycielskie im. Króla Zygmunta Augusta w Białymstoku.

Fotografie ze zbiorów białostockiej Rodziny Katyńskiej



Ppor. rez. Czesław Sucharski

W Katyniu zamordowano m.in.: Ferdynanda Mareckiego – kierownika szkoły w Supraślu, Józefa Jana Kubalę – kierownika szkoły w Wasilkowie, Stefana Macieszę – kierownika szkoły w Izabelinie, Józefa Adamskiego – kierownika szkoły w Michałowie-Niezabudce.

Ppor. rez. Czesław Sucharski – nauczyciel ze szkoły w Księżynie nieopodal Białegostoku, przesłał z obozu kilka listów pełnych troski o najbliższych. Nawet w ostatnim liście z datą 5 marca 1940 r. – a więc dniu, kiedy los jego i wszystkich jeńców został przesądzony – pisał: „Może nie tyle mróz, ale myśl – troska o Was, że Wy tam głodujecie, hartuje mię. Życzyłbym sobie jednak, byście Wy takiego hartu nigdy nie zaznali”. 13 kwietnia 1940 r. po rodzinę Sucharskich przyszło NKWD. Zostali wywiezieni w głąb ZSRR, skąd wrócili dopiero po sześciu latach⁴. Społeczność i nauczyciele Księżyna uhonorowali Czesława Sucharskiego tablicą pamiątkową.

Urzednicy

Wśród sześciu absolwentów wydziałów prawa kpt. rez. Kazimierz Borwicz legitymował się dyplomem doktora, który uzyskał na Wydziale Prawa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Do 1939 r. pracował w Urzędzie Wojewódzkim w Białymstoku. Oprócz niego z obozu w Kozielsku nie wróciło wielu innych urzędników państwowych pracujących w Białymstoku. Zginęli m.in. ppor. rez. Zygmunt Bartnicki – pracownik Urzędu Ziemińskiego; ppor. rez. Anatol Bołbot, ppor. rez. Wacław Omeljan i ppor. rez. Jan Bruskztus z białostockiej Izby Skarbowej, ppor. rez. Gennadiusz Gryniwicz i ppor. rez. Antoni Kozłowski pracujący w Urzędzie Wojewódzkim oraz kpt. rez. Zygmunt Machnacz – naczelnik Wojewódzkiego Urzędu Skarbowego.

Lekarze

Sześć osób posiadało wykształcenie medyczne. Szczególnie dramatyczne wydają się losy rodziny ppor. rez. dr.



Ppor. rez. dr Józef Chodorowski

Józefa Chodorowskiego pochodzącego z Knyszyna w powiecie Białystok. Służył on w kadrze zapasowej 3. Szpitala Okręgowego w Grodnie. Ukończył studia medyczne na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Od 1935 r.

był starszym asystentem w Klinice Chirurgii Uniwersytetu w Wilnie, a w 1939 r. uzyskał tam doktorat z chirurgii. Do sowieckiej niewoli dostał się w Baranowiczach. Taki sam los spotkał jego starszego brata Bronisława. Ten z kolei



Dr Bronisław Chodorowski

⁴ Listy Czesława Sucharskiego, „Kurier Podlaski”, 12–14 V 1989, nr 93.

był lekarzem weterynarii, absolwentem Akademii Weterynaryjnej we Lwowie. Do wybuchu wojny pracował jako lekarz powiatowy weterynarii w Świącianach. Bronisław Chodorowski zginął w Katyniu na kilka dni przed swoim bratem. W kwietniu 1940 r. rodzice Józefa i Bronisława zostali deportowani do Kazachstanu – jechali na zesłanie, w czasie kiedy mordowano ich synów. W 1946 r. do kraju powróciła jedynie schorowana matka.

W Katyniu zginął wybitny okulista kpt. rez. Antoni Wieczorek, urodzony w Białymstoku w 1889 r. W 1920 r. podjął studia medyczne na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie w 1923 r. otrzymał dyplom doktora wszech nauk lekarskich. Był pracownikiem naukowym Instytutu Oftalmicznego oraz ordynatorem Oddziału Okulistycznego Warszawskiego Szpitala Dziecięcego. Pozostawił po sobie wiele publikacji naukowych. We wrześniu 1939 r. został przydzielony do rezerwowej kadry zapasowej 1. Szpitala Okręgowego.

Wspomnieć należy jeszcze o kpt. rez. Henryku Grzegorz Grodzieńskim, urodzonym w Białymstoku w 1882 r. Medycynę studiował w Monachium, a dyplom lekarski uzyskał w Moskwie. W 1920 r. walczył w armii gen. Józefa Hallera, a w czasie kampanii wrześniowej służył w szpitalach polowych pod Tarnopolem i tam trafił do niewoli sowieckiej. W podobnych okolicznościach znalazł się w niewoli kpt. rez. Antoni Łatacz, urodzony w 1893 r. w Bobrowce k. Białegostoku. Był lekarzem w Suchowoli, ukończył Akademię Wojskowo-Lekarską w Petersburgu. W 1939 r. został przydzielony do kadry zapasowej 3. Szpitala Okręgowego.

Inżynierowie

Dziewięć osób miało wyższe wykształcenie techniczne. Wśród inżynierów wymienić można ppor. rez. Józefa Połujana urodzonego w Grodnie, wybitnego specjalistę w zakresie budownictwa wodnego. Chemikiem był ppor. rez. Konstanty Stefan Łazarewicz pochodzący z Suwałk oraz białostoczanin ppor. rez. Aleksander Wieczorek – absolwent Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Uniwersytetu w Lyonie. Z kolei ppor. rez. Zygmunt Bujnowski pochodzący z Jasionówki ukończył Wydział Budownictwa Lądowego Politechniki Warszawskiej. Walczył w 81. pułku piechoty pod Kutnem i tam został wzięty do niewoli. W obozie w Kozielsku spotkał znajomego lekarza z Warszawy dr. Siennickiego, który namawiał go do uciezki. Bujnowski odmówił jednak, nie chcąc opuszczać kolegów. Siennicki zdołał wydostać się z obozu i po wielu miesiącach tułaczki dotarł do Warszawy.

Największe osiągnięcia na polu nauki miał kpt. Edward Radliński, urodzony w Suwałkach. Do 1933 r. pracował w Wojskowym Instytucie Badań Inżynieryjnych, później do roku 1939 w Biurze Badań Technicznych Broni Panczernej w Warszawie. Był autorem podręczników samochodowych rozpowszechnionych poza wojskiem. Brał czynny udział w organizacji pionu naukowego Szkoły Podchorążych Wojsk Samochodowych. Został wzięty do niewoli w nieznanych okolicznościach podczas kampanii wrześniowej. Z obozu w Kozielsku zdołał przekazać przez siostrzeńca ostatnią wiadomość, w której prosił rodzinę o opiekę nad najbliższymi.

W krótkim szkicu nie sposób przypomnieć wszystkich zamordowanych w Katyniu synów ziemi białostockiej i osób, które były związane z nią zawodowo, a często emocjonalnie. Chciałem jednak zwrócić uwagę na potrzebę opracowania słownika biograficznego ofiar zbrodni katyńskiej z województwa białostockiego. Przygotowując go, należy zweryfikować opublikowane dotychczas listy ofiar oraz wykonać szczegółową kwerendę archiwalną. Zadanie to wyjątkowo trudne, gdyż część dokumentów już nie istnieje, a do części badacze nie mają dostępu. Osobny problem to ciągle jeszcze żywa obawa rodzin zamordowanych jeńców. Ludzie ci – mimo upływu czasu – w wielu wypadkach boją się dzielić wspomnieniami o swoich bliskich rozstrzelanych przez NKWD w kwietniu i maju 1940 r.

ARESztOWANIE „SZESNASTU”. REKONSTRUKCJA

Śledztwo i proces przywódców Polskiego Państwa Podziemnego miały stworzyć sprzyjające okoliczności do przeforsowania sowieckiej wizji powojennej Polski, a zwłaszcza do utworzenia w Polsce na forsonanych przez Stalina zasadach Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Chodziło też o skompromitowanie w oczach Ameryki i Wielkiej Brytanii Polaków sprzeciwiających się narzuceniu dominacji sowieckiej.

Styczeń 1945 r. zamyka w dziejach polskiego podziemia niepodległościowego etap konspiracji antyniemieckiej. Przed wszystkimi jej uczestnikami stanęło pytanie, czy ujawnić się, akceptując tym samym stan zależności od Związku Sowieckiego, czy kontynuować walkę o suwerenność w podziemiu. Trwanie w podziemiu stawało się jednak coraz trudniejsze. Postępująca dekonspiracja podziemnych instytucji skłaniała do podejmowania starań o uzyskanie statusu legalności. Nadzieje na to dawały uchwały konferencji jałtańskiej. Na spotkaniu „Wielkiej Trójki” w Jałcie na Krymie w dniach 4–11 lutego 1945 r. postanowiono m.in., że działający w Polsce Rząd Tymczasowy zostanie zrekonstruowany na szerszej podstawie demokratycznej. 13 lutego 1945 r. premier Tomasz Arciszewski odrzucił postanowienia jałtańskie, stwierdzając, że dyktat ten nie zobowiązuje ani rządu RP, ani Narodu Polskiego. Odmienne stanowisko zajęła Rada Jedności Narodowej w kraju. 22 lutego 1945 r. uznała postanowienia jałtańskie, widząc szansę ratowania suwerenności Polski w wejściu polskich partii niekomunistycznych do deklarowanego w Jałcie rządu „jedności narodowej”¹. Stąd też zrodziło się oczekiwanie na zaproszenie do podjęcia rokowań w ramach Komisji Trzech. Zamiast tego pojawiły się propozycje zachęcające stronnictwa do wystąpienia z Rady Jedności Narodowej i do wyjścia z podziemia.

Najmniej odporni na komunistyczne zachęty okazali się działacze Stronnictwa Ludowego. Na dzień 2 kwietnia 1945 r. zapowiedzieli ujawnienie stronnictwa². To sprawiło, że nad możliwością legalnego działania zaczęli się zastanawiać i inni. W tej atmosferze pojawiło się sowieckie zaproszenie do podjęcia rozmów.

Propozycja była prowokacją sowieckiego kontrwywiadu, który od dłuższego czasu pracował nad ujęciem kierownictwa Polskiego Państwa Podziemnego³. Gen. Iwan Sierow, pełnomocnik Państwowego Komitetu Obrony do spraw ochrony tyłów 1. i 2. Frontu Białoruskiego, zastępca szefa sowieckich służb bezpieczeństwa Ławrientija Berii⁴, w dwa dni po zajęciu Warszawy,

¹ *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, Wrocław 1991, t. 6, s. 460.

² PPS zapowiedziało wyjście z podziemia z chwilą powołania nowego rządu przewidzianego uchwałami jałtańskim. Zob. *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, Londyn 1981, t. V, s. 310.

³ Zob. A. Chmielarz, *Kombinacja – rozmowy. Porwanie szesnastu przywódców Polski Podziemnej w świetle najnowszych, nieznanych dokumentów*, „Gazeta Wyborcza”, 24 III 1995, nr 71.

⁴ Prezydium Krajowej Rady Narodowej 24 IV 1946 r. nadało krzyż IV Klasy Orderu Virtuti Militari gen. Sierowowi „za wybitne zasługi przy wyzwoleniu Polski spod okupacji niemieckiej”. 2 VIII 1995 r. prezydent RP Lech Wałęsa uchylił uchwałę KRN w części dotyczącej nadania Sierowowi orderu VM.

19 stycznia 1945 r., meldował, że: „Działają grupy operacyjne złożone z pracowników Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Polski i naszych czekistów, celem wykrucia i aresztowania kierownictwa Komendy Głównej AK, NSZ i innych podziemnych partii politycznych”⁵.

NKWD bardzo sprawnie posługiwało się agenturą i skutecznie wykorzystywało informacje uzyskane od aresztowanych. W lutym 1945 r. aresztowano Zygmunta Domańskiego ze Stronnictwa Narodowego, który podczas przesłuchania zeznał, że jest: „członkiem Komitetu Centralnego podziemnego Stronnictwa Narodowego. Podczas dalszego przesłuchania Domański wymienił wiceprezidenta Rady Jedności Narodowej Zwierzyńskiego i czterech ministrów polskiego emigracyjnego rządu, pracujących nielegalnie na terytorium Polski”⁶.

Aleksandra Zwierzyńskiego aresztowano 8 marca 1945 r. W śledztwie zeznał, że: „Rada Jedności Narodowej całkowicie popiera londyński rząd emigracyjny [oraz] żądania wysuwane przez ten rząd o włączeniu w skład przyszłego polskiego Rządu Tymczasowego Mikołajczyka. W związku z tym ogłosili deklarację, w której protestują przeciwko decyzjom konferencji w Jałcie [...], a także oświadczają, że są gotowi wziąć udział w konsultacjach, które będą prowadzone przez komisję trzech mocarstw w Moskwie”⁷. Ta informacja została skrupulatnie wykorzystana w przygotowaniu prowokacji „rozmowy”. Zresztą Rosjanie, przesłuchując Zwierzyńskiego, dysponowali kopią Deklaracji RJN⁸.

Poszukiwania NKWD były na tyle skuteczne, że zagroziły bezpieczeństwu RJN i KRM. Stąd też Delegat Rządu RP Jan Stanisław Jankowski upoważnił 3 marca 1945 r. premiera Arciszewskiego do zakomunikowania rządowi brytyjskiemu i amerykańskiemu danych personalnych członków Krajowej Rady Ministrów⁹, ponieważ: „od kilku dni zaczęły się w miejscu naszego pobytu aresztowania i zasadzki [...]. Penetracja NKWD jest tak intensywna, że niebezpieczeństwo dla nas i aparatu jest groźne”¹⁰. Jak zanotował Kazimierz Pużak: „NKWD w Milanówku – gdzie koncentrowało się życie polskiego podziemia – było jak u siebie w domu, buszując wśród urzędników Delegatury, no i *via* PPR wśród ludowców...”¹¹

NKWD podjęło próbę dotarcia do gen. Leopolda Okulickiego w początkach lutego 1945 r. Ze wspomnień Władysława Minkiewicza opublikowanych w 1980 r. wiemy, że do gen. Okulickiego dotarł kpt. Zbigniew Woronicz¹², który przekazał wiadomość od generała Polskiej Armii Ludowej Stanisława Pieńkosia „Skały”, że dowództwo Armii Czerwonej szuka kontaktu z Komendantem AK¹³. Zachowany raport kpt. Zbigniewa Woronicza pozwala na dokonanie próby rekonstrukcji sowieckich usiłowań dotarcia do polskich władz konspiracyjnych, które zakończyły się ich podstępny aresztowaniem¹⁴.

⁵ Teczka specjalna J.W. Stalina. Raporty NKWD z Polski 1944–1946, Warszawa 1998, s. 174.

⁶ *Ibidem*, s. 208.

⁷ *Ibidem*, s. 209.

⁸ *Ibidem*.

⁹ Armia Krajowa w dokumentach..., t. V, s. 315.

¹⁰ *Ibidem*, s. 314.

¹¹ K. Pużak, *Wspomnienia*, Gdańsk 1989, s. 90.

¹² Kpt. Zbigniew Makusz-Woronicz, ur. 2 V 1916 r. w Granicy, s. Ryszarda i Wandy, 1935–1938 w WP, następnie w Korpusie Straży Granicznej; szef kontrwywiadu Komendy Obszaru Lwów, od czerwca 1951 r. do maja 1952 r. kierował organizacją „Odwet Górski”, 14 III 1953 r. skazany na karę śmierci, 31 XII 1953 r. wyrok złagodzono do kary dożywotniego więzienia.

¹³ W. Minkiewicz, *Wspomnienia 1939–1954*, „Zeszyty Historyczne” 1987, z. 80, s. 134–135; zob. też: *idem*, *Mokotów, Wronki, Rawicz. Wspomnienia 1939–1945*, Warszawa 1990, s. 24–25.

¹⁴ Historię rokowań gen. Okulickiego z Sowietami odtworzono na podstawie raportu kpt. Zbigniewa Woronicza „Jurgara” z 18 III 1945 r. Dokument znajduje się w zbiorach p. H. Rybickiej.

W raporcie kpt. Zbigniew Woronicz (posługiwał się wówczas pseudonimami „Jur”, „Jurgar” i „Wir”)¹⁵ podaje, że informację o tym, iż sztab Georgija Żukowa zwrócił się z propozycją rozmów, otrzymał od „Skatę” wraz z mjr. audytorem Lucjanem Milewskim „Baczyńskim”¹⁶. Przekazanie tej informacji przez Woronicza potwierdza gen. Okulicki w złożonym w Moskwie zeznaniu własnym: „Za pośrednictwem »Zbyszka-Wira« (nazwiska nie znam), który poprzednio pracował, o ile pamiętam, w dywersji albo wywiadzie, a obecnie dołączył do grupy pułkownika »Sępa«, poprzednio »Radosława« – Mazurkiewicza [...] zaproszenie na rozmowę...”¹⁷, a także podkomendny Woronicza Olgierd Bujwid: „Jeżeli chodzi o rozmowy gen. »Niedźwiadka« z Armią Czerwoną, to rozpoczęły się one z inicjatywy marsz. Żukowa, który polecił gen. Iwanowowi nawiązać kontakt z gen. »Niedźwiadkiem« w sprawach normalizacji stosunków pomiędzy AK a rządem lubelskim i Zw[iązkiem] Sowieckim. Pośrednictwa w tej sprawie podjął się gen. »Skatę«, stając się łącznikiem sowieckim, ze strony AK mjr audytor »Baczyński« – prokurator K[omendy] G[łówniej], oraz kpt. »Jurgar« – adiutant gen. »Niedźwiadka«”¹⁸.

Pośrednictwo Pieńkosia i nawiązanie kontaktu z Woroniczem potwierdza również Sierow, który jednak datuje to zdarzenie w marcu 1945 r.: „Na początku marca udało się nam nawiązać bezpośredni kontakt z byłym adiutantem generała Okulickiego, majorem »Wirem« (pseudonim), po czym oficerowie »Polskiej Armii Ludowej« zostali wyprowadzeni z kombinacji i następującego w ślad za tym przebiegu rozmów nie znają”¹⁹.

Przekazanie informacji przez Woronicza rozpoczęło realizację sowieckiej prowokacji „kombinacja rozmowy”, która doprowadziła do ujęcia przywódców Polskiego Państwa Polskiego i postawienia ich przed sądem w Moskwie w czerwcu 1945 r.

Gen. Okulicki, jak podaje Woronicz, polecił „wysondowanie propozycji”²⁰. Wynikiem tego było spotkanie²¹ z gen. Pieńkosiem i płk. „Burzą”²²: „W czasie omawiania ewentualnego spotkania Pana [tj. gen. Okulickiego] lub jego pełnomocników (to jest Baczyńskiego i mnie) z gen. Skatę i gen. Burzą, którzy byli rzecznikami strony sowieckiej – zostaliśmy

¹⁵ W meldunku z 21 VI 1945 r. skierowanym do KG AK ref. IIB Olgierd Bujwid „Ulewa”, „Wir” pisze: „Kpt. Jurgar był moim przełożonym, adiutantem gen. Niedźwiadka” (Archiwum b. UOP, nr 1686–1699, poz. 179). Bujwid, wcześniej oficer obwodu „Wrona”, po rozwiązaniu AK właśnie za pośrednictwem Woronicza wraz z ppor. Bolesławem Grafem „Sławem”, „Brašawem” skierowany został do sztabu tworzonego Okręgu Warszawskiego (najprawdopodobniej organizacji „Nie”). Bujwid objął funkcję oficera organizacyjnego oraz adiutanta dowódcy nowego Okręgu Warszawskiego ppor. Grafa. Był jednocześnie zastępcą kierownika komórki wywiadu kryptonim „Brašaw”, należącej do sieci „Jurata”. Brał udział w rozmowach z Pimienowem. Zob. A. Chmielarz, J. Sawicki, *Jeszcze jeden świadek*, „Tydzień Polski” (Londyn), 7 XII 1991, nr 49.

¹⁶ Mjr aud. Lucjan Milewski, zastępca szefa Służby Sprawiedliwości KG ZWZ-AK, prokurator Wojskowego Sądu Specjalnego przy KG AK, po powstaniu oficer KG AK, od kwietnia do listopada 1945 r. oficer Departamentu Sprawiedliwości MON.

¹⁷ *Proces szesnastu. Dokumenty NKWD*, oprac. A. Chmielarz, A.K. Kunert, Warszawa 1995, s. 408.

¹⁸ List do gen. Karaszewicza z 17 VII 1946 r., zob. A. Chmielarz, J. Sawicki, *Jeszcze jeden świadek...*

¹⁹ *Proces szesnastu...*, s. 446.

²⁰ Według relacji Władysława Minkiewicza to on pośredniczył w nawiązaniu przez Woronicza kontaktu z Okulickim, który polecił Woroniczowi trzymanie ręki na pulsie. Kontakt miał być utrzymywany za pośrednictwem Minkiewicza (zob. W. Minkiewicz, *Wspomnienia...*, s. 135).

²¹ Daty spotkania w raporcie brak.

²² Nazwisko nieznanne.

powiadomieni, że o ile do spotkania w ciągu 3 dni nie dojdzie, to nastąpią represje ze strony sowieckiej wobec AK". Woronicz i Baczyński w tej sytuacji przerwali pertraktację, a protokół omawiający techniczną stronę ewentualnego spotkania unieważniono. Odpis tego protokołu Woronicz osobiście doręczył gen. Okulickiemu.

W dniu, w którym miała zostać udzielona odpowiedź – prawdopodobnie przed 21 lutego – Okulicki wydał rozkaz, aby: „sprawę przewlec powiadamiąjąc, że kurier nie powrócił”. Zwłoka, o której pisze w swym raporcie kpt. Woronicz, spowodowana została najprawdopodobniej tym, że gen. Okulicki postanowił przedstawić sprawę obradującą w Podkowie Leśnej Komisji Głównej Rady Jedności Narodowej.

21 lutego w protokole obrad zapisano: „[...] Niedźwiadek przedstawia sprawę próby nawiązania z nim kontaktu przez marszałka Żukowa. Przy omawianiu tej sprawy jednomyślnie odradzano pójście na takie spotkanie z motywacją, że po rozwiązaniu AK nie ma i Komendanta AK. Dalej stwierdzono, że żadnej dywersji na tyłach wojsk sowieckich nie prowadzą oddziały AK, a dywersja, jaka ma miejsce, może być dziełem czynników niemieckich lub prowokacyjnych. Dla odciążenia się od tej sprawy Seret [Kazimierz Pużak, przewodniczący RJN] zaproponował wydanie przez pełnomocnika [tj. Delegata Rządu] enuncjacji, że AK jest rozwiązana i że za wszelką dywersję, która może pochodzić z różnych stron, my nie ponosimy żadnej odpowiedzialności. Oleśnicki [Aleksander Zwierzyński] propozycję tę poparł, a Pełnomocnik ją przyjął”²³.

Odpowiedź, którą Woroniczowi doręczyła „pani Soldau”, czyli Irena Tomalak²⁴, została przekazana 24 lutego gen. „Skale” i ptk. „Burzy”. Ustalono, że następne spotkanie odbędzie się za dwa dni, czyli 26 lutego. Na tym spotkaniu gen. Pieńkoś poinformował Woronicza i Baczyńskiego, że „życzeniem pełnomocnika gen. ptk. Lwanowa, szefa sztabu Żukowa ptk. Pimienowa” jest osobiste spotkanie z delegatami akowskimi celem wyjaśnienia trudności, które opóźniają spotkanie z Okulickim.

1 marca 1945 r. Woronicz przekazał na ręce ppłk. Jerzego Michalewskiego „Jerzego”, „Hellera”²⁵ meldunek o wynikach rozmów: „zameldowałem o tym, że strona rosyjska chce z Baczyńskim i ze mną bezpośrednio rozmawiać. Na odbycie tej rozmowy otrzymałem od p. Jerzego zgodę. Równocześnie złożyłem Panu dyr. meldunek sytuacyjny, podając, że Pimienow jest szefem defensywy u Żukowa, oraz podałem wiadomych nam konfidentów Pimienowa na tereny podwarszawskie”.


Jako miejsce następnego spotkania z ppłk. Jerzym Michalewskim ustalono Brwinów. Zapowiedziane spotkanie z Rosjanami odbyło się 4 marca w Pruszkowie. Ze strony sowieckiej obecni byli Pimienow, kpt. Wasinski i starszy lejtnant prof. Korczak-Chodkiewicz. Wprowadzającymi byli gen. „Skala” i ptk. „Burza”. Woronicz i Baczyński zostali przedstawieni przez Pieńkosia: „jako byli oficerowie AK, obecnie członkowie PAL. Baczyński jako ppłk, a ja jako mjr Wir”.

Pimienow próbował przekonać delegację akowską, że strona sowiecka ma szczerę i uczciwe zamiary, a podjęcie rozmów przyniosłoby odprężenie we wzajemnych stosunkach. Odpowiadając Pimienowowi na pytanie, dlaczego strona polska nie wierzy i nie ufa stronie rosyj-

²³ Protokół posiedzenia Komisji Głównej RJN, odbytego 17 II 1945 r. oraz 19, 21, 24 lutego [w:] *Protokoły posiedzeń Rady Jedności Narodowej (7 XI 1944–1 VII 1945)*, „Dokumenty i Materiały Archiwum Polski Podziemnej 1939–1956” 1995, nr 3, s. 50–51.


²⁴ Irena Tomalak (1895–1971) była zastępczynią kierowniczką Oddziału Łączności Konspiracyjnej KG AK.

²⁵ Ppłk Jerzy Michalewski (1894–1972), od listopada 1944 r. dyrektor Departamentu Obrony Narodowej Delegatury Rządu.

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.




Kazimierz Bagiński
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.




Adam Bini
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.




Józef Chaciński
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.




Eugeniusz Czarnowski
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.




Józef Stomler-Duśki
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.



Jan Stanisław Jankewski
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.



Stanisław Jasiulewicz
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.



Kazimierz Kobyłański
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.




Stanisław Michałowski
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.



Stanisław Miękwa
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.




Leopold Okulski-Miedziński
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.



Antoni Fajdak
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.



Kazimierz Puzak
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.




Zbigniew Stypułkowski
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.



Franciszek Urbaniski
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
75zł.



Aleksander Zwieryński
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

skiej, Woronicz oświadczył: „Nie mam upoważnienia z niczyjej strony na wyrażanie poglądu takiego czy innego, jeśli jednak płk Pimienow chce usłyszeć moje prywatne zdanie, to jest ono następujące: AK nie może mieć zaufania do strony rosyjskiej, gdyż w Wilnie, Lublinie, Zamościu i wszędzie aresztowano tysiące oficerów i żołnierzy AK [...]. To AK stało się obecnie synonimem największego przestępstwa u władz sowieckich. Ciągłe trwają dalej aresztowania i prześladowania ludzi, których jedynym przestępstwem jest jakakolwiek, choćby pozorna łączność z AK. PPR powoduje donosy, milicja szaleje. [...] taki system nie przyczynia się bynajmniej do wytworzenia sytuacji, która by dawała możliwość wiary w szczerą intencję władz sowieckich co do proponowanych rozmów. Władze sowieckie i bezpieczeństwa, zamiast tępić prawdziwych wrogów, byłych agentów Gestapo i żandarmerii niemieckiej, którzy nawet obecnie zajmowali wysokie stanowiska w hierarchii PPR [...], cały swój wysiłek nastawiają na wyszukiwanie ludzi z AK. Polakom jest wszystko jedno, czy aresztuje ich Gestapowiec, żandarm, NKWD-ysta czy milicjant, my chcemy Polski wolnej i niepodległej, a takiej nie mamy, dlatego nie możemy mieć zaufania do władz sowieckich”.

Pimienow w odpowiedzi stwierdził, że: „do Wisty była inna polityka, a na zachód musi być inna, bo tu jest więcej AK i władzom sowieckim zależy na tym, aby był utrzymany spokój. A tymczasem AK wysadza pociągi, zabija ludzi, robi napady na banki itd. [...] obecnie będzie stosowana inna polityka, bo takie są postulaty Armii Sowieckiej, która nie ma wpływu na to, co robią polskie władze bezpieczeństwa”.

Replikując, Baczyński i Woronicz odpowiedzieli, że zmiany w postępowaniu Sowietów nie ma, faktem natomiast bezspornym jest, że prześladowania akowców trwają nadal. Na zakończenie spotkania Pimienow zwrócił się z prośbą do delegacji akowskiej, by ta doręczyła jego listy – w których zaprasza na spotkanie ze sztabem Żukowa, gwarantując obu bezpieczeństwo osobiste – gen. Okulickiemu i wicepremierowi Jankowskiemu.

Woronicz z Baczyńskim oświadczyli, że doręczenie listów nie będzie sprawą prostą i potrwa od 7 do 10 dni, ponieważ nie posiadają bezpośredniego kontaktu z AK, a łączność jest utrzymywana jednostronnie. Listy po ich sporządzeniu dostarczyć miał gen. „Skąta”. Na zakończenie rozmów, jak podaje Woronicz, interweniowali u Pimienowa w sprawie aresztowania Matejaka²⁶ i Barbary Kostrzewskiej²⁷, której Woronicz był wielbicielem.

Następnego dnia, tj. 5 marca, gen. „Skąta” dostarczył listy od Pimienowa²⁸. Do ich przekazania Jerzemu Michalewskiemu nie doszło, gdyż ten ani 6, ani 7 marca na umówionym kontakcie w Brwinowie się nie zjawił. Podobno nie mógł odnaleźć adresu, ponieważ ulica miała dwie nazwy. Tak przynajmniej wyjaśnił swą nieobecność Woroniczowi. Do spotkania doszło dopiero przez kontakt prywatny 9 marca. Wtedy Woronicz w obecności „jednego ze znajomych”²⁹ wręczył oba listy. Władysław Minkiewicz wspomina, że Woronicz zwrócił

²⁶ Brak bliższych danych.

²⁷ Barbara Kostrzewska (1915–1986), polska śpiewaczka, sopran liryczno-koloraturowy. Debiutowała w 1937 r. w Operze Warszawskiej. W czasie wojny należała do AK (ps. „Maria”). Uczestniczyła w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie była solistką oper w Bytomiu (1946–1949), Poznaniu (do 1954 r.) i Warszawie (do 1957 r.). Następnie była kierownikiem artystycznym i solistką Teatru Muzycznego Spółdzielczego w Warszawie (do 1959 r.), operetki w Lublinie (do 1966 r.) i Wrocławiu (do 1979 r.).

²⁸ Na fotokopii listu Pimienowa do Okulickiego widnieje data 6 marca (*Armia Krajowa w dokumentach...*, t. V, po s. XL).

²⁹ Był to prawdopodobnie Władysław Minkiewicz, por. W. Minkiewicz, *Wspomnienia...*, s. 138–139.

się do niego z prośbą o pomoc w ich doręczeniu: „wręczył mi je błagając, żebym je przekazał adresatom, bo w przeciwnym razie będzie ponownie aresztowany. Listy przyjąłem...”³⁰

Następnego dnia Minkiewicz przekazał Stanisławowi Kauzikowi, dyrektorowi Departamentu Informacji Delegatury Rządu, list do Jankowskiego, a płk. Jerzemu Michalewskiemu list do gen. Okulickiego³¹. Listy do adresatów dotarły szybko. W depeszy do premiera z 11 marca 1945 r. wicepremier Jankowski pisał: „Obecnie otrzymaliśmy niemal jednobrzmiące pisemne zaproszenie podpisane przez płk. gwardii Pimienowa...”³²

Woronicz jednocześnie zameldował, że jest przez „bolszewików” rozkonspirowany, a przeciąganie rozmów staje się coraz trudniejsze i grozi im aresztowaniem. Prosił o dalsze instrukcje oraz pieniądze, ponieważ, jak pisze w raporcie: „w każdym wypadku z tego terenu z Baczyńskim spalać się będziemy musieli”.

Ustalono, że kolejne spotkanie odbędzie się 13 lub 14 marca. Do następnych spotkań już jednak nie doszło. Woronicz naciskany przez Rosjan 15 marca powiadomił pisemnie: „p. dyr. Jerzego, prosząc o przyspieszenie odpowiedzi oraz ewentualny kontakt...”

W sobotę 17 marca, jak podaje Woronicz, otrzymał odręczne pismo od: „starszego lejtnanta prof. Korczak-Chodkiewicza adresowane do płk. Nowaka”³³. W piśmie tym zaprasza na spotkanie, w miejscu wskazanym przez Nowaka, gdyż chciałby omówić i przedstawić trudności, jakie są powodem, że do spotkania nie dochodzi”³⁴.

18 marca 1945 r. Woronicz pisze pismo – raport do gen. L. Okulickiego, kopię zachowuje dla siebie, a drugą wręcza „Baczyńskiemu”. W tym niezwykle ważnym dokumencie Woronicz pominął jednak kilka istotnych elementów, które najprawdopodobniej były przyczyną zerwania z nim kontaktu. O pierwszym dowiadujemy się z meldunku jednego z podkomendnych Woronicza plut. pchor. Olgierda Bujwida, który 18 czerwca 1945 r. pisze: „w początkach marca br. usiłowała bojówka »Anatola«³⁵ of[icera] sztabu grupy [...] zlikwidować kpt. »Jurgara«. Po wyjaśnieniu przez niego sprawy w K[omendzie] G[łówniej] okazało się, że wyrok został samowolnie i bezpodstawnie wydany przez Anatola. Anatol powyższej sprawy całkowicie się wyparł”³⁷.

Drugi problem to zatajenie próby samobójstwa. Informacja o tym zachowała się w raporcie nr 8 z 24 marca 1945 r. „Krzemienia”, czyli mjr. Wincentego Kwiecińskiego, szefa kontrwywiadu przy gen. Okulickim: „We wtorek 11 b. m. »Jurgara«, używający obecnie pseudonimu »Wir«, podczas konferencji z szefem Razwiedupru [?] płk. gwardii Pimienowem oraz szefem kontrwywiadu sowieckiego [?] Iwanowem w Pruszkowie otruł się. W stanie ciężkim, lecz nie beznadziejnym przewiezony został do szpitala polskiego w Pruszkowie, gdzie pilnowali go 2 funkcjonariusze NKWD, jak twierdzili: »Z obawy przed ponownym zamachem na swoje życie, dzielnego, lecz nad miarę nerwowego Polaka«. U Pimienowa wraz z »Wirem« był prok. »Baczyński« oraz »Jerzy«. W rozmowie jednak udziału nie brali, pozostając w przyległym pokoju. Wg ostatnich relacji »Wir« znajduje się już na wolności.

³⁰ W. Minkiewicz, *Wspomnienia...*, s. 138–139.

³¹ *Ibidem*, s. 139.

³² *Armia Krajowa w dokumentach...* t. V, s. 323.

³³ Pseudonimu „Nowak” używał Stefan Korboński, dyrektor Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu na Kraj, nie posiadał jednak stopnia ppłk.

³⁴ Odpis pisma miał zostać przesłany przez Woronicza przy raporcie z 18 III 1945 r.

³⁵ Ppor. czasu wojny Seweryn Skowroński „Anatol”.

³⁶ Wykreślone, prawdopodobnie „Jurata”.

³⁷ Meldunek „Ulewy” z 21 VI 1945 r. (Archiwum b. UOP, nr 1686–1699, poz. 179).

Informator nasz widział raport jego adresowany do gen. »Niedźwiadka«, w którym »Wir« prosi o odbycie rozmowy z Żukowem. O wypadku w Pruszkowie nie wspomina. Bezpośrednio po zwolnieniu skontaktował się w »Orkanem«³⁸ z KN-u, z którym współpracuje na terenie zachodu – Biuro Ziem Nowych, i opowiadał mu o państwowej doniosłości spraw, które załatwia³⁹. W tym samym meldunku Kwieciński odnotowuje jeszcze jeden interesujący fakt: „W kancelarii NKWD »Tissot« rozpoznał urzędującego por. AK »Gustawa«. Pseudonimu „Gustaw” używał także Zbigniew Makusz-Woronicz.

Próbę samobójstwa potwierdza Sierow: „Przedsięwzięliśmy środki dla uratowania życia »Wira« po to, żeby kontynuować dalszą kombinację. Po zakończeniu leczenia »Wira« w naszym szpitalu wojskowym w ciągu trzech dni nastąpiła poprawa i on ponownie został włączony do kombinacji w kwestii »rozmów«”.⁴⁰

Trzeci najważniejszy zatajony przez Woronicza fakt to szantaż ze strony Rosjan. Pisze o tym Sierow w raporcie z końca marca 1945 r: „Stwierdziliśmy również, że w osadzie Milanówka [sic!] mieszka kochanka »Wira« Kuszczewska [Kostrzewska] Barbara⁴¹, artystka warszawskiego Teatru Wielkiego Operowego. Na temat Kuszczewskiej [Kostrzewskiej] w warszawskiej grupie operacyjnej były dane agenturalne, świadczące o jej kontaktach z dowództwem głównym »AK«. W związku z tym Kuszczewską [Kostrzewską] aresztowaliśmy. Major »Wir«, dowiedziawszy się o jej aresztowaniu, niepokoił się jej losem, i podczas kolejnego spotkania z pułkownikiem Pimienowem bardzo prosił o jej zwolnienie [...] Wyraziliśmy zgodę na jej zwolnienie, ale pod warunkiem szybszego zorganizowania spotkania z przedstawicielami dowództwa głównego »AK«. Jednocześnie z tym wyraziliśmy zainteresowanie spotkaniem także z głównym delegatem londyńskiego rządu emigracyjnego Jankowskim, z którym organizacja AK jest ściśle powiązana i podlega mu w swojej praktycznej działalności”⁴².

Każdy z powyższych faktów wystarczał do przerwania kontaktów z Woroniczem. Fakt, że była to, jak wszystko wskazuje, świadoma decyzja, potwierdza list Bujwida z 1946 r. do gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza: „Na skutek lekko niewłaściwego postępowania kpt. »Jurgara« zostali oni zmienieni 15 III [19]45 przez por. »Sława« i mnie jako pomocniczego”⁴³. Być może o zrezygnowaniu z usług Woronicza i Baczyńskiego zdecydowała decyzja Delegata Rządu o przyjęciu zaproszenia Pimienowa i tym samym Woronicz stał się zbędny. Musimy pamiętać o tym, że – jak wiele wskazuje – o utrzymaniu przez Okulickiego kontaktów z Pimienowem via Woronicz nikt w Delegaturze Rządu nie wiedział.

Okulicki kontynuował rozmowy z Pimienowem za pośrednictwem por. „Sława” i Bujwida: „Osobiście brałem udział w doręczeniu 2 listów od gen. Iwanowa do gen. »Niedźwiadka« oraz w rozmowach, których celem było uzgodnienie warunków. Gen. Iwanow żądał ujawnienia się sztabu AK i w konsekwencji całej AK; gen. »Niedźwiadek« żądał uprzedniego zaprzestania jakichkolwiek represji w stosunku do byłych członków AK i rozwiązania obozów koncentracyjnych, gdzie więzieni byli b. żołnierze AK. Na tym punkcie rokowania utknęły – stało się to w końcu marca – i wszelkie dalsze rozmowy miały wyłącznie na celu odwołanie chwili rozpoczęcia represji przeciw AK na wielką skalę. W tym mniej więcej czasie

³⁸ Pseudonimu „Orkan” używał Adolf Gozdawa-Reutt, członek kierownictwa Konfederacji Narodu.

³⁹ Raport „Krzemienia” nr 8 z 24 III 1945 r., Archiwum b. UOP, 1737, nr 4960.

⁴⁰ Raport Sierowa wysłany przed 5 IV 1945 r. [w:] *Proces szesnastu...*, s. 447.

⁴¹ Chodzi o Barbarę Kostrzewską.

⁴² Raport Sierowa wysłany przed 5 IV 1945 r. [w:] *Proces szesnastu...*, s. 446–447.

⁴³ A. Chmielarz, J. Sawicki, *Jeszcze jeden świadek...*

wystąpił Delegat Rządu swoich przedstawiciele do Armii Czerwonej i doszedł do porozumienia, tak że nastąpiła znana konferencja i ujawnienie 16 członków rządu podziemnego.

Jeżeli chodzi o mój udział w rozmowach, to ograniczał się on do obecności, notowania wszelkich kwestii i zastrzeżeń podnoszonych przez stronę sowiecką i szczegółowego rozpracowywania zagadnień omawianych w trakcie rozmowy. Przedmiot rozmów określał każdorazowo por. »Sław« na podstawie otrzymanych instrukcji. Do mnie również należało ustalenie godziny i miejsca spotkania⁴⁴.

14 marca, w odpowiedzi na zaproszenie Pimienowa, zjawił się u niego wystannik Delegata Rządu Józef Stemler-Dąbski, który, jak pisze Sierow, sondował w rozmowie szczerść zamiarów Sowietów i kiedy utwierdził się w tym, od razu złożył propozycję przeprowadzenia – wstępnego – spotkania Jankowskiego z Pimienowem. Od tej chwili wydarzenia potoczyły się szybko⁴⁵.

17 marca doszło do pierwszego spotkania Jankowskiego z Pimienowem, który: „żądał usilnie rozmowy z Termitem [Okulickim] i między innymi poruszył sprawę ujawnienia się stronnictw, konieczność zlania w jeden nurt wszystkich prądów demokr[atycznych], zaś Sobol [Jankowski] sprawę przewiezienia naszej ekipy do Londynu i z powrotem dla porozumienia się z Rządem”⁴⁶.

Następnego dnia, tj. 18 marca, z Pimienowem rozmowy przeprowadzili ludowcy (Kazimierz Bagiński, Adam Bień i Stanisław Mierzwa), do których Pimienow dotarł za pośrednictwem byłego komendanta Batalionów Chłopskich na województwo warszawskie, adwokata Tadeusza Wyrzykowskiego. Posłużyło to zresztą Pimienowowi do wywarcia presji na Jankowskiego. Jak pisał Sierow: „Na pierwszym spotkaniu pułkownika Pimienowa z Jankowskim ten ostatni, dowiedziawszy się, że na następny dzień powinno odbyć się spotkanie z kierownictwem podziemnej partii Stronnictwo Ludowe, wyraził pretensję, że my działamy z pominięciem jego i oświadczył, że on może zorganizować spotkanie z przywódcami wszystkich podziemnych partii”⁴⁷.

20 marca rozmawiali z Pimienowem przedstawiciele Stronnictwa Pracy (Józef Chaciński i Franciszek Urbański) i Stronnictwa Narodowego (Stanisław Jasiukowicz i Kazimierz Kobylański). Tego samego dnia Pimienow dał znać, że Sowiety godzą się na wystanie do Londynu samolotem dwunastu osób⁴⁸.

21 marca zorganizowano następne spotkanie Delegata Rządu, na którym ustalono, że 27 marca odbędzie się spotkanie delegacji w składzie: Delegat Rządu, gen. Okulicki, przewodniczący RJN Kazimierz Pużak, a dzień później, tj. 28 marca, członków Krajowej Rady Ministrów i Rady Jedności Narodowej. Sierow po tym spotkaniu napisał: „Wczoraj na spotkaniu tow. Pimienowa z wicepremierem Jankowskim był opracowany plan przyszłych spotkań z przedstawicielami partii politycznych. Plan ten obliczony jest na ujęcie kierownictwa pięciu partii politycznych wchodzących w skład podziemnego rządu, wicepremiera Jankowskiego, a także przedstawiciele partii wchodzących do Rady Jedności Narodowej”⁴⁹.

⁴⁴ *Ibidem*.

⁴⁵ Raport Sierowa wysłany przed 5 IV 1945 r., [w:] *Proces szesnastu...*, s. 447.

⁴⁶ Depesza L.dz.K. 1705/45 (Stefana Korbońskiego „Nowaka” do premiera) z 31 III 1945 r. Fotokopia w zbiorach autora.

⁴⁷ Raport Sierowa wysłany z Warszawy przed 5 IV 1945 r. [w:] *Proces szesnastu...*, s. 448.

⁴⁸ Depesza L.dz.K.1705/45 z 31 III 1945 r. W depeszy z 25 III 1945 r. gen. Okulicki informował gen. Andersa, że samolot ma zostać dostarczony 29 marca (*Armia Krajowa w dokumentach...*, t. V, s. 353).

⁴⁹ Raport Sierowa wysłany z Warszawy przed 23 III 1945 r., [w:] *Proces szesnastu...*, s. 432.

Jak wspomina Kazimierz Pużak, Jankowski nie podejrzewał podstępny: „Delegat chodził początkowo na konferencję zaopatrzone listem żelaznym – dotrzymany. Obecnie już tych listów żelaznych nie używa. Wzajemna ufność. Ugruntowuje się bajeczka o pomocy dowództwa (marsz. Żukow) w wylocie delegacji polskiej do Londynu dla ostatecznego dogadania się z rządem Arciszewskiego. Teza, że jest to naturalny wynik umowy krymskiej, panuje i zaprzęta wszystkich, nie wyłączając oczywiście Delegata”⁵⁰.

O zamierzonym aresztowaniu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego Sierow poinformował Bolesława Bieruta i Edwarda Osóbkę-Morawskiego. Bierut i Osóbka-Morawski prosili o wstrzymanie się z aresztowaniami do czasu skonsultowania sprawy z Moskwą. Według Sierowa zamierzali wyrazić zgodę na włączenie niektórych polityków w skład rządu lub przyciągnąć ich do współpracy. Bierut był zdania, że Jankowskiego, Mikołajczyka, Witosa i innych jako sprawców: „walki bratobójczej narodu polskiego (powstanie warszawskie i opór wobec zarządzeń PKWN w Polsce) [...] uważają za słuszne pociągnąć [...] do odpowiedzialności za te zbrodnie”⁵¹. Sierow podzielał to stanowisko: „Ze swej strony uważam za słuszne, żeby pod pretekstem przeprowadzenia rozmów zebrać przedstawicieli wszystkich partii w określonym miejscu, wziąć ich pod straż, a następnie dać możliwość Bierutowi i Morawskiemu przeprowadzenia z nimi rozmów, po których zdecydować o aresztowaniu czy częściowym zwolnieniu. Proszę o dyrektywy”⁵².

Mimo zalecenia utrzymania przygotowywanej operacji w tajemnicy została ona rozgłoszona wśród członków lubelskiej CK PPS, zapewne przez Osóbkę-Morawskiego, co wywołało irytację Sierowa⁵³. Informacja faktycznie wyciekła, bo Kazimierz Bagiński otrzymał ostrzeżenie, które ten odczytał 26 marca na posiedzeniu RJN. Jak zanotował Pużak, wiadomość tę potraktowano jako: „zupełnie widoczną próbę stoperdowania konferencji. Albowiem gdybyśmy nie wzięli udziału w tej konferencji – to sądząc po dalszych perypetiach – Moskale mogliby z całą stanowczością twierdzić, że podziemie polskie unika spotkań, gdyż ma na sumieniu wszystkie akty antyradzieckie i oczywiście »dąży do wojny z ZSRR«. Dodatkowo zaś podziemie uchylając się od rozmów ze stroną rosyjską, i to na wezwanie dowództwa wojskowego Sowieców, w którego zasięgu działa strona polska, tym samym uchyla się od rozmów (konsultacji jättańskiej) z Anglią, Ameryką i ZSRR. Nie da się zaprzeczyć, że większość z delegatem i rządem nie przypuszczała, że jednak autor karteczki się nie mylił. Jednak niezależnie od przypuszczenia racja stanu wymagała bez względu na to, co wyniknie, stawiennictwa naszych osób...”⁵⁴

Jedynym, który się wahał do końca, był gen. Okulicki. Jak podaje Kwieciński w swym raporcie uzupełniającym do sprawy szesnastu z lipca 1945 r., „na posiedzeniu DR Jankowski mu powiedział: »Pan, Panie Generale, jest Szefem Wydziału Wojskowego w D[elegaturze] R[ządu], zatem jako taki...« – »No, tak słusznie – pojedę« – powiedział »Niedźwiadek«”⁵⁵.

27 marca do Pruszkowa na rozmowy z gen. Iwanowem udali się Delegat Rządu J.S. Jankowski, gen. L. Okulicki, przewodniczący Rady Jedności Narodowej K. Pużak i tłumacz J. Stemler-Dąbski. Po ich powrocie z Pruszkowa miało odbyć się wspólne posiedzenie Kra-

⁵⁰ K. Pużak, *Wspomnienia...*, s. 95–96.

⁵¹ Raport Sierowa wysłany z Warszawy przed 23 III 1945 r., [w:] *Proces szesnastu...*, s. 432.

⁵² *Ibidem*, s. 433.

⁵³ *Ibidem*, s. 436.

⁵⁴ K. Pużak, *Wspomnienia...*, s. 97.

⁵⁵ Fotokopia w zbiorach autora. Na depeszy Korbońskiego z 31 III 1945 r. znajduje się odręczna uwaga komentująca udanie się na rozmowy gen. Okulickiego, naniesiona po jej odebraniu 1 IV 1945 r.: „Nie miał prawa. Zrobił to wbrew rozkazom”.

jowej Rady Ministrów i Rady Jedności Narodowej. Ponieważ z Pruszkowa nikt nie wrócił, posiedzenie się nie odbyło. Wzbudziło to zaniepokojenie, jednak nie na tyle silne, by poczekać na wyjaśnienie zaistniałej sytuacji. Postanowiono iść na wyznaczoną na dzień następny konferencję, mając nadzieję, że delegat, Pużak i Okulicki już może rozpoczęli konferencję z płk. Pimienowem.

28 marca 1945 r., mimo że z obrad wstępnych nikt nie powrócił, reszta delegatów stawiała się na rozmowy. Do żadnych rozmów nie doszło. Następnego dnia delegację polską przewieziono na Okęcie, a stamtąd do Moskwy, do więzienia NKWD na Łubiance. Dzień wcześniej przywieziono tam Jankowskiego, Pużaka i Okulickiego.

Bierut i Osóbka-Morawski nie zostali poinformowani o aresztowaniu szesnastu. Sierow powiadomił ich, że rozmowy z Jankowskim nie powiodły się: „Jankowski i pozostali ukryli się, są podejrzenia, że zostali uprzedzeni o możliwości zatrzymania”⁵⁶. Aresztowanie szesnastu Sowieci utrzymywali w tajemnicy do 3 maja 1945 r., kiedy to Mołotow w San Franciscu publicznie potwierdził ten fakt.

Podstępne, wiarołomne aresztowanie przywódców Polskiego Państwa Podziemnego dokonane przez Sierowa pozwoliło Stalinowi na wyeliminowanie faktycznych przedstawicieli społeczeństwa polskiego z pertraktacji o utworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, co w efekcie doprowadziło do pełnego podporządkowania Polski Moskwie.

6 maja oficjalny komunikat w tej sprawie opublikowała agencja TASS, podając, że: „grupa nie zniknęła, ale została aresztowana przez władze wojskowe i znajduje się obecnie w Moskwie w śledztwie”⁵⁷.

Do prowadzenia śledztwa – jak pisze Stefan Radewicz (Rodziewicz)⁵⁸ – skierowane zostały pokaźne siły i środki aparatu NKWD i NKGB. Na czele specjalnej brygady śledczej stanął szef Oddziału Śledczego do Spraw Specjalnych NKGB, komisarz bezpieczeństwa państwowego Włodzimirskij, jego zastępcą był płk Lew Szwarcman. W wielu przesłuchaniach uczestniczyli: zastępca szefa NKGB Kobułow i zastępca szefa NKWD Krugłow. Sądem kierował przewodniczący Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego ZSRR Wasilij Ulrich, a wspierali go gen. mjr służby sprawiedliwości Nikołaj Afanasjew, Generalny Prokurator Wojskowy Armii Czerwonej, oraz radca państwowy służby sprawiedliwości Roman Rudenko.

W ramach postępowania śledczego i sądowego przesłuchano wielu świadków, sporządzono przeszło 200 protokołów z przesłuchań „16 podejrzanych”. Ostatecznie 14 czerwca 1945 r. został sporządzony akt oskarżenia i 16 czerwca przedstawiony Anastasowi Mikojanowi. Akt ów zarzucał oskarżonym zorganizowanie partyzanckich oddziałów zbrojnych na tyłach Armii Czerwonej; powołanie podziemnej – politycznej i zbrojnej – organizacji „Nie”; terrorystyczną i szpiegowską działalność oddziałów AK i „Nie”; pracę radiostacji AK i rządu podziemnego na tyłach Armii Czerwonej oraz przygotowanie wspólnego wystąpienia z Niemcami przeciw ZSRR. Proces rozpoczął się 18 czerwca przed najwyższym sądem wojskowym w Moskwie.

Wyrok ogłoszono 21 czerwca. Gen. Okulicki został skazany na 10 lat więzienia, Jankowski na 8 lat, Bień i Jasiukowicz po 5 lat, Pużak 18 miesięcy, Czarnowski 6 miesięcy, Chaciński, Mierzwa, Stypułkowski i Urbański po 4 miesiące. Uniewinniono Kobylańskiego, Michałowskiego i Stemlera-Dąbskiego.

⁵⁶ Raport Sierowa wysłany z Warszawy 27 III 1945 r., [w:] *Proces szesnastu...*, s. 436.

⁵⁷ Oświadczenie TASS wraz z komunikatem Agencji „Polpres”, „Rzeczpospolita” (Łódź), 7 V 1945.

⁵⁸ S. Radewicz, *Proces szesnastu*, „Mieźdunarodnaja Żyżń” 1991, nr 4, s. 130 i n.

Proces przywódców Polskiego Państwa Podziemnego odbywający się równolegle z rozmowami Komisji Trzech, zakończonymi powołaniem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, był publicznym pokazem siły Stalina. Stalin po raz kolejny udowadniał światu, że nie musi się liczyć z pozostałymi partnerami Wielkiej Trójki i zajmuje w niej pierwsze miejsce. W tej sytuacji nie mógł się obronić żaden z wariantów polityki polskiej – protestu narodowego ani politycznej ugody.

W październiku 1989 r. Prokurator Generalny PRL zwrócił się do Prokuratury Generalnej Związku Sowieckiego o postępowanie rehabilitacyjne w sprawie Okulickiego i pozostałych skazanych. 19 kwietnia 1990 r. Plenum Sądu Najwyższego ZSRR orzekło, że w działalności oskarżonych nie było cech przestępstwa i uznało wyniki postępowania rehabilitacyjnego.

„Sprawa śledcza nr 7859 przeciwko organizatorom i kierownikom polskiego podziemia na tyłach Armii Czerwonej, na terenach Zachodniej Ukrainy i Białorusi, na Litwie i w Polsce...” została odtajniona. Z liczącego 36 tomów zbioru akt do dziś pozyskano tylko niewielką część w postaci kopii kserograficznych, mimo że jego częścią są akta śledcze wielu znaczących spraw akowskich⁵⁹.

⁵⁹ W wyniku zabiegów polskiej służby dyplomatycznej (głównie konsula generalnego RP w Moskwie Michała Żórawskiego) niezbyt wielka część tego zbioru przekazana została Polsce w postaci kopii kserograficznych. Pozyskane dokumenty zostały opublikowane w 1993 r. w tomie: *Sprawa 16-tu. Protokoły przesłuchań gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka” i współoskarżonych*, oprac. A. Chmielarz, A.K. Kunert.

Oskarżajcie nas wszystkich, nie tylko szesnastu;
sądźcie poległych w grobie, to też winowajcy.
Sądźcie szkielet, co z wojny pozostał się miastu,
gdy wyście jeszcze z diabłem kumali się, zdrajcy...

Kazimierz Wierzyński, fragment wiersza *Na proces moskiewski*

DENUNCJATOR ZE SKAŁY

Powojenna rzeczywistość Polski, naznaczona sowiecką okupacją, masowym terrorem organów bezpieczeństwa, procesami i indoktrynacją komunistyczną, dla znacznej części społeczeństwa polskiego była nie do przyjęcia. Zwłaszcza ludzie młodzi, wychowani w tradycyjnych polskich rodzinach, w znakomitej większości katolickich, odrzucili sowiecki model szkoły i ogłupiającą propagandę władz szkolnych. Po 1944 r. w całym kraju zaczęły powstawać konspiracyjne organizacje młodzieżowe. Nawiązywały one w swoich programach do tradycji walki Armii Krajowej o pełną niepodległość Polski lub zdelegalizowanych organizacji młodzieżowych, zwłaszcza poakowskich, katolickich i harcerstwa.

Jedną z takich organizacji była „Młodzież Armii Krajowej”, która działała w latach 1946–1950 w Skale i okolicy w powiecie olkuskim. W swojej działalności organizacja odwoływała się do walki niepodległościowej, prowadzonej w okresie okupacji niemieckiej przez Armię Krajową, po „wyzwoleniu” zaś przez Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość”. Dowódcą był Stanisław Baranek „Mak”, „Jurek” i „Kruk”¹. Z inicjatywy swego stryja Piotra Baranka w latach 1943–1945 był łącznikiem w 106. Dywizji Piechoty AK². Jej dramatyczne losy po zajęciu Polski przez Armię Czerwoną, aresztowania i deportacje dowódców i żołnierzy w głąb Związku Sowieckiego, terror NKWD i Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego oraz rządy ludzi „pełniących obowiązki Polaków” spowodowały, że młody człowiek nie pogodził się z nową sytuacją kraju. Dodatkową motywacją podjęcia walki w podziemiu była działalność oddziałów leśnych, ich walka zbrojna przeciwko sowieckiej okupacji Polski i podległym Sowietom krajowym władzom komunistycznym³.

Na przełomie 1945–1946 roku Stanisław Baranek wraz z kolegami zaczął urządzać zbiórki w lesie w okolicach Skały, podczas których omawiano sprawy dotyczące sytuacji społeczno-politycznej i walki z reżimem komunistycznym. Poza tym mimo rozwiązania AK Stanisław Baranek nadal współpracował ze stryjem, Piotrem Barankiem, który od jesieni 1945 r. był członkiem WiN. Z jego inicjatywy postanowiono utworzyć organizację młodzieżową, związaną z WiN i podlegającą na zasadach autonomii dowódcy placówki Zrzeszenia w Skale i Radzie Powiatowej WiN w Olkuszu⁴.

¹ IPN Kr, 074/250, Charakterystyka nr 251 organizacji pn. „Młodzież Armii Krajowej” k. 2. W aktach WUBP w Krakowie i Wojskowego Sądu Rejonowego występuje jako „Król”, jednak w rzeczywistości nosił pseudonim „Kruk”. Informację tę potwierdził syn S. Baranka, p. Tomasz Baranek.

² Chodzi o Inspektorat AK Miechów, kryptonim „Maria”.

³ Informację uzyskałem od syna, p. Tomasza Baranka.

⁴ Z. Zblewski, *Działalność Rady WiN Olkusz krypt. „Spółdzielnia” Nr 12 w 1946 roku*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2002, nr 17, s. 7–34. Organizację WiN w pow. olkuskim utworzono na przełomie 1945 i 1946 r. z inicjatywy mjr. Emanuela Małachowa. Koło WiN w Skale zostało zorganizowane w marcu 1946 r. przez Stanisława Domagalskiego „Żmudzina”, którego bezpieka aresztowała 4 I 1949 r. Szefem koła był Mikołaj Morawski „Drązek”, „Sośniak” aresz-

Organizacja powstała wiosną 1946 r. w Skale, w powiecie olkuskim, wśród młodzieży w wieku od 16 do 17 lat. Podczas jednego ze spotkań Lucjan Prostacki przyniósł tekst roty przysięgi opracowanej najprawdopodobniej na polecenie Stanisława Baranka. Osoby, które wstąpiły do tworzonej organizacji, złożyły ją pod obrazem Matki Boskiej w kościele w Skale. Zobowiązywała ona do wierności organizacji i zachowania tajemnicy o jej istnieniu⁵. Po zaprzysiężeniu członków organizacji przyjęto jej nazwę – „Młodzież Armii Krajowej”. W początkowym okresie należało do niej sześć osób, w momencie rozbitcia liczyła dziesięciu członków, głównie młodych mieszkańców Skali⁶. Do organizacji należeli: Stanisław Baranek „Kruk” – dowódca MAK, Lucjan Prostacki „Lis”, Wacław Boroń „Wilk”, „Lucy”, Gustaw Boroń, Piotr Miodek „Ryś”, Lucjan Starczyński „Wicek”, Władysław Kołodziejczyk, Zygmunt Kopka, Jerzy Drozdowski, Hieronim Jankowski „Żmija”⁷.

W ramach współpracy z kołem WiN w Skale w szeregach MAK ukrywał się poszukiwany przez bezpieczeństwo członek WiN Jan Zadęcki „Baki”. Rzeczywista liczba członków wynosiła zatem 12⁸.

Podstawową sprawą było zdobycie broni. Organizacja miała zaledwie cztery pistolety, karabin „Mauser”, dwa granaty i 65 sztuk amunicji do tej broni. Broń została zakupiona od znajomych osób lub pozostała jeszcze z okresu okupacji niemieckiej, zbierali ją i przechowywali członkowie organizacji. Broń mieli Baranek, Miodek, Starczyński i Zadęcki⁹.

W latach 1946–1949 w organizacji prowadzono przygotowania do podjęcia działalności zbrojnej, kupowano broń, szkolono się w jej obsłudze i nawiązywano kontakty z członkami podziemia niepodległościowego, zwłaszcza WiN. 22 października 1949 r. trzech członków MAK: Piotr Miodek, Lucjan Starczyński i ukrywający się w organizacji członek WiN Jan Zadęcki dokonali rekwizycji gotówki w kwocie 34 905 złotych ze sklepu „Samopomocy Chłopskiej” w Skale. W akcji użyto broni, którą zmuszono pracującą w nim kasjerkę, Walerię Katarzyńską, do oddania pieniędzy z utargu¹⁰. Podczas kolejnej akcji rekwizycyjnej 20 grudnia tr. w Sobiesynkach Miodek skonfiskował kierownicze tamtejszego sklepu GS Genowefie Cyganek 13 740 złotych, z czego 4000 złotych przekazał Starczyńskiemu¹¹. Ponadto członkowie MAK wpłacali do Baranka składkę w wysokości 10 złotych miesięcznie na cele organizacji. W czasie jej działalności zebrano 400 złotych. Za zgromadzone pieniądze planowano zakup broni i apteczki z wyposażeniem. Jednak całą sumę Baranek oddał członkom MAK¹². W styczniu 1950 r. do MAK przyjęto

towany 15 X 1952 r., jego zastępcą – Mikołaj Majewski „Mojski”, aresztowany 29 I 1951 r. Jan Zadęcki był członkiem grupy WiN pod dowództwem Władysława Synowca „Groźnego”. Koło WiN Skala liczyło łącznie 27 członków. Po wyborach do sejmiku w styczniu 1947 r. działalność koła zamarła na cztery miesiące, a jej odrodzenie nastąpiło z inicjatywy Stanisława Boroń. W maju tr. koło działało już na własną rękę, bez kontaktów z kierownictwem Okręgu Krakowskiego WiN, a jego działalność zakończyła się w 1949 r.

⁵ IPN Kr, 074/250, k. 3.

⁶ IPN Kr, 0040/4455, k. 130. Podczas przesłuchania L. Prostackiego 9 IV 1950 r. stwierdził on, że do organizacji „Młodzież Armii Krajowej” należało 5 osób.

⁷ IPN Kr, 074/250, k. 5–13; IPN Kr, 0040/4455, Schemat bandy Baranka Stanisława, k. 74.

⁸ Informację uzyskałem od syna S. Baranka, p. Tomasz Baranka.

⁹ IPN Kr, 074/250, k. 3, 5, 8, 11, 13.

¹⁰ IPN Kr, 110/4088, Wyrok WSR z dnia 18 VII 1950 r. w sprawie St. Baranka i członków organizacji „Młodzież Armii Krajowej”, k. 255–264a.

¹¹ IPN Kr, 040/4455, Historia obiektu „OZ – I”, k. 72; IPN Kr, 110/4088, Akt oskarżenia z 15 VI 1950 r., k. 128.

¹² IPN Kr, 110/4088, Zeznanie S. Baranka z 10 IV 1950 r., k. 8.

Wacława Boronia i zaczęto używać nowej pieczętki z napisem: „Tajna Organizacja Armii Krajowej”. 24 marca tr. Boroń napisał list z pogroźkami, który wystął do komendanta posterunku MO w Skale. W liście zagroził mu śmiercią, jeżeli nie zaprzestanie on represji wobec ludności¹³.

Likwidacja organizacji i wyroki

Prawdopodobnie na początku marca 1950 r. do PUBP w Olkuszu zgłosił się członek MAK Hieronim Jankowski „Żmija” i złożył zeznanie dotyczące działalności MAK, obciążające Baranka i inne osoby należące do organizacji. Już po aresztowaniu członków MAK, 18 kwietnia 1950 r., w WUBP w Krakowie podpisał on formalne zobowiązanie do współpracy i przyjął pseudonim „Złoty”. Oto treść owego dokumentu:

Zobowiązanie

Ja, Jankowski Hieronim, syn Józefa, zobowiązuję się współpracować z organami UB [w tekście „z Organami” – G.B.] nad zwalczaniem wrogów Państwa Ludowego, o wszelkich wrogich zamierzeniach i przejawach wrogiej działalności natychmiast meldować. Na wyznaczone mi spotkania punktualnie przyjeżdżać, polecone mi zadania sumiennie też wykonywać. Dla lepszej konspiracji doniesienia swoje będę podpisywał pseudonimem „Złoty” [w tekście „złoty” – G.B.]. W razie niedotrzymania tajemnicy swojej [w tekście „swoją” – G.B.] z organami UB [w tekście „z Organami” – G.B.] nawet przed najbliższymi, pociągnięty będę do odpowiedzialności przez organa [w tekście „przez Organa” – G.B.] UB, o czym mnie poprzednio uprzedzono.

Jankowski Hieronim „Złoty”
Kraków, dnia 18 IV 1950 roku¹⁴.

Dzięki niemu bezpieka uzyskała informacje na temat organizacji. Według ustnej relacji uzyskanej od Wacława Boronia, miał on wskazać pracownikom PUBP miejsca spotkań i podać adresy pozostałych członków MAK¹⁵. Na podstawie uzyskanych informacji 15 marca funkcjonariusze Wydziału V WUBP wspólnie z PUBP w Olkuszu rozpoczęli realizację akcji wymierzonej przeciwko członkom MAK¹⁶. Zebrano informacje dotyczące działalności organizacji i rozpoczęto przygotowania do jej likwidacji.

Od 4 do 7 kwietnia 1950 r. aresztowano: Baranka, Miodka, Starczyńskiego, Boronia, Kołodziejczyka oraz Zadęckiego, który podczas aresztowania zbiegł. Jednocześnie w mieszkaniach członków MAK funkcjonariusze PUBP w Olkuszu przeprowadzili rewizje – skonfiskowano ulotki i broń należącą do organizacji. O aresztowanych i czynnościach operacyjnych naczelnik Wydziału IV WUBP przysyłał raporty specjalne do naczelnika Wydziału IV

¹³ IPN Kr, 074/250, k. 6, 13.

¹⁴ IPN Kr, 009/2260, Akta H. Jankowskiego, k. 34; Relacja W. Boronia (w zbiorach autora).

¹⁵ Informację uzyskałem od b. członka MAK W. Boronia w listopadzie 2003 r. Najwcześniejsze wzmianki o rozpoczętym śledztwie pochodzą z marca 1950 r.

¹⁶ IPN Kr, 0040/4455, Postanowienie o wszczęciu kontrolnego obiektowego rozpracowania na członków bandy Baranka Stanisława w PUBP Olkusz z 13 III 1950 r., k. 69. Dokument nosi datę wytworzenia 15 III 1950 r.

Departamentu V MBP w Warszawie¹⁷. Ze względu na ucieczkę Zadęckiego 15 czerwca Władysław Małupa [oficer śledczy PUBP w Olkuszu] podjął decyzję o zawieszeniu postępowania wobec niego, nakazał rozstać za nim listy gończe, o czym powiadomił Wojskową Prokuraturę Rejonową w Krakowie¹⁸. Zadęcki ukrywał się do 26 października 1952 r., po czym ujawnił się w PUBP w Olkuszu. Po złożeniu wyjaśnień i zdaniu broni został zwolniony przez szefa urzędu i podpisał zobowiązanie do zachowania tajemnicy dotyczącej rozmowy przeprowadzonej z funkcjonariuszami olkuskiego PUBP. W przypadku ujawnienia treści rozmowy zagrożono mu procesem sądowym. Oto treść tego dokumentu:

Olkus, 26 X [19]52.
Zobowiązanie

Ja, Zadęcki Jan, urodzony 25 I 1922 roku, syn Jana i Agaty z domu Błachno w Skale pow. Olkus, [...] zobowiązuję się utrzymać w tajemnicy, co widziałem i słyszałem w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Olkuszu, w razie zdrady będę odpowiadał przed sądem wojskowym, o czym zostałem pouczone, na co składam własnoręczny podpis.

Zadęcki Jan¹⁹.

Aresztowanych: Baranka, Miodka, Starczyńskiego, Boronia i Kołodziejczyka oraz Franciszka Łącznego osadzono w areszcie PUBP w Olkuszu, gdzie przebywali przez cały okres śledztwa. W związku z wcześniejszym zakończeniem śledztwa przeciwko Łącznemu 14 czerwca oficer śledczy olkuskiego PUBP, wspomniany Władysław Małupa, zdecydował o wydzieleniu jego sprawy z dochodzenia przeciwko Barankowi i pozostałym członkom MAK. Postanowienie zatwierdził prokurator WPR, ppłk Piotr Smolnicki²⁰. Po zakończeniu śledztwa członków MAK przewieziono do więzienia Montelupich w Krakowie, w areszcie PUBP w Olkuszu pozostał jedynie członek WiN, Łączny²¹. Denuncjator Jankowski nie został aresztowany²².

Od 7 kwietnia do 15 czerwca 1950 r. funkcjonariusze PUBP prowadzili śledztwo przeciw zatrzymanym. Aresztowanych przesłuchiwali funkcjonariusze urzędu: Władysław Małupa, Mieczysław Haberk, Władysław Matracz, Leonard Ćmiel, Jan Zięba, Marian Durak, Bronisław Proberz i Stanisław Chabiński, pod nadzorem oficera śledczego WUBP z Krakowa Henryka Króla²³. Wobec aresztowanych stosowano przymus fizyczny i psychiczny. W ustnej

¹⁷ IPN Kr, 0040/4455, Postanowienie o pociągnięciu do odpowiedzialności karnej z 7 VI 1950 r., k. 49; *ibidem*, Akt oskarżenia z 15 VI 1950 r., k. 129; *ibidem*, Meldunek specjalny naczelnika Wydziału IV WUBP do naczelnika Wydziału IV Departamentu V MBP z 15 V 1950 r., k. 88–89.

¹⁸ IPN Kr, 110/4088, Postanowienie o zawieszeniu postępowania z 15 VI 1950 r., k. 215.

¹⁹ IPN Kr, 010/1412, Zobowiązanie J. Zadęckiego z 26 X 1952 r., k. 7. Został on zwolniony na mocy decyzji szefa PUBP w Olkuszu – prawdopodobnie ze względu na przygotowywaną ustawę amnestyjną, którą Sejm PRL uchwalił w niecały miesiąc później – 22 XI 1952 r.

²⁰ IPN Kr, 110/4088, Postanowienie o wyłączeniu sprawy F. Łącznego z 14 VI 1950 r., k. 210.

²¹ IPN Kr, 0040/4455, Akt oskarżenia S. Baranka, L. Starczyńskiego, P. Miodka, W. Kołodziejczyka, L. Prostackiego i W. Boronia z 15 VI 1950 r., k. 129.

²² IPN Kr, 074/250, k. 4.

²³ IPN Kr, 0040/4455, Postanowienie o wszczęciu śledztwa, k. 33. Nazwiska funkcjonariuszy PUBP i WUBP występują w aktach operacyjnych, kontrolno-śledczych i Wojskowego Sądu Rejonowego w Krakowie.

relacji Boroń wspominał, że po aresztowaniu podczas przesłuchania przez oficera śledczego PUBP w Olkuszach był bity w piąty nogą od drewnianego stołka – prawdopodobnie przez przesłuchującego go Chabińskiego²⁴. W postanowieniu z 7 czerwca oficer śledczy PUBP w Olkuszach Władysław Małupa zarzucił Stanisławowi Barankowi przynależność do nielegalnej organizacji i nielegalne posiadanie broni. 15 czerwca Barankowi odczytano postanowienie, a oficer śledczy Małupa sporządził akt oskarżenia. Siedmiu aresztowanym osobom postawiono zarzut dotyczący działalności antypaństwowej i sprawę skierowano do rozpatrzenia w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Krakowie. Po zapoznaniu się z tym dokumentem, 30 czerwca 1950 r. prokurator WPR ppłk Smolnicki dokonał częściowej jego zmiany, zarzucając Barankowi utworzenie nielegalnej organizacji w celu walki z panującym ustrojem, przygotowywanie się do wojny, nielegalne posiadanie kilku sztuk broni i amunicji do niej. Z kolei Starczyńskiemu i Miodkowi zarzucił przynależność do organizacji, nielegalne posiadanie broni i udział w akcji na sklep Spółdzielni SCh w Skale, a Miodkowi także udział w akcji rekwizycji pieniędzy w sklepie w Sobiesynkach. Oskarżenia wobec pozostałych osób: Kołodziejczyka, Prostackiego i Boronia dotyczyły członkostwa w MAK i nielegalnego posiadania broni palnej, zaś Boroniowi zarzucono także sporządzenie pieczęci organizacyjnej i sygnowanie nią pism i ulotek o treści „antypaństwowej”²⁵. Wspomniany dokument przestano do WSR w Krakowie. W dniach 17–18 lipca 1950 r. przeciwko Stanisławowi Barankowi, pięciu członkom MAK i członkowi Zrzeszenia WiN łącznemu odbyły się rozprawy przed WSR w Krakowie, na terenie jednostki wojskowej, blisko więzienia Montelupich. Sąd obradował w składzie: przewodniczący – kpt. Ludwik Kiełtyka, ławnicy – szer. Stanisław Kałuski i Ryszard Łan; oskarżał podprokurator WPR w Krakowie, por. Jerzy Niziński. 18 lipca WSR wydał następujące wyroki: Baranek Stanisław „Kruk” – 12 lat więzienia, 4 lata pozbawienia praw publicznych i przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa; Miodek Piotr „Rys” – 10 lat więzienia; Starczyński Lucjan „Wicek” – 10 lat więzienia; Prostacki Lucjan „Lis” – 5 lat więzienia; Boroń Wacław „Wilk”, „Lucy” – 3 lata więzienia; łączny Franciszek, członek WiN – 4 lata więzienia²⁶.

Więźniowie odwoływali się do Najwyższego Sądu Wojskowego, jednak ten podtrzymał wyroki skazujące i ostatecznie na mocy jego decyzji z 22 grudnia 1950 r. wyrok się uprawomocnił²⁷. Aresztowania z kwietnia 1950 r. nie objęły wszystkich członków organizacji – bezpieczeństwa nie zatrzymała Gustawa Boronia, Zygmunta Kopki i Jerzego Drozdowskiego, który w tym czasie odbywał zasadniczą służbę wojskową w jednostce Marynarki Wojennej w Uście²⁸. Przeciwko nim organa bezpieczeństwa rozpoczęły realizację sprawy agenturalnej „OZ - I”, wykorzystując informatora „Ojcowianka”²⁹.

²⁴ Informację uzyskałem w listopadzie 2003 r. od W. Boronia. W czasie śledztwa członkowie MAK przebywali w areszcie PUBP w Olkuszach, natomiast do więzienia Montelupich w Krakowie przewieziono ich na rozprawę (IPN Kr, 110/4088, k. 150).

²⁵ IPN Kr, 110/4088, Postanowienie o częściowej zmianie aktu oskarżenia z 30 VI 1950 r., k. 217–220.

²⁶ IPN Kr, 110/4088, Wyrok z 18 VII 1950 r., k. 255–264a.

²⁷ *Ibidem*, k. 268. Adnotacja nr S. 2645/50 dotycząca decyzji NSW z 22 XII 1950 r. podtrzymującej wyrok WSR z 18 VII 1950 r. nosi datę 3 III 1951 r.

²⁸ Według ustnej relacji p. T. Baranka, J. Drozdowski zasadniczą służbę wojskową odbywał w jednostce Marynarki Wojennej w Uście. Ze względu na wybuch wojny w Korei przebywał tam cztery lata, czyli o rok dłużej niż normalnie.

²⁹ W źródłach brakuje miarodajnych informacji o personaliach tego informatora.

Więzienia i „opieka władzy ludowej”

Po wydaniu wyroku skazującego i jego uprawomocnieniu się większość skazanych została osadzona w więzieniu we Wronkach. W trakcie kwerendy udało się uzyskać informacje dotyczące części członków MAK skazanych w procesie z lipca 1950 r. Między 18 lipca 1950 a 31 maja 1954 r. Stanisław Baranek odbywał wymierzoną karę w Rawiczu i Wronkach, a od 31 maja 1954 r. do 26 stycznia 1955 r. w Ośrodku Pracy Wychowawczej w Knurowie, gdzie pracował jako górnik dołowy w tamtejszej Kopalni Węgla Kamiennego.

Sytuacja uległa zmianie dopiero po uchwaleniu przez Sejm PRL ustawy o amnestii 22 listopada 1952 r. i 30 marca 1954 r. Prokurator WPR w Krakowie wystosował do WSR pismo z prośbą o zastosowanie jej postanowień w stosunku do Stanisława Baranka. Na posiedzeniu niejawnym 9 kwietnia WSR zmniejszył im wyroki o jedną trzecią – z 12 do 8 lat więzienia³⁰. Kolejnym krokiem był wniosek prokuratora WPR dotyczący zwolnienia Baranka. 18 stycznia 1955 r. odbyło się posiedzenie niejawne WSR pod przewodnictwem mjr. Mikołaja Tołkana, przy udziale sędziów: kpt. Tadeusza Makowskiego i por. Jerzego Nowosielskiego oraz podprokuratora WPR, por. Mariana Osieckiego, podczas którego postanowiono zwolnić go z więzienia³¹. 26 stycznia 1955 r. Baranek został fakultatywnie zwolniony za „nienaganne sprawowanie”, resztę kary odpracował we wspomnianej kopalni³². Mimo zwolnienia był nadal nękany przez organa bezpieczeństwa PRL³³.

W sprawie uwięzionego Piotra Miodka 10 sierpnia 1953 r. odbyło się posiedzenie niejawne WSR pod przewodnictwem ppłk. Romana Waląga, w obecności sędziów WSR: por. Władysława Sygneta, por. Antoniego Korzyniewskiego i podprokuratora WPR ppor. Jerzego Nowosielskiego. Na mocy decyzji sędziów Miodkowi zmniejszono wyrok z 10 do 4,6 roku więzienia. Decyzja o jego zwolnieniu zapadła dopiero na posiedzeniu niejawnym sędziów WSR 18 stycznia 1955 r., podczas którego – jak wspomniano – zdecydowano o zwolnieniu z OPW w Knurowie Baranka. 29 stycznia Miodek został zwolniony warunkowo z więzienia w Strzelcach Opolskich³⁴.

Inni członkowie organizacji również odsiadawali wyroki. Wacław Boroń przebywał w więzieniu we Wronkach, a od wiosny 1951 r. w OPW w Jaworznie, gdzie pracował na budowie³⁵. 20 grudnia 1952 r. prokurator WPR kpt. Bogdan Górny wnioskuje do WSR o zwolnienie warunkowe Boronia, a 29 grudnia odbyło się posiedzenie niejawne sędziów WSR pod przewodnictwem ppłk. Romana Waląga z udziałem mjr. M. Tołkana i kpt. T. Makowskiego oraz prokuratora WPR kpt. Józefa Garwińskiego. Sąd podjął decyzję o warunkowym

³⁰ W świadectwie zwolnienia więźnia z 26 I 1955 r. podano karę ośmiu lat więzienia.

³¹ IPN Kr, 110/4088, Protokół posiedzenia niejawnego WSR z 18 I 1955 r., k. 427–428.

³² Zwolnienie fakultatywne miało inny charakter niż warunkowe. Więzień nie występował osobiście o zwolnienie. Mogło być ono udzielone przez władze więzienne za tzw. „dobre sprawowanie”, wyrabianie większej normy produkcyjnej lub wydobywczej w kopalniach, niż zakładały plany. Przy wykonywaniu ciężkich prac fizycznych dzień pracy liczono jako dwa dni wyroku odbywanego przez skazanego w więzieniu.

³³ IPN Kr, 07/5416, t. 2, Protokół przesłuchania podejrzanego z 27 VI 1950 r., k. 17. Baranek po zwolnieniu z Knurowa wyjechał do Skatły, a potem do Krakowa, gdzie zatrudnił się jako cholewkarz w Spółdzielni Pracy „KraK”. Przez cały okres rządów komunistycznych był wierny idei niepodległości Polski, a w czerwcu 1980 r. przystąpił do Konfederacji Polski Niepodległej i był jej członkiem do 1996 r.

³⁴ IPN Kr, 110/4088, k. 430.

³⁵ IPN Kr, 0100/1325, Karta informacyjna W. Boronia z OPW w Jaworznie, k. 3; Relacja W. Boronia (w zbiorach autora).



Stanisław Baranek „Mak”, „Jurek” i „Kruk”



Wacław Boroń

zwolnieniu Borońa z OPW. Z obozu w Jaworznie został zwolniony 8 stycznia 1953 r.³⁶ Po zwolnieniu powołano go do Górniczych Batalionów Pracy, gdzie pracował jako górnik w Kopalni Węgla Kamiennego „Ziemowit” w Łędzinach.

W tymże OPW przebywał także Lucjan Prostacki. Zgodnie z opinią komendanta z 10 listopada 1951 r. wspomniany więzień miał „negatywny stosunek do Polski Ludowej”³⁷. Dopiero po amnestii z 22 listopada 1952 r. zaistniała szansa na jego zwolnienie. W dniu 9 kwietnia 1954 r. odbyło się posiedzenie niejawne WSR pod przewodnictwem ppłk. R. Wałęga w obecności kpt. T. Makowskiego, mjr. Bazylego Mielnika i prokuratora kpt. Jana Grabowskiego, podczas którego sąd zdecydował o warunkowym zwolnieniu Prostackiego z OPW w Jaworznie. Na mocy wyroku 17 kwietnia tr. opuścił on ośrodek³⁸. Na tymże posiedzeniu zmniejszono też o jedną trzecią wyrok WSR wobec Lucjana Starczyńskiego, który odsiadywał swój wyrok najpierw w Sztumie, potem w Gdańsku, a od 20 września 1951 r. w więzieniu w Rawiczu. Po amnestii z 1952 r. sędziowie WSR na posiedzeniu niejawnym 9 kwietnia 1954 r. złagodzili wyrok Starczyńskiemu z 10 do 6,8 roku więzienia³⁹. Po złożeniu przez prokuratora WPR wniosku o fakultatywne zwolnienie Starczyńskiego, 17 września 1954 r. odbyło się posiedzenie niejawne sędziów WSR w Krakowie, na którym sąd pod przewodnictwem ppłk. R. Wałęga, przy udziale kpt. T. Makowskiego i mjr. M. Tołkana oraz prokuratora

³⁶ IPN Kr, 110/4088, Protokół posiedzenia niejawnego WSR z 29 XII 1952 r., k. 356.

³⁷ *Ibidem*, Opinia o więźniu L. Prostackim z 10 XI 1951 r., k. 344.

³⁸ *Ibidem*, Postanowienie WSR o zastosowaniu amnestii z 9 IV 1954 r., k. 411.

³⁹ *Ibidem*, Postanowienie WSR o zastosowaniu amnestii z 9 IV 1954 r., k. 402.

WPR ppłk. Wiesława Kołodzieja, podjął decyzję o jego fakultatywnym zwolnieniu z więzienia w Rawiczu. 23 września tr. opuścił on tamtejsze więzienie⁴⁰.

Władysław Kołodziejczyk odbywał karę w więzieniu w Sztumie, a następnie w OPW w Jelczu. Po uchwaleniu ustawy o amnestii z 22 listopada 1952 r., 10 sierpnia 1953 r. odbyło się posiedzenie niejawne WSR pod przewodnictwem ppłk. R. Wałęga oraz przy udziale sędziów: por. Władysława Sygneta, por. Antoniego Korzyniewskiego i podprokuratora WPR ppor. Jerzego Nowosielskiego. Kołodziejczykowi zmniejszono wyrok o jedną trzecią, tj. do 6,5 roku⁴¹. Na kolejnym posiedzeniu niejawnym 28 stycznia 1954 r. sąd obradujący pod przewodnictwem kpt. T. Makowskiego, przy udziale sędziów: por. Władysława Sygneta i ppor. Bronisława Mieszkowskiego oraz podprokuratora WPR ppor. Jerzego Latkiewicza podjął decyzję o zwolnieniu Kołodziejczyka z OPW w Jelczu. 5 lutego 1954 r. opuścił on wspomniany ośrodek⁴².

Denuncjator członków MAK, Hieronim Jankowski, w 1947 r. wyjechał do Jeleniej Góry, gdzie należał do Powszechnej Organizacji „Służba Polsce”, odbył zasadniczą służbę wojskową i założył rodzinę. Według źródeł, do 1955 r. był informatorem organów bezpieczeństwa publicznego⁴³. Jerzy Drozdowski odbywał zasadniczą służbę wojskową w Ustce. Brak jest informacji o jego dalszym życiu.

„Opieka” SB nad byłymi członkami MAK trwała do końca lat osiemdziesiątych i dopiero po 1989 r. poczuli się w pełni wolnymi ludźmi. W latach 1991–1996 Sąd Wojewódzki w Krakowie przyznał odszkodowania represjonowanym członkom organizacji. Spełnili oni godnie swój obowiązek wobec Boga, Narodu i Ojczyzny, a ich „walka z komuną” doczekała się po 45 latach – przynajmniej częściowego – zwycięstwa⁴⁴.

⁴⁰ *Ibidem*, k. 417 i 420.

⁴¹ *Ibidem*, Protokół posiedzenia niejawnego WSR z 10 VIII 1953 r., k. 374–375.

⁴² *Ibidem*, Protokół posiedzenia niejawnego WSR z 28 I 1954 r., k. 392.

⁴³ IPN Kr, 009/2260, k. 32, 33–35. Hieronim Jankowski zamieszkiwał w Skale do 1947 r., po czym wyjechał do Jeleniej Góry. Mimo zmiany miejsca zamieszkania w latach 1948–1950 był członkiem MAK i przyjeżdżał do Skąły na spotkania organizacyjne. Od 1947 r. był członkiem Powszechnej Organizacji „Służba Polsce”. W 1950 r. podjął współpracę z WUBP w Krakowie, denuncjując wcześniej członków organizacji. W „Charakterystyce inf. »Złoty«” z 1955 r. napisanej na jego temat przez st. ref. Sekcji III Wydziału V WU ds. BP w Krakowie Stanisława Gładysza funkcjonariusz ten stwierdził m.in.: „Za cały okres swej pracy inf[ormator] »Złoty« nie dał żadnych materiałów i nawet często zrywał spotkania. Wobec tego, że inf[ormator] »Złoty« nie posiada w ogóle żadnych możliwości rozpracowania wrogiego elementu, postanowiono wymienionego wyłączyć z sieci agenturalnej”. Według informacji ustnych, uzyskanych od W. Boronia, H. Jankowski współpracował z organami bezpieczeństwa przez kilka lat.

⁴⁴ Żadnego z funkcjonariuszy PUBP nie rozliczono jak dotąd z popełnionych przestępstw.

DONOSY PPR I ARESZTOWANIA KSIĘŻY

Kościół katolicki był postrzegany przez komunistów od samego początku jako główny wróg ideologiczny, dlatego już w 1945 r. w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego została powołana struktura organizacyjna – Wydział V w Departamencie V¹ i jego odpowiedniki w terenie – do zwalczania Kościoła. Struktura ta od pierwszych chwil istnienia rozpoczęła prowadzenie inwigilacji duchowieństwa, zbierając i dokumentując dowody jego rzekomej wrogiej działalności².

W roku 1945, kiedy komuniści instalowali w Polsce nowy system polityczny, aparat bezpieczeństwa nie był jeszcze na tyle silny, żeby jednocześnie skierować swoje działania przeciwko konspiracji niepodległościowej, partiom opozycyjnym oraz Kościołowi. Niemniej represje wobec duchowieństwa miały już wtedy miejsce, choć nie stosowano ich jeszcze według odgórnie opracowanego scenariusza i obejmowały początkowo tylko wybranych księży. Od samego też początku działania aparatu bezpieczeństwa wobec Kościoła były podejmowane w porozumieniu z partią komunistyczną, a nawet na jej wyraźne polecenie.

Za symboliczny przykład represji władz komunistycznych wobec duchowieństwa może posłużyć przypadek księdza Jana Węckiewicza, który 10 maja 1945 r. został aresztowany przez funkcjonariuszy PUBP w Aleksandrowie Kujawskim. Przyczyną tego zatrzymania był donos złożony przez 9 członków Polskiej Partii Robotniczej, mówiący o tym, że podczas nabożeństwa dziękczynnego odprawionego w dzień po zakończeniu wojny ksiądz Węckiewicz przeszedł wiernych „przed agitacją antyreliijną w powstających związkach i organizacjach”³.

Jesienią 1945 r. podjęto pierwsze, zaplanowane przez władze, nieprzyjazne działania wymierzone w Kościół katolicki: 12 września rząd zerwał konkordat ze Stolicą Apostolską, a 25 września wydał dekret o prawie małżeńskim i aktach stanu cywilnego. Strategia polegająca na laicyzacji państwa „stanowiła jedynie preludium do osiągnięcia celu zasadniczego, którym było podporządkowanie Kościoła aparatowi państwa”⁴. Jednak wcześniej, bo już

¹ Najpierw jeszcze w ramach działającego w 1944 r. PKWN była to Sekcja III Wydziału I Resortu Bezpieczeństwa Publicznego, następnie od początku 1945 r. Wydział III Departamentu I Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, dopiero od września 1945 r. po przeprowadzonej reorganizacji w MBP sprawami Kościoła katolickiego zajmował się Wydział V Departamentu V. Zob. A. Dziurok, *Wstęp [w:] Metody pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa wobec Kościołów i związków wyznaniowych 1945–1989*, red. A. Dziurok, Warszawa 2004, s. 19–20.

² Z jednego z niedawno odnalezionych dokumentów dowiadujemy się, że już w sierpniu 1945 r. polecano funkcjonariuszom UB „zdobyć agenturę w duchowieństwie ([wśród] księży, zakonników, zakonnic, spośród obsługującego Kościół personelu, a jeśli jest seminarium, to i z niego też)”. Zob. D. Węgrzyn, *Wytyczne do pracy Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Częstochowie z 1945 roku*, „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989” 2004, nr 1, s. 180.

³ A. Poniński, *Represje władz komunistycznych wobec kapłanów diecezji wrocławskiej*, „Studia Włocławskie” 2003, nr 6, s. 490.

⁴ A. Dudek, R. Gryz, *Komuniści i Kościół w Polsce (1945–1989)*, Kraków 2003, s. 17.

21 kwietnia 1945 r., pełnomocnik Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej na województwo pomorskie Henryk Świątkowski wydał okólnik nr 55 „w sprawie Urzędów Stanu Cywilnego we Włocławku, w powiatach: włocławskim, lipnowskim i nieszawskim”, w którym stwierdził, że: „ślub kościelny może być udzielony przez duchownego jedynie po uprzednim przedłożeniu zaświadczenia właściwego świeckiego urzędu stanu cywilnego, iż akt ślubu cywilno-państwowego już się odbył. [...] tylko akta stanu cywilnego sporządzone w miejskich lub gminnych urzędach stanu cywilnego mają skutki cywilne w obliczu państwa”⁵.

Sprzeciw wobec tego zarządzenia administracyjnego wojewody pomorskiego wysunęła Włocławska Kuria Biskupia, oświadczając, że „nie wyda zarządzenia podległemu sobie duchowieństwu w tej tak ważnej sprawie” oraz wystąpi z apelacją do rządu i prośbą o cofnięcie okólnika. Urzędnicy kurii, argumentując swoje stanowisko, powołali się na stan prawny sprzed września 1939 r.⁶, który uznawał za ważne „tylko te małżeństwa, które są zawierane jedynie w formie religijnej”. Uznano, że okólnik wojewody pomorskiego „sankcjonuje nawet bezprawie niemieckie z uwagi na rzekomy »interes publiczny«. Tymczasem prawdziwy interes publiczny domaga się przywrócenia stanu prawnego z 1 września 1939. Właściwe bowiem dobro publiczne zasadza się na przestrzeganiu podstawowych założeń prawnych, zmierzających do normalizacji życia prywatnego, rodzinnego i społecznego na zasadach prawnych z czasów państwowości polskiej. Bezprawie niemieckie nie jest żadnym »ulepszeniem prawa« polskiego w zakresie porządku publicznego, lecz wprost przeciwnie, **podrywa ono autorytet prawodawstwa naszego państwa, niszczy powagę moralną prawa polskiego i według nas ma wyraźne oblicze antypolskie**”⁷ [podkreślenie w oryginale – T. C.].

Kapłani diecezji włocławskiej zgodnie ze stanowiskiem kurii odmawiali wydawania ksiąg stanu cywilnego. Najbardziej głośnym w województwie pomorskim przypadkiem była postawa proboszcza parafii w Nieszawie, księdza Antoniego Kiszkurno. Nie chcąc się zgodzić na przekazanie do urzędu stanu cywilnego ksiąg metrykalnych, ksiądz Kiszkurno podczas jednego z kazań miał nawet powiedzieć: „ja się nie boję nikogo, nawet karabinów maszynowych, nie zgodzimy się na takie zarządzenia rządu”⁸. Komunistyczne władze postanowiły uciec się do zastosowania środków przymusu. W zatrzymaniu księdza Kiszkurno współdziałali członkowie partii komunistycznej z funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa. W aktach „bezpieki” zachował się donos sekretarza powiatowego PPR z Aleksandrowa Kujawskiego Piotra Leśniaka z sierpnia 1945 r. na proboszcza parafii w Nieszawie, w którym informował PUBP w Aleksandrowie Kujawskim o nieprzekazaniu ksiąg parafialnych do urzędu stanu cywilnego i domagał się wprost „sankcji na aresztowanie” księdza Kiszkurno⁹. I rzeczywiście, pomimo dwukrotnej

⁵ „Pomorski Dziennik Wojewódzki”, 21 IV 1945, nr 5, Okólnik nr 55 w sprawie urzędów stanu cywilnego we Włocławku w powiatach: włocławskim, lipnowskim i nieszawskim, rozdz. 2, 3.

⁶ Regulował to Kodeks Cywilny Królestwa Polskiego z 1818 r. (art. 71 prowadzenie akt stanu cywilnego w wyznaniach chrześcijańskich powierzają duchownym-przełożonym właściwych parafii) i Prawo o Małżeństwie z 1836 r. (art. 2 uznawał za ważne tylko te małżeństwa, które są zawierane jedynie w formie religijnej).

⁷ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Bydgoszczy (dalej: AIPN By), 66/106, Akta w sprawie p[ro]ciwko Kiszkurno Antoni, Pismo Kurii Biskupiej we Włocławku do Starosty Powiatowego w Aleksandrowie Kujawskim, 4 VI 1945 r., k. 5–5v.

⁸ *Ibidem*, Pismo kierownika PUBP w Aleksandrowie Kujawskim do kierownika WUBP w Bydgoszczy, 31 VII 1945 r., k. 6.

⁹ AIPN By, 045/70, Sprawozdania dekadowe z pracy Referatu V PUBP Aleksandrów Kujawski za rok 1946, k. 100–101.

obrony ze strony parafian przed aresztowaniem w sierpniu 1945 r., proboszcz parafii w Nieszawie został w końcu zatrzymany przez UB w lutym 1946 r., a następnie skazany przez WSR w Bydgoszczy na 3 lata więzienia za „nawoływanie do obalenia ustroju państwa”¹⁰.

Z dokumentów Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego województwa pomorskiego z roku 1945 wynika, że represje i inwigilacja objęły w pierwszej kolejności duchownych, którzy wyrażali krytykę wobec powojennej rzeczywistości i sprzeciwiali się bezprawiu nowej władzy. Tych kapłanów, którzy wykazywali choć minimalną aktywność publiczną, od razu posądzano o wrogą postawę wobec nowej władzy, wręcz pisano, że „kler uprawia reakcyjną robotę”. Taka postawa komunistów wobec Kościoła katolickiego pokazuje, że od samego początku dążono do ograniczenia oddziaływania duchowieństwa na wiernych w kwestiach życia publicznego. Wprowadzane przez komunistów zmiany w prawie małżeńskim musiały być odbierane jako ograniczenie swobodnej działalności duszpasterskiej Kościoła katolickiego.

Poniżej publikujemy następujące dokumenty: list księdza Jana Węckiewicza do Kurii Biskupiej we Włocławku informujący o jego aresztowaniu przez Urząd Bezpieczeństwa, meldunek kierownika PUBP w Aleksandrowie Kujawskim do kierownika WUBP w Bydgoszczy w sprawie zezwolenia na aresztowanie ks. Antoniego Kiszkurno, doniesienie sekretarza PPR z Aleksandrowa Kujawskiego na proboszcza parafii w Nieszawie ks. Antoniego Kiszkurno oraz fragment sprawozdania PUBP w Aleksandrowie Kujawskim dotyczącego Kościoła katolickiego.

Dokument nr 1

*12 maja 1945 r., Aleksandrów Kujawski – pismo ks. Jana Węckiewicza, proboszcza parafii w Nieszawie, do Kurii Biskupiej we Włocławku informujące o aresztowaniu go przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa*¹¹

Aleksandrów, dn. 12 maja 1945 r.

Do Prześwientej Kurii Biskupiej we Włocławku

W uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego¹² do kościoła przybyły na mszę św. szkoły, stowarzyszenia i organizacje ze swymi sztandarami, aby podziękować Panu Bogu z racji zakończenia wojny. Po mszy św. wygłosiłem kazanie, w którym Wniebowstąpienie nazwałem triumfem Chrystusa, a zakończenie wojny triumfem sprawiedliwości. Nawiązując do słów ewangelii: „Kto uwierzy... zbawion będzie” mówiłem o znaczeniu i potrzebie wiary w życiu jednostki, społeczeństw i narodów. Powtarzałem, że przyczyną zakończonej strasznej wojny był brak wiary u przywódców narodu nie-

¹⁰ A. Poniński, *Represje władz...*, s. 492–493; W. Rozykowski, *Kronika parafii nieszawskiej z lat 1945–1946. Źródło do dziejów stosunków państwo–Kościół w okresie powojennym*, „Zapiski Kujawsko-Dobrzyńskie” 2000, t. 14, s. 271–273; M. Golon, *Dzieje Nieszawy w latach 1945–1990* [w:] *Historia Nieszawy*, red. R. Czaja, Toruń 2003, praca w druku – wykorzystano mps, podrozdział I – *Nieszawa w latach 1945–50*.

¹¹ Dokument ten został udostępniony dzięki uprzejmości ks. Antoniego Ponińskiego.

¹² Było to 10 V 1945 r.

mieckiego, a przyczyna strasznych okrucieństw ze strony Niemców w czasie wojny, to odstępstwo zwłaszcza młodzieży od Chrystusa i powrót do pogaństwa. Hitler krwawo prześladował Kościół i marnie zginął, gdyż jak świadczy historia, wszyscy, którzy walczą z Chrystusem i Jego dziełem Kościołem – giną marnie. Chrystus bowiem zawsze zwycięża – Christus vincit. Wiara jest podstawą etyki, szerząc niewiarę – szerzy się i przestępczość, gdzie więcej w narodzie niewiary, pomnażać należy szeregi milicji, która poradzić sobie nie może, gdyż jeżeli kto milicjanta czy policjanta nie ma w sobie – swego sumienia – żaden milicjant go nie dopilnuje. I gdyby kto prowadził agitację antyreligijną w stowarzyszeniach i związkach – robotę Hitlera by prowadził. Zwycięstwo narodów sprzymierzonych przede wszystkim zawdzięczamy P[anu] Bogu, który sprzymierzonym dał genialnych wodzów, a po Bogu ofiarności i męstwu żołnierzy, którzy w obronie ojczyzny i wolności życie swe złożyli – o spokój ich dusz mamy się modlić. W kilka godzin potem, tj. o g[odzinie] 15:00 przyszło 2 funkcjonariuszy z Urzędu Bezpieczeństwa, którzy mnie zaprowadzili do Urzędu, a p. [Bronisław] Brzyski¹³ osadził w areszcie nie wyjawiając przyczyny aresztowania. Dn[ia] 8 maja rozpocząłem dawać rekolekcje dla parafian, nauki odbywałem wieczorem o g[odzinie] 18:30 – prosiłem, aby mi pozwolono prowadzić rozpoczęte rekolekcje, że po nauce wrócę do Urzędu Bezpieczeństwa, prośba moja była bez skutku, nazajutrz prosiłem, by pozwolono mszę św. odprawić – na prośbę nie odpowiedziano. Około g[odzinie] 12:00 prowadzącego śledztwo podporucznika w obecności swych kolegów i szefa swego porucznika [Władysława] Kilanowskiego¹⁴ Kierownik Urzędu spytany o przyczynę mego aresztowania powiedział, że otrzymano doniesienie członków PPR, że wygłosiłem kazanie antydemokratyczne, polityczne, że w swym kazaniu powiedziałem „jak zginął marnie Hitler – tak zginą i partie”, że obniżałem powagę milicjantów. Rząd ustosunkował się przychylnie do Kościoła – wymaga, aby i duchowieństwo nie prowadziło akcji waśni w społeczeństwie, a nawoływało do jedności. Na te zarzuty zapytałem, kto z obecnych panów był na kazaniu 10 maja i to słyszał – odpowiedziano mi: „nikt z obecnych nie był i nie słyszał” – spytałem, czy pytano o treść mego kazania obecnego na nabożeństwie burmistrza i ks. dyrektora [Mieczysława] Szczęsnego¹⁵ – odpowiedzieli, że nie pytali – prosiłem, aby to uczynili i zapytali, czy przytoczone w doniesieniu zdania ja wygłosiłem. Zaprotestowałem przeciwko memu aresztowaniu i sparaliżowaniu mojej pracy w rozpoczętych rekolekcjach.

O g[odzinie] 18.40 wezwano mnie znowu, gdzie zebrane grono p[anów] poruczników Urzędu Bezpieczeństwa i ich sędzia – odczytał mi

^a W oryginale Kiljańskiego.

¹³ Funkcjonariusz grupy operacyjnej powiatu niezawskiego PUBP w Aleksandrowie Kujawskim od 22 I 1945 r., zastępca kierownika PUBP w Aleksandrowie Kujawskim w okresie 29 X 1945 – 14 IX 1946.

¹⁴ Kierownik PUBP w Aleksandrowie Kujawskim w okresie 15 III 1945 – 23 X 1946.

¹⁵ Dyrektor Gimnazjum i Liceum Księży Salezjanów w Niezawie.

podpisane przez 9 osób z PPR zarzuty kłamliwe – znowu je wyjaśniłem – po czym ogłoszono, że jestem wolny. Prosiłem, aby na przyszłość w razie otrzymania doniesienia wpiery zbadali i zażądali wyjaśnienia u mnie na wolnej stopie – obiecali, że tak będzie. Takie miałem przykrości 10–11 maja, ale ponieważ za wiarę Chrystusa cierpieć – Bogu dzięki składam. Dobro wiary na tym zyskało.

Ks. J. Węckiewicz¹⁶

Źródło: Archiwum Kurii Diecezjalnej Włocławskiej, Akta parafii w Aleksandrowie Kujawskim, rkps.

Dokument nr 2

31 lipca 1945 r., Aleksandrów Kujawski – meldunek kierownika PUBP w Aleksandrowie Kujawskim do kierownika WUBP w Bydgoszczy w sprawie zezwolenia na aresztowanie ks. Antoniego Kiszkurno, proboszcza parafii w Nieszawie

Aleksandrów Kujawski, dnia 31 lipca 1945 r.
Powiatowy Urząd
Bezpieczeństwa Publicznego
w Aleksandrowie Kuj[awskim]

Do
Kierownika Wojewódzkiego Urzędu
Bezpieczeństwa Publicznego
w **Bydgoszczy**¹⁷

Melduję, że dnia 29 lipca 1945 r. w miejscowości Przypuść¹⁸ k. Nieszawy odbyło się nabożeństwo, podczas którego miał kazanie ks. dziekan Kiszkurno. Kazanie było wygłoszone na temat ślubów cywilnych, gdzie ww. kaznodzieja wyraził się wrogo o zarządzeniach Rządu Jedności Narodowej, że śluby cywilne i takie zarządzenia to są pierwszym krokiem naszego rządu do wyrwania nam wiary. „Wojewoda ze starostą wymyślają jakieś bzdury, ja się nie boję nikogo, nawet karabinów maszynowych, nie zgodzimy się na takie zarządzenia rządu”. Część ludności biorąca udział w nabożeństwie opuściła kościół z pomrukiem niezadowolenia.

¹⁶ Ur. 1 III 1884 r., kapłan diecezji pińskiej, od 20 IV 1945 do 30 IX 1946 administrator parafii pw. Przemienienia Pańskiego w Nieszawie w diecezji włocławskiej, od 1 X 1946 r. pierwszy proboszcz parafii pw. św. Stanisława w Siernieczku pod Bydgoszczą (obecnie parafia św. Stanisława w Bydgoszczy) w archidiecezji gnieźnieńskiej, zmarł 30 IV 1947 r. Zob. A. Poniński, Węckiewicz Jan, [w:] *Leksykon duchowieństwa represjonowanego w PRL w latach 1945–1989. Pomordowani–więzieni–wyrzuceni*, t. 3, praca w druku – wykorzystano mps.

¹⁷ Kpt. Józef Duliasz, kierownik WUBP w Bydgoszczy w okresie 5 II 1945 – 28 XII 1945.

¹⁸ Kaplica pw. św. Stanisława bp. Męczennika i św. Marii Magdaleny na terenie parafii św. Jadwigi w Nieszawie.

Proszę o zezwolenie na aresztowanie ww. księdza w jak najszybszym czasie, w przeciwnym razie księżulek ten będzie się dalej wrogą propagandę, na te wybryki nie możemy w żaden sposób pozwolić.

Nadmieniam, że ks. Kiszkurno jest jedynym księdzem w powiecie, który występuje jawnie reakcyjnie podczas swych kazań. Księgi stanu cywilnego pozostają nadal u ks. Kiszkurno i nie chce ich w żaden sposób wydać, a siłą nie chcemy ich odbierać, ze względu na ostatni rozkaz ustny kierownika Wojew[ódzkiego] Urz[ędu] Bezp[ieczeństwa] Publ[icznego] o sankcji wydanej przez Wojew[ódzki] Urz[ąd] Bezp[ieczeństwa] Publ[icznego] w Bydgoszczy. Uważam, za stosowne domagać się sankcji na ww. księdza i wraz z materiałami odeśle go do dyspozycji kier[ownika] Wojew[ódzkiego] Urz[ędu] Bezp[ieczeństwa] Publ[icznego] w Bydgoszczy. Potwierdza to sekretarz PPR Goślowski Aleksander, Grzelak Jan i Bordoń Wincenty.

Kier[ownik] Pow[iatowego] Urz[ędu] Bezp[ieczeństwa] Publ[icznego]^{ab19}

Źródło: AIPN By, 66/106, Akta w sprawie p[rzeciwn]ko Kiszkurno Antoni, k. 6.

Dokument nr 3

18 sierpnia 1945, Aleksandrów Kujawski – doniesienie sekretarza PPR z Nieszawy do PUBP w Aleksandrowie Kujawskim w sprawie zajęć w parafii nieszawskiej wywołanych próbą odbioru ksiąg metrykalnych przez władze, podczas których mieszkańcy Nieszawy czynnie stanęli w obronie ks. proboszcza Antoniego Kiszkurno

Aleksandrów Kujawski, dnia 18 VIII [19]45 r.
Polska Partia Robotnicza Nieszawski Kom[itet] Pow[iatowy]
w Aleksandrowie Kuj[awskim]^c ul. Wilsona 7

Doniesienie

W dniu 17 sierpnia 1945 r. w godzinach popołudniowych będąc na lustracji Kom[itetu] Miejskiego PPR w Nieszawie i młyna motorowego, gdzie był również Kierownik Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego ppor. [Władysław] Kilanowski²⁰, Starosta Pow[iatowy] ob. Ignatowicz, Kierownik Wydziału Samochodowego, tow. Obraczkiewicz, doszły do naszej wiadomości, [że] zamiejscowy ksiądz nie oddał jeszcze ksiąg stanu cywilnego²¹. [Po] prze-

^a Poniżej nieczytelny podpis.

^b Obok na środku pieczęć okrągła Nieszawski Pow. Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

^c Obok pieczęć okrągła Polska Partia Robotnicza. Komitet Powiatowy Nieszawski

¹⁹ Kierownikiem Nieszawskiego PUBP w Aleksandrowie Kujawskim był Władysław Kilanowski.

²⁰ 15 III 1945 do 23 X 1946 kierownik PUBP w Aleksandrowie Kujawskim.

²¹ 25 IX 1945 r. Prezydium KRN wydało dekret o prawie małżeńskim i aktach stanu cywilnego, który wszedł w życie 1 I 1946 r. Na mocy tego dekretu parafialne księgi metrykalne miały zostać przekazane do powołanych urzędów stanu cywilnego. Dekret wprowadził przymus ślubów cywilnych i dopuszczalność rozwodów.

prowadzonej lustracji udaliśmy się wszyscy do księdza w tej sprawie, nie zastając go jednak obecnego w domu. Około godz. 20.00 udaliśmy się po raz drugi do księdza i zastaliśmy przed plebanią większe zbiegowisko ludzi, przeważnie kobiet starych z dziećmi na rękę i mężczyzn częściowo uzbrojonych w kije. Tak samo zebrana była młodzież męska uzbrojona w kije. Gdyśmy się zbliżyli do domu takowi poczęli krzyżeć: my nie damy księdza. Ja im odpowiedziałem, że nie po księdza przyszli[śmy], tylko po księgi stanu cywilnego. Na [to] tłum już z góry przez tegoż nastawiony krzyżał: te księżki należą do księdza, a wy komuniści chcecie znów rozwodów. Wy bandyty wara wam od naszego księdza. Wyście chcieli nam kościoły pozamykać i wiele innych rzeczy przeciwko Rządowi i ustrojowi demokratycznemu.

Tak dostęp nam był do tego księdza zamknięty przez tłum. W dniu 18 sierpnia 1945 r. doniesiono nam, że ksiądz [Antoni] Kiszkurno²², aby noc spokojnie przespać, obstawił się mężczyznami i dwóch umieścił na dzwonnicy kościelnej po to, gdyby go chciano w nocy zabierać, to zaraz na wieży, czyli na dzwonnicy będzie dzwoniła w dzwony. Na ten sygnał naród ma wylecieć z kijami i z czym kto będzie mógł, aby bronić księdza.

Oto mamy jasne dowody jak nasze niektóre duchowieństwo wrogo nastawione jest dla państwa, rządu i ustroju demokratycznego, jak może szybko wywołać zamęt w życiu społecznym, nie licząc się z tym, że już przez samo niezastosowanie się do rozporządzenia wojewody jest wystąpieniem przeciwko Państwu.

Kler coraz radykalniej poczyna występować przeciwko obecnemu ustrojowi i rządowi i czas, aby z takiego rodzaju nauczycielami spokoju skończyć. Zaznaczamy, że te wykrzyki przez tłum były dziełem księdza, który jak się już okazuje, wkrótce pociągnie za sobą większe tereny państwa polskiego i innych księży, którzy również wzbraniają [się] wydać ksiąg stanu cywilnego.

Komitet Powiatowy i Miejski PPR w Aleksandrowie Kuj[awskim] i Kom[itet] Miejski PPR w Nieszawie jednogłośnie domagają się usunięcia tego księdza z terenu powiatu nieszawskiego i pociągnięcia takowego do odpowiedzialności sądowej, aby na przyszłość podobni do tego księdza księża nie naruszali praw i ustaw demokratycznego państwa polskiego, nie robili buntu wśród społeczeństwa, nie ustawiali narodu przeciwko państwu, aby stworzyć zdrowy i sprawiedliwy porządek w kraju i aby nie stworzone zostało drugie państwo, które pragnie stworzyć kler. Trzeba, aby kler został ujęty jako urzędnicy, trzeba ich pozbawić ziemi tak jak to bywa w innych krajach – ustalić taryfy na śluby, pogrzeby, chrzty i inne rzeczy należące do kościoła.

²² Proboszcz parafii Nieszawa, którego parafianie dwukrotnie obronili przed aresztowaniem w sierpniu 1945 r., UB aresztował go podstępnie dopiero 11 II 1946 r., WSR uznał go za winnego nawoływania do obalenia ustroju państwa i skazał w czerwcu 1946 r. na 3 lata więzienia, z którego został zwolniony 6 VIII 1946 r., karę darowano mu na mocy amnestii z 22 II 1947 r. Szerzej o nim zob.: A. Poniński, *Represje władz...*, s. 492–493; W. Rozykowski, *Kronika parafii nieszawskiej...*, s. 271–273; M. Golon, *Dzieje Nieszawy...*, podrozdział I.

Wobec powyższego domagamy się sankcji na aresztowanie wyżej wymienionego.

Sekretarz Pow[iatowy] PPR^d
/-/ Piotr Leśniak

Sporządzono w 3 egzemplarzach:

1. Woj[ewódzki] Kom[itet] PPR Bydgoszcz
2. Woj[ewódzki] urząd Bezpieczeństwa Publicznego
3. Pow[iatowy] Kom[itet] PPR Aleksandrów Kujawski

Źródło: AIPN By, 045/70, Sprawozdania dekadowe z pracy Referatu V PUBP Aleksandrów Kujawski za rok 1946, k. 100–101, mps.

Dokument nr 4

28 listopada 1945 r., Aleksandrów Kujawski — fragment sprawozdania dekadowego szefa PUBP w Aleksandrowie Kujawskim dotyczący postaw duchowieństwa wobec nowej władzy w powiecie.

Aleksandrów Kuj[awski], dnia 28 XI 1945 r.
Powiatowy Urząd
Bezpieczeństwa Publicznego
w Aleksandrowie Kuj[awskim]

Do Kierownika Wojewódzkiego Urzędu
Bezpieczeństwa Publicznego
w Bydgoszczy²³

***Sprawozdanie dekadowe
za okres od dnia 19 listopada 1945 r. do dnia 29 listopada 1945 r.***

[...]e

W ostatniej dekadzie zauważono, że kler występuje reakcyjnie coraz więcej, np. ksiądz z Witowa²⁴, który mówił, że PPR-owców należy zabić żelazem, a nie kulami, bo gdyby on nie był księdzem, to by zabił już nie jednego.

Dający się zaobserwować wzrost nastroju opozycyjnego, który stoi w ścisłym związku z coraz liczniejszym napływem kleru na nasz teren, gdzie

^d Obok podpisu pieczęć okrągła Polska Partia Robotnicza. Komitet Powiatowy Nieszawski.

^e Część sprawozdania niedotycząca Kościoła została opuszczona.

²³ Kpt. Józef Duliasz, kierownik WUBP w Bydgoszczy w okresie 5 II 1945 – 28 XII 1945.

²⁴ Dekanat radziejowski, proboszczem od marca 1945 r. był ks. Józef Burzyński, który w grudniu 1945 r. został przeniesiony do parafii Kłotno. Dnia 23 II 1946 r. został aresztowany przez UB, postawiono mu zarzut wspierania konspiracji akowskiej. W procesie sądowym w lutym 1947 r. został uniewinniony. Zob. A. Poniński, *Represje władz...*, s. 490–491.

kler uprawia reakcyjną robotę. Ogólnie biorąc pod uwagę ludność naszego powiatu jest nieświadoma politycznie, niewyrobiona, gdzie ulega wpływom kleru. W coraz większym stopniu dowództwo nad elementami reakcyjnymi, którzy pod płaszczykiem bronienia wiary podburzają ludność na naszym terenie, jest kler, w osobach księdza [Antoniego] Kiszkurno z Nieszawy, księdza z Witowa i księdza z Raciążka²⁵ to są główni dowódcy reakcyjni na naszym terenie.

/-/ Wypijewski Józef²⁶

Źródło: AIPN By, 045/70, Sprawozdania, raporty specjalne szefa PUBP w Aleksandrowie Kujawskim za rok 1946, k. 185, mps.



²⁵ Proboszczem był ks. Stefan Jarzębski

²⁶ Szef PUBP w Aleksandrowie Kujawskim w okresie 09 XI 1945 r. – 16 I 1945 r.

W CIENIU WYZWOLENIA – GDAŃSK 1945

Zasadniczą część niniejszego tekstu tworzą relacje trójki młodych (wiosną 1945 r.) gdańszczan o polskich korzeniach. Przeżyli w Gdańsku wojnę, trudny czas nalotów i wyzwolenia. Zawarte w relacjach Eugenii Meirowskiej¹, Magdaleny Meller² i Henryka Chudacza³ wspomnienia uzupełniają teksty publikowane, mało jednak znane lub już zapomniane. Powstała całość ukazuje złożoność sytuacji i atmosfery z czasu wyzwolenia Gdańska. Warto przypomnieć tragiczne losy ludności cywilnej zdobywanego przez Armię Czerwoną miasta.

„Ciasne ulice i uliczki Gdańska były w tych dniach całkowicie zapchane wozami. Konie pozostawały w zaprzęgach, póki nie padły. Uciekinierzy cisnęli się do najbliższych domów, błądzili w poszukiwaniu stazków, którymi mogliby się zabrać, lub spędzali dnie i noce na swoich wozach [...]. Na otoczonym terenie zatrzymało się, oprócz związków bojowych i rozbitych oddziałów, przynajmniej półtora miliona ludzi. Do tej liczby doszło jeszcze sto tysięcy rannych z Kurlandii, Prus Wschodnich i z najbliższej linii frontu”⁴.

Przyfrontowa codzienność

Henryk Chudacz: W marcu 1945 r. byłem zatrudniony jako elektromonter w Zakładzie Elektrotechnicznym A. Voight und Co. przy ulicy Podwale Przedmiejskie 50 na Starym Przedmieściu. Pracowałem tu od stycznia 1945 r. W stosunku do połowy 1944 r., kiedy to w zakładzie pracowało 150 osób, teraz było nas zaledwie piętnastu. Na swoje potrzeby wzmocniliśmy schron, przebiliśmy dwa wyjścia awaryjne i uzupełniliśmy jego wyposażenie. Braliśmy udział w akcjach pogotowia technicznego, przeciwpożarowych i odgruzowywania (tzw. *Bergungsgruppe*). Pracowaliśmy ciężko, bez żadnych ograniczeń czasowych i w wielu miejscach.

Wzywano nas często do pomocy po nocnych bombardowaniach. Naszym zadaniem było zapewnienie oświetlenia zburzonego obiektu przy poszukiwaniu zabitych i rannych. Do tego też celu mieliśmy w pogotowiu odpowiedni sprzęt: prądownicę na palecie, stojaki z reflektorami, paliwo i kable. Kiedyś z takim sprzętem skierowano nas do Wrzeszcza, gdzie na rogu ulic Jesionowej i Grunwaldzkiej zostały zburzone budynki mieszkalne. Był to pechowy wyjazd. Na miejsce zawiózł nas zakładowy wóz ciężarowy „Framo” na *Holzgas* (gaz drzewny). Już po drodze trzy razy stawał. Chwilę po uruchomieniu pierwszego reflektora przy zburzonych budynkach usłyszałem warkot silnika samolotu, zwabił go na pewno mój reflektor. Szybko go stłukłem i skoczyłem do bramy, w której kilka rąk wciągnęło mnie głębiej. Usłyszeliśmy wybuch bomby. Z moich urządzeń nic nie zostało.

¹ Relacja E. Meirowskiej (październik 2003 r.), w zbiorach W.K.

² Relacja M. Meller (m.in. kwiecień 2002, listopad i grudzień 2003 r.), w zbiorach W.K.

³ Relacja H. Chudacza (zm. 2004) [w:] *Wspomnienia z oblężenia Gdańska w roku 1945*, kopia maszynopisu przekazana przez P. Artwicha w styczniu 2005 r., wybór i opracowanie W.K.

⁴ J. Thorwald, *Wielka ucieczka*, Kraków 1998, s. 145.

Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Innego dnia z kolegą zakładaliśmy nową napowietrzną linię elektryczną na Olszynie. Stojąc na jedenastometrowym słupie, wymieniałem izolatory. Kiedy zauważyłem nadlatujący samolot, błyskawicznie znalazłem się na ziemi i skoczyłem pod stertę desek, które leżały nieopodal. Był to nienotowany dotąd rekord schodzenia ze słupa. Gdy ja leżałem już pod deskami, kolega dopiero odpinał na ziemi słupopasy. Całe szczęście, że pilot samolotu nie zainteresował się dwoma elektrykami na słupach. Bombę zrzucił obok zajezdni tramwajowej przy ulicy Łąkowej.

W czasie oblężenia miasta w zakładzie pozostało nas już tylko ośmiu. Gasiliśmy pożary i zbieraliśmy po piwnicach żywność. Wodę nosiliśmy w nocy z jedynej studni przy Baszcie Narożnej. W pierwszych dniach oblężenia znalazłem zabitego odłamkiem pocisku konia. Byłem z siebie zadowolony, szybko pobiegłem do schronu po kolegę i „narzędzia rzeźnicze”. Do schronu przynieśliśmy dwa wiadra mięsa, jedyne w czasie oblężenia. Moczyliśmy je długo w occie, koń niestety z nas zadrwił, nie dał się skruszyć. Konsumpcja wymagała dużego wysiłku szczęk.

Postanowiliśmy poszukać czegoś do zjedzenia w domu kolegi przy ulicy Św. Ducha. Miasto już płonęło. Musieliśmy przejść przez Targ Węglowy. Tu w zbiorniku przed Zbrojownią zamoczyliśmy worki i nałożyliśmy je sobie na głowę i plecy. Po dotarciu na ulicę Teatralną stwierdziliśmy, że górne piętra domów, w tym jego, już płoną. Wracaliśmy ulicą Szeroką, Targiem Drzewnym i Targiem Węglowym. Byliśmy wstrząśnięci, dookoła nie było żywej duszy. Na Stare Przedmieście wróciliśmy w milczeniu.

Krótko przed zakończeniem oblężenia zostaliśmy zmuszeni do opuszczenia schronu. W nocy obudził nas potężny huk. Początkowo myśleliśmy, że to bomba. Okazało się, że przewróciły się ruiny sąsiedniego budynku. Gruzy zasypały nam wejście. W ciemności, po męczącej pracy i po przebicciu się przez ścianę fundamentów, złapaliśmy świeże powietrze. Tędy wyszliśmy na ulicę Podwale Staromiejskie. Nigdy wcześniej nie widziałem tak czarnych i brudnych ludzi.

Część kolegów udała się do Dolnego Miasta. Ja, wraz z dwoma, wybraliśmy schron apteki przy ulicy Słodowników. Kiedyś zakładaliśmy w nim instalację. Na miejscu zorientowaliśmy się, że jest zasypany warstwą gruzu po zrujnowanym budynku. Odgruzowaliśmy wejście i weszliśmy do środka. Dopisało nam szczęście, znaleźliśmy kartofle, miód sztuczny, topiony ser i kilka słoików z warzywami. Wkrótce dołączyli do nas inni „Robinsonowie” z Podwala Przedmiejskiego.

Życie i śmierć w schronach

Eugenia Meirowska: Początkowo ukrywaliśmy się w piwnicy domu przy ulicy Rajskiej. Byli też ze mną matka, siostra i brat. To, że przeżyłam, zawdzięczam między innymi jemu. Zdezercerował z wojska niemieckiego i ukrywał się. Ciągłe mnie instruował, jak się zachować w trakcie nalotu. Gdy bomby spadły na nasz dom, zaczęłam się wyczołgiwać z mokrym ręcznikiem przy twarzy. On szedł przede mną. Już na zewnątrz zgubiliśmy się. Niedaleko ulicy Wałowej podmuch wybuchu bomby uniósł mnie w powietrze i rzucił na ziemię. Ranna doczołgałam się do jednego z największych schronów pod dzisiejszym budynkiem „Solidarności”. Schron wybudowali wcześniej jeńcy wojenni, drugi podobny był obok Poczty Polskiej, tysiące osób się w nich kryły. W schronie zajęli się mną lekarze, miałam uszkodzone kolano i zaniki pamięci. Doczekałam tu wyzwolenia, gdy wyszliśmy, wokół było morze gruzów.

Henryk Chudacz: Tragedia dotknęła mieszkańców, którzy schronili się w czasie nalotu do podziemnego dużego schronu przy Hali Targowej na Starym Mieście. Bombardowanie doprowadziło do zniszczenia urządzeń odprowadzających wody kanałami podziemnymi do Motławy. Spowodowało to zalanie schronu wodą. Przebywający w schronie utonęli, podobno wszyscy.

Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Uderzenie bomby w dach innego, wielokondygnacyjnego schronu przy Osieku zniszczyło część betonowego stropu. Od zniszczeń i wytworzonego wybuchem ciśnienia zginęło wielu ludzi na górnych kondygnacjach, wielu innych było rannych. Trzeci duży publiczny schron zlokalizowany był przy Wałach Piastowskich. Bomby go ominęły, a schron po wojnie rozebrano w związku z budową nowych układów drogowych.

Obok już wspomnianych, w trakcie prac instalacyjnych poznałem jeszcze schron Fabryki Wyrobów Tytoniowych przy ulicy Łąkowej. Pechowy okazał się schron zakładowy Fabryki Octu i Musztardy przy ulicy Toruńskiej. Kończyłem w nim naprawę instalacji elektrycznej, kiedy ogłoszono alarm lotniczy. Nie skorzystałem z propozycji pozostania w schronie. Zdecydowałem się przebiec do kolegi mieszkającego na Olszynie. Nie zdążyłem, dobiegłem tylko do schronu ziemnego przy Bastionie Wilk, tam odczułem wybuchy bomb i falowanie ziemi. Po nalocie wróciłem na Toruńską i dowiedziałem się o wybuchu bomby w schronie. Zginęli wszyscy, którzy w nim zostali.

Naloty

Henryk Chudacz: Samoloty nadlatywały od strony morza, często niespodziewanie. W związku z tym były przypadki, że bomby spadały wcześniej od ogłoszenia alarmu. W nalotach nocnych używano rakiet świetlnych na spadochronach. Stary Gdańsk był nocą doskonale widoczny. Mimo że naloty były głównie kierowane na port i zakłady przemysłowe, to bomby spadały też na dzielnice mieszkaniowe.

Pamiętam, gdy bomba trafiła w halę sportową przy ulicy 3 Maja, nieopodal Dworca Głównego. W hali tej przebywali uchodźcy. Wśród rozlokowanych na podłodze wielu straciło życie, wielu innych było rannych. Halę po wojnie rozebrano i urządzono na jej terenie parking.

Kiedyś, gdy wracałem ulicą Kartuską, gdzie naprawiałem instalację w jednym ze sklepów, byłem świadkiem ataku angielskiego myśliwca. Słyszając warkot samolotu, ludzie uciekali do bram kamienic. Alarmu wówczas nie ogłoszono i samolot, kierując się na Głównie Miasto, ostrzeliwał ulicę Kartuską. Tym razem jednak nie widziałem zabitych i rannych.

Kiedy indziej przechodziłem z ulicy Łągiwników na Długi Targ. Po ogłoszeniu alarmu zdążyłem dobiec do ulicy Chmielnej i gdy usłyszałem warkot silnika samolotu padłem przy spichrzu. Po chwili usłyszałem wybuch bomby. Wracając, zorientowałem się, że bomba trafiła Ratusz przy ulicy Długiej. Uderzyła w pionie Białej Sali. W czasie oblężenia Ratusz sponął.

Dyżurując często na dachu trzypiętrowej kamienicy w zakładzie pracy, zauważyłem, że na wieży kościoła Mariackiego zainstalował się wojskowy punkt obserwacyjny. Informował on o nalotach bombowych i ich kierunkach. Po słowach: „*Achtung, Achtung er kommt!*” (uwaga, uwaga nadchodzi) padały zakodowane kierunki nalotu. Dokonywane obserwacje decydowały o zejściu z dachu do schronu. Kiedyś zauważyłem, że nad lasami Wrzeszcza leciały trzy dwupłatowe samoloty rosyjskie. Zrzucały masę małych bomb na zgrupowania niemieckie w tych lasach. W pewnym momencie nadleciał niemiecki myśliwiec. Znacznie szybszy i lepiej uzbrojony, zaatakował samoloty rosyjskie. Wszystkie odleciały na zachód, w tym dwa ze smugą czarnego dymu. Bombardowanie Gdańska ustało dopiero z chwilą, gdy front znalazł się już na jego terenie.

*

W końcu marca 1945 r. „ściana dymu” przez kilka dni sięgała wysokości czterech do pięciu tysięcy metrów. „Apokaliptycznego obrazu dopełniała grobowa cisza, którą mącił tylko syk szalejącego ognia, trzaski walących się stropów oraz rumor osypujących się ścian.

Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Miasto dopalało się dobry miesiąc. Do samej jesieni dopalały się magazyny na Wyspie Spichrzów. Wszędzie czuło się swąd, zmieszany z odorem trupów i padliny⁵.

Ofiary

W nękanym nalotami mieście przybywało z dnia na dzień trupów. W piwnicy plebanii na Podwalu Staromiejskim krył się z żoną i trzydziestoma uchodźcami pastor z pobliskiego kościoła ewangelickiego. Jak długo mógł, organizował pogrzeby. Niejednokrotnie, gdy nadlatywały samoloty, modlitwę kończyli w ukryciu, za najbliższymi nagrobkami. Wkrótce też zabrakło żałobników, było za to coraz więcej zmarłych. Ostatecznie zaniechali urządzania pogrzebów⁶.

Henryk Chudacz: W Akademii Medycznej, gdzie przeprowadziłem konserwację silników w kostnicy szpitalnej, zauważyłem, że wszystkie szuflady na ścianach są wypełnione zwłokami. Trupy leżały też warstwami na podłodze. „Specjalista” od tej kostnicy-chłodni wyjaśnił mi, że są to zwłoki z jednej nocy, a zmarli pochodzą z ewakuowanych terenów wschodnich.

W innym miejscu, w Nowym Porcie, w dużym budynku przy ulicy Oliwskiej, urządzono szpital dla rannych uchodźców przewożonych statkami ze wschodu. Na potrzeby sali operacyjnej szpitala doprowadziłem krótką linię energetyczną 360 V. Linia miała rozgałęzienia do sześciu stanowisk operacyjnych. Przy okazji i za zgodą lekarza spełniłem prośbę chorego i założyłem mu obok łóżka lampkę nocną. Był ciężko ranny, pochodził z Krynicy Morskiej. Również w tym szpitalu była duża śmiertelność. Codziennie, idąc wcześniej rano do pracy, widziałem wywożonych ze szpitala zmarłych. Układano ich warstwami na platformie konnej i przykrywając plandekami wywożono, podobno do mogił zbiorowych. Na urządzenie kostnicy i chłodni w szpitalu zabrakło czasu. Zmarłych układano warstwami w piwnicy.

Śmierć „dezertarów”

Eugenia Meirowska: Miałam 15 lat, byłam młodą i krnąbrną dziewczyną. Niczym chłopakowi, odwagi mi nie brakowało, musiałam wszystko zobaczyć. Szczęściem kończyło się najwyżej odciskiem ręki matki na twarzy. Na kilka tygodni przed wyzwoleniem udałam się na dzisiejszą Aleję Zwycięstwa. Trwała tam egzekucja. Jeden z samochodów podjeżdżał pod drzewa i zakładano z niego sznury na gałęziach. Drugi samochód podjeżdżał ze skażącami. Byli bez pagonów i z zawieszonymi na szyi tablicami, m.in.: „byłem zbyt tchórzliwy”, „byłem zdrajcą narodu”. Wchodzili na drewniane stopnie, zakładano im pętle na szyje i samochód odjeżdżał. Pętle na wisielcach się zaciskały. Po kilkudziesięciu minutach

⁵ T. Jankowski, *Miasto na furmankach*, „30 dni”, nr 6 (32), czerwiec 2001. Dopiero w ostatnich latach, we współczesnej już literaturze poruszającej zagadnienie zniszczeń Śródmieścia, w tym Starego Miasta w Gdańsku, wskazuje się, że tylko 40 do 50 proc. było wynikiem wcześniejszych nalotów lotniczych, ostrzału sowieckiej artylerii i z niemieckich okrętów wojennych, a także bezpośrednich walk wyzwoleniczych. Coraz częściej za przyczynę ostatecznego, ponad 90-procentowego stanu zniszczeń uznaje się późniejsze celowe, świadome i niemal planowe burzenie i palenie miasta przez żołnierzy sowieckich [*ibidem*, a także m.in. M. Abramowicz, *Gdańsk – marzec 1945*, „30 dni”, nr 3 (17), marzec 2000]. Nieosamotniona w zachowanych relacjach, cytowana w materiale M. Meller wspomina: „grupy Rosjan szły od domu do domu, po splądrowaniu wrzucały w nie wiązki granatów”. Tak według niej spalono i zburzono m.in. szereg budynków przy ulicy Kartuskiej, jak również przy mniejszych uliczkach w jej okolicy.

⁶ E. Kieser, *Zatoka Gdańska 1945. Dokumentacja dramatu*, Gdańsk 2003, s. 196.

podjeżdżał trzeci samochód, cały obity blachą, z otworem od góry. Podobnie jak na poprzednich, na nim też stali esesmani. Wisielców odcinano i wpuszczano przez otwór do samochodu. Po chwili „taśmociąg” śmierci ruszał od nowa. Wielu wtedy stracono, ilu – tego nie wiem, odeszłam, nim egzekucja dobiegła końca.

Henryk Chudacz: W stoczni na Ostrowiu brałem przez kilka dni udział w demontażu niektórych maszyn (części elektrycznych). Maszyny były przenoszone na statki, które w późniejszym okresie wyływały wraz z uchodźcami do Niemiec. Dowiedziałem się od znajomego, że w schronie rozstrzelano marynarza za dezercję. Symulował chorobę oczu.

Wracając kiedyś wieczorem do Starego Przedmieścia, zauważyłem na drzewach Alei Lip, nieopodal Bramy Oliwskiej, około 10 wisielców. Powieszono ich od strony Traktu Konnego. Po kilku dniach ciała „przewieszono” od strony torów tramwajowych. Ubrani byli w cywilne ubrania i mieli na piersiach tabliczki z napisami, m.in.: „dezerterski”, „maruder”, „bandyta”.

*

W ostatnich dniach przed wyzwoleniem straconych już nie zdejmowano, straszili swym widokiem broniących się i atakujących. Zbigniew Flisowski, opisując udział żołnierzy polskich w bezpośrednich walkach o miasto, wspominał: „Czołgiści i piechurzy przedzierali się przez szosę usianą rozbitymi pojazdami i pokrytą lejami. Co chwilę natrafiali na upiorne widoki: na drzewach, słupach telefonicznych i latarniach wisieli niemieccy żołnierze, którzy stali się obiektem ludobójczych komand »dla utrzymania porządku i dyscypliny« [...]. Nowa makabryczna scena – sześć kobiet powieszonych »za odmowę pracy«, jak głosiły tabliczki”⁷.

Po zakończeniu walk trupy wisielców zdjęto, same miejsca straszły jeszcze dużo dłużej. Przejmujące pozostaje wspomnienie Ireny Przewłockiej z jej przyjazdu do „miasta-upiora”: „Wysiadłam u progu Alei [...]. Szłam wolno między rzędami drzew [...], jakoś na tle ogólnej ruiny – niedorzecznie pięknych i żywych [...]. Oto uderzyły mnie widniejące tu i ówdzie na czarnych pniach, maźnięte białą olejną farbą nieforemne krzyże, znaczone jakby w pośpiechu. Powtarzały się co parę kroków, intrygowały. Wokół pusto, nigdzie śladu żywej istoty. Nagle wyłaniająca się zza drzew stara kobieta w czarnym zrudziałym płaszczu, wysoka jak kolumna, chuda, wyschła, ze spiczastym nosem i zakrzywioną agresywnie brodą. Tak musiały chyba wyglądać czarownice z »Nocy Walpurgii« [...], próbowałam się dogadać, co by miały oznaczać te krzyże [...], zjawia niechętnie machnęła ręką i podreptała w boczną uliczkę [...]. Wkrótce dowiedziałam się wszystkiego [...]. Wieszano na lipach i wiązach tych swoich żołnierzy, którzy przejrawszy nieuchronną klęskę, świadomi, że Rzecz się wali w gruzy, cisnęli bronią o bruk, próbując przekraść się do życia. Potem czyjaś pobożna ręka poznażyła krzyżami te drzewa-szubienice”⁸.

Pożary

Henryk Chudacz: W czasie ataku na Stary Gdańsk (Główne Miasto, Stare Przedmieście, Stare Miasto, Wyspę Spichrzów i Dolne Miasto) znalazł się on pod ostrzałem artyleryjskim. Wybuchaly liczne pożary. Mieszkańcy uciekali masowo do bezpieczniejszych okolic. W Starym Gdańsku pozostali nieliczni. Nie było już komu zapanować nad rozszerzającym

⁷ Z. Flisowski, *Gdynia, Gdańsk. Marzec 1945*, Broszura Wydawnictwa MON, w zbiorach IPN Oddział Gdańsk.

⁸ I. Przewłocka, *Niewidoczne ślady*, Gdańsk 1980, s. 142–143.

się pożarem. Ogień przenosił się z budynku na budynek, z ulicy na ulicę. Kilka dni przed zakończeniem oblężenia przeszła przez Stare Przedmieście ostatnia grupa wojsk niemieckich, około 300 żołnierzy. Wycofywali się na ulicę Toruńską, prawdopodobnie do Sobieszewa. W tym samym dniu na wieży kościoła Św. Trójcy zauważyłem białą flagę.

Pożar Starego Przedmieścia rozpoczął się od terenów przy Motławie. Mieścił się tam zakład „Wandel” zaopatrujący Gdańsk w opał. Przed wojną zakład ten reklamował się w całym mieście hasłem: „Ganz Danzig brennt mit Kohlen vom »Wandel«” („Cały Gdańsk pali węglem od Wandla”). Gdy wybuchł pożar, hasło brzmiało niczym czarny humor. Ogień rozprzestrzenił się wzdłuż Podwala Staromiejskiego. Po dojściu do naszego budynku, przy ulicy Zabi Kruk 47, udało nam się go jeszcze ugasić piachem i wodą.

Kiedy pożar z drugiej strony ulicy doszedł do wysokości naszego budynku, usunęliśmy na wszystkich piętrach z pomieszczeń materiały łatwo palne, m.in. firany, meble i chodniki. Udało nam się uratować nasz budynek. Pomagaliśmy też gasić pożary u naszych znajomych z warsztatów samochodowego „Hubnera” i ślusarskiego „Klosego” przy ulicy Rzeźnickiej. Wkrótce przekonał się, że była to praca szyfrowa. Ogień przenosił się też z Głównego Miasta.

Eugenia Meirowska: Do jednych z najstraszniejszych należał też styczniowy pożar budynku Strzelnicy Fryderyka Wilhelma przy ulicy 3 Maja. Ulokowani w nim byli uciekinierzy, głównie kobiety, starcy i dzieci. Po nalocie stałam niedaleko. Piekło nie może być gorsze. Przerażliwy krzyk kobiet i dzieci, bydło i konie żywcem się smażyły, płomienie unosiły iskry aż do dworca.

Czas gwałtów i grabieży

„We wtorek, 27 marca, do Bramy Oliwskiej dotarł trzyosobowy zwiad Rosjan. Volksgrenadierzy zmusili ich panzerfaustami do wycofania się. Nie na długo. Większe oddziały sowieckie przedarły się obok parku Daszyńskiego i przez Jana z Kolna dotarły w okolice dworca. Z okien Nadprezydium Skarbowego przy ulicy 3 Maja otworzyli do nich ogień volksgrenadierzy i żołnierze Waffen-SS. Rosjanie odpowiedzieli ze zdobycznych panzerfaustów. Budynek drżał od wybuchów. Żołnierze niemieccy rozpoczęli odwrót. Nim odeszli, pomogli przenieść sparaliżowaną kobietę i jej ośmioletniego synka do samochodu. Leżała w piwnicy i mogła poruszać tylko oczami, zrezygnowana czekała już tylko na to, aż przyjdą Rosjanie i się na nią rzucą. Przechodzący oficer powiedział krótko do jej męża: „Nie zostawimy tu pana żony”⁹.

Magdalena Meller: Gdy nadeszli Rosjanie, wraz z koleżankami byłyśmy ukryte w zakamarkach parteru Dworca Głównego w Gdańsku. Schowałyśmy się tu przed ostrzałem związanym z opanowywaniem tych okolic. Budynek dobrze znałam, wcześniej byłam tu zatrudniona jako kancelistka w restauracji dworcowej. W chwili gdy do budynku weszli skończono żołnierze mongolscy wojsk sowieckich, byłyśmy w dalszym ciągu w ukryciu. Bałyśmy się. Szybko znaleźli jedną z moich koleżanek, młodą i śliczną dziewczynę. Rzucili ją na duży stół w jednej z sal. Odarto ją z odzieży i przytrzymując rozciągniętą, wielokrotnie brutalnie zgwałcono. Z ukrycia wyszłyśmy dopiero, gdy żołnierze odeszli. Poszłyśmy pomóc nieszczęsnej. Była półprzytomna i zakrwawiona, ostatkiem sił schodziła, a właściwie zsuwała się ze stołu. Krew lała jej się po nogach.

⁹ E. Kieser, *Zatoka...*, s. 195.

Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Przerażone, kryjąc się przed żołnierzami, byle jak najdalej, uciekłyśmy z dworca. Udało mi się dotrzeć do kamienicy przy ulicy Powstańców Warszawskich 12. Mieszkałam tam razem z matką, siostrą i swoją czteroletnią córką. Gdy nadszedł wieczór, wszyscy mieszkańcy, którzy nie zdążyli uciec, skupili się na parterze. Było nas pełno. Część dzieci siedziała na stole lub pod stołem w pokoju jadalnym, inne tuliły się do matek. Dorośli stali i siedzieli dookoła pokoju. W takiej też chwili do budynku weszła krzykliwa grupa żołnierzy sowieckich. Swoim zwyczajem rozpoczęli od grabieży zegarków i innych kosztowności. Jeden z nich zerwał mi z ręki mój nie-nakręcony zegarek. Przyłożył go do ucha, ten nie tykał, uznając, że jest zepsuty, z siłą cisnął nim o podłogę. Czas plądrowania i grabieży nie trwał długo. Rozpoczęły się krzyki: „rabotać”, czyli że chcą mieć stosunki z kobietami. Wywlekli do innych pomieszczeń i mieszkań w kamienicy wszystkie kobiety, które uznali za nadające się do zgwałcenia. Kładli je na stołach albo na łóżkach i ustawiali się do nich w kolejce. Los zgwałconych nie ominął mnie i mojej siostry.

Takie zdarzenia powtarzały się niemal każdego dnia. Robili to, gdy tylko mieli na to ochotę. Gdy któraś próbowała oporu, dostawała ostrzegawcze uderzenie lufą pepeszy w piersi. Miało to znaczyć, żeby uważała, bo w każdej chwili może zostać zastrzelona. Więc albo szła do „roboty”, albo dostawała serię przez pierś. Cud, że żyję, w tym czasie zabierali, trach i po wszystkim.

W następnych dniach uciekłyśmy z kamienicy i schroniłyśmy się w jakiejś starej chatupie. Nic nam to nie pomogło. Przyszło ich z siedmiu i chcieli też brać moją ponad sześćdziesięcioletnią i schorowaną matkę. Wtedy ja ją zastoniłam, mówiąc: „bierzcie mnie”. Błagałam, żeby jej nie ruszali. Ostatecznie, „z łaski”, zgodzili się.

Tylko raz mi się udało. W chwili gdy przyszli, byłam już w koszuli nocnej, gotowa do snu, zmęczona i blada. Odrzucili mnie z pogardą, być może uznali mnie za chorą, podejrzaną. Zgwałcili moją siostrę. Ci żołnierze to było chamstwo. Jednego z nich pamiętam do dzisiaj. Na obu rękach, jak wielu z nich, od nadgarstka po łokcie, obwieszony był zegarkami. To było takie jego prymitywne wyobrażenie bogactwa. Pianina „znosili” z pięter w ten sposób, że spuszczały je ze schodów. Koszmar i makabra trwały przez kilka tygodni. Czego nie ukradli, to zniszczyli. Nie zapomnę grup Rosjan na ulicy Kartuskiej. Już po wyzwoleniu szli od domu do domu i wrzucali w nie wiązki granatów. Jeszcze dziesięć lat temu nic bym o tym nie opowiedziała, dzisiaj, mając ponad osiemdziesiąt lat, mogę już – a może dopiero – mówić o tych okropieństwach.

*

„Rozpoczęła się niesamowita orgia grabieży, morderstw, brutalnych gwałtów, rabunków, podpaleń, aresztowań. Mordy, gwałty i grabieże dokonywane były także w świątyniach, w których chroniła się cywilna ludność, np. katedrze oliwskiej lub w kościele Św. Józefa w Gdańsku, gdzie spalono żywcem kilkadziesiąt osób”¹⁰.

*

Eugenia Meirowska: To były bestie, nie ludzie. Wielu z nich było skośnookimi Mongołami. Grabili mieszkania, rozpruwali kołdry, rozbijali garnki albo załatwiali się do nich. Wojna nie skończyła się w Gdańsku w marcu 1945 r. Dalej padały pociski i wybuchwały granaty, grabież i gwałt były codziennością.

¹⁰ Cyt. za: A. Januszajtis, *Z dziejów kościoła Św. Józefa, Gdańsk 2000* [w:] S. Bogdanowicz, *Bo przemoc widzę w mieście i niezgodę. Trudny początek Kościoła gdańskiego 1922–1945*, Gdańsk 2001, s. 285–286.

Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



5 maja zmarła moja siostra. W trakcie gwałtu zarażono ją chorobami zakaźnymi, w tym tyfusem. Po ciężkiej chorobie zmarła w Akademii Medycznej, opieka niemieckiego lekarza nie pomogła. Wiedziałam, czułam, że umiera. Mimo ostrzeżeń o zagrożeniach udałam się do niej. Niewiele starsza, dwudziestojednoletnia siostra była już w agonii. Umierając, nic nie mówiła. Mimo to do dzisiaj jestem przekonana, że byłam z nią w kontakcie i ją słyszałam. Czułam, że moje słowa żalu, pocieszenia i pożegnania dotarły też do niej.

Chodząc, a później przejeżdżając przez Gdańsk, widziałam nie raz leżące na poboczach dzisiejszej Alei Zwycięstwa odarte z odzieży, zgwałcone i martwe już kobiety. Takie przerażające obrazy można było spotkać jeszcze w kwietniu, a nawet w maju. Zapamiętałam też płaczące i rozpaczające dzieci, stały koło studni niedaleko basenu Politechniki. Mówiono, że rzuciły się do niej ich matki, które nie mogły znieść dokonanych na nich gwałtów.

Byłam jedną z niewielu, których nie zgwałcono. W chwili wyzwolenia byłam ranna, później uratowała mnie biało-czerwona opaska na rękawie i stosunkowo szybko znalazła pracę. Zawieszona na drzwiach pismo w języku polskim i rosyjskim zwiększało moje szanse nietykalności. Koledzy przywozili mnie do pracy i odwozili po niej do domu.

Dzieci widziały

„Moją mamę, z powodu niesionej przez nią na rękach czternastomiesięcznej córki, »krasnoarmiejcy« zostawili w spokoju; moja szesnastoletnia siostra nie miała tyle szczęścia. Kiedy pierwszy Rosjanin gwałcił ją w baraku przy Wielkiej Alei, musieliśmy potulnie czekać na podwórzu. Nieco dalej pokazał się następny »mołodiec«. Dobiegałem wówczas ośmiu lat i patrzyłem na wszystko rozszerzonymi z przerażenia oczami”¹¹.

*

W wyniku działań wojennych wiele dzieci pozostało bez rodziców. O „pobieranych w piwnicach, znalezionych w powalonych kamienicach, przynoszonych przez litościwych ludzi lub po prostu podrzucanych za próg” jednego z tworzących się szpitali w Gdańsku wspomina Irena Przewłocka: „W sali szpitalnej, skąd wionęło karbolem, rzędy łóżeczek, pełne cierpiących niemowląt i starszych dzieci [...]. Na widok tych maleństw, o dużych, jakby rozdętych głowach i zapadłych oczach stałyśmy bezradnie, patrząc ze ściśniętym sercem na powleczone skórą szkieleciki o wyschłych patykach rąk i nóg. Bezpańskie istoty, pozostawione losowi i litościwym rękom.

Dwie z małych dziewczynek, splekane wśród ruin, znalazł i przyprowadził jakiś Rusek. Inny ranny chłopczyk [...] leży tu już dwa tygodnie, do dzisiaj nie powiedział słowa. Myśleliśmy, że niemy. Tymczasem rano, gdy siostra przyniosła dzieciom naręczce zabawek, pochwycił mały czerwony samochodzik i przemówił: »Moje autko, moje autko!« [...].

Jednostkowe losy, było ich wiele, każdy krył w sobie jakiś dziecinny, niewiadomy dramat, każdy wyrył piętno na cierpiącej twarzy. U dzieci starszych odbił się przerażeniem w oczach, nie rozumiejących okrucieństwa wojny [...]. Ogrom cierpienia wionął od tych szeregów, szeregów koszmarnych, od maleństw doświadczonych ciężko przez los! Całe rzędy chorych dzieci! Niektóre dyszały płytkim, powierzchownym oddechem, serce ich [...] jakby czekało tylko pretekstu, żeby się zatrzymać. Niektóre jęczały przejmującym jękiem, inne leżały, z przymkniętymi oczami, jak martwe. Mimo woli zaciskały się usta, ażeby nie

¹¹ Relacja Jana Wentowskiego [w:] Z. Gach, *Drugi dzień wolności*, „Dziennik Bałtycki”, 24 V 2002.

Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



krzyczeń w głos [...]. Chciało się jeszcze raz przekląć wojnę, Hitlera i cały pogrążony w szale zabijania świat”¹².

Jeniecki los wyzwolonego

Natarcie ruszyło 14 marca 1945 r. Po dziesięciu dniach, 24 marca, przełamano dwie linie umocnień zewnętrznych i rozpoczęły się bezpośrednie walki o miasto. 27 marca przystąpiono do ostatecznego szturmu, kolejnego dnia opanowano zachodnią część miasta. Po trzydniowych walkach, 30 marca, opór został złamany. Niedobitki garnizonu zepchnięto w bagnistą deltę Wisły, gdzie też wkrótce skapitulowały¹³.

*

Henryk Chudacz: Na zewnątrz zapadła cisza, był 28 marca. Wyszedłem ze schronu zorientować się w sytuacji. Nie miałem już możliwości powrotu. Na ulicy Podwale Staromiejskie spotkałem pierwszego żołnierza. Po zorientowaniu się, że nie mam zegarka, a także że nie wiem, gdzie można znaleźć wódkę, kazał mi iść z sobą. Doszliśmy do ulicy Rzeźnickiej w róg Św. Trójcy, kiedy padło kilka pocisków niemieckiej artylerii. Skoczyliśmy do bramy i usiedliśmy za murem. Wyjął puszkę grochu konserwowego, połowę zjadł, resztę mi dał.

Doprowadził mnie na ulicę Okopową, gdzie na zieleńcu siedzieli już około czterdziestu cywili. Pod wieczór utworzono z nas kolumnę i skierowano do Siedlec. Nocowaliśmy w jednym z budynków przy ulicy Kartuskiej. Stłoczono nas w jednym z mieszkań. W ciasnocie spaliliśmy na stojąco, co wcale nie było łatwe. Rano sformowano z nas ponownie kolumnę i skierowano na zachód. Po drodze udało mi się „urwać”. Wpadłem do bramy, przebiegłem podwórko, przez ulicę Zakopiańską i ogrody działkowe doszedłem do Bramy Oliwskiej. Miałem pecha, trafiłem na kolejnych „łapaczy”. Dołączyli mnie do kilku prowadzonych cywili.

Zaprowadzili nas do parku Daszyńskiego. Chowano tam właśnie wielu zabitych żołnierzy i cywili. Pracowała tam już grupa takich jak my. Po pochowaniu trupów zbito nas w kolumnę i skierowano do Wrzeszcza. W pobliżu Opery na ugorze stały działa rosyjskie. Gdy tamtędy przechodziliśmy, nastąpił ostrzał artylerii niemieckiej. Szukając schronienia, kolumna przebiegła do kaplicy cmentarnej po drugiej stronie alei (dzisiaj park przy Politechnice). Za zgodą żołnierza wyszedłem „za potrzebą”, pochylony zbiegłem między grobami i krzewami w kierunku Politechniki.

Już na początku Wrzeszcza trafiłem na kolejną grupę cywili prowadzonych przez Rosjan. Zostałem ponownie pojmany i do niej dołączony. Poprowadzono nas do dzielnicy willowej przy ulicy Uphagena. Przy dużej willi stały już trzy konne wozy. Załadowaliśmy je różnymi przedmiotami z wyposażenia domu. Wszystko nakryliśmy dywanami i związaliśmy. Kończyliśmy już w nocy, kazali nam iść spać, części do piwnicy, innym na piętro.

Rankiem tabor ruszył do Gdańska. Szedłem za ostatnim wozem i na wysokości ulicy Traugutta udało mi się umknąć. Nie na długo byłem wolny. Już na początku Wrzeszcza zgarnęła mnie kolejna grupa „łapaczy”. Przez Wrzeszcz kazano nam iść z podniesionymi rękami. Na wysokości ulicy Morskiej minęliśmy trzy spalone czołgi rosyjskie. Przy Grunwaldzkiej dużo obiektów było zniszczonych, wiele innych jeszcze płonęło.

Przy ulicy Lenziona minęliśmy zakład mleczarni. Tu w lutym przenieśli się moi rodzice z Podwala Przedmiejskiego. Nie zaszedłem do nich, bo miałem zajęte „ręce do góry”. Naj-

¹² I. Przewłocka, *Niewidoczne...*, s. 147–149.

¹³ B. Dolata, *Wyzwolenie Polski 1944–1945*, Warszawa 1974, s. 262–267.

ważniejsze jednak było stwierdzenie, że budynek nie uległ zniszczeniu. Stoi do dzisiaj między torami tramwajowymi. Nabrałem przekonania, że rodzice żyją, co też potem okazało się prawdą.

Przy pierwszym budynku przy ulicy Wojska Polskiego zrobiono nam postój. Pozwolono nam wejść i poszukać jedzenia. W kuchni na parterze znalazłem trzy salaterki zsiadłego mleka. Składały się z wody, twarogu i warstwy kurzu. Napiliśmy się nim i najadłem, nic innego nie było. Kiedy ruszyliśmy dalej, dopadła mnie „żołnierz płci żeńskiej”. Przyłożyła mi pistolet do skroni, krzycząc histerycznie: „ja ciebie ubiju” i coś tam jeszcze na dodatek. Zmroziło mnie. Na szczęście doskoczył do niej inny żołnierz i rzucając wiązanką tacińskorosyjską, spowodował odstąpienie „damy” od pierwotnych zamiarów.

Doszliśmy do wiaduktu kolejowego na Grunwaldzkiej. Cofający się Niemcy wjechali lokomotywą na most i wysadzili go w powietrze. Ulica była zablokowana. Za pomocą czołgu i kilku granatów udało nam się usunąć przeszkodę. Za wiaduktem przeprowadzono nas na ulicę Wita Stwosza, gdzie stała bateria artylerii rosyjskiej. Dla niej przenosiliśmy pociski artyleryjskie.

Po pracy zaprowadzono nas do katedry w Oliwie. U cystersów mieścił się punkt zbiorczy jeńców. Lokowano ich na podłodze w katedrze i w klasztorze. Katedra była odpowiednio przygotowana. Drobne wyposażenie przesunięto pod ściany, podłoga była wyłożona słomą. Pierwszej nocy spałem w katedrze. Przebywali tu żołnierze niemieccy w mundurach, poznałem też kilku, którym udało się przebrać w ubrania cywilne. Wśród zgromadzonych było wielu rannych.

Rano zaczęto tworzyć kolumny marszowe. Mnie z łopatką skierowano do grupy porządkującej teren przy domu opatów. Drugą noc spałem w klasztorze. Było takie przepętnienie, że spałem na ukos na schodach. Leżałem obok rzeźnika z Pruszcza i zawarta znajomość mi się opłacała. Rano przyszedł żołnierz szukający rzeźnika do pracy. Zgłosił się mój znajomy, mnie podał za swojego pomocnika. Żołnierz zaprowadził nas do krowy i strzelił jej w głowę. Rzeźnik kroił, ja ostrzyłem noże i pomagałem. Nikt się nie zorientował w braku fachowości pomocnika. Ponieważ nikt nie był zainteresowany wymionami krowy, po pracy zabrałem je. Część ugotowałem zaraz nad stawem w puszcze po ogórkach. Wówczas smakowały.

Wieczorem udało mi się przejść wzdłuż parkanu klasztornego. Przeszedłem obok zwłok przykrytych plandekami, minąłem konie kozaków i przeskoczyłem mur na ulicę Opata Rybickiego. Przez pewien czas zostałem mieszkańcem Oliwy.

Przywołując „cywilny” obraz Gdańska czasu wyzwolenia, nie sposób nie sięgnąć do wielokrotnie cytowanej w różnych publikacjach relacji korespondenta PAP Stanisława Strąbskiego z 31 marca 1945 r. Tym razem jednak fragment mniej znany: „Pojawiają się pierwsi mieszkańcy. Przygniatająca większość to starcy, kobiety i trochę dzieci. We framudze drzwi na wyściełanym fotelu siedzi staruszka. Głowa jej bezwładnie na piersi opadła. Tak zmarła w tej wnęce, jedynej ocalałej części domu. Nie ona jedna. Pod sklepioną częścią ruin, czy też wprost na kwietniowym kapuśniaku leżą umierający na siennikach lub materacach. Nikt na nich uwagi nie zwraca. Żyjący wólczą się obok z twarzami zastygłymi od trwogi, z oczami, które widzą tylko bezmiar własnego nieszczęścia i poniżenia”¹⁴.

Minął ostatecznie czas grozy. Uwiktanie w wojnę sprowadziło na winnych karę. Siła odwetu dotknęła również ludność cywilną. Losy gdańskich Niemców zmieszały się z losami gdańszczan polskiego pochodzenia. O tym trzeba pamiętać, bo przy coraz częstszych publikacjach dotyczących tragedii ludności niemieckiej w 1945 r. może umknąć to, że obok niej żyli czekający na zakończenie wojny Polacy. Koniec wojny niósł wspólne cierpienia. Tyle tylko, że dla Polaków zaczęły się one znacznie wcześniej.

¹⁴ Relacja S. Strąbskiego [w:] T. Jankowski, *Miasto...*

OBRAZKI Z BRZOSTOWA

Do Brzostowa przyjechałem na rowerze pod wieczór, ale było jeszcze jasno. Dokładnej daty przyjazdu nie pamiętam. Mogło to być na początku, a może w połowie lutego 1945 r. Kiedy wjechałem na podwórze i spojrzałem na tak dobrze mi znane zabudowania i zakamarki, odniosłem wrażenie, jakbym niedawno stąd wyjechał. Na podwórzu, jak zresztą w całej wsi, panował względny spokój, mimo że we wsi stacjonowało wojsko. Był to nieduży sowiecki oddział, a w naszym domu mieścił się sztab. Kwaterowało dwóch kapitanów. Na podwórzu był okop dla samochodu.



Pobyt wojska był prawdopodobnie związany z Piłą. Miasto nie zostało zdobyte szturmem z marszu, otoczono je wojskami będącymi częścią sił, które poszły dalej na Zachód.

Wszedłem do domu. W kuchni kucharz gotował dla wojska posiłek, dwie wojskowe kobiety oporządzały gęsi. Był też Rosjanin, którego jako młodego chłopaka Niemcy przywieźli do pracy. Chłopak czytał polską książkę i bardzo dobrze mówił po polsku. Nazywał się Wiktor Drebo. Pochodził z Orła.

Od Wiktora dowiedziałem się, że brat Ignac jest w oborze, gdzie poi i karmi sianem bydło. Nie od razu mnie poznał, zapewne z powodu półmroku, jaki panował w tym miejscu w oborze, i dwuletniej rozłąki w okresie, kiedy chłopiec staje się młodzieńcem. Na gospodarstwie była jeszcze dziewczyna, służąca Niemca z Besarabii, który gospodarzył po nas. Dziewczyny nie było jednak w domu.

Powitanie z bratem było wyjątkowo wylewne. W pierwszej chwili nie mogliśmy się skoncentrować i prowadziliśmy chaotyczną, banalną rozmowę o wszystkim i o niczym. Mieszały się przeszłość z teraźniejszością. Powoli nasze umysły uspokoiły się i przeszliśmy na aktualne tematy. A było o czym mówić. Brat dopytywał się o życie i zdrowie całej rodziny i jakie mają szanse powrotu.

Dom pełen Sowietów

Ignac opowiedział mi swoją przygodę z wojakami. Najwięcej problemów stwarzał kucharz, który miał na imię Siergiej i prawie zawsze był pijany. Porząbał stół, kilka krzesel i inne rzeczy codziennego użytku, i mógł to uczynić z innymi meblami. Palił w piecu kuchennym tak, że cała płyta była czerwona. Nie mył talerzy i innych skorup, tylko je tłukł, wrzucając do wiadra. Brat zwrócił mu uwagę, a on na to, że to niemieckie i on może robić z tym co chce. Ignac mu powiedział – to nie jest niemieckie, tylko moje. Odpowiedź była natychmiastowa: twoje – to ja ci pokażę, ty burżu – taka a taka twoja mać. Rzucił, co miał w rękach, skoczył do brata i złapał go wpół. Zaczęli się szamotać. Brat był słaby, ponieważ dopiero co wrócił z obozu w Potulicach, kucharz natomiast był w dobrej kondycji, bo miał jedzenia pod dostatkiem. Przycisnął brata pośladkami do rozpalonych drzwiczek od ku-

chennego pieca. Ignaca to piekielnie zabolalo, skoncentrowal wszystkie siły, chwycił mocno kucharza w pól, podniósł i z kolei on go przycisnął do rozpalonych drzwiczek.

Kucharz zawył z bólu. W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł kapitan Siergiej (to nie pomyłka, kapitan i kucharz nosili takie samo imię). Kapitan wyciągnął nagan i uderzył nim kucharza w głowę. Kucharz upadł na podłogę. Kapitan kazał zanieść go do aresztu, który mieścił się w piwnicy naszej sąsiadki Winieckiej. Kucharz był ubrany tylko w spodnie i koszulę – z nagrzejanej kuchni trafił do zimnej piwnicy. Piwnicę zamknięto, pilnował jej wartownik. Ignac zwrócił się do kapitana, że ten człowiek się przeziębi. Kapitan mu odpowiedział, że już oni go tam ubiorą, a gdyby postępował z podwładnymi inaczej, to by sobie z nimi nie poradził.

Kapitan Siergiej był wyjątkowym człowiekiem. Imienia drugiego kapitana nie pamiętam. Obaj byli bardzo młodzi. Siergiej był przyjaźnie ustosunkowany do Polaków, a w szczególności do mojego brata. Mówił na niego *chaziaj*, co po rosyjsku znaczy gospodarz. Na mnie mówił – brat *chaziaja*. Zauważyłem, że brat i kapitan autentycznie się polubili i darzyli wzajemną sympatią. Brat powiedział mu, że żołnierki zabiły nasze dwie gęsi. Najpierw solidnie je obrugał, potem chciał jechać i gdzieś zdobyć gęsi. Ignac się na to nie zgodził.

Siergiej ogłosił, że na moją cześć robi przyjęcie. Nie mogłem tego pojąć, że ktoś może robić przyjęcie na cześć parobka, który jeszcze kilkanaście dni temu spał w stajni i w każdej chwili mógł dostać od Niemca dowolną liczbę kopniaków. Intencja kapitana była szczerą, ale tak naprawdę, to chciał sobie przy tej okazji potańczyć. Ignac zaprosił z sąsiedztwa dwie dziewczyny. Rosjanin zagwarantował, że nie spadnie im włos z głowy. Ubrał się w wyjściowy mundur i długie buty. Takich butów miał pełną walizkę – cztery lub pięć par – w różnych kolorach. Jak na frontowca, była to rzecz niezwykła. Niezwykły był to też człowiek. Dał do zrozumienia, że lubi elegancję.

Ignac grał na akordeonie, a kapitanowie tańczyli. Jako poczęstunek był chleb, kapusta i spirytus. Piło się filiżankami, których większość nie miała uszek. Nikomu to nie przeszkadzało. Piłem pierwszy raz w życiu. Wypiłem kilka małych tyków, zrobiło mi się bardzo dobrze i wesoło. Dwoiło mi się i troiło w oczach. Z dwóch kapitanów zrobiło się czterech, a nawet więcej. Namnożyło się też dziewczyn. I wreszcie film mi się urwał. Spadłem pod własne krzesło. Ignac nie mógł się nadziwić, jak tego dokonałem. Zataszczył mnie na łóżko. I tak niefortunnie dla głównego bohatera zakończyła się uczta. Należy tu dodać, że cały dzień mało jadłem i nie zdawałem sobie sprawy, że taką władzę nad człowiekiem może mieć spirytus.

Kapitan Siergiej dotrzymał słowa, odprowadził dziewczyny i ucałował ręce ich matek. Gdyby było inaczej, konsekwencje ponosiłby brat, ponieważ to on gwarantował za Rosjanina, że jest porządnym człowiekiem. Ja po tej libacji chorowałem kilka dni, a do pokoju, w którym się odbywała, nie mogłem wejść ze dwa tygodnie. Ciągłe czułem woń spirytusu. Na płycie stołu pozostały trwałe ślady, porozlewany spirytus zniszczył politurę.

Rosjanie byli jeszcze w Brzostowie dzień albo dwa i wyjechali. Wyjazd ich miał dramatyczny przebieg. U sąsiadki Winieckiej nie mogli zapalić silnika samochodu. Przyszło im do głowy, żeby próbować zapalić na spirytus. A kiedy to się nie udało, wylali spirytus i wypili, nie bacząc, że jest wymieszany z benzyną. Po tym dwóch z nich straciło przytomność i stali się czarni na całym ciele. W takim stanie koledzy wrzucili ich na samochód i wyjechali.

Kapitan Siergiej pożegnał się z nami bardzo serdecznie. Z Ignacem objęli się i ucałowali. Po ich odjeździe, a nawet jeszcze później, zastanawiałem się, co tych dwóch łączyło, że taką darzyli się sympatią. Myślę, że pewien wpływ miało to, że Ignac dopiero wszedł

z obozu. Przypuszczam, że obaj mieli dusze artystów. Nie bez znaczenia było i to, że Rosjanin był człowiekiem bardzo inteligentnym i kulturalnym.

Po odjeździe Rosjan zrobiliśmy bilans posiadania. Po Niemcach pozostały cztery krowy, świnia ponad stukilogramowa i dwie gęsi. Do tego wszystkiego należy doliczyć budynki, ponieważ ocalały w całości, co było wielkim szczęściem.

Rosjanki zabiły gęsi, świnie nam ktoś ukradł, pozostały tylko krowy. Świnie ukradzono w nocy. Po utracie tego zwierzęcia obleciał nas strach, że pokradną nam krowy. Obora była zamykana, ale to nie stanowiło dostatecznego zabezpieczenia, ponieważ zamknięcie było słabe. W podwórku nie było psa. Brak psa nie miał większego znaczenia, ponieważ w kradzieży najprawdopodobniej uczestniczyła dziewczyna, która pozostała nam w spadku po Besarabie, pies by na nią nie szczekał. Dziewczyna w obawie przed żołnierzami przebywała całymi dniami poza domem w jakimś szemranym towarzystwie. Prawdopodobnie ono wzmówiło jej, że ta świnia należy się jej jako dodatkowy ekwiwalent za pracę u Niemca.

Ta kradzież bardzo nas przygnębiła. Nie ze względu na materialną wartość ukradzionej sztuki, chociaż nie było to bez znaczenia, ale ze względu na to, że pozostało tak mało i ktoś ukradł nam wszystko. Ostatnią sztukę z chlewa, która mogła stanowić zaczątek nowej hodowli. Zastanawialiśmy się nad moralnością złodzieja, który kradnie ostatnią sztukę przeznaczoną do chowu. Doszliśmy do wniosku, że jakiegokolwiek kryteria moralne nie mają tu żadnego znaczenia. Tacy ludzie są zdolni do zamordowania człowieka dla kilku złotych czy dla przedmiotu o niezbyt dużej wartości, byleby mieli do tego okazję.

Drugim zagadnieniem, które zaczęło nas wciągać, była wojna i odpowiedzialność za nią. Skłoniła nas do tego sytuacja materialna, w której się znaleźliśmy. W 1939 r. Niemcy napadli na Polskę bez wypowiedzenia wojny. Kogo chcieli zabić, wsadzili bez wyroku do więzienia, obozu, zagarnęli jego mienie, wywieźli do niewolniczej pracy itp. Trudno jest tutaj wymienić, czego ci ludzie nie robili.

Do nas przyszli w maju 1941 r. w nocy i kazali całej rodzinie w pół godziny spakować się i wynosić. Wywieźli całą rodzinę do obozu w Potulicach koło Nakta nad Notecią. Gospodarstwo było w pełnym rozkwicie. Pełna obora inwentarza żywego, w tym dwa konie. Było wymłócone zboże i jeszcze jedna trzecia zebranego żyta do młócenia. Był również najrozmaitszy sprzęt gospodarczy.

Nasza siedmioosobowa rodzina została rozczłonkowana na cztery części, bo tego wymagał interes III Rzeszy. Byliśmy zniewoleni i nikt nas nie pytał o zdanie.

Ignacy i noc z Niemcami

Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, pierwszy po wojnie powrócił do domu do Brzostowa Ignac. On siedział w obozie w Potulicach koło Nakta nad Notecią, czterdzieści osiem kilometrów od Brzostowa. Obóz miał być ewakuowany w całości w głąb Niemiec. Szybkie ruchy wojsk sowieckich pokrzyżowały te plany. Kolumna ewakuacyjna rozsypała się, ponieważ konwojenci uciekli, i ludzie powrócili do swoich domów.

Powrót Ignaca miał dramatyczny przebieg. Więźniowie wracający z obozu ciągnęli za sobą po zlodowaciałym śniegu na jakieś desce, sklejce czy też blasze swój skromny dobytek. Był to dla tych wynędzniałych ludzi znaczny wysiłek. Ignac wracał z trzema kolegami. Mieli jeszcze do przebycia dwanaście kilometrów. Opadli jednak z sił i postanowili przenocować. Tym bardziej, że mieli do pokonania duże wzniesienie, tzw. Tomaszewską Górę. Upatrzili sobie dom, opuszczony przez uciekających przed wojskami sowieckimi Niemców, i chcieli w nim przenocować. W obejściu znaleźli dwie kury, które ugotowali, zjedli i położyli się spać.

Zanim jednak usnęli, zaczął się do nich ktoś dobijać i szwargotać po niemiecku. Kiedy otworzyli, okazało się, że są to niemieccy żołnierze wycofujący się przed Rosjanami. Niemcy byli hałaśliwi i postawili ich na nogi. Pierwsze ich słowa dotyczyły jedzenia, padło pytanie – czy mają coś do żarcia. Oni odpowiedzieli, że nie. Niemcy dopatrzyli się jednak, że na piecu w kuchni stoi garnek z rosółem, a w misce są resztki kur. Wypili rosół i jeszcze raz poogryzali kości, te drobniejsze pogryzli i zjedli. Widowisko było niepowtarzalne. Panowie tego świata pożerali kurze kości, z których wcześniej mięso objedli więźniowie – ludzie skazani przez nich na zagładę. Może to zrozumieć tylko ten, kto był kiedyś w życiu naprawdę głodny.

Jeden z kolegów brata wpadł na pomysł, żeby Niemców zabić i zawładnąć ich bronią. Pomysł był niemądry i brat się temu kategorycznie sprzeciwił. Ich szeptaninę usłyszeli Niemcy. Przywódca Niemców, Hans, dał do zrozumienia, że przy jakiegokolwiek niejasnej sytuacji użyje broni. Atmosfera nieco się rozładowała, kiedy najmłodszy z Niemców podszedł do Ignaca i spytał, czy nie ma chleba. Brat odpowiedział pytaniem, czy on jest synem dentystki z Piły. Niemiec potwierdził. Brat wyjął z kieszeni kawałek chleba, przetamał na pół i dał mu połowę.

Niemcy położyli się spać w jednym pokoju, brat z kolegami w drugim. Niemcy prawdopodobnie zabarykadowali drzwi, ponieważ było słychać przeciąganie mebli. W nocy dwóch kolegów brata rozboleły brzuchy, prawdopodobnie po zjedzonych kurach. Zapalili kopciucha – lampę naftową bez cylindra. Rozpalili ogień w piecu i przykładali gorące fajerki do obolałych brzuchów.

Nagle otworzyły się drzwi do pokoju, w którym spali Niemcy. W progu stanął Hans z pistoletem na piersi i granatami za pasem. Niemiec spytał, co się dzieje. Odpowiedzieli, że mają bóle brzucha. Niemiec krzyknął do swoich kompanów, że mają dać niebieskie tabletki z torby, na której jest czerwony krzyż. Po pewnym czasie bóle brzuchów ustąpiły. Zdziwiająca jest to, że mimo wielkiego zmęczenia i głodu Hans czuwał.

Koledzy mieli pretensję od brata, że dał Niemcowi chleb. Ignac im wyjaśnił, że kiedy siedział w obozie w Pile i pracował jako elektryk, zabolął go ząb. Wartownik zaprowadził go do miasta do dentystki. Dentystka powiedziała wartownikowi, żeby nie wchodził do gabinetu, dopóki go nie zawoła. Posadziła brata na fotelu i dała mu kawałek chleba z marmoladą, żeby nie zemdłał na krześle. Niemka niezbyt pochlebnie wypowiadała się o zaistniałej sytuacji. Na ścianie wisiał portret jej syna w wojskowym mundurze. Człowiek z portretu był do złudzenia podobny do żołnierza, który poprosił go o chleb.

W oczekiwaniu na bliskich

Ja powróciłem do Brzostowa jako drugi z rodziny. Byłem parobkiem u gospodarza niemieckiego w Zakrzewku. Miejscowość ta leży pięć kilometrów na zachód od Więcborka. Po wkroczeniu Rosjan wróciłem do rodziny w Dorotowie, które leży dwanaście kilometrów na zachód od Zakrzewka. Z Dorotowa przyjechałem do Brzostowa na rowerze. Odległość ta wynosi około czterdziestu kilometrów.

Z Ignacem dyskutowaliśmy całymi godzinami na różne tematy. Mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Doszliśmy do wniosku, że wszelkie straty spowodowane przez Niemców powinny być zrekompensowane przez państwo niemieckie. Straty okazały się wręcz niewyobrażalnie duże. Nie byliśmy w stanie ich oszacować. Nawet nie staraliśmy się tego uczynić. Przekraczało to nasze możliwości. [...] Nasze rozumowanie w wyniku zaistniałej sytuacji międzynarodowej stało się czystą iluzją. Nikt nie dostał odszkodowania od Niemców za utracone bliskie osoby, za zrabowane mienie, dobra kultury, działania wojenne, całkowicie zniszczoną Warszawę.

[...] Mijały dni i tygodnie, a nasza rodzina była w dalszym ciągu zdekompletowana. W Brzostowie byliśmy tylko z Ignacem. Obaj byliśmy najstarsi w rodzinie, a właściwie w gospodarstwie, nie mieliśmy pojęcia o prowadzeniu gospodarstwa rolnego. Ignac miał zadatki na intelektualistę, ja na rzemieślnika. Martwiło nas, co będzie na wiosnę. Gospodarstwo bez gospodarza i koni skazane jest na nędzną wegetację. Mieliśmy jednak nadzieję, że do wiosny powrócą rodzice i brat Stach, który był urodzonym gospodarzem. W czasie okupacji pracował w majątku u Niemca pod Malborkiem.

Powrót rodziców

Wreszcie nasze marzenia ziściły się. Wozem w dwa konie powrócili rodzice. Nie pamiętam, jak ojciec zdobył to wszystko. W tym czasie granoczyło to z cudem, konie pozabierało wojsko. Myślę, że ojcu pomogło to, że utrzymywał z ludźmi bardzo dobre stosunki i ludzie mu po prostu pomogli.

Konie były słabe i całą drogę ojciec szedł koło wozu, a gdy droga wznosiła się, pomagał koniom, pchając wóz za kłonicę. Jak się okazało, nawet iść przy wozie było niebezpiecznie. Drogą ciągnęli również Rosjanie. Jeden z samochodów, którym kierował Rosjanin, prawdopodobnie na dwóch gazach, podjechał tak blisko, że ojciec, ratując życie, w ostatniej chwili wskoczył pod wóz. Samochód urwał mu jednak rękaw kurtki.

Drugi incydent również wydarzył się z żołnierzami sowieckimi. Na wierzchu wozu, na innych rzeczach leżał rower. Jeden z czerwonoarmistów zapragnął wejść w jego posiadanie. Zatrzymał ojca i zaczął ściągać rower z wozu. Przeciwstawiła się temu moja siostra siedząca obok roweru. Każde ciągnęło w swoją stronę. Ojciec ruszył. Wojak nie chciał zrezygnować z łupu, szedł obok wozu i nadal ciągnął rower. Siostrę rozgrzała walka o swoją własność i dała mu dwa kopniaki w głowę. Żołnierz puścił rower, odskoczył w bok i wymierzył do niej z karabinu krzycząc, że zabije ją jak psa. Nie strzelał jednak, powrócił do poprzedniej metody i chwycił ponownie za rower. Znowu dostał kilka kopniaków. Tymczasem podjechały jakieś wojskowe samochody z oficerami. Dopiero wtedy wojak zaniechał dalszej walki.

Nie wszystkie takie incydenty kończyły się szczęśliwie. Bywało, że ludzie ginęli, broniąc swojej własności, a kobiety były gwałcone. Żołnierze nie zawsze byli w swych wyczynach bezkarni. I oni ginęli, przytłapani na rabunkach, gwałtach i innych nieprawościach. Po przejściu frontu niektórzy ludzie mieli broń palną, której w takich przypadkach używali.

Rodzice opowiedzieli nam również o innych wydarzeniach, którymi byli wstrząśnięci. Przez pewien czas byli u nich na kwaterze czterej oficerowie sowieccy, którzy pełnili jakieś przyfrontowe misje. Mieli terenowy samochód. Nieraz wyjeżdżali nim bardzo wcześnie rano, wracali wieczorem albo w nocy. Byli spokojni, taktowni, nie upijali się.

Pewnego dnia po zostawione rzeczy wrócił tylko jeden z nich. Miał zabandażowaną głowę i rękę. Okazało się, że wpadli w zasadzkę, zostali ostrzelani z karabinu maszynowego przez Niemców. Dwóch Rosjan zginęło, dwóch było rannych. To ten lżej ranny przyjechał samochodem do Dorotowa.

Zasadzkę prawdopodobnie urządziły wojska niemieckie z Piły, które przerwały okrążenie i chciały się przedostać na północ, żeby przyłączyć się do walczących kolegów. Powstała dramatyczna sytuacja, ponieważ Rosjanie nie spodziewali się tu Niemców. Nie było frontowych jednostek. Do walki stanęli wszyscy, którzy znaleźli się na zagrożonym terenie. Za broń chwycili także lekarze, sanitariusze, a nawet lżej ranni i kobiety.

Po powrocie rodziców do domu zapanowała nieopisana radość. Brakowało tylko najstarszego brata Stacha. Byliśmy jednak dobrej myśli, że i on wróci cały i zdrowy.

Baczenie obserwowałem ojca i jego poczynania w tej trudnej sytuacji. Ciekawiło mnie, od czego zacznie i jak to uczyni. Obejrzał budynki, wyszedł do ogrodu, były tam jakieś kopce z ziemiopłodami, nie było tego dużo, ale zawsze coś. Przyglądał się niektórym rzeczom i drzewom w sadzie. Znał przecież tutaj każdy kamień, słupek w płocie, a nawet sztachety, które własnoręcznie ciął piłą z okrągłaków i przybijał do poprzecznych drągów w płocie, tzw. żerdzi. Na drugi dzień obszedł pola, które nie były wystarczająco obsiane, co było widać gołym okiem nawet zimą.

Zapytałem ojca, co o tym wszystkim sądzi. Powiedział, że nie jest dobrze, ale mogło być gorzej. Niemcy wycofali się pospiesznie bez większych walk i nie zniszczyli budynków. Pola nie zostały poorane okopami i ziemiankami. Nie pozostały na nich miny, pociski artyleryjskie czy wraki pojazdów.

Ucieszył mnie optymizm ojca, a w jego oczach odczytałem wielką wolę walki z przeciwnościami losu. W tej sytuacji potrzeba było dużo zapału i cierpliwości. Należy tu jeszcze zaznaczyć, że ojciec wtedy nie miał jeszcze pięćdziesiątki. Był poza tym bardzo pracowitym człowiekiem, odpornym psychicznie i miał doświadczenie, które zdobył w nietatnym dotychczasowym życiu. Przy tym miał duże znajomości i dobrze żył z ludźmi. Zaskarbił sobie przyjaźń i życzliwość wielu osób. To bardzo się przydało, ponieważ trzeba było pożyczać zboże, w tym również zboże do siewu i inne rzeczy, nawet słomę. Tak zostawił gospodarstwo Niemiec z Besarabii.

Rodzina w komplecie

[...] Po kilku dniach powrócił Stachu, więc rodzina była w komplecie. W domu zapanała wielka radość. Pytania i odpowiedzi nie miały końca. Stachu przyjechał wozem w dwa konie. Niemiec, właściciel majątku, w którym brat pracował, polecił zorganizować ucieczkę kilkunastoma wozami. Sam znajdował się w środku tej kolumny. Ucieczka nie udała się, czółgi sowieckie odcięły kolumnie wozów drogę. Niemiec popełnił samobójstwo, zastrzelił się, a kolumna uległa rozproszeniu. [...] Konie, którymi przyjechał Stachu do domu, należały do najcięższych, jakimi wtedy jeżdżono. Były to tzw. konie belgijskie. Chodziły jako tylna para w fornalkach, zaprzęgach czterokonnych.

Spadł mi kamień z serca. Wiedziałem, że ojciec i Stachu dadzą sobie w gospodarstwie radę, a ja mogę zająć się swoimi sprawami. Moje plany nie były skomplikowane i wygórowane. Zamierzałem uczyć się na ślusarza. Z rzemiostem utożsamiałem się od dziecka. Stało się to wręcz moją obsesją, ponieważ w czasie wojny Niemcy uniemożliwili mi kontynuowanie nauki jakiegokolwiek zawodu. Z obozu w Potulicach zostałem przywieziony do bogatego gospodarza w Synniewie Krajeńskim. Tam nas poniżano i głodzono. To był Polak. Na dwa i pół roku przed końcem wojny zostałem parobkiem u Niemca w Zakrzewku koło Więcborka. Jako szesnastoletni chłopiec musiałem wykonywać najcięższe prace w rolnictwie, z koszeniem kosą włącznie. Za mówienie po polsku byłem bity i kopany.

Przeżycia z okresu wojny wycisnęły pewne piętno na mojej psychice. Postanowiłem za wszelką cenę zdobyć zawód, żeby poprawić swój los. Szczególnie bolesne jest, kiedy człowieka poniżają, wdeptują w błoto, a on musi poddać się przemocy. Niemiec przy każdej okazji nazywał mnie polską świnią.

Z bochenkiem chleba do miasta

[...] Chciałem pojechać do Bydgoszczy i szukać dla siebie zajęcia. Rodzina zaakceptowała moją decyzję milcząco. Tylko ojciec powiedział, że materialnie nie będzie mi mógł pomóc, ponieważ gospodarstwo jest zrujnowane. Matka dała mi bochenek chleba i pół

kilogramu masła. Ruszyłem w nieznaną. Było to na przełomie marca i kwietnia. Pociągi już jeździły, ale składy były towarowe, ponieważ Niemcy, uciekając, pozabierali wagony osobowe. Pociągi kursowały nieregularnie. Czekano się nieraz po kilka godzin. Pierwszeństwo miały transporty wojskowe. Trwała jeszcze wojna.

Po dwóch godzinach oczekiwania w Miasteczku Krajeńskim dostałem się do tzw. wagonu bydłowego. Takie wagony mają dach i boczną obudowę i po obu stronach z odsuwane ciężkie drzwi. Jechało mi się niezłe. Towarzystwo było różne, było kilku polskich wojaków. Żołnierze mieli bardzo czyste mundury. Z ich manier i rozmów można było wywnioskować, że nie powąchaliby jeszcze prochu na polu walki. Prawdopodobnie byli to sztabowi dekownicy.

Peron w Bydgoszczy był zatłoczony do granic możliwości. Tłoczno było w poczekalniach, w przejściach podziemnych, na schodach i przed dworcem. Ta masa ludzi zrobiła na mnie niesamowite wrażenie. Przez ostatnie lata obcowałem przecież tylko z końmi i innymi zwierzętami. I przebywałem na dużych polnych przestrzeniach.

Po pewnym czasie zorientowałem się, że ta ciżba ludzka to nie tylko Polacy, że są tu ludzie z całej Europy, że jest to wielka wędrówka narodów. Słychać było różne języki. Wracali ludzie z obozów, niewoli, więzień, przymusowych robót i trudno jest wymieniść skąd jeszcze. Jechali we wszystkich kierunkach. Całym bogactwem większości tych ludzi było to, co mieli na sobie. Jak żyli, co jedli – nie jestem w stanie powiedzieć. Jedni wyglądali biednie, inni nędznie, a jeszcze inni bardzo nędznie. Byli też tacy, którzy sami wyglądali dostatnio i mieli niezłe wyglądające bagaże.

Nie zastanawiałem się, do których postronny obserwator zaliczyłby mnie. Przypuszczam, że do średniaków. Byłem zdrowy, nie miałem podartej odzieży, nie byłem wychudzony, no i miałem w swojej sfatygowanej walizce bochen chleba i pół kilograma masła.

Wyszedłem do miasta i rozmawiałem z kilkunastoma osobami pytając, gdzie są jakieś warsztaty, które mogłyby mnie zatrudnić. Nigdzie odpowiedniego miejsca nie znalazłem, najczęściej warsztaty były jeszcze nieczynne. Ze cztery osoby wskazały mi warsztaty kolejowe. Wreszcie się tam udałem. W warsztatach bez problemu mnie przyjęli jako ucznia, miałem zgłosić się następnego dnia. Wejście do tunelu prowadzącego do warsztatów znajdowało się na wschód około stu metrów od dworca kolejowego. Pozostało jeszcze znalezienie jakiegoś kąta do zamieszkania. Byłem jednak bardzo usatysfakcjonowany, że zatawiłem zasadniczą sprawę – pracę.

Szajka rannych Sowietów

Tego dnia już nigdzie nie chodziłem. Uznałem, że przenocuję na dworcu kolejowym. Byłem zmęczony i przycupnąłem na chwilę przed dworcem, ponieważ w środku był tłok. Na dworzec przychodzili z pobliskiego szpitala lżej ranni żołnierze sowieccy. Zauważyłem, że są bardzo ruchliwi. Wreszcie jeden z nich wyrwał jakiemuś gościowi z ręki walizkę i co sił w nogach popędził w kierunku ich szpitala. Jego kompani zrobili tłok wokół poszkodowanego, jeden z nich podłożył mu nogę, żeby się przewrócił. Zanim się pozbierał, stracił szansę na dognanie złodzieja. Żołnierz był krępy, mocny i szybko biegał. Jedną rękę miał zabandażowaną, ale drugą i nogami dobrze władał. Zniknął w furtce szpitalnej, do której wpadł także ścigający. Po chwili ukazał się znów, z zakrwawioną głową, bo za filarem furtki stał pomocnik złodzieja z tęgą lachą, a na teren szpitala nie wpuścili go wartownicy.

Przez jakiś czas obserwowałem szajkę składającą się z rannych żołnierzy. Zorientowałem się, że upatryli sobie następną ofiarę. Podeszedłem do tego człowieka i ostrzegłem go.

Nie zdawałem sobie sprawy, że może mnie to kosztować nawet życie. Po chwili podszedł do mnie jeden z żołnierzy i odwołał na bok. Tam odpiął ocieplacz i nieco rozchylił. Pokazał mi sztylet w pochwie i powiedział – jeżeli nie chcesz mieć dziury w brzuchu, to nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

To, co zobaczyłem i usłyszałem, wprawiło mnie w osłupienie. Dopiero po chwili zorientowałem się, że Rosjanin już odszedł, a ja w dalszym ciągu tkwię w tym samym miejscu. Nie zdawałem sobie sprawy, że była to wielka lekcja życia, i że różnego rodzaju lekcje życia będę jeszcze otrzymywał w innych okolicznościach, nawet tu, w Bydgoszczy.

Pospiesznie opuściłem to feralne miejsce, ażeby ukryć się wśród ludzi. Poszedłem do poczekalni dworcowej między trzecim i czwartym peronem. Z trudem znalazłem miejsce i usiadłem na walizce. Trawiłem swoje przeżycia z ostatniej półgodziny. Siedzący obok mnie gość bacznie mi się przyglądał. Był znacznie starszy ode mnie. Wreszcie zapytał, co się stało, bo wyglądam, jakby mnie ktoś ścigał. Pytanie zaskoczyło mnie i w pierwszej chwili zmieszany nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zauważył to i powiedział, żebym się nie denerwował, on może mi pomóc, a w niczym mi nie zaszkodzi. Poczuję się jak dziecko przytłapane na tym, że do szklanki wsypano za dużo cukru. Wyczułem jednak, że jest to człowiek życiowy, życzliwy i bardzo sympatyczny.

Opowiedziałem mu, po co przyjechałem do Bydgoszczy i swoje przeżycia z Rosjanami. Przy okazji opowiedziałem mu kawał swojego życiorysu. On mi się zrewanżował. Dowiedziałem się, że przed wojną był w wojsku, że służył w Armii „Pomorze”. W czasie wojny dostał się w Borach Tucholskich do niemieckiej niewoli. Przez całą wojnę pracował u rolników niemieckich we wschodnich Niemczech. Ma żonę i dzieci, które na niego czekają.

Rozmowa przeciągnęła się. Odjechał późnym wieczorem. Przed odjazdem dał mi kawał tektury z kartonu z jakimś niemieckim nadrukiem. Powiedział z uśmiechem, żebym strzegł tego jak oka w głowie i leżał na tym, a nie na nagim betonie. Przekonałem się jak to jest potrzebne niebawem, kiedy przyszło mi spać w tych warunkach.

Człowiek ten udzielił mi kilku cennych wskazówek. Był bardzo subtelny i dał mi bardzo delikatnie do zrozumienia, że to już nie stajnia i nie pole, że teraz będę obcował z ludźmi. A ludzie, jak to ludzie, są różni, zdarzają się dobrzy i życzliwi, ale trafia się też na ludzi bezwzględnych, bardzo złych, na ludzkie kanalie. Jako przykład przytoczył Rosjan. Na jednym biegunie znalazł się kapitan Siergiej, którego znał z moich opowieści, na drugim ci, których zobaczyłem w Bydgoszczy, o złodziejsko-bandyckich inklinacjach, którzy okradają biednych ludzi, wrywając im z rąk ostatni dobytek, jaki im pozostał.

Nie było mnie już stać na dalsze refleksje, poczułem się bardzo zmęczony i niebawem zasnąłem. Budziłem się kilka razy, ponieważ było mi zimno. Przed snem w miarę możliwości zabezpieczyłem się przed złodziejami. Udało mi się usadowić przy ścianie i w samym narożniku poczekalni położyć moją cenną walizkę. Była brzydka, pocierana ze wszystkich stron i tym samym mało atrakcyjna dla złodziei. Położyłem na niej głowę. Leżałem na podarowanym mi kartonie.

Pierwsze dni w Bydgoszczy

Z powodu zimna obudziłem się wcześniej, niż zaplanowałem. Zjadłem chleba z masłem. Złożony karton przywiązałem do walizki. Na peronie był kran z zimną wodą. Trochę się umyłem i napiłem. O ciepłej herbacie można było tylko pomyśleć, ponieważ nie było czynnych barów. Gdyby nawet były, to i tak nie mógłbym się napić, bo nie miałem pieniędzy. Miałem jeszcze trochę czasu. Wyszedłem na zewnątrz dworca i trochę pochodziłem szybkim krokiem. Zrobiło mi się cieplej.

Do warsztatów wchodziło się długim, szerokim tunelem. Należało przejść pod wszystkimi torami kolejowymi, jakie prowadzą przez dworzec główny, ponieważ warsztaty są po drugiej stronie torów. Na terenie warsztatów poczułem się dobrze, poczułem zapach rdzy i starych smarów.

Odszukałem szkołę i bez problemów zostałem zarejestrowany. Otoczenie, czyli moi nowi koledzy, przyjęło mnie nijak. Nie dopytywali się, kim jestem i skąd przybywam, może dlatego, że wszyscy właściwie byli tu nowicjuszami i nie mieli czym przybyszowi zaimponować. Było to środowisko kolejarskie, albo ojciec, albo ktoś z rodziny pracował czy był w inny sposób związany z koleją. Warsztaty prowadziły głównie naprawy i remonty lokomotyw, a więc nie było jaka specjalizacja.

[...] Na dworcu jak zwykle była masa ludzi. Kiedy chciałem wejść na perony, natknąłem się na kolejarza, który powiedział, że skończyły się już dobre czasy jazdy za darmo, obowiązują bilety kolejowe. Nie pomogły żadne tłumaczenia, że jestem uczniem warsztatów kolejowych, że nie mam pieniędzy. Dla wielu ludzi to posunięcie było zaskoczeniem i wyrządziło im wielką krzywdę. Niektórzy, w tym ja, jeszcze nie widzieli polskich pieniędzy. Podróżowali o głódzie i chłódzie w bardzo trudnych warunkach.

[...] Przeszedłem na drugą stronę dworca. Od wschodu, za tunelem prowadzącym do warsztatów była brama wiodąca do dworca towarowego. Była otwarta i nikt nie stał przy niej z karabinem. Pod wagonami przedostałem się na perony pociągów osobowych. Po pewnym czasie podstawiono pociąg. Powstał niesamowity tłok, ale udało mi się dostać do wagonu. Była to węglarka. Miałem dobre miejsce przy ścianie.

Nagle usłyszałem jakieś wybuchy. Ktoś krzyknął: nalot! Powstała panika, ludzie biegali we wszystkie strony i pospiesznie opuszczali pociąg. Właściwie nigdzie nie było bezpiecznie. W wagonie pozostało kilka osób. Odezwała się artyleria przeciwlotnicza. Strzelały działa dużego kalibru. Obok mnie stał starszy człowiek, który tłumaczył ludziom, że to Rosjanie stawiają ogień zaporowy.

[...] Bydgoszcz była obstawiona gęsto bateriami dział przeciwlotniczych różnego kalibru i mnóstwem reflektorów przeciwlotniczych. Było czego pilnować. Mieścili się tu sztaby różnych jednostek, w tym prawdopodobnie sztab frontu. Niewątpliwie takome kąski dla Niemców. Przypuszczam, że Niemcy nie byli już w stanie zagrozić Sowiecom bombardowaniem ich sztabów. Fama niósła, że te samoloty, które spowodowały alarm w Bydgoszczy, przyleciały z Gdańska i nie przebiły się przez zaporę ogniową, jaką postawiła bydgoska obrona przeciwlotnicza. Były to jednak tylko przypuszczenia. Niemieckie wojska na północy były obłożone i już dogorywały. Sowieci je dobijali. Było mało prawdopodobne, żeby Niemcy organizowali wypadki bombowe na Bydgoszcz. Może samoloty leciały z jakąś inną misją.

[...] Rozpoczęcie nauki w warsztatach kolejowych było wielkim krokiem w moim życiu, ponieważ z parobka, który operował batem, kosą i widłami, stałem się w stosunkowo krótkim czasie początkującym ślusarzem. Przez wiele lat marzyłem o tym. Niemcy uniemożliwili mi spełnienie tych skromnych aspiracji. Byłem przeznaczony na odstrzał, na zniszczenie. Nie chodziłem do szkoły, pracowałem ponad swoje siły, nikt nie liczył się z moim zdrowiem, byłem bity, kopany, przy byle okazji nazywany polską świnią.

Opracowała Barbara Polak

UCIEKŁEM SOWIETOM I NIEMCOM

Rodzice moi pochodzili z Tarnowa, ale jeszcze przed I wojną światową ojciec, służący wówczas w armii austriackiej, został przeniesiony służbowo do pułku w Kołomyi. Urodziłem się tuż przed wybuchem wojny – 8 lipca 1914 roku.

Pamiętam dobrze lata gimnazjalne. W Kołomyi były wówczas dwa męskie gimnazja – polskie i ukraińskie – mieszczące się w jednym budynku. Było też prywatne gimnazjum żeńskie sióstr urszulanek, w którym uczyły się wszystkie moje siostry. Dyrektorem polskiego gimnazjum był Stanisław Boroń, wybitny pedagog i patriota. W czasie okupacji został rozstrzelany przez Niemców. Często oglądam do dziś niemal cudem zachowane nasze tabeleau maturalne z 1934 roku, na którym oprócz maturzystów uwiecznione jest też grono profesorów. Ciekawe, że w polskim gimnazjum uczyli i wychowywali nas w pełnej harmonii profesorowie Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Myślę, że to właśnie zadecydowało o wyrobieniu w nas szczerzej, niekłamanej tolerancji, wzajemnego zrozumienia oraz szacunku dla różnych narodowości i wyznań. Z prawdziwą sympatią wspominam do dziś Ukraińca, wykładowcę łaciny Zadorożnego. Dzięki niemu poznałem patriotyzm ukraiński w stylu niedawnej pomarańczowej rewolucji. Pamiętam, jak na jednej z lekcji tłumaczyliśmy dialog Marcusa z Timarchusem. Grek Timarchus przekonywał Marcusa, że największą krzywdą, jaką wyrządzili Rzymianie jego narodowi, nie były zniszczenia materialne, ale zniewolenie. Profesor w tym momencie przez łzy powiedział: każdy naród dąży do wolności. A potem opuścił salę.



Jakub Ruman, ojciec Stanisława, w wojsku austriackim, 1905 r.

Marzenie – wojsko

W szkole należałem do harcerstwa i do Legionu Młodych, czyli elitarnej organizacji politycznej przy BBWR. Po maturze złożyłem podanie do podchorążówki w Komorowie koło Ostrowi Mazowieckiej. Szkołę ukończyłem w 1937 r. Jej komendantem był wtedy płk Bociński (późniejszy wojewoda wileński), a potem płk Żongołowicz. Bociński miał twardy charakter, był typowym oficerem, człowiekiem ze stali, a jednocześnie wielkim moralistą. W szkole tej uczyliśmy się nie tylko dyscypliny wojskowej, ale także kształtowaliśmy nasze postawy moralne. Patronem naszej 44. promocji był gen. Gustaw „Orlicz” Dreszer. Po promocji i defiladzie w Komorowie wyjechaliśmy do Warszawy, gdzie w Sali Rycerskiej na Zamku Królewskim odbyło się przyjęcie, na którym podejmował nas prezydent Mościcki

i marszałek Rydz-Śmigły. Stamtąd od razu rozjechaliśmy się do pułków. Dostałem przydział do 9. Pułku Piechoty Legionów w Zamościu należącego do 3. Dywizji Piechoty Legionów. Uważałem to za pewnego rodzaju wyróżnienie, gdyż pułki legionowe cieszyły się najlepszą opinią. Dowódcą pułku był Stanisław Sosabowski, wtedy jeszcze pułkownik, późniejszy generał, dowódca brygady spadochronowej, który prowadził słynny desant pod Arnhem. Zostałem mianowany przez niego dowódcą plutonu szkoły podchorążych rezerwy, której komendantem był major Korsak, legionista. Bardzo dobrze mi się pracowało z podchorążymi. Wszyscy oni byli już nie tylko po maturze, ale często po studiach.

Manewry

W 1939 r. zorganizowano wielkie manewry wołyńskie, głównym rozjemcą był gen. Rydz-Śmigły. Jako dowódca kompanii karabinów maszynowych i działek przeciwpancernych brałem udział w tych manewrach. Któregoś wieczoru – manewry trwają, cały czas jesteśmy w stanie bojowym, nie wolno ani na chwilę pomyśleć, że jest jakaś przerwa w działaniach bojowych – a tu nieprzyjaciel zorganizował sobie kolację. Podjechały kuchnie polowe, a przecież to są działania bojowe! Zebrałem swoich dowódców karabinów maszynowych i mówię: obejdźcie dookoła i zaatakujcie karabinami maszynowymi. Zrobił się straszny raban. Po rozpoczęciu strzelaniny tamci szybko się rozbiegli. Na to wszystko przychodzi do mnie jeden z oficerów rozjemców i mówi – panie poruczniku, jest pan wezwany do głównego rozjemcy, czyli do gen. Rydza-Śmigłego. Pytam, w jakiej sprawie. – Pan zrobił największy błąd, jaki można zrobić. Całkowicie popsuł pan założenia tego ćwiczenia, wszystko wzięło w łeb, a wojsko się rozpierzchnęło. – Przeprowadzono mnie do Rydza-Śmigłego, a on mówi do kapitana-adiutanta: proszę zwołać cały pułk, zrobić zbiórkę, będzie odprawa. Porucznik Ruman – wystąp. I Rydz-Śmigły ogłasza – z dniem dzisiejszym degraduję porucznika Stanisława Rumana do stopnia szeregowca, odbieram mu prawo jakiegokolwiek dowodzenia. Myślę sobie, Boże, koniec kariery, a przecież ja o tym marzyłem! Następnego dnia zwołują znowu oddziały, znów ustawili je w czworoboku. Rydz-Śmigły ogłasza – wczorajsza decyzja była oparta na niewłaściwym rozpoznaniu, niewłaściwej informacji, jaką otrzymałem od adiutantów poszczególnych pułków. Porucznik Ruman nie tylko zostaje przy swoim stopniu oficerskim, ale zostaje przy mnie jako rozjemca.

Wybuch wojny

Kończy się sierpień, wracamy po manewrach z Wołynia. Już było takie przeczucie, że coś wisi w powietrzu, że jest niedobrze. Któregoś dnia mieliśmy mecz. Ja byłem piłkarzem i opiekunem drużyny piłkarskiej CWKS Zamość. Walczyliśmy wtedy akurat z Czarnymi Lwów. Podjeżdża do mnie adiutant dowódcy pułku, kapitan Kurowski, i mówi: panie poruczniku, natychmiast do dowódcy pułku, do płk. Czajkowskiego (pułkownika Sosabowskiego zabrali już do Warszawy na dowódcę pułku Dzieci Warszawy koło Cytadeli. Na jego miejsce przyszedł pułkownik Czajkowski). Mówię: panie kapitanie, nie mogę iść teraz, bo jest jeszcze dziesięć minut do zakończenia meczu, muszę wiedzieć, jaki będzie wynik, bo na razie my wygrywamy. Czajkowski obsztorcował mnie, że się spóźniłem i powiedział, że od następnego dnia zostałem wyznaczony jako jeden z oficerów mobilizacyjnych. To była niedziela, a w piątek wybuchła wojna.

Rano 1 września bombardowali Lublin, 2 września był bombardowany Zamość. Część oddziałów poszła na zachód, nad Wisłę. Mnie pułkownik Czajkowski zostawił u siebie jako komendanta szkolenia mobilizacyjnego oficerów rezerwy. Na koszary spadały bomby. Niem-

cy szli szybko. Masa ludzi uciekała z zachodu na wschód przed Niemcami. Była straszna panika, ludzie nie wiedzieli, co ze sobą robić – drogi zatłoczone. W tej atmosferze paniki popełniono wiele błędów, bo wielu uciekinierów uważano za agentów, prowokatorów. Sądzono, że oni specjalnie sięją popłoch, żeby wywołać panikę i Niemcy mogli łatwiej opanować teren. Znam przypadek, gdy po krótkim sądzie rozstrzelano kogoś, kto uciekał na motocyklu i miał na sobie dwa garnitury, a jednocześnie nie chciał nic mówić.

Od płk. Czajkowskiego dostałem zadanie prowadzenia działań ostonowych. Miałem być w stałej styczności z nieprzyjacielem, podejmować walki opóźniające jego marsz na wschód. Jedną z tych walk dobrze zapamiętałem, pod Uściługiem. Wojska nasze wycofały się już za Bug, w spokoju odchodziły. Dowódca pułku robi odprawę oficerów i mówi: proszę panów, chcę zorganizować oddział ochotniczy, który będzie robił wypadły na Niemców, żeby ich niepokoić. Wielu się zgłosiło, ale płk Czajkowski wybrał mnie. Pozwolił mi z całego pułku wziąć około 500 wyborowych żołnierzy, też ochotników. Mieliśmy zrobić zamieszanie, żeby Niemcy nie tak pewnie szli do przodu. Bo to była błyskawiczna wojna, *Blitzkrieg*. Pod Uściługiem Niemcy zgromadzili bardzo potężne siły artyleryjskie, ciężką broń, pancerną i przeciwpancerną. Uściługu bronili wtedy płk Zawisłak, dowódca pułku Pińsk. On nie miał już wojska, bo ci, którzy byli zmobilizowani, poszli na front. Miasta mieli bronić ochotnicy, pospolite ruszenie, większość w cywilu. Nie zdążono nawet rozdać im mundurów, mieli tylko karabiny. Pułkownik Zawisłak wzywa mnie do siebie i mówi: to zadanie jest nie do wykonania, bo przed panem jest Bug. Rzeka była wtedy dość rwąca i woda sięgała nam prawie po szyję. Zebrałem swoich ludzi, to byli różni ludzie, różnych wyznań, katolicy, prawosławni, grekokatolicy i inni. Zobaczyli szeroką rzekę, po drugiej stronie Niemcy, a nasze wojska odeszły na wschód. Woda jest cały czas oświetlana przez Niemców reflektorami – raz po raz, prawie bez przerwy. Mówię im: wchodzimy do rzeki, zanurzymy się pod wodę na ten czas, kiedy reflektor będzie nas oświetlał. Zrozumieli, ale ktoś zaraz rozpoczął „Ojciec nasz”, wszyscy uklękli i modlili się. Wchodzimy do wody, a płk Zawisłak do mnie mówi – już nie wróćcie. Przeszliśmy na drugi brzeg, patrzymy, stoją armaty, a nie ma żołnierzy, nie ma nikogo, tylko te reflektory. A żołnierze śpią. Armaty, czołgi, wszystko bez obsługi. Zebrałem moich młodych dowódców i mówię: każdy z panów bierze ze sobą trzy granaty. Zadanie jest takie, wkładać granaty do zamków karabinów maszynowych czy do armat, żeby je uszkodzić, nie będzie się to nadało do strzelania. Zrobicie to i wracamy na sygnał rakiety. Przedtem z płk. Zawisłakiem ustaliłem, że rakietą będzie sygnałem, że to my wracamy i wtedy ci landszturmiści, czyli to, jak mówiłem, pospolite ruszenie, nie będzie do nas strzelało, będą wiedzieli, że to nie idą Niemcy. Wykonaliśmy zadanie. Niemcy w bieliźnie powyskakiwali z domów, strzelają na



Stanisław Ruman, zdjęcie maturalne

oślepił, ale nas nie widzą. Wystrzeliłem raketę, tak jak się umówiliśmy. Było nas około pięciu-set. Chwyciliśmy się wszyscy za ręce i przechodzimy z powrotem przez Bug. Niestety, ten oddział płk. Zawiślaka, cywile, niewykształcone wojsko, zaczęli strzelać. Wielu nas wtedy zginęło w wodzie. Pozostali trzymając się za ręce doszli. Płk Zawiślak dziwił się, że prawie trzy czwarte z nas wróciło. Przyhamowaliśmy Niemców na prawie trzy dni.

Pamiętam też, jak w ciężkiej bitwie walczyliśmy w pobliżu Brześcia z Niemcami. Słyszę, że jest bardzo ciężka strzelanina i widzę, że wszyscy ci moi żołnierze leżą plackiem i nie chcą się ruszyć do ataku. Wstaję, podrywam ich, biegnę. Wtedy wielu nas zginęło. Jeden z moich podchorążych, który leżał koło mnie, w czasie ataku dostał pocisk w brzuch z działka przeciwpancernego. Rozsadziło mu całkowicie brzuch. W okopie widział, że jadłem jabłko. Myśmy nie mieli co jeść, złapałem gdzieś jakieś jabłko w sadzie. Jelita miał na wierzchu. Mówi, jakby nie czuł tego postrzału: panie poruczniku, niech mnie pan poczęstuje jabłkiem. Daję mu jabłko, które jadłem, gryzie i widzę, że ono wychodzi mu na zewnątrz z rozerwanego jelita.

Sowieci

Dotoczyliśmy do pułku po 17 września i weszliśmy w lasy biłgorajskie, ale niestety Niemcy szli za nami. My z tej grupy ostonowej mamy stałą styczność z Niemcami, znów ich powstrzymujemy, choć to już nie jest bardzo skuteczne, bo oni mają kilkakrotną przewagę, czołgi i wciąż prą na przód. W pewnym momencie zaczęli się cofać przed naszym silnym ogniem, widocznie myśleli, że w lesie jest masa żołnierzy. I w końcu zapadła cisza. Ale za chwilę słyszymy terkot tankietek, takich małych czołgów. Od wschodu, czyli na naszych tyłach. Za chwilę otaczają nas sowieckie czołgi. Nasz pułkownik powiedział: słuchajcie, Sowieci przekroczyli granicę 17 września, ale teraz oni idą nam na pomoc, żebyście broń Boże nie strzelali do nich, bo to są nasi sprzymierzeńcy. Wychodzi jakiś ich starszy oficer, był nawet odświętnie ubrany, jak nie w polowych warunkach. Podchodzi do naszego pułkownika i pyta: co wy tutaj robicie? Adiutantem był wtedy kpt. Kurowski. Kurowski mówi – walczymy. No to my wam pomożemy. Ale czołgi nas otaczają. Pułkownik Czajkowski mówi: nie martwcie się, to są nasi przyjaciele, widzicie, że Niemcy już odeszli. (Oni już porozumieli się ze sobą, już nie walczyli). Następnego dnia wszędzie cisza, nie ma żadnych walk. Sowieci są wokół nas. Pułkownik Czajkowski wzywa oficerów na odprawę i mówi: panowie, to są wojska sowieckie, które mają wspomagać nasze oddziały, mamy spokój na froncie zachodnim, ofensywa niemiecka jest powstrzymana. Myśmy początkowo w to uwierzyli. Ale za chwilę przychodzi ich dowódca i mówi tak – zrobimy pożegnanie z wojskiem, bo idziecie do domu, my przejmujemy walkę. Cały nasz pułk ustawił się w czworoboku, jak do odprawy, świętecznie. Zrobiono ołtarz polowy, kapelan odprawia Mszę św. pożegnalną. Wydaje nam się, że coś jest nie w porządku, ale pułkownik cały czas nas zapewnia, że to jest pomoc z ich strony. Wzywa nas i mówi: kto chce, niech zatrzyma sobie broń, ale Sowieci na pewno nie pozwolą wam wyjść z bronią, bo nie wiedzą, czy wy się przeciwko nim nie zwrócić. To zależy od dowódców poszczególnych kompanii, czy tę broń zatrzymać. Przychodzi dowódca rosyjski i mówi, że wszystką broń należy zdać zaraz po Mszy św. A co z oddziałami? Żołnierze idą w prawo, oficerowie w lewo, czyli odłączenie się od oddziałów. Żegnamy się. Na zakończenie tej Mszy św. odśpiewaliśmy wszyscy Boże, coś Polskę. Żołnierze śpiewali to mocnymi głosami. W lesie ten śpiew wypadł bardzo patriotycznie i podniosłe. Żegnam się ze swoimi podoficerami i mówię im: panowie, szkoda tych karabinów maszynowych, raz już u Niemców wypróbowaliśmy – wkładamy granat do komory nabojojowej, on rozsadzi zamek i broń będzie nieużyteczna. Wszyscy tak zrobi-

liśmy, odskoczyliśmy w las, za chwilę rozległ się straszny wybuch. Przychodzi ten sowiecki dowódca i pyta, co się stało. A powiedziano nam, że możemy z bronią zrobić to, co chcemy, więc ponieważ żołnierze nie chcieli karabinów oddawać Niemcom, wysadzili je w powietrze. Oni chyba w to uwierzyli.

Miłe złego początki

Zaczynamy marsz spod Biłgoraja w kierunku na Zamość, do siedziby pułku. Szliśmy już pół dnia, a oni po drodze zaczęli zbierać furmanki. Jak wyszliśmy 2 września do walki na front, to nie wiem, czy spałem jedną całą noc, inni też. Cały czas były te potyczki z Niemcami. Teraz szliśmy i spaliliśmy na stojąco. Oni to widzieli. Zwerbowali podwozy – panowie mogą siadać na wozy. A jeszcze wcześniej powiedzieli do oficerów – broń mogą panowie zachować. Pytamy się dowódcy pułku, co powiedział ten Sowiec, co z nami będzie dalej. Zawiadomią nas o tym w Zamościu – odpowiedział. Po kilku dniach dotarliśmy do Zamościa. Tam ustawiają nas w szeregach na Rynku, przed ratuszem, popisywali wszystkich, po kolei. Pytamy się, po co. A bo my was będziemy teraz rozwozić do domów, ale musicie trochę poczekać, bo nasz transport kolejowy jest zdeorganizowany. Mija drugi, trzeci dzień, a my do domów nie idziemy. Codziennie przychodzą z listą i wyczytują, czy wszyscy są. To już nie był tylko nasz pułk, była też grupa generała Płonki. Samych oficerów na tym rynku było chyba około pięciuset, podoficerów już z nami nie było, żołnierzy też nie, okazało się, że oni ich rzeczywiście rozpuścili do domu.

Kiedy staliśmy na Rynku, już pierwszego dnia przyszedł do nas jakiś starszy oficer sowiecki z naszym adiutantem i wielką srebrną tacą, skradzioną zapewne gdzieś we dworze. Adiutant naszego dowódcy pułku mówi: panowie oficerowie, kto z panów będzie chciał, może złożyć tu pistolet. Dobrowolnie. A kto chce go sobie zatrzymać, może to zrobić. Myślę sobie, to pewnie jest jakaś pułapka, na pewno będą odnotowywać, kto zatrzymał, a kto oddał. Miałem dwa pistolety, jeden mały, F.N. BABY, a drugi wielki pistolet mauzer. Oddałem ten mały, oficer odfajkował to przy moim nazwisku. Ten drugi pistolet miałem prawie do końca konspiracji, do aresztowania przez gestapo.

Kombinezon

Otoczeni przez nich nocowaliśmy na Rynku. Z potrzebami fizjologicznymi pozwalali nam wychodzić w podcienia kamienic stojących przy Rynku, które od zewnątrz pozastawiano jakimś tekturami. Takie nam zrobili tam „szalety”. Nie myśleliśmy się chyba od początku września. Już nawet nam to nie przeszkadzało. Oni nie mieli żadnych kuchni polowych, ich oddziały poszły do przodu, zostali tylko ci, którzy nas przyprowadzili. Pozwolili ludności Zamościa przy-



Autor w Wojsku Polskim

nosić dla nas żywność. W pewnym momencie podchodzi do mnie dziewczyna, gimnazjalistka, przed maturą, Maria Sekutowicz. Znaliliśmy się, bo ja sędziowałem u nich mecze siatkówki, koszykówki, kiedy przed wojną współpracowaliśmy ze szkołami. Przyniosła mi jedzenie i mówi: to jest paczka z jedzeniem, a tu jest taki specjalny dla pana pakunek. Rozwijam to, a tam kombinezon ślusarski. – Proszę pana, bo my nie mamy pewności, czy to jest prawda, jak oni mówią, że was rozwożą do domów, bo na razie zbierają różne wagony i montują tutaj pociąg, a okna zakratowują drutami kolczastymi, więc może was chcą gdzieś wywieźć, gdzieś internować? Ludzie w Zamościu coś przeczuwali, bo widzieli, że coś dzieje się na stacji kolejowej. I dodała: tu bardzo wielu cywili przychodzi z paczkami żywności na Rynek, dlatego panu radzę, jak pan ma możliwość, niech pan się przebierze w ten kombinezon. Pomyślałem, mam mundur zdjąć i nałożyć kombinezon!? Ale ona dodaje, że ojciec tak mówi. Jej ojciec był profesorem, wyładał we Lwowie, rodzina mieszkała w Zamościu, ale wtedy już był z nimi. Niech się pan przebierze – nalegała. Wziąłem swoją obszerną pelerynę wojskową i pod nią naciągnąłem kombinezon na mundur wojskowy. – Weźmie pan ten mój koszyk po żywności, oni nas nie kontrolują. Myślę sobie, jeszcze muszę zameldować się u dowódcy pułku, nie mogę tak odejść. Idę do niego, on na mnie patrzy i mówi, czy mnie oczy mylą? Nie, to ja, panie pułkowniku, Ruman. A gdzie mundur? Pod spodem. To pan mundur przystoił w ten sposób, jak pan śmiał tak zrobić!? – Panie pułkowniku, ale ja mam informacje, muszę się nimi podzielić z panem. Mówią, że nas wcale nie rozwożą do domów, tylko, że mogą z nami co innego zrobić, nie wiadomo co, ale nie pojedziemy do domów. – To co pan chce zrobić? – Chcę stąd wyjść. – Nie, ja się na to nie zgadzam. – Panie pułkowniku, ale w tej chwili to już każdy sobą dysponuje. Już nie jestem podwładnym, już każdy z nas odpowiada za siebie, a mnie w podchorążówce uczyli, że zawsze, kiedy będę w trudnych warunkach, muszę próbować uciekać, bez względu na to, jakie są szanse uratowania się, muszę uciekać. Ja uciekam. – A ja nie uciekam, proszę pana.

Kiedyś w Radomiu znalazłem w jakimś dzienniku informację, że płk Czajkowski odnalazł się, żyje, jest teraz w Kanadzie. Z tego wnioskuje, że on też w jakiś sposób stamtąd uciekł. Znalazłem potem jeszcze innych kolegów, którzy byli wtedy w Zamościu i przeżyli – por. Pytlakowski, por. Wajdowicz. Uciekli i znaleźli się później w konspiracji. Większość jednak została.

Poszedłem do Sekutowiczów, ale profesor mówi mi: pan nie może być u nas. Ja jestem z uniwersytetu lwowskiego, jesteśmy tutaj śledzeni, nie wiadomo, kiedy do nas przyjdą. Mamy dla pana pewną melinę, gdzie nikt nie będzie podejrzewał pana obecności. Sekutowiczówna podała mi nazwisko pewnej żydowskiej dziewczyny. – Pan ją zna, ona z nami grała w siatkówkę, nazywa się Flug, mieszka na Starym Mieście, nie na samym Rynku, ale na zapleczu. Tam na strychu będzie pan mógł się przechować, do nich nikt nie przyjdzie. Poszedłem. Ojciec z patriarchalną brodą, starozakonny, przyjął mnie z powagą, jego córka prowadzi mnie i mówi – tato, on będzie u nas niedługo. Widziałem, że ojciec nie był z tego zadowolony, ale nic się nie odzywał. Na strychu przechowałem się dwie albo trzy doby. Stamtąd poszedłem na inną melinę, u Tracza, który pracował w szkole jako woźny. Mieszkał blisko naszych koszar. On był bezpieczny, poza podejrzzeniami, Sowieci traktowali go jako robotnika. I u niego, w Zamościu, od razu rozpocząłem konspirację.

Uniknąłem Katynia

Zamelinowałem się w Zamościu. Pozostałych oficerów zabrano za jakieś dwa dni. Nie mogłem sam iść, żeby obserwować, jak ich wywożą, opowiadała mi o tym Maria Sekutowicz. Wszystkich załadowali do wagonów okratowanych, zadrutowanych i wywieźli na

wschód. Ja pamiętałem nazwiska swoich kolegów z tej codziennie, czasami kilkakrotnie odczytywanej listy, pamiętam też te, które były przede mną i za mną. To byli oficerowie z innych pułków. Jak w 1943 r. Niemcy ogłosili listę zamordowanych w Katyniu, to na niej były te nazwiska, do niedawna je pamiętałem. Mojego nazwiska tam nie było. Nie wiem, czy oni mnie wykreślili jeszcze w Zamościu, czy dopiero tam, na miejscu. Moja ucieczka była dziwnym zbiegiem okoliczności. Muszę powiedzieć, że przebijając się w ten kombinizon, miałem bardzo poważne skrupuły, czy robię dobrze, czy nie popełniam jakiegoś strasznie niehonorowego czynu. Do tego stopnia, że kiedy przyjechałem do Radomia, gdzie była moja siostra (już wiele miesięcy później), przyszedłem do niej w mundurze, a na nim miałem garnitur. Nie mogłem ściągnąć munduru, nie mogłem się na to zdecydować...

Do rodziny

Zastanawiałem się, co teraz powinienem robić. Zgłosiłem się do hrabiego Zamoyskiego, a właściwie do jego plenipotentą w Zwierzyńcu. On wiedział, że wielu oficerów dostało się do niewoli, jakoś nas znał, bywał u nas na balach pułkowych. Zgłosiłem się, że chciałbym się ukryć, bo w Zamościu wszyscy mnie znają, a ja chcę pracować w konspiracji. – Dobrze, wystawimy panu dowód, że jest pan u nas gajowym. – Był już wtedy ze mną mój kolega, z mojego rocznika, który także uciekł, por. Nowak. Dali nam dwa takie zaświadczenia. Nie dało się tam długo wysiedzieć, bo przyszli Niemcy, którzy mieli tam bardzo dobre rozpoznanie, więc musiałem zniknąć. Postanowiłem pojechać do Kołomyi, do rodziców. Wyruszyłem w drogę do Lwowa. Szedłem na Bełżec, piechotą. Nie miałem mapy i po drodze pytałem ludzi, jak iść na Lwów, oni wskazywali mi drogę. W lesie pod Bełżcem trafiłem na patrol sowiecki, było ich dwóch, ale byli tacy tępi, że jak tłumaczyłem, że chcę przejść na drugą stronę (pod Bełżcem była wtedy linia demarkacyjna), to oni mówią: dobrze, ale musisz najpierw zgłosić się w Bełżcu. Na to wszystko z lasu wychodzi dwóch Żydów. Mieli opaski czerwone i karabiny. Sowietci mówią: zaprowadźcie go do Bełżca. Słyszę, że między sobą zaczynają rozmawiać w jidisz (a ja dobrze znałem niemiecki) – Co będziemy taki kawał z nim szli, po co go będziemy prowadzić? Powiemy, że uciekał i musieliśmy zastrzelić. No, myślę sobie, to nie w porządku i mówię – ja znam niemiecki i wiem, o czym ze sobą rozmawiacie. – A nie, my cię tam doprowadzimy. Zaprowadzili mnie do Bełżca, zamknęli w jakiejś drewnitni ze skoblem i poszli po Sowietów, żeby mnie sprawdzili. Przecież nie będę czekał, aż oni mnie w jakiś sposób zlikwidują. Jak tylko się ściemniło, wyłamałem te drzwi i uciekłem. I dalej idę pieszo do Lwowa. Doszedłem tam dokładnie 11 listopada 1939 r. Na dworcu słyszę strzelaninę, jeżdżą samochody, jakaś wielka obława. Okazało się, że studenci i młodzież zorganizowali manifestację z okazji święta. Na dworcu jeszcze był wtedy ten napis „Leopolis semper fidelis”. Wsiadłem w jakiś pociąg, tam bez przerwy szły pociągi w kierunku na Zaleszczyki, towarowe. Pojechałem przez Stanisławów do Kołomyi. Do domu dotarłem 13 listopada, w moje imieniny. Matka, kiedy mnie zobaczyła, mówi: Staszek, jak wyście tam kapitulowali... – Myśmy nie kapitulowali, nas Ruscy otoczyli... – A my mieliśmy wiadomość, że jak was wtedy brali, to tyś popełnił samobójstwo. Przyszedł twój kolega i powiedział, że na jego oczach popełniłeś samobójstwo, zastrzeliłeś się. Ale błagam cię, uciekaj stąd jak najprędzej, już od miesiąca nas nachodzą, przychodzi milicja i pytają się o ciebie. – Oni spodziewali się, że pojechałem do rodziców. Przywitałem się tylko z rodziną i od razu pożegnałem. Poszedłem do swojej ówczesnej narzeczonej, a ona mówi to samo: przychodzą ciągle i pytają o ciebie. I znowu stają mi przed oczami te sytuacje z Rynku w Zamościu. To był wręcz Wersal. Podchodzili do nas z pełnym

szacunkiem, jak oficer do oficera, rozmawiali z nami nawet z pewnego rodzaju unізieniem. Byliśmy tym zdziwieni. Dlatego pułkownik Czajkowski, gdy mu powiedziałem, że trzeba uciekać, odpowiedział: Nie, oni mi dali słowo honoru, że nas rozwożą do domów, i ja muszę im wierzyć. Oni dali słowo honoru, ale może ten honor u nich inaczej wygląda – powiedziałem.

Początki konspiracji

Wróciłem do Zamościa prawie bez przeszkód. Przy ulicy Lwowskiej w Zamościu mieszkał porucznik Maślanka, który organizował konspirację. Przyłączyłem się do niego. Był też sierżant Kaczmarski, plutonowy Majdan. Potem dostaliśmy od Sikorskiego rotę przysięgi: „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, Królowej Polski, przysięgam, że będę wiernie i nieugięcie stał na straży honoru Polski, o wyzwolenie jej z niewoli walczyć będę zawsze aż do ofiary z mojego życia, wszelkim rozkazom będę posłuszny, a tajemnicy niezłomie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało. Tak mi dopomóż Bóg”. Zaprzysięgaliśmy następne osoby. Ukrywałem się w Zwierzyńcu u jakiegoś gospodarza i stamtąd kierowałem konspiracją. Zadaniem naszym było zgromadzenie broni, której tam się walały całe sterty, po lasach było jej pełno. Zbieraliśmy ją, konserwowaliśmy i zakopaliśmy, bo kiedyś się przyda. Myślę, że tam jeszcze do dzisiaj jest wiele tej zakopanej broni. Byłem tam dosyć długo, jednak okazało się, że jestem znany wśród młodzieży i ktoś może mnie wsypać. Kiedyś przyszedłem do Zamościa, do centrum i wszedłem do restauracji, w której czasami bywałem przed wojną. Widzę obok stolik zajęty przez Niemców i siedzą z nimi jacyś cywile. Zobaczyłem, że jakoś się mną zainteresowali. Dyskretnie stamtąd zwałem i poszedłem do porucznika Maślanki. On uważał, że nie mogę tam dłużej być, bo jestem tam znany wśród młodzieży, może mnie ktoś wsypać.

W Radomiu mieszkała moja siostra, żona oficera. Okazuje się, że u nich, w bloku oficerskim, wszędzie stacjonują starsi niemieccy oficerowie, nie liniowi, z rezerwy. U siostry także ktoś mieszkał. Pomyślałem, że pod jego boki powinienem być całkowicie bezpieczny. Nikt nie będzie podejrzewał, że obok niego może być ktoś z konspiracji. Byłem u siostry kilka miesięcy. Tam dowiedziałem się, że dobrze działa konspiracja w Puszczy Kozienickiej. Później w Górach Świętokrzyskich był mój kolega Jan Piwnik „Ponury”. Komendantem obwodu Kozienice był kpt. Bielawski „Jeleń”. Zgłosiłem się do niego, był u niego już mój przyszły szwagier, z Kobrynia, Janczak, miał już jakąś misję. Przyjęto mnie tam z otwartymi ramionami, miałem dość dobrą funkcję, znalazłem się w sztabie AK, nawiązałem bezpośrednie kontakty z komendą okręgową AK w Radomiu. Byłem szefem komórki kontrwywiadu i wywiadu wojskowego. Chodziło o ruchy wojsk niemieckich na wschód. To był rok 1941. Meldunki wysyłałiśmy do Anglii: o ruchach wojsk niemieckich, transportach itd.

Obława

Na 20 lipca 1942 r. Niemcy przygotowali obławę, wiedziałem o wszystkich ich posunięciach. Zameldowałem o tym do Warszawy, Radomia i Londynu – że szykuje się wielka obława w Garbatce. Mój komendant, kpt. Bielawski, na odprawie z moimi kolegami powiedział, że „Staszek”, czyli ja, szczyli się tym, że wie o planowanej obławie. Ale skąd on może to wiedzieć? Była sporządzona lista ponad tysiąca osób do aresztowania, ja ją przedstawiłem. Mieliśmy kontrwywiad zorganizowany w ten sposób, że był on częściowo oparty na zastraszaniu konfidentów gestapo. Umowa była taka: nie likwidujemy was, ale musimy wiedzieć o gestapo wszystko. Ta wiadomość o obławie była całkowicie pewna.

Rzeczywiście, nadchodzi 20 lipca, Garbatkę otacza SS i inne oddziały niemieckie. Wzięli te wszystkie osoby, które były na liście. Wcześniej radziłem komendantowi, żeby uciekać i uprzedzić wszystkich. Odmówił z obawy przed zdekonspirowaniem naszych konfidentów i ze względu na podejrzenia, że lista może być fikcyjna. Jego wzięli pierwszego, mieszkał w lesie, w szataście. Słyszyc, że idzie obława, zaczął uciekać w kierunku domu, gdzie mieszkałem. Zastrzelili go tam, koło mojego domu. Ja skryłem się na strychu, dzięki temu przeżyłem. Byłem po wojnie na ekshumacji jego zwłok, NKWD otoczyło to miejsce. Tak mi było przykro, że mogłem go ocalić, a on nie chciał w to uwierzyć.

Obława została przeprowadzona i ponad tysiąc osób aresztowano, śledztwo było prowadzone od razu w Garbatce i stamtąd wywożono do Oświęcimia. Kiedy gestapo się wycofywało z tej obławy, myśmy w ślad za nimi szli i doszliśmy do Kozienic, tam mieliśmy swoją dobrą, pewną komórkę, gdzie się przechowaliśmy u dróżnika Wirażki (członka naszej organizacji). Zgłosiłem się do okręgu w Radomiu, a oni mówią: wracać pan tam nie może, bo jest pan spalony, był pan też na liście. Przenosimy pana na stanowisko inspektora AK okręgu radomsko-kielecko-częstochowskiego. Moim zadaniem była kontrola stanu wyszkolenia we wszystkich obwodach. Zamieszkałem w Częstochowie, pod Jasną Górą, na ulicy Wieluńskiej 12.



W konspiracji

Inspektor

Kiedyś, gdy byłem w podchorążówce, mieliśmy strzelanie artyleryjskie z mapy. W pewnym momencie na poligon w Czerwonym Borze przychodzi depesza od moich rodziców, że zmarła moja najmłodsza siostra. Powiadomił mnie o tym kpt. Świdorski, który prowadził to szkolenie. Mówi mi tak: panie podchorąży, ale pan ma teraz odbyć strzelanie. I to, czy ja pana zwolnię, zależy od wyników strzelania. Ja byłem roztrzęsiony, poszło mi to strzelanie strasznie. A on mi powiedział, tu leży pies pogrzebany, nieprzygotowany jest pan do tego, a chciał pan jechać na pogrzeb. Nie puścił mnie. Teraz jestem inspektorem i lustruję cały, bardzo duży okręg. W Radomsku trafiam na komendanta tamtejszego obwodu. U nas był taki zwyczaj, mimo że byłem w cywilnym ubraniu, ale jak przychodziło się na służbową wizytację, to meldowało się po wojskowemu. I słyszę: kpt. Świdorski... Patrzę, a to jest ten, który mnie wtedy nie puścił na pogrzeb siostry. Nie wiem, czy mnie poznał, mógł mnie nie pamiętać. Zacząłem inspekcję. Nie wszystko było tak, jak być powinno. Mogłem napisać krytyczny protokół, mogli go zdjąć z tego stanowiska, ale to by zakrawało na zemstę. Pożegnaliśmy się chłodno.

Aresztowanie

Gdy pełniłem funkcję inspektora w Częstochowie, dużo jeździłem. Wielu moich kolegów już dawno wpadło, ja jakoś ocalałem. Aresztowali mnie, jak się później okazało, w komunistycznej skrzynce kontaktowej w Radomiu. Oficjalnie było to „biuro pisania próśb i podań”, a jednocześnie miejsce, gdzie produkowano fałszywe dokumenty. Chciałem napisać tam podanie o pracę w niemieckiej firmie handlującej zwierzętami, która stwarzała możliwości swobodnego poruszania się. Pukam i słyszę, że ktoś podchodzi do drzwi, ale ruszam klamką, a drzwi są zamknięte. Chodziłem wtedy w skórzanym płaszczu, jak Niemcy. Zapukałem ponownie, drzwi się otwierają i ktoś krzyczy: *Hände hoch!* Miałem wtedy przy sobie pistolet, wzięli mnie do środka, potem zaraz na gestapo, rozpoznawali mnie. Nie przyznawałem się, ale mieli o mnie informacje. Tam wtedy była wielka wsypa. Niemcy dowiedzieli się, że to było fikcyjne biuro, że tam wydawano fałszywe dowody osobiste, i że to prowadzą komuniści. Znalazłem się w więzieniu gestapo w Radomiu przy ulicy Kościuszki, w pojedynczej podziemnej celi, gdzie trzymano „specjalnych” więźniów.

Myślałem o ucieczce. Cały dzień byłem zakuty, ręce skute z tyłu i przykute do łóżka. Na noc mnie rozkuwali i tylko jedna ręka pozostawała przykuta do łóżka. Nocą były przesłuchania. Cały czas myślałem, czy nie uda się uciec, kiedy mnie rozkują. Po drodze do ustępu nawiązałem kontakt z innymi więźniami gotowymi uciec. Rano przy śniadaniu nie było jeszcze pełnej obsady. Przynieśli śniadanie, strażnik wchodzi do celi i rozkuwa mnie. Kajdankami uderzyłem go w głowę, na chwilę stracił przytomność. Zdążyłem wziąć od niego klucz i pootwierać inne cele. Otworzyłem ich pięć, może sześć. Otwieramy już drzwi na zewnątrz, ale zaczyna się strzelanina. Mój kolega z NSZ Orlik dostał kulę. Zabili go na miejscu. O ucieczce nie było już mowy. Wróciliśmy do cel, zdążyłem je pozamykać. Moja cela otwarta, już wszyscy wiedzą, że to ja. Woła mnie na górę szef tamtejszego gestapo kpt. Fuks i pyta, ale bardzo grzecznie: proszę pana, kto organizował tę ucieczkę? A ja mówię, że Orlik. – No tak, on zginął, ale tak naprawdę to kto? – Ja organizowałem. A on mówi, brawo, brawo i klepie mnie po ramieniu. Ja też jestem oficerem. Co pan ma zamiar dalej robić? – Mam zamiar czekać na następną okazję. On znowu mnie poklepał i mówi: tak, tak powinien zachowywać się oficer. Byłem pewny, że będą mnie potem jakoś szykanować, ale on powiedział, że od dzisiaj nie będę przykuwany do łóżka. Zaczęli mnie traktować niemal jak jakiegoś honorowego więźnia. Widziałem jednak, jak zabierano moich kolegów z poszczególnych cel na rozstrzelanie. Rozstrzelali ich na Firleju. Zdejmowali im kajdanki i wiązali ręce zwykłym drutem, żeby kajdanki się nie marnowały.

Fornalska

W sąsiedniej celi siedziała Małgorzata Fornalska. Kiedy ją sprowadzali schodami po zeznaniach, schody były czerwone od krwi. Ona była strasznie maltretowana, dosłownie wlekli ją po schodach. Razem z nią złapano Pawła Findera. Jego kiedyś wpuścili do mojej celi, ale tylko na jedną noc. Nie wiem, czy on miał mnie złamać, czy miał się czegoś dowiedzieć, w każdym razie nic z tego nie wyszło. On sam mi powiedział, że nazywa się Paweł Finder. Później dopiero dowiedziałem się, że Finder miał zorganizować biuro legalizacyjne, wydające członkom PPR fałszywe kenkarty i inne dokumenty. Używał do tych celów biura, w którym zostałem aresztowany. Być może więc wpuszczono go do mojej celi, żeby sprawdzić, czy mamy jakieś kontakty, czy jest jakaś współpraca między organizacją komunistyczną a AK, co było oczywiście absurdalne.



Powrót po latach na miejsce szkoły podchorążych, 2003 r.

Wiedziałem, że Fornalska była ideową komunistką i ateistką. Któregoś dnia ktoś, kto zamiatał korytarz, wsunął nam w szpary pod drzwiami obrazek „Jezu, ufam Tobie”. To był rok 1943, a ten obrazek był znany w Polsce już przed wojną. Rozmawialiśmy przez otworek zrobiony gwoździem w dzielącej nas ścianie, przy samej podłodze. I ona mi mówi: dostałam obrazek, co to jest? Mówię jej, że trzeba więcej ufać i wierzyć. No tak – mówi ona – ale pan chyba sam w to nie wierzy? – Nie, ja właśnie wierzę.

Któregoś dnia przychodzą po nią, żeby ją zabrać na Firlej na rozstrzelanie. Fornalska już skończyła zeznania. Zabierają ją i widzę przez wizjerek, że na korytarzu ona już nie ma kajdanek, tylko druty na rękach. Wiedziałem więc, że idzie na rozstrzelanie. Za jakiś czas, mniej niż za godzinę, ona wraca do celi, za nią gestapowiec. Myślę sobie, szła na rozstrzelanie i darowali jej życie? Dowiedziałem się wszystkiego od Budulskiej, która siedziała razem z Fornalską w jednej celi, to był wyjątek w tych piwnicach. Budulska była z AK, prowadziła archiwum AK w Skarżysku-Kamiennej. Fornalska wróciła do celi, bo gdy już znaleźli się na Firleju, w lesie gdzie rozstrzeliwano, poprosiła, żeby ją powieźli z powrotem, bo czegoś zapomniała. Oni pewnie myśleli, że ma jakąś ukrytą tajemnicę i że chce to wziąć lub zniszczyć. Przywieźli ją z powrotem, ale ona zabrała tylko ten obrazek. Potem ją wywieźli. Prawdopodobnie pod koniec życia nawróciła się.

Numer 36057

Przesłuchiwano mnie zawsze po północy, przynajmniej dwa razy w tygodniu. Pod koniec maja 1944 roku dowiedziałem się, że kończy się mój pobyt w więzieniu gestapo.

Z przebiegu śledztwa mogłem się domyślać, że mnie rozstrzelają. Ostatnie przesłuchanie miało jednak zupełnie zaskakujący charakter. Referent Appelt, Polak z pochodzenia, wychowanek uniwersytetu w Łodzi, zwany przez nas „czerwoną krawatką”, bo wydawał zwykle wyroki śmierci, tym razem prowadził ze mną spokojną rozmowę. Odniosłem wrażenie, że czuł wiele obaw w związku z posuwającą się ofensywą sowiecką. Po przesłuchaniu sprowadził mnie z piętra do celi w podziemiu i powiedział: „Do zobaczenia po wojnie”.

Następnego dnia skuto mnie kajdankami i zawieziono na stację kolejową Radom, gdzie zobaczyłem zestaw bydlęcych wagonów, ale tu – w odróżnieniu od wagonów w Zamościu – okna nie były zakratowane. Od razu pomyślałem, że uniknąłem kiedyś w 1939 r. wywózki na Wschód, ale teraz nie uniknę wywózki na Zachód. W wagonie specjalnym, zwanym „więźniarką”, do którego mnie wsadzili, było tylko pięciu oficerów sowieckich wyższych stopni. Próbowałem nawiązać z nimi rozmowę, coś się dowiedzieć, ale bez skutku. Domyślałem się, że wbrew Konwencji Genewskiej potraktowano ich nie jako jeńców wojennych, ale jako zwykłych przestępców. Być może nie byli oficerami liniowymi, tylko członkami NKWD, których Niemcy nie uznawali za wojsko.

Jechaliśmy na Zachód. Po dwóch dniach dotarliśmy do Gross-Rosen, gdzie w brutalny sposób wyładowano nas z wagonów. Potem w długiej, liczącej około 500 do 700 osób kolumnie prowadzono nas pustymi ulicami miasta do obozu koncentracyjnego. Otrzymałem numer 36057. Po kilku dniach urządzono apel, na którym przeprowadzono selekcję więźniów. Większość zakwalifikowano do tzw. „Gamli”, czyli niezdolnych do pracy, a więc z perspektywą szybkiej likwidacji. Pozostałych rozdysponowano według umiejętności zawodowych podawanych przez samych więźniów. Podąłem, że jestem ślusarzem, choć nigdy nie wykonywałem takiego zawodu (chyba przypomniał mi się ten kombinezon, który raz uratował mi życie). Zostałem przydzielony do filii zakładów Kruppa w Fünfteichen Komando Gross-Rosen, gdzie produkowano wówczas części do rakiet średniego zasięgu V-1 i V-2.

Ucieczka z Gross-Rosen

Gdy w styczniu ewakuowano pierwszą grupę więźniów, przebywałem od dwóch tygodni na rewirze (obozowej izbie chorych) po pobiciu przez blokowego w Wigilię Bożego Narodzenia (skatował mnie za to, że wśród śpiewanych kolęd zaintonowałem *Boże, coś Polskę*). Około 27 stycznia bombardowanie Wrocławia spowodowało przerwę w dopływie prądu do obozowego ogrodzenia. Z pięcioma kolegami wykorzystaliśmy tę szansę i pod drutami wydostaliśmy się na wolność. Szliśmy stale na wschód, w kierunku odgłosów walk frontowych: przez Namysłów, Częstochowę. Pod Jasną Górą zostałem wraz z kolegą zatrzymany przez NKWD. Nie wierzono nam, że uciekliśmy z obozu. Podejrzewano nas o szpiegostwo. Uratowało nas to, że rodzina kolegi mieszkająca w Częstochowie poświadczyła, że ich syn był wywieziony do obozu. On z kolei potwierdził, że razem uciekliśmy z Gross-Rosen. Później już sam podróżowałem w kierunku Radomia. W Kielcach zostałem zatrzymany przez ubowców – zwolnili mnie, kiedy ich przekonałem, że wracam z obozu. Do siostry w Radomiu dotarłem 2 lutego 1945 r. Później wróciłem do mojego miejsca pobytu z czasu okupacji – do Garbatki. Odnowiłem kontakty i kontynuowałem pracę w rozwiązujących się oddziałach AK, a potem do 1947 r. w WiN. Dopiero po trzech latach pracy w Warszawie, w 1951 r., napisałem w ankiecie personalnej, że byłem zawodowym oficerem.

Wysłuchała i opracowała Barbara Polak

BARKA ŻYCIA

PO POBYCIE W OBOZIE KONCENTRACYJNYM W BUCHENWALDZIE AUTOR ZNALAZŁ SIĘ W PODOBOZIE W OSNABRÜCK.

W ciężkich warunkach pracowaliśmy w okolicach Osnabrück przy różnych okolicznościowych pracach, szczególnie przy odgruzowywaniu zbombardowanych terenów, budowie schronów i torów kolejowych. Praca była wyczerpująca i wielu więźniów przytłoczyła ją życiem. Z nakazu dowództwa obozu wraz z kilkoma innymi więźniami grzebałem zmarłych współwięźniów na pobliskim cmentarzu. Pod koniec lata 1944 r. dowództwo naszego podoboju otrzymało rozkaz przeniesienia całej naszej grupy roboczej na teren Francji, do budowy stanowisk dla torped latających V-1 i V-2.

Wczesnym rankiem wyjechaliśmy z Osnabrück w przepelnionych wagonach towarowych. Po kilku godzinach jazdy nasz transport został zatrzymany na niewielkiej stacji kolejowej w pobliżu Münster. Po krótkim postoju nadjechał transport wojskowy z żołnierzami i sprzętem wojskowym, udający się również do Francji. Między komendantem naszego transportu a dowódcą jednostki wojskowej doszło do ostrej i zacieklej sprzeczki o pierwszeństwo wyjazdu z tej stacji. Pod gromem licznych argumentów dowódcy wojskowego nasz komendant zgodził się na pierwszeństwo wyjazdu dla ich transportu, który wkrótce opuścił stację. Jednak to pierwszeństwo wyjazdu okazało się fatalne w skutkach. Właśnie ogłoszono alarm lotniczy. Niespodziewanie szybko nadleciały samoloty alianckie, które wytropiły wroga i bombami oraz pociskami z karabinów maszynowych całkowicie ten transport zniszczyły. Gdybyśmy pierwsi wyjechali ze stacji, uleglibyśmy całkowitej zagładzie. Wezwano nas na pomoc. Wielu żołnierzy poniosło śmierć na miejscu, wielu było rannych i niemal doszczętnie zniszczony sprzęt wojskowy. Sporo czasu zajęło nam zbieranie rannych i oczyszczanie torów kolejowych.

Po pewnym czasie wyruszyliśmy w dalszą podróż i przez Belgię wjechaliśmy na teren Francji. Na krótki czas zatrzymaliśmy się w Rouen, a następnie wjechaliśmy nad kanał La Manche, do Pas de Calais, a w końcu do Ronan. Tu większość więźniów pracowała przy budowie bunkrów wojskowych, a reszta przy różnych pracach na terenie obozu i poza obozem.

Jednego dnia polecono nam należycie uprzętnąć pomieszczenia i cały teren obozowy, gdyż zapowiedziana została wizyta wyższych oficerów SS i Wehrmachtu. Wczesnym rankiem zajechały na teren obozu trzy samochody osobowe pełne dostojników niemieckich, przeważnie gestapowców. Przejrzeli niemal cały obóz oraz baraki mieszkalne, gospodarcze i barak szpitalny. W drzwiach tego baraku zatrzymał się jeden z wyższych oficerów, a drugi wszedł do środka, sprawdzając stan chorych i stan sanitarny. Nadzór w baraku szpitalnym sprawował lekarz – więzień polityczny, Polak, dr Władysław Winkler. Gestapowiec zapytał go, kim jest i jak się nazywa. Gdy usłyszał odpowiedź, że jest lekarzem Polakiem, gestapowiec rzekł do niego piękną polszczyzną: „Jutro otrzymacie instrukcję, będzie przy okienku nr 3. Wraz z kilkoma zaufanymi więźniami należy ją dokładnie przeczytać, zniszczyć i zastosować się do jej wskazówek”. (Z tym lekarzem obozowym żyłem w wielkiej przyjaźni, obaj śledziliśmy pilnie, co się wokół nas dzieje. Często pomagałem mu przy

operowaniu rannych i leczeniu chorych. Niestety, nie miałem okazji dowiedzieć się, co zawierała instrukcja, gdyż rozdzielono nas i chwilowo straciliśmy łączność). W chwilę po wyjeździe komisji w obozie nastąpił szalony ruch. Na jego teren wjechało kilkanaście samochodów z gestapowcami. Zarządzono alarm i pełne pogotowie służby obozowej. Gestapowcy penetrowali wszystkie budynki i cały teren obozu. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że rzekoma inspekcja obozu była nielegalna, a przeprowadzili ją członkowie alianckiego wywiadu przebrani w niemieckie mundury.

Niedługo potem zostaliśmy przewiezieni w pobliże Paryża. Tym razem zakwaterowano nas na terenie dawnych koszar francuskich i stąd pędzono codziennie do pracy przy budowie stanowisk dla torped latających, wypuszczanych w kierunku Wysp Brytyjskich. Była to praca ciężka i bardzo wyczerpująca. Od świtu do nocy nosiliśmy kamienie i budowaliśmy drogi dojazdowe do wyznaczonego stanowiska. [...]

W lasach pod Paryżem działały liczne oddziały partyzanckie francuskiego podziemia. Wśród różnych ugrupowań partyzanckich byli też emigranci z Polski, z którymi nawiązaliśmy potajemną łączność. Kilkakrotnie uśpili czujność pilnujących nas Niemców, wkroczyli na tereny obozu, przynosząc jedzenie i prawdziwe, najświeższe wiadomości o sytuacji wojennej na różnych frontach. Opowieści o sukcesach wojennych, którymi karmili nas Niemcy, były istną fikcją. Pod koniec 1944 r. niepowodzenia frontowe i szereg klęsk wojsk hitlerowskich zmusiły Niemców do wycofania się z terenu Francji. W początkach 1945 r. naprędce zlikwidowano nasz obóz, a całą naszą brygadę pod zwiększoną eskortą gestapowców i żołnierzy Wehrmachtu pędzono pieszo w kierunku Belgii.

Podczas tego wyczerpującego marszu kilkakrotnie ostrzeliwały nas samoloty alianckie. Naloty dawały się mocno we znaki cofającemu się wojskom hitlerowskiemu, zniszczyły w znacznej mierze ich sprzęt wojenny, wielu żołnierzy poniosło śmierć lub odniosło ciężkie rany. Było też kilku rannych i zabitych w naszej grupie więźniów. Na krótko zatrzymano nas w pobliżu wschodniej granicy Francji. Czasowo ulokowano nas w starym zamku otoczonym licznymi budynkami, wysokimi, grubymi murami i kilkoma schronami przeciwlotniczymi. Strzegli nas gestapowcy, wśród których był nowo przybyły młody oficer hitlerowski, specjalnie wytresowany do katowania i znęcania się nad więźniami, nawet w chwilach naszego odpoczynku. W tym czasie na nasz budynek spadło kilka ciężkich alianckich bomb. Prawie wszyscy gestapowcy, ale też i wielu więźniów, w czasie alarmu udali się do schronu. Na czas nie zdążył dojść do schronu ten młody oficer, bo właśnie znęcał się nad kilkoma więźniami. Schronił się więc do głębokiego dołu. W pobliżu tego dołu spadła jedna z bomb i gestapowiec całkowicie został zasypany ziemią. Po ustaniu nalotu i odwołaniu alarmu wykopano go. Żył jeszcze, został gdzieś przewieziony i nigdy już do nas nie wrócił.

W początkach stycznia 1945 r. załadowano nas do wagonów towarowych w pobliżu granicy belgijskiej i dowieziono do Lille. Na torach kolejowych tej stacji zatrzymało się kilka transportów wojskowych wycofujących się z terenu Francji. Zostały zaatakowane przez działające na tym terenie oddziały, prawdopodobnie francusko-belgijskie, podziemnego ruchu oporu. Nasze wagony stały nieco na uboczu, a straż ochronna została zwiększona. W wymianie ognia pomiędzy atakującymi oddziałami i broniącymi się żołnierzami niemieckimi zginęło kilku żołnierzy, zniszczony też został w dużym stopniu sprzęt wojskowy. Korzystając z zamieszania, kilku więźniów z naszej grupy zdołało uciec z jednego, mniej strzeżonego wagonu. Prawdopodobnie, jak twierdzili później pilnujący nas gestapowcy, zostali oni złapani i skazani na karę śmierci. Następnego dnia nasz transport ruszył w drogę. Już na terenie Niemiec dołączono do nas inną grupę więźniów, a po pewnym czasie dowieziono nas powtórnie do Osnabrück. [...]

Ten okres obfitował w liczne dzienne i nocne naloty samolotów alianckich na niemieckie miasta, nie ominęły one i nas. Podczas jednego z nalotów między wagony, w których mieszkaliśmy, zostały zrzucone dwie bomby. Zabiły kilku naszych kolegów, wielu więźniów odniosło rany, a kilka wagonów zostało całkowicie zniszczonych. [...] Naloty alianckie trwały prawie bez przerwy. Częste alarmy dały się nam mocno we znaki. Nasz los pogarszała jeszcze ciężka niewolnicza praca, szczególnie przy odgruzowywaniu zniszczonych obiektów i naprawianiu torów, oraz choroby i głód. Pod koniec stycznia 1945 r. dołączono do naszej grupy około czterdziestu zdrowych więźniów – dobrze odzianych Duńczyków. Przydzielono im specjalny wagon, a następnego dnia popędzono ich do pracy. Po kilku dniach pobytu i ciężkiej pracy w obozie wielu z nich zachorowało i poumierało. Po dwóch tygodniach zostało ich tylko trzech. Niemcy wystali ich do innego obozu.

Bombardowania Osnabrück nasiliły się w kwietniu. Niepowodzenia frontowe i zbliżający się koniec wojny wywołały niepokój wśród dowództwa obozu i pilnujących nas Niemców. Jeden z pilnujących nas gestapowców, Stefan, informował nas o tych nastrojach i planach nas dotyczących. Dowództwo obozu na specjalnym zebraniu ustaliło plan likwidacji naszego obozu – wszyscy więźniowie mieli być pozabijani. Większość dowództwa nie zgodziła się na to. Chwilo zostaliśmy uratowani.

W drugiej połowie kwietnia nastąpiła likwidacja naszego obozu. Tym razem w pośpiechu i gorączkowo załadowano nas do wagonów towarowych i pod zwiększoną eskortą gestapowców opuściliśmy Osnabrück. Kilka dni jechaliśmy na północ, głodni i spragnieni. Zatrzymywaliśmy się na różnych stacjach, ale nie pozwolono nam wychodzić. Od znajomego gestapowca dowiedziałem się, że mamy przez pewien czas obozować w pobliżu portu Lubeka. Pracowaliśmy tam przy przeładunku różnych towarów i sprzętu z wagonów towarowych na statki, które odwoziły je prawdopodobnie do portu w Kilonii. Pracę tę musieliśmy wykonywać szybko i prawie bez żadnego odpoczynku, od świtu do nocy. Nadzorujący nas gestapowcy byli podenerwowani, czuć było ich lęk o przyszłość. Wzmocnili jednak nadzór nad więźniami. Dawano nam skąpe racje żywnościowe. Z tamtejszą ludnością nie mogliśmy nawiązać łączności, gdyż nasz obóz w wagonach towarowych umieszczono z dala od miasta i pilnie go strzeżono.

W początku maja, w przededniu zakończenia wojny, wśród ogólnego popłochu, zgiełku i zamieszania nastąpiła tym razem całkowita likwidacja naszej steranej i wyniszczonej grupy roboczej. Wszystkich załadowano na statek-barcę i wywieziono na pełną wodę. W nocy z 4 na 5 maja gestapowcy potajemnie opuścili barcę, oddając nas pod nadzór marynarzy i żołnierzy Wehrmachtu. Płynęliśmy powoli i po dwóch dniach zostaliśmy zatrzymani na wodach Kanału Kilońskiego, w pobliżu Kilonii.

Kapitan naszej barki, Austriak z pochodzenia, okazał się człowiekiem dobrym i szlachetnym. Był dla nas wyrozumiały. W podobny sposób odnosiła się do nas cała załoga barki, na której znajdowało się około 500 więźniów różnych narodowości, głównie Polacy, Rosjanie i Francuzi. Większość naszych kolegów – więźniów zapadała na różne choroby, przede wszystkim zaczął szerzyć się tyfus. Zachorował również dr Winkler. [...] Więźniowie wybrali mnie na komendanta całego naszego zespołu. Kapitan i jego załoga nie traktowali nas jako więźniów, ale jako ludzi pokrzywdzonych, potrzebujących opieki i pomocy lekarskiej. Od kapitana otrzymaliśmy trochę żywności, którą rozdzielono pomiędzy wszystkich. Nasze warunki mieszkaniowe były na tyle ciężkie, że stłoczeni więźniowie coraz bardziej zapadali na zdrowiu. Choroba szerzyła się, a lekarza wśród załogi nie było.

Wręcz z kilkoma zdrowymi kolegami pomagałem chorym, jak mogłem. Rozdawaliśmy żywność, napoje, pocieszaliśmy i zachęcaliśmy do wytrwania, bo wolność zbliżała się i mo-

gła nadejść w każdej chwili. Zdawało nam się, że spokojnie doczekamy chwili wyzwolenia przez wojska alianckie. Czekaty nas jednak ciężkie chwile.

W kanale Niemcy nagromadzili wiele różnych okrętów wojennych i towarowych z więźniami z różnych obozów koncentracyjnych i jeńców wojennych. W nocy z 6 na 7 maja, a więc tuż przed kapitulacją Niemiec hitlerowskich, stojące na Kanale Kilońskim okręty, statki i barki z więźniami niespodziewanie zostały zaatakowane przez bombowce alianckie. Skutki bombardowania były ogromne. Zatopiono kilkanaście okrętów, statków towarowych i barek z więźniami i jeńcami. Nieuszkodzone pozostały tylko trzy barki, w tym nasza. Z nastaniem dnia ujrzeliśmy smutny obraz – uszkodzone i zniszczone statki. Najbardziej bolało nas to, że wśród zniszczeń i pożogi zginęło wielu ludzi, przeważnie więźniów i jeńców wojennych. Wielu z nich utonęło. Niektórym udało się doплыć do brzegu. Ale hitlerowscy oprawcy, którzy byli jeszcze na kilku statkach i zdążyli dotrzeć przed nalotami lotniczymi do brzegu, jak też stacjonujące w pobliżu jednostki, ukryte w lesie porastającym brzegi kanału, likwidowali rozbitków seriami z karabinów maszynowych. W ten sposób zginęły setki ludzi.

Nocą z 7 na 8 maja ukazały się nam kolumny wojsk alianckich, ale niestety po przeciwnej stronie kanału. Była to duża odległość, bo nie słyszeliśmy śpiewu i odgłosu poruszających się pojazdów. Opanowała nas wszystkich wielka radość i nerwowe oczekiwanie końca naszej smutnej niedoli. Ale czekała nas jeszcze jedna próba, poprzedzona zresztą radoszą wieścią o kapitulacji III Rzeszy.

Już po ogłoszeniu kapitulacji, pod koniec dnia, 9 maja, na naszą barkę wdarła się grupa czarnych gestapowców uzbrojonych w broń maszynową, żeby zatopić barkę wraz z nami. Kapitan, Austriak, nie zgodził się na ten haniebnny zamiar, wtedy dowódca gestapowców zagroził, że jeśli kapitan i kilkusobowa załoga w ciągu dwóch godzin nie opuszczą barki, to zostaną zatopieni wraz z nami. Kapitan przedstawił mi całą tę niebezpieczną sytuację. Wspólnie podjęliśmy decyzję, o której powiadomiliśmy dowódcę czarnych gestapowców – jeżeli w ciągu 20 minut nie opuszczą barki, ich wszystkich wraz z całym sprzętem wrzucimy do wody. Było nas przeszło pięciuset, a ich około dwudziestu, mieliśmy więc szansę zrealizowania groźby. Po chwili gestapowcy, co prawda z groźnymi minami, ale opuścili naszą barkę. Byliśmy uratowani.

W Kanale Kilońskim przebywaliśmy nadal, ponieważ jego wody były gęsto usiane minami podwodnymi i trzeba go było przynajmniej częściowo rozminować. Rankiem 11 maja 1945 r. ostrożnie ruszyliśmy w kierunku wybrzeży Szwecji, by tam pod opieką szwedzkiego Czerwonego Krzyża przechodzić kurację poobozową.

Opracowała Barbara Polak

DLA NAS NIE MA MIEJSCA...

WSPOMNIENIA Z KOSOWA HUCULSKIEGO

Zgromadzenie Sióstr Służebniczek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej (służebniczki starowiejskie) swoją postugę w Galicji rozpoczęło w 1861 r. Od 1866 r. następuje widoczny rozwój zgromadzenia. Należące do niego zakonnice zajmowały się wówczas głównie prowadzeniem ochronek-przedszkoli i domów dziecka. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę pracowały w państwowych szkołach powszechnych i zawodowych, internatach, żłobkach, szpitalach oraz domach starców.

Siostra Agnieszka Szelegiewicz napisała „wybuch II wojny światowej zastał Zgromadzenie w fazie największego wzrostu liczbowego i rozwoju jego działalności zewnętrznej”¹. Przed wrześniem 1939 r. najwięcej domów zgromadzenie posiadało w województwie lwowskim, nieco mniej w krakowskim, tarnopolskim i stanisławowskim. Z ponad 339 domów należących do zgromadzenia pod okupację sowiecką dostały się 134 domy². Jednym z nich była placówka służebniczek w Kosowie Huculskim³.

W 1907 r. Wydział Krajowy wybudował tu szpital, w którym siostry rozpoczęły pracę 5 maja 1908 r. Zajmowały mieszkanie znajdujące się na terenie szpitala. Pielęgnowały chorych, były odpowiedzialne za prace gospodarcze (kuchnia, pralnia) oraz prowadziły administrację. We wrześniu 1939 r. w szpitalu w Kosowie pracowało siedem sióstr⁴. Prezentowana poniżej relacja jednej z nich, siostry Petroneli Bełży⁵, ukazuje wydarzenia w Kosowie Huculskim w okresie wrzesień 1939–luty 1940 r. oraz dalsze losy sióstr, które musiały uciekać z Kosowa. Swoją relację autorka spisała w styczniu 1972 r. w Kolbuszowej. Podzieliła ją na dwie części: *Moje przeżycia z lat 1939–1945* oraz *Ucieczka dn. 16 lutego 1940 r.* Mają one formę rękopisu o formacie A4 i są przechowywane w Archiwum Głównym Sióstr Służebniczek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej w Starej

¹ A. Szelegiewicz, *Służebniczki Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej (Stara Wieś)*, Lublin 1984, s. 12.

² *Ibidem*, s. 31–32.

³ Kosów – miasto powiatowe w województwie stanisławowskim (*Księga adresowa Polski wraz z m. Gdańskiem dla handlu, przemysłu, rzemiosła i rolnictwa z 1929 r.*), s. 1495.

⁴ *Historia poszczególnych domów Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP NP – starowiejskich – na terenie archidiecezji lwowskiej*, t. 3, oprac. E. Korobij, J. Postusznia, J. Wołoszyn, Stara Wieś 1985 (mps w Archiwum Głównym Sióstr Służebniczek w Starej Wsi), s. 582–583.

⁵ S. Aniela Petronela Bełża (1904–1993), ur. w Mazurach (pow. kolbuszowski. Do zgromadzenia wstąpiła 7 IX 1923 r. Śluby wieczyste złożyła 28 VII 1932 r. w Starej Wsi. Kolejno pracowała w następujących placówkach zgromadzenia: Radymnie (1925–1926), Przemyślu, Gliniku Mariampolskim (1926–1927), Jasionce (1927), Tłumaczu (1927–1929), Siewierzu (1929–1932), Olczy (na leczeniu), Mokrzeszowie (kilka miesięcy), Kosowie (1932–1940), Tyśmienicy (1942–1944), Rudniku (1945–1946), Kolbuszowej (1946–1979), Starej Wsi (do śmierci). W Kosowie pracowała w kancelarii szpitala (podobną funkcję spełniała potem w Rudniku i Kolbuszowej). W innych placówkach była wychowawczynią dzieci (Archiwum Główne Sióstr Służebniczek w Starej Wsi [dalej: AGSS], *Karta statystyczna Siostry Bełżówny Anieli*).

Wsi pod Brzozowem⁶. Obydwie relacje przedstawiają, na przykładzie sióstr zatrudnionych w szpitalu w Kosowie Huculskim, losy placówek i domów należących do żeńskich zgromadzeń zakonnych, które znalazły się pod okupacją sowiecką.

Siostry opuściły Kosów w kwietniu 1944 r. po uprzednim przekazaniu szpitala personelowi ukraińskiemu, obawiając się niebezpieczeństwa ze strony UPA⁷. Jedna z sióstr wróciła jeszcze do Kosowa i zamieszkała na plebanii. W 1946 r. wyjechała transportem repatriantów⁸. Zamknięciem działalności sióstr służebniczek na Kresach Wschodnich była likwidacja do końca 1947 r. 117 spośród 134 domów zakonnych należących do zgromadzenia⁹.

Moje przeżycia z lat 1939–1945

Wojna w roku 1939 zastała mnie w Kosowie Huculskim na pograniczu Polski z Rumunią. Pracowałam tam w szpitalu jako pomoc w kancelarii i administracji tamtejszego szpitala.

Dnia 17 września 1939 r. radio sowieckie podało wiadomość o przekroczeniu granicy polskiej przez ich wojska, aby uwolnić zachodnią Ukrainę od jarzma polskich panów. Przeżyliśmy tę wiadomość z wielką przykrością.

Przed wszystkim obawialiśmy się Ukraińców, bo szpital leczył przeważnie ludność ukraińską tamtejszych okolic. Stróż szpitala Ukrainiec oświadczył nam, że pojedziemy tam, gdzie białe niedźwiedzie, bo dla nas nie ma miejsca w szpitalu.

Cieszyli się Ukraińcy, że będą mieć własną Ukrainę, mówiąc między sobą: (nasi idą), i na powitanie ich wycięli nam z ogrodu wszystkie kwiaty.

Wojsko Polskie, uciekając w popłochu do Rumunii, pozostawiło w szpitalu wielu rannych i chorych żołnierzy. Ukrywałyśmy ich w salach chorych, między innymi byli i zdrowi. Był tam lekarz Jabłkowski¹⁰ z Poznania, pomagał w pracy lekarzom, był kapitan lotnictwa Kopankiewicz¹¹ z Warszawy – innych nazwisk nie pamiętam.

Farbowaliśmy ich płaszcze żołnierskie, by przerobić na ubrania cywilne, bo nie mieli w co się ubrać.

Władzę w szpitalu obejmowali Żydzi czescy, którzy przebywali w Rosji, i pielęgniarki Żydówki. Po objęciu ważniejszych stanowisk pewnego dnia przyszła delegacja z powiatu w liczbie ośmiu osób Żydów i Sowietów. Zwołali wszystkie siostry do kancelarii szpitalnej i wydali zarządzenie: siostry mają się przebrać w strój cywilny, zlikwidować kaplicę, krzyże w salach chorych, i opuścić mieszkanie szpitalne do tygodnia; jeśli siostry zastosują się do tego zarządzenia, to mogą nadal pracować w szpitalu. Nie było żadnego wyboru, więc musiałyśmy się zgodzić.

⁶ Obydwie relacje opatrzone są sygnaturą AGSS, Archiwum Kurii Generalnej Służebniczek [dalej: AKGS], F I c, k. 33.

⁷ A. Szelegiewicz, *op. cit.*, s. 159.

⁸ *Historia poszczególnych domów Sióstr Służebniczek NMP NP – starowiejskich – na terenie archidiecezji lwowskiej...*, t. 3, s. 584.

⁹ A. Szelegiewicz, *op. cit.*, s. 33.

¹⁰ Brak bliższych danych.

¹¹ Brak bliższych danych.

Siostra Przełożona¹² wynajęła mieszkanie dla sióstr, gdzie przeniosły [się] zaraz. Przebrałyśmy jak to było możliwe po świecku. Przybory kapliczne i krzyże z sal chorych przyjęli do kościoła parafialnego oo. franciszkanie¹³.

Kiedy Ksiądz odprawił ostatnią Mszę św., rozdał Komunię św. i otworzył puste tabernakulum, płakałyśmy jak dzieci – chorzy i służba szpitalna w głos płakali – bo chociaż to byli Ukraińcy, to jednak katolicy i w większej ilości pobożni.

Jak przykro nam było wykonać to zarządzenie, nie da się określić, czułyśmy się jak w obcym wrogim kraju. Kiedy nas ktoś z Polaków odwiedził, witałyśmy go jak brata.

Pewnego dnia przyjechała komisja wojewódzka ze Stanisławowa z kontrolą w osobach siedmiu Żydów i Ukraińców.

Dyrektorem szpitala był już starszy człowiek, dr Edmund Ciszka¹⁴, administratorem – siostra Helena Jasińska.

Kontrola trwała dwa tygodnie; Siostra Przełożona Helena przez całe dwa tygodnie od rana do późnych godzin w nocy pracowała z nimi. Wyszukali, że starostwo kosowskie po wybuchu wojny przydzieliło szpitalowi subwencję w kwocie 50 000 zł na zakup produktów żywnościowych na czas wojny. Dyrektor kazał robić zakupy prywatnie, [takie] jak zboże, świnie, ziemniaki, kapustę i inne produkty, a również leki i materiał opatrunkowy, więc Siostra Helena jako odpowiedzialna za administrację kupowała, co tylko było możliwe; dyrektor szpitala dr Ciszka sprawdzał i podpisywał rachunki.

Komisja Wojewódzka nie uznała żadnych rachunków, nawet oryginalnych z apteki – kazali więc zwrócić szpitalowi wyżej wspomnianą kwotę w rublach do 48 godzin; kiedy nie było w ogóle zamiany złotych polskich na ruble, lecz pewnej nocy waluta w złotych straciła wartość – i nikt nie posiadał rubli nawet na zakup chleba¹⁵.

¹² W tym czasie obowiązki przełożonej w Kosowie pełniła s. Helena Otylia Jasińska (1889–1966), ur. we Lwowie. Do zgromadzenia wstąpiła 12 I 1909 r. Śluby wieczyste złożyła 11 VIII 1920 r. w Starej Wsi. W latach: 1910–1911, 1912–1914, 1916–1919, 1920–1923 pracowała w kancelarii szpitala w Drohobyczu. Te same obowiązki pełniła w Kosowie (1911–1912 i 1927–1940) oraz Tarnobrzegu (1915–1915). W latach 1914–1915 pielęgnowała rannych w szpitalu wojskowym. Przez rok pełniła zastępstwo w szkole w Kątach (1919–1920), następnie była przełożoną w szpitalu w Leśniowie k. Częstochowy (1923–1925), potem wykonywała prace administracyjne w domu dziecka w Lublinie (1925–1926). Przez następny rok leczyła się. Po przeżyciach wojennych i pobycie w Stanisławowie i Tyśmienicy w ramach repatriacji wróciła do Polski i pracowała w Rudniku (1945–1946) i Kolbuszowej (1946–1953). Jako emerytka przebywała w Libiążu Wielkim (1953–1964) i Staniątkach (1964–1966), gdzie zmarła (zob. A. Kałuska, A. Mazur, Cz. Świerczek, *Nekrologi Sióstr Służebniczek NMP NP starowiejskich*, t. 3: 1964–1974, Stara Wieś 1984 (mps w AGSS w Starej Wsi), s. 43).

¹³ Franciszkanie przybyli do Kosowa w 1740 r. Klasztor ten został skasowany w ramach reform józefińskich w 1787 r. Franciszkanie pracę w Kosowie podjęli ponownie w 1937 r. Kościół franciszkanów w Kosowie zniszczyli Ukraińcy w listopadzie 1945 r. Ostatecznie bracia opuścili klasztor w Kosowie w kwietniu 1946 r. (zob. J. Wysocki, *Kościół katolicki w zaborze austriackim w latach 1772–1815* [w:] *Historia Kościoła w Polsce*, red. B. Kumor, Z. Obertyński, t. 2: 1764–1945, cz. 1: 1794–1918, Warszawa 1979, s. 235–277, 270; D. Synowiec OFM Conv., *Franciszkanie konwentualni* [w:] *Życie religijne w Polsce pod okupacją hitlerowską 1939–1945*, red. Z. Zieliński, Warszawa 1982, s. 488, 496).

¹⁴ Wymieniony jest w spisie lekarzy kosowskich z 1929 r. (*Księga adresowa Polski...*, s. 1496).

¹⁵ 1 XII 1939 r. Sowietci uchwalili, że na terenach przez nich okupowanych wszystkie wyprawy pensji odbywać się będą w rublach. Z kolei 21 XII 1939 r. zakazano bankom i kasom oszczędnościowym przyjmowania polskich złotych. Wymianę waluty przeprowadzono, przyjmując za

Na tę wiadomość dyrektor szpitala dr Ciszka zbiegł w nieznanym kierunku. W ostatnim dniu przystał swoją żonę do Siostry Przełożonej, by natychmiast wyjeżdżała z Kosowa.

Po dwu latach dowiedziałyśmy się, że lekarze ukryli dyrektora w domu umysłowo chorych w Kulparkowie jako chorego.

Kiedy Komisja Wojewódzka urzędowała i coraz groźniej się odnosiła do nas, domyślałyśmy się większej kontroli, a ponieważ kielichy i puszki z kaplicy ukryłyśmy w naszych rzeczach osobistych w skrytce strychowej, obawiałyśmy się, że zabiorą. Więc pewnego dnia nad ranem Siostra Przełożona poszła do szpitala, zabierając kielichy i puszki do naszego mieszkania.

Rano tego dnia o godzinie 9 Komisja Wojewódzka zapieczętowała strych, zrobili kontrolę naszych rzeczy osobistych i co nie było znaczone jako osobiste sióstr – zabrali.

Życzliwi lekarze radzili Siostrze Przełożonej, by siostry pracujące w kancelarii szpitalnej nie czekały dalszych konsekwencji, lecz ratowały się ucieczką, zwłaszcza że dyrektor szpitala już wcześniej zbiegł.

Kolbuszowa, dn. 28 I 1972 r.
S. Petronela Beża

Ucieczka dn. 16 lutego 1940 r.

Kiedy upływał wyznaczony termin do zwrotu pieniędzy szpitalowi w rublach, poprosiliśmy pewnych znajomych Polaków, by nam odwieźli rzeczy osobiste do sióstr w Kołomyi¹⁶, a same następnego dnia uciekłyśmy z Kosowa. Kiedy zajęłyśmy miejsce w aucie ciężarowym, podjechało auto więzienne, więc zamartwiliśmy ze strachu, że po nas, lecz dzięki Bogu, kogo innego szukali.

Siostry nasze pracowały jeszcze przy dzieciach zakładowych w Kołomyi. Kiedy przyjechałyśmy do nich i opowiedziały o naszej sytuacji, bardzo się zmartwiły w obawie, że mogą nas poszukiwać i stąd narazimy je na przykrości.

Poradziły nam, by jechać do rodziny siostry asystentki Aurelii Słobodzian¹⁷ w Stanisławowie, że u osób świeckich będziemy bezpieczniejsze. Tym bardziej nam to odpowiadało, że siostra asystentka Aurelia była tam u swojej rodziny¹⁸.

kurs przeliczenie 1 złoty = 1 rubel. Zważywszy na przedwojenną wartość złotówki wobec rubla (1 zł = 33,30 rubla), zastosowanie takiego przelicznika oznaczało faktycznie konfiskatę oszczędności należących do ludności polskiej (zob. A. Głowacki, *Sowieci wobec Polaków na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej 1939–1941*, Łódź 1998, s. 142).

¹⁶ Siostry służebniczki pracowały w Kołomyi od 1899 r., prowadząc ochronkę i dom sierot. W kolejnych latach powstawały następne placówki, ale funkcjonowały krótko. W momencie wybuchu II wojny działała tylko wyżej wymieniona placówka. Uległa ona likwidacji w maju 1940 r. (zob. *Historia poszczególnych domów Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP NP – starowiejskich – na terenie archidiecezji lwowskiej...*, t. 2, s. 506–530).

¹⁷ S. Barbara Aurelia Słobodzian (1883–1955), ur. w Nagorzance (pow. buczacki). Do zgromadzenia wstąpiła 15 XI 1902 r. Śluby wieczyste złożyła 6 VI 1919 r. w Starej Wsi. W latach 1903–1906 kształciła się w Łańcucie i Kołomyi. Następnie pracowała w szpitalnej kancelarii kolejno w Drohobyczu (1906–1907), Tarnobrzegu (1907–1916), ponownie w Drohobyczu (1916–1917) i Tarnobrzegu (1917–1922) oraz Gorlicach (1922–1924). Od 1924 r. była członkinią zarządu generalnego zgromadzenia i pełniła obowiązki asystentki przełożonej generalnej oraz odpowiadała za sprawy materialne zgromadzenia. Zmarła w Łodzi (zob. T. Kudryk, *Nekrologi Sióstr Służebniczek Najśw. Maryi Panny Niepokalanie Poczętej (starowiejskich)*, t. 2: 1940–1963, Warszawa 1972, s. 315–316, mps w AGSS w Starej Wsi).

Przy wsiadaniu do pociągu Siostra Przełożona Helena zwichnęła sobie rękę w ramieniu. Po pewnej chwili wsiadł do tego przedziału Ukrainiec, adwokat, który obejmował stanowisko po Siostrze Przełożonej w szpitalu. Obawiałyśmy się, by nas nie poznał, bo dużo mówił o szpitalu w Kosowie. Siostra Przełożona z tą chorą ręką wtuliła się w kącik przy oknie i ani razu nie odwróciła głowy w jego stronę, a że byłyśmy w ubraniu świeckim, więc łatwiej było się nam ukryć.

W Stanisławowie czekałyśmy, by wysiadł pierwszy z przedziału. Siostra Przełożona pojechała zaraz do szpitala, by lekarz naprawił jej rękę, a czekając na korytarzu szpitalnym, znowu spotkała jednego z tych, co przeprowadzali kontrolę w szpitalu w Kosowie – i znowu opamięnała się, by nie była zauważona przez niego, lecz Pan Bóg strzegł przed złymi ludźmi.

Nie zastałyśmy siostry asystentki, gdyż odwiedzała siostry po domach zgromadzenia, lecz rodzina jej przyjęła nas, choć też nie bez obawy.

Nie chodziłyśmy nigdzie, aż odwiedziły nas siostry pielęgniarki pracujące jeszcze w Kosowie¹⁹ i opowiedziały nam, że tam krążą wiadomości, iż zostałyśmy rozstrzelane, gdy przekraczałyśmy rzekę Czeremosz²⁰, na granicy do Rumunii. Więc odetchnęłyśmy trochę i zaczęły chodzić do kościoła, poza tym nigdzie.

Na wiosnę tego roku wyszło zarządzenie o wydawaniu paszportów²¹ (dowodów osobistych); mieli się o nie starać ci, którzy zamieszkali w Stanisławowie przed wojną, a więc znowu nowe dla nas zmartwienie, bo nie możemy się ujawnić ze swoimi rodowodami – i nie mieszkaliśmy tam przed wojną.

Siostra asystentka wystarała się o metryki siostr urodzonych na wschodzie, a będących pod okupacją niemiecką, a brat s. asystentki pan Słobodzian²² wystarał się nam o zaświadczenie u władz, że tam zamieszkaliśmy przed wojną, i z tym trzeba się było zgłosić w NKWD do rejestracji. W ten sposób zdobyłyśmy dowody osobiste pod obcymi nazwiskami – o tym, jak niedobrze się czułyśmy, wie ten, kto nosił obce nazwisko.

Na utrzymanie przysyłały nam pieniądze siostry pracujące jako pielęgniarki w szpitalu w Kosowie, resztę trzeba było sobie czymś dorobić, więc zgłosiliśmy się do artelu hafciarskiego²³ – tam trzeba było wygłosić swój rodowód wobec setek osób pracujących. Jeden Żyd z komisji zapytywał wszystkich obecnych, czy przyjęć zgłaszających się do artelu (spółdzielni).

¹⁸ Wojna zastała s. B.A. Słobodzian na wschodnich terenach Polski zajętych 17 IX 1939 r. przez Związek Sowiecki. Zamieszkała u swojego brata w Stanisławowie. W latach 1939–1941, z upoważnienia Przełożonej Generalnej, kierowała domami i opiekowała się siostrami, które pozostały na tamtych terenach (zob. *Historia poszczególnych domów Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP NP – starowiejskich – na terenie archidiecezji lwowskiej...*, t. 4, s. 1046).

¹⁹ Po wyjeździe s. Jasińskiej i s. Betzy w Kosowie pozostały: s. Ewa Ewelina Kaniuga, s. Maria Kornelia Pelc (wyjechały również w 1940 r.), s. Anna Domicela Janusz (do 1942 r.), s. Aniela Anzelma Rąpała, s. Stefania Józefina Hereśniak (do 1944 r.). Jako pielęgniarki pracowały: s. Pelc, s. Rąpała i s. Hereśniak (zob. *Historia poszczególnych domów Sióstr Służebniczek NMP NP – starowiejskich – na terenie archidiecezji lwowskiej...*, t. 3, s. 584).

²⁰ Rzeka na Pokuciu, prawy dopływ Prutu.

²¹ Na ziemiach okupowanych przez ZSRR ludności w sposób odgórny i bezprawny narzucono obywatelstwo sowieckie. W tym celu NKWD 5 II 1940 r. wydało rozkaz przeprowadzenia tzw. paszportyzacji, czyli przydzielenia sowieckich dowodów tożsamości. Proces ten rozpoczął się wiosną 1940 r. i był właściwie ukrytą formą represji stosowaną wobec ludności (zob. A. Głowacki, *op. cit.*, s. 78–84).

²² Bazyl Słobodzian. Brak bliższych danych.

²³ Właściwie artel. W ramach likwidacji prywatnego rzemiosła w grudniu 1939 r. zagnonalizowano wszystkie małe zakłady, tworząc z nich spółdzielnie wytwórczo-przemysłowe zwane artelami (zob. A. Głowacki, *op. cit.*, s. 141).

A więc przyjęli nas, dali materiał z wzorami i przybory do wykonania w domu. Wyszywałyśmy poszewki, koszule, sukienki i portiery²⁴ krzyżkami.

Płacili bardzo marnie, ale można było dostać węgiel na opał, gdyż dostawali tylko pracujący.

W tej sytuacji pochorowałam się na zapalenie opłucnej i leżałam kilka tygodni.

Ponieważ u państwa Słobodzianów mieszkało nas trzy zakonnice, dwie córki i żona pana Słobodziana²⁵, więc wydawało im [władzom] się za podejrzone, dlatego tak dużo niewiast w jednym domu, więc zaczęli nas śledzić, a każde 10 domów miało opiekuna (dziesiątnika²⁶).

Pewnego dnia w roku 1942²⁷ przyszedł do nas osobnik z NKWD do sprawdzenia, kto jesteśmy – każdą z osobna przestuchiwał. Mnie pytał, gdzie jest mój mąż, pewno był oficerem i uciekł za granicę. A kiedy powiedziałam, że nie miałam i nie mam męża, kazał mi nie kłamać, bo babcia²⁸ w kuchni powiedziała mu, że mam męża, a ponieważ mnie nie wolno było wyjść z pokoju, kazałam mu zawołać babcię (Słobodzianową), by to powiedziała przy mnie – nie poszedł, bo sam kłamał.

Męczył mnie pytaniami bardzo długo, zawsze to samo na różne sposoby – w końcu pokazałam mu zaświadczenie z artilu, że tam pracuję.

Dowiedziałyśmy się później, że to była rejestracja nowych osób na wywóz 29 czerwca 1942²⁹ r., a już 22 czerwca rozpoczęła się wojna niemiecko-sowiecka i dzięki temu zostałyśmy na miejscu.

Po wkroczeniu wojsk węgierskich do Stanisławowa³⁰ żołnierze węgierscy robili rewizję po domach za bronią.

Przyszli też i do nas, a ponieważ miałyśmy na szyi zawieszane krzyże, choć [byłyśmy] w stroju cywilnym, byli bardzo uprzejmi, a uśmiechając się, gdyż inaczej nie mogliśmy się porozumieć, pokazywali, że mają łańcuszki z medalikami Matki Najświętszej i złote pieniądze w ich walucie z widokiem św. Stefana. Toteż rewizja skończyła się na otwarciu szafy.

Niedługo po wkroczeniu wojsk przebrałyśmy [się] w strój zakonny i mogłyśmy się swobodnie poruszać.

²⁴ Zastona na drzwi.

²⁵ Brak bliższych danych.

²⁶ Osoba wyznaczona do informowania organów NKWD o mieszkańcach danej kamienicy lub domów znajdujących się w ich bezpośrednim sąsiedztwie.

²⁷ Pomyłka autorki relacji. Wydarzenie to musiało mieć miejsce przed 22 VI 1941 r.

²⁸ Brak bliższych danych.

²⁹ Pomyłka autorki relacji. 20 VI 1941 r. Sowietci rozpoczęli czwartą już deportację. To wydarzenie odnotowała, myląc datę, s. Petronela. Ze względu na atak Niemców na ZSRR 22 VI 1941 r. deportacji tej nie zdołano zrealizować (zob. K. Jasiewicz, T. Strzembosz, M. Wierzbicki, *Ogólna charakterystyka okupacji sowieckiej na ziemiach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej w latach 1939–1941* [w:] *Okupacja sowiecka (1939–1941) w świetle tajnych dokumentów. Obywatele polscy na kresach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką w latach 1939–1941*, red. i wybór źródeł T. Strzembosz, Warszawa 1996, s. 23).

³⁰ Wojska węgierskie zajęły Stanisławów 1 VII 1941 r. Jak pisze Jerzy Węgierski (*Armia Krajowa w okęgach Stanisławów i Tarnopol*, Kraków 1996, s. 27): „Węgrzy zorganizowali tu tylko najbardziej niezbędne elementy organizacji wojskowej, cywilną władzę przekazując nacjonalistom ukraińskim. Sami Węgrzy odnosili się do Polaków poprawnie i póki byli, nie było akcji przeciw ludności polskiej”. Opuścili Stanisławów 7 lipca. Zaraz potem policja ukraińska rozpoczęła aresztowania przedstawicieli polskiej i żydowskiej inteligencji.

³¹ Matka Eleonora Aniela Leona Jankiewicz (1872–1953), ur. w Chrości-Staniątkach (pow. bocheński). Do zgromadzenia wstąpiła 2 IV 1885 r. Śluby wieczyste złożyła 26 V 1909 r. Od 8 roku życia na życzenie rodziny wychowywała się pod kierunkiem ss. służebniczek. Początkowo

Pod koniec roku 1942 zostałyśmy przez Przewielebną Matkę Eleonorę³¹ przeniesione do naszej ochronki w Tyśmienicy³². Tu był dom obszerny o pięciu pokojach, więc mogłyśmy się pomieścić, lecz z żywnością było trudno, zwłaszcza że siostry przyjęły dwie sieroty na utrzymanie i wychowanie po rodzicach nauczycielach, których zamknęli do więzienia Niemcy.

Robiliśmy na drutach chustki z wełny dla Ukrainek, a one płaciły nam za pracę prowiantami i w ten sposób dorabialiśmy na życie.

Kolbuszowa, dn. 28. 1. 1972 r.
S. Petronela Bełza



Siostry Służebniczki Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej w Kosowie Huculskim, fotografia wykonana przed wkroczeniem Sowieców

przebywała w Starej Wsi (1880–1883), a potem w Tarnopolu (1883–1885). W tym ostatnim mieście pobierała nauki do 1890 r. W latach 1891–1892 pracowała w ochronce w Biłce Szczańskiej. Potem kierowała pracownią haftów kościelnych w Starej Wsi. W latach 1909–1918 asystentka przełożonej generalnej. Od 1918 r. do 1948 r. przełożona generalna. Zmarła w Starej Wsi. (zob. T. Kudryk, *op. cit.*, s. 268–270, mps w AGSS w Starej Wsi).

³² Tyśmienica – miasto w pow. tłumckim w woj. stanisławowskim (*Księga adresowa Polski...*, s. 1542). Siostry służebniczki podjęły pracę w Tyśmienicy w 1914 r. Prowadziły ochronkę, opiekowały się chorymi, pracowały z młodzieżą, organizowały kursy kroju i szycia, dbały o miejscową świątynię, prowadziły kuchnię u oo. dominikanów. Opuściły Tyśmienicę pod koniec 1944 r., gdy ich dom spłonął wskutek uderzenia bomby w stojący obok czołg rosyjski (zob. *Historia poszczególnych domów Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP NP – starowieskich – na terenie archidiecezji lwowskiej...*, t. 5, s. 1179–1193).

WYPĘDZONY POLAK DO WYPĘDZONYCH NIEMCÓW

Głośno o tym w Polsce, że wypędzeni Niemcy szykują się do zorganizowania w Berlinie muzeum martyrologii Niemców wysiedlonych z czeskich Sudetów, z Prus i z Polski. Okazuje się, że wciąż są Niemcy, którzy sądzą, iż to im bardziej wypada rachować krzywdy doznane w ostatniej wojnie. Pokazywać palcem, co ze strony Polaków nie było w porządku w stosunku do nich. Słyszycie się coraz częściej skargi Niemców na masowo organizowane dla nich w Polsce, tuż po kapitulacji III Rzeszy, „obozy”. W tym kontekście termin „obozy” kojarzy się jak najgorzej – z obozami koncentracyjnymi, miejscami kaźni, wyniszczaniem więźniów, z obozami pracy i obozami jeńców wojennych.



Mijają lata. Coraz mniej jest naocznych świadków tamtych wydarzeń, więc coraz łatwiej o przeinaczenia, zniekształcenia i przemilczenia różnych faktów, a także o tworzenie stereotypów i mitów. Dziś nawet w Polsce już niewielu ludzi pamięta, co oznaczają takie skróty jak PUR czyli Polski Urząd Repatriacyjny, UL czyli Urząd Likwidacyjny, albo takie określenia jak punkty etapowe; czemu te instytucje służyły i jaki miały związek z przeniesieniem wypędzonych Polaków i Niemców. Bo nie jest prawdą, że wypędzeni z byłych Kresów Wschodnich Polacy szli wprost z pociągu do stojących otworem poniemieckich mieszkań, i że Niemców masowo wyrzucano z ich domów do obozu przejściowego. Nie było w tym względzie żadnego chaosu, jak się to dziś usułuje przedstawiać. Wszystko odbywało się zgodnie z określonym porządkiem pod opieką PUR. Organizował on we wszystkich polskich miastach – zwłaszcza na tzw. Ziemiach Odzyskanych – w budynkach szkolnych czy innych, mających duże sale, tzw. punkty etapowe, czyli mówiąc inaczej, obozy przejściowe dla wypędzonych ze Wschodu Polaków. Wszyscy wypędzeni repatrianci musieli przejść przez ten obóz i tak długo w nim przebywać, dopóki wyznaczeni do wyjazdu z Polski Niemcy nie opuszczą swoich mieszkań, nie wyjadą do Niemiec. Dopiero wtedy pracownik PUR prowadził wypędzonych zza Buga Polaków do opuszczonych domów. Otwierał kluczem drzwi, pokazywał kolejno zwolnione przez Niemców mieszkania i kto chciał, otrzymywał z PUR przydział na określone mieszkanie, pismo i klucz. Był to więc długotrwały proces, trwający kilka lat. Jeden z ostatnich kolejowych transportów z wysiedlonymi Niemcami z Wałbrzycha spotkałem na stacji w Jaworzynie Śląskiej we wrześniu 1948 r.

Nie są więc prawdziwe szerzone przez Niemców pogłoski, jakoby Polacy najpierw masowo wyrzucali ich z domu i umieszczali w „obozach” (a ktoś byłby w stanie w tych dniach głodu taką wielką rzeszę Niemców karmić?). Było wprost przeciwnie. Niemcy czekali na wyjazd w swoich

własnych domach, natomiast wszyscy wypędzeni ze Wschodu Polacy musieli odczekać jakiś czas – niczym kwarantannę – w punktach etapowych, w obozach przejściowych PUR.

To nie znaczy, że nie było obozów przejściowych dla wysiedlanych Niemców. Należy pamiętać, że kształtowało się to wszystko w pierwszych dniach po kapitulacji hitlerowskich Niemiec, tj. w okresie zawiązywania się zrębów państwowości polskiej na Ziemiach Odzyskanych. Potrzebne były pomieszczenia dla urzędów oraz dla pracowników administracji polskiej i ich rodzin, dla milicjantów, kolejarzy, listonoszy. A w tych pierwszych dniach po wojnie nie było innych wzorców działania w tym względzie prócz przykładów postępowania hitlerowców z Polakami w okupowanej Polsce, a więc – wyrzucania ich z domów, zamykania w obozach koncentracyjnych i wypuszczania przez komin. Czy mieliśmy do końca wiernie naśladować Niemców? Zdarzało się, że z rozkazu komunistycznych władz polskich żołnierze i milicjanci usuwali kilka lub kilkanaście niemieckich rodzin z ich mieszkań w jakimś mieście, by wprowadzić tam rodzinę polskiego kolejarza, listonosza, pracownika PUR. A usuniętych z domów Niemców – do czasu wystania ich pierwszym transportem do Niemiec – umieszczano w obozach przejściowych. Nie były to obozy liczebne, przebywało w nich od kilku do kilkunastu niemieckich rodzin. Stanowiło to zaledwie promil ogólnej wielkiej rzeszy wypędzonych z Polski Niemców. Obozy mieściły się – podobnie jak organizowane przez PUR punkty etapowe dla Polaków – w szkołach lub w innych dużych budynkach. Znam to wszystko, bo też zostałem wypędzony ze Wschodu i w 1945 r. mieszkałem o kilka kroków od obozu przejściowego dla Niemców.

Wypędzenie

W czerwcu 1945 r. miałem siedemnaście lat, gdy razem z rodzicami zostałem wypędzony z polskich Kresów Wschodnich, z Czortkowa. Wraz z wieloma innymi polskimi rodzinami jechaliśmy kolejowym transportem złożonym z tzw. lor – odkrytych wagonów towarowych (kryte, zamykane wagony towarowe były potrzebne Sowiecom do przewożenia niemieckich jeńców w głąb ZSRS). Była to długa i męcząca podróż trwająca ponad dwa tygodnie. Często spychano nasz transport na boczne tory, na stacje towarowe. Dłużej tam czekaliśmy, niż byliśmy w ruchu. Dotarliśmy w końcu do miejscowości, która – jak przeczytaliśmy na ścianie dworca kolejowego – miała niemiecką nazwę Neisse (Nysa). Do naszego transportu podszedł rezydujący w Nysie naczelnik PUR i oznajmił, że jest to nasza stacja docelowa, że tu mamy wysiadać. Byliśmy wszyscy głęboko poruszeni, wręcz zaszokowani. Nie tak wyobrażaliśmy sobie nasz przyjazd do Polski. A tu, na stacji kolejowej wszędzie niemieckie napisy i pełno kręcących się Niemców w kolejowych niemieckich mundurach. Byliśmy przemęczeni, wygłodzeni, niewyspani. Nasze ubrania cuchnęły dymem, bo podczas jazdy opadała na nasze odkryte wagony długa, czarna wstęga duszącego dymu z komina lokomotywy. Nasze twarze i ręce były brudne od sadzy.

Rozważaliśmy to, co naczelnik PUR nam powiedział. Tuż obok, na sąsiednim wagonie, zebrały się kobiety i śpiewały pobożnie „godzinki”. Gdzieś dalej słychać było z wagonu żalosne beczenie głodnej kozy, płacz niemowlęcia. Żaden Niemiec, mieszkaniec Neisse, nie podszedł do nas, nie podał nam po chrześcijańsku szklanki wody. Może dlatego, że nikt z mieszkających tu Niemców nie przeczuwał nawet jeszcze, że już niedługo taki sam los spotka również ich, i że w pięćdziesiąt lat później będą szykować w Berlinie muzeum martyrologii wypędzonych z Polski Niemców.

Wszyscy mężczyźni z naszego transportu zgromadzili się i naradzali, co robić. A ja z kilkoma kolegami z transportu byłem ciekaw zobaczyć, jakie to miasto i kto w nim mieszka. Szliśmy długą ulicą. W centrum miasta nie znaleźliśmy ani jednego całego domu. Wszystkie kamienice były doszczętnie zbombardowane. Tylko w willowej dzielnicy Nysy stały w ogro-

dach pięknie pobudowane domy. Czasami przez podwórkę przemykała się cicho sylwetka jakiegoś Niemca. W jakimś rozbitym urzędzie, wśród sterty porozrzucanych papierów stała nieuszkodzona maszyna do pisania. Ucieszyłem się tym „bezańskim” znaleziskiem, bo byłem absolwentem szkoły handlowej, w której nauczono mnie sztuki pisania na maszynie. Maszyna była duża i ciężka, więc spocony z wysiłku przyniosłem ją na stację, do naszego transportu. Zdenerwowało to mojego śp. ojca, który natychmiast kazał mi zanieść maszynę z powrotem tam, skąd ją wziętem. Rad nierad musiałem ją odnieść. Gdy wróciłem na stację, zauważyłem, że znów naczelnik PUR rozmawia z mężczyznami z naszego transportu. Tłumaaczył, że przyjechaliśmy do Nysy pierwsi, że zostaniemy przewiezieni razem z naszymi bagażami do ocalałego od bomb budynku szkolnego, zamienionego obecnie na punkt etapowy PUR (obóz przejściowy dla wypędzonych Polaków z za Buga), i że on pokaże nam potem wolne mieszkania, kompletnie wyposażone, porzucone przez Niemców uciekających przed frontem w głąb Rzeszy. Kto będzie chciał, otrzyma urzędowy nakaz na mieszkanie i klucz, i będzie mógł wprowadzić się do mieszkania. A jeśli zabraknie wolnych mieszkań, poczekamy w punkcie etapowym do czasu, kiedy z innych domów wyprowadzą się Niemcy.

Chcieliśmy w Polsce

Po odbytej naradzie część repatriantów zdecydowała się zostać w Nysie. Inni (w tym ja i moi rodzice) nie dali przekonać się do tej „lukratywnej” propozycji i zażądali, żeby nas zawieźć na tereny mieszczące się w granicach Polski w 1939 r. I tak się stało. Ruszyliśmy w dalszą podróż. Moi rodzice wraz ze mną i kilka innych rodzin zdecydowaliśmy się wysiąść w Sępólnie Krajeńskim, w miasteczku położonym przy zachodniej granicy Polski z 1939 r. Jak to bywa w takich przygranicznych miejscowościach, mieszkali tu obok siebie Polacy i Niemcy. Przywieziono nas do punktu etapowego PUR albo, jak kto woli, do obozu przejściowego dla wypędzonych ze Wschodu Polaków, który znajdował się koło apteki. Tu w wielkiej sali mieliśmy mieszkać i czekać do czasu, kiedy urząd znajdzie dla nas miejsce w domu przy jakiejś polskiej rodzinie.

A tak się złożyło, że na środku rynku w Sępólnie, o kilka kroków od punktu etapowego PUR, w którym mieszkaliśmy – stał kościół ewangelicki. Polskie komunistyczne władze w bezwstydnym sposób sprofanowały tę protestancką świątynię. Spędzono do niej kilka czy kilkanaście niemieckich rodzin, postawiono przed portalem kościoła żołnierza z karabinem i uczyniono z tego świętego miejsca obóz przejściowy dla tutejszych Niemców.

Dla nas, repatriantów z za Buga, był to prawdziwy szok. Policzek. Dobrze pamiętaliśmy rok 1939, kiedy to sowieckie władze w naszym rodzinnym mieście, w Czortkowie, wypędziły zakonnicę ze stojącego za miastem klasztoru i uczyniły z klasztornej świątyni dla koni kozackiej konnicy, stacjonującej w klasztorze. Przechodząc obok tego ewangelickiego kościoła, czuliśmy się tak, jakby ktoś oblał nas kubłem pomyj. Zrozumieliśmy, że nie uciekliśmy daleko od bolszewickiej ośmiornicy, która nawet tu, w Polsce, zaciska wokół nas swoje brudne łapy. Nie mogliśmy przejść obok portalu sprofanowanego kościoła bez opuszczenia ze wstydu głowy. Czuliśmy gniew na tych polskich bolszewików, półanalfabetów, którzy poharńbili dobre imię Polski.

Był to idiotyczny pomysł, żeby więzić kilka czy kilkanaście niemieckich rodzin – starców, kobiet i dzieci. Nie byli to przecież kryminaliści, polityczni przestępcy czy członkowie jakiegoś podziemnego niemieckiego ruchu oporu. Cała „wina” więzionych ludzi polegała na tym, że byli właścicielami domów, które zarekwirowały im polskie władze dla kilku przywiezionych tu wojskowych i partyjnych rodzin. Po stokroć lepiej by się stało, gdyby tych wywłaszczonych Niemców wyrzucono razem z dziećmi na przystawiony bruk. Wtedy sami znaleźliby pomoc u miejscowych rodaków. Przygamęliby ich solidarnie pod swój dach. Byłoby to z korzyścią i dla Niemców, i dla polskich

komunistycznych władz. Nie musiałyby władze „troszczyć się” o dach nad głową dla nich ani o ich wyżywienie w czasie, gdy głodowała cała Polska. No i po co było stawiać przy wejściu do kościoła żołnierza z karabinem? Cóż złego by się stało, gdyby więzieni Niemcy z kościoła uciekli? Pomysł organizowania dla niemieckich rodzin obozów przejściowych był jakąś bzdurną paranoją. Była to karykaturalna namiastka hitlerowskich obozów zakładanych w okupowanej Polsce.

W ciągu kilku tygodni obserwacji tego kościoła zauważyłem, że tak, jak to jest przyjęte we wszystkich obozach przejściowych, nie było tu obozowego rygoru – porannych apeli, „przesłuchań”, bicia. Nie było słychać jęków ani obelżywych słów.

Po upływie trzech tygodni otrzymaliśmy skierowania na mieszkania. Mnie i moich rodziców przygarnęła polska rodzina w Sępólnie przy ul. Kościelnej. W jakiś czas później więzieni w kościele ludzie pierwszym kolejowym transportem zostali wywiezieni do Niemiec.

Nie zabawiliśmy jednak długo w Sępólnie. Po upływie roku mój ojciec, który pracował w Urzędzie Likwidacyjnym w Sępólnie, został uznany za „czarną reakcję” i „wroga klasowego” – zwolniono go z pracy. Spakowaliśmy więc nasze manatki i w sierpniu 1946 r. pojechaliśmy na Dolny Śląsk, do Świdnicy. Tu było kilka fabryk i łatwiej było o pracę. Znów na początek zostaliśmy umieszczeni w punkcie etapowym PUR, który w Świdnicy mieścił się przy pl. Lenina (później w tym miejscu umieszczono przychodnię rejonową). Ojciec chodził szukać pracy, a ja szukałem odpowiedniego dla nas mieszkania. Nie natknąłem się tu nigdzie na obóz przejściowy dla niemieckich rodzin. Być może w ogóle go w Świdnicy nie było albo został zlikwidowany, bo upłynął już rok od zakończenia wojny. Było więc nadto dużo czasu, żeby Niemców z takiego obozu wywieźć do ich kraju.

Ponemieckie złote runo

Jest wiele rozmaitych mitów i stereotypów związanych z ponemieckimi mieszkaniami, które repatrianci zza Buga otrzymywali. To prawda, że nie mogliśmy do wagonu wziąć więcej ponad to, co mogliśmy udźwignąć w obu rękach. Patrzyli więc na nas Niemcy jak na dziką ordę Tatarów, jak na chciwych rabunku Polaków, którzy na wieść o końcu wojny ruszyli wielką ławą ze swoich nor na Wschodzie, aby wygnać Niemców z ich wspaniałych, pełnych cywilizacyjnych wygód domów i zamieszkać w tych bogatych pałacach. Ale prawda była bardziej złożona i różnie z tymi „pałacami” bywało. Przekonałem się o tym w sierpniu 1946 r. w Świdnicy podczas oprowadzania mnie po zwolnionych przez Niemców mieszkaniach.

Jak powszechnie wiadomo, większość miast na ziemiach polskich Piastów – śląskich i pomorskich (w tym również w księstwie Bolka, księcia świdnicko-jaworskiego) powstała w średniowieczu. Co roku któreś z tych miast obchodziło w ostatnich latach swoje 700-lecie. Na ogół miasto stanowiło gęsto zabudowane średniowieczne centrum, złożone z dwupiętrowych średniowiecznych mieszczańskich domów. Były w nich ciasne i niskie mieszkania z małymi okienkami. Poza obrębem pierścienia byłych średniowiecznych murów obronnych znajdowały się dzielnice ozdobnych secesyjnych kamienic czynszowych z początku XX wieku. Jeszcze dalej rozciągała się zwykle dzielnica willowa, złożona z parterowych pięknych domów z pełnymi kwiatów ogródkami. Rzecz w tym, że te piękne willowe dzielnice już w pierwszych dniach po kapitulacji III Rzeszy zarekwirowali dla siebie Sowieci. Ogradzali je wysokimi parkanami z desek, zza których nic nie było widać. Budowali bramę wejściową, malowali na czerwono rogatkę i stawiali przy niej sołdata z pepeszą w ręce. W miastach, w których nie było sowieckiego garnizonu, polskie komunistyczne władze umieszczały w dzielnicy willowej swoich wysoko postawionych partyjnych dygnitarzy. A Niemców z tych domów kierowano do obozów przejściowych. Wypędzonych z byłych Kresów Wschodnich Polaków kiero-

wano do średniowiecznego centrum miasta, a przy większym szczęściu – do splądrowanych już wcześniej przez Sowietów kamienic czynszowych z początku XX w.

W sierpniu 1946 r. razem z oprowadzającym mnie po tych mieszkaniach pracownikiem PUR obszedłem niemal całą świdnicką starówkę, kilkadziesiąt mieszkań, m.in. przy ul. Długiej, Pułaskiego i Teatralnej, żeby wybrać dla siebie mieszkanie. Z każdego z tych średniowiecznych obiektów wyskakiwałem na ulicę jak z procy, łapiąc spazmatycznie powietrze jak stary astmatyk.

Nasze miasta za Bugiem na ogół były parterowe. Przez siedemnaście lat mieszkalem w parterowym domku z drewnianym gankiem, z ogródkiem, z rosnącymi wiśniami, z gołębiami na dachu. W mieszkaniu z wybielonych ścian wiał świeży, zdrowy zapach wapna. Niejedna polna kaplica mogłaby pozazdrościć tego czystego, krynicznego chłodu powietrza i jasnej, świętej ciszy panujących w takim domku. Nie mieliśmy podłączenia do pobliskiej sieci elektrycznej, a po wodę musiałem chodzić z wiadrami ponad 100 m do cembrowanej, głębokiej studni z kołowrotem. Był to więc – jakbyśmy to dziś powiedzieli – dom ekologiczny, zdrowy i powodujący dobre samopoczucie.

A tu w każdej z tych średniowiecznych dwupiętrowych kamieniczek wchodziło się do ciasnych, niskich, małych jak pudełka, ciemnych izb z maluškimi okienkami. Ze zbudowanych z kamienia siedemset lat temu ścian emanował skumulowany przez wieki, przyklepiony do ścian zapach smażonych na blacie kuchennym zjeżdżających tłuszczów, mięs, cebuli, oparów starych mydlin po praniu w domu bielizny, wyziewów ludzkich ciał, fetor spróchniałego i przetrawionego przez korniki drewna starych okiennic, drzwi, mebli i podłóg. Owszem, był prąd i bieżąca woda. Ale tylko jedna na klatce schodowej ubikacja dla wszystkich mieszkających na danym piętrze rodzin, tj. ciasne, niskie, bez wentylacji pomieszczenie, nieprzypominające WC. Z dołu, z otworu w desce wiał smród ludzkich odchodów i piwniczny smród szczurów.

Jak większość Polaków, miałem inne wyobrażenie o Niemcach. Nigdy nie przypuszczałem, że „rasa panów” mieszkała w takich śmierdzących dziuplach. Wielu wypędzonych z Buga Polaków, chcąc nie chcąc, decydowała się z konieczności na wprowadzenie do tych mieszkań. Ja za żadne skarby nie chciałem w tych smrodach mieszkać. Wolałem dalej siedzieć na paczkach w ogólnej sali punktu etapowego.

Aż któregoś dnia naczelnik PUR zaprowadził mnie do kamienicy czynszowej w Świdnicy przy ulicy Kolejowej. Był to czteropiętrowy budynek z początku XX w., zbudowany tuż za byłym murem obronnym. Mieszkanie, które mi naczelnik pokazał, było już wcześniej splądrowane, okradzione (pewnie przez stacjonujących tu blisko Sowietów). Jedna z dwu szyb w oszklonych drzwiach wejściowych była wybita i zabita deskami. Wewnątrz mieszkania stała szafa i kredensy, ale były puste. Były meble, elektryczność, gaz i bieżąca woda. Ale ubikacja była na klatce schodowej przy wejściu i służyła wszystkim mieszkańcom tego piętra.

Prócz nas mieszkała w tej kamienicy jeszcze jedna polska rodzina. Resztę mieszkań zajmowali Niemcy. Nasze stosunki z Niemcami były poprawne, lecz chłodne. Uplłynął rok, zanim ostatnia niemiecka rodzina z naszej kamienicy wyjechała do Niemiec. W miarę jak wyjeżdżali Niemcy, ich mieszkania zajmowali Polacy oczekujący w punkcie etapowym PUR w Świdnicy.

Trudno odmówić narodowi niemieckiemu prawa do pamięci. Do pamiętania doznanych w wojnie krzywd. Nawet jeśli grabieże, gwałty i rozboje dokonywane na niemieckich cywilach zbilansować można w kilku promilach ogólnej sumy krzywd, jakich narody Europy doświadczyły z rąk hitlerowców. Niech więc wypędzeni Niemcy organizują w Berlinie to muzeum martyrologii, ale przede wszystkim niech pamiętają o swojej winie.

Opracowała Barbara Polak

A MY ŚNIMY SOBIE PRZYSZŁOŚĆ POLSKI – DZIECI..

W wydanej przed trzema laty książce ks. Zdzisława Peszkowskiego i dr. Stanisława Zdrojewskiego *Warszawa w grobach Katynia (Orchard Lake-Warszawa-Łódź 2002)* pod numerem 905 na liście warszawiaków straconych w Katyniu znajdujemy nazwisko Leona Jarosławskiego, z adnotacją: „cyw.?, kontrwywiad, mgr praw, ziemianin, Warszawa, Świętokrzyska 12/5”.

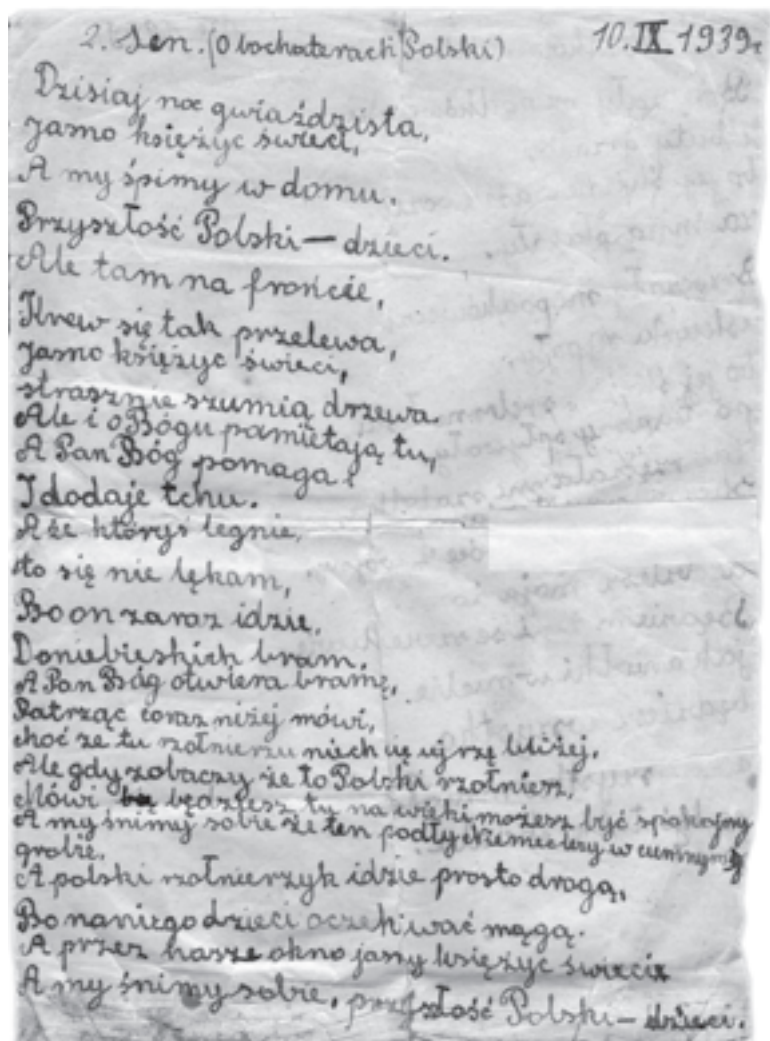
– „Mogłabym do tego jeszcze dodać numer telefonu, który odcisnął się w pamięci dziecka: 34419” – mówi Wanda Jarosławska, emerytowana nauczycielka z Bydgoszczy. – „Mój ojciec był pułkownikiem, oficerem II Oddziału, był naczelnikiem Wydziału Narodowościowego w Departamencie Politycznym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Skończył prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, dobrze znał Kresy. Pochodził z zasłużonego dla Polski rodu, którego członkowie byli zsyłani na Sybir. Ten »cywil« na liście to dlatego, że ojciec nie nosił munduru. Mundur żołnierski ojca przechowywany był w szafie w sypialni. We wrześniu 1939 r. wykonywał jakąś poufną misję. Mama mówiła mi zawsze, że ojciec dowodził ewakuacją rządu, oddziałów wojska i policji przez granicę w Zaleszczykach, gdy Sowieci wkroczyli w granice Polski”.

Nie potrafię do końca zweryfikować tych informacji, faktem jest, że po kolejnej reformie strukturalnej w MSW (w roku 1925) w ramach Departamentu Politycznego, odpowiedzialnego za podstawowe zadania w zakresie bezpieczeństwa wewnętrznego kraju, działał także Wydział Narodowościowy. Czy Leon Jarosławski był w latach trzydziestych jego naczelnikiem? Czy współpracował z II Oddziałem Sztabu Generalnego Wojska Polskiego?

Ostatnie wakacje przed wybuchem wojny Wanda Jarosławska, wówczas niespełna jedenastoletnia dziewczynka, spędzała z matką Kazimierą i starszym o rok bratem Jerzym w dworku u krewnych w Buczaczu (woj. tarnopolskie). Przez pierwsze dwa tygodnie wojna tu nie dochodziła, słychać było tylko jej groźne pomruki. Wandzia była przekonana, że to wszystko skończy się szybko, a ojciec powróci do domu razem z innymi żołnierzami w chwale zwycięstwa. Wyobraźnia dziecięca podsuwała jej obrazy wojny znane z książek. Obdarzona talentem literackim i wielką wrażliwością dziewczynka ułożyła 11 września 1939 r. zachowany do dziś w rękopisie wierszyk *Sen o bohaterach Polski*:



Pułkownik Leon Jarosławski,
zdjęcie z lat 30.



Wierszyk Wandzi Jarosławskiej, napisany 10 września 1939 r.

Dzisiaj noc gwiaździsta,
 Jasno księżyc świeci,
 A my śpimy w domu:
 Przyszłość Polski – dzieci.
 Ale tam na froncie
 Krew się tak przelewa,
 Jasno księżyc świeci,
 Strasznie szumią drzewa.

.....
 A przez nasze okno jasny księżyc świeci,
 A my śnimy sobie przyszłość Polski – dzieci...

Leon Jarosławski po wykonaniu zadania wrócił 27 września przez „zieloną granicę” do kraju, do Lwowa. Już dwa dni później został aresztowany przez NKWD. Udało mu się przekazać rodzinie przez obcego człowieka zegarek i 200 złotych, które miał przy sobie. Kazimiera Jarosławska idzie do NKWD, prosi o wiadomość o mężu. Mówią jej, że został przewieziony do więzienia w Czortkowie. Jeździ tam, wozi paczki, które są przyjmowane, ale na widzenie nie dostaje zgody. Czy Leon Jarosławski w ogóle tam przebywał? Później dowiedziała się od Stanisława Jarosławskiego (brata Leona), że prawdopodobnie był więziony w Tarnopolu. 29 września 1939 r. ślad po Leonie Jarosławskim się urywa.

Dwa dni po aresztowaniu pułkownika do buczackiego dworku przyszło NKWD. Zrzućli ze ściany portret marszałka Piłsudskiego i kazali Kazimierze z dziećmi wyprowadzić się nazajutrz. Jarosławskich przyjęła pani Maryla Ławrowska. Przebywali u niej do 12 kwietnia 1940 r. W nocy w mieszkaniu Ławrowskich zjawili się żołnierz sowiecki oraz młody Żyd z czerwoną opaską. Kazimiera z dziećmi trafiła do transportu na Sybir. W drodze do wagonów jakaś kobieta podbiegła do zesańców i wcisnęła Wandzi do ręki obrazek Chrystusa w ciernistej koronie. Ten obrazek pani Wanda przechowuje do dziś jak najcenniejszą rodzinną relikwiię.

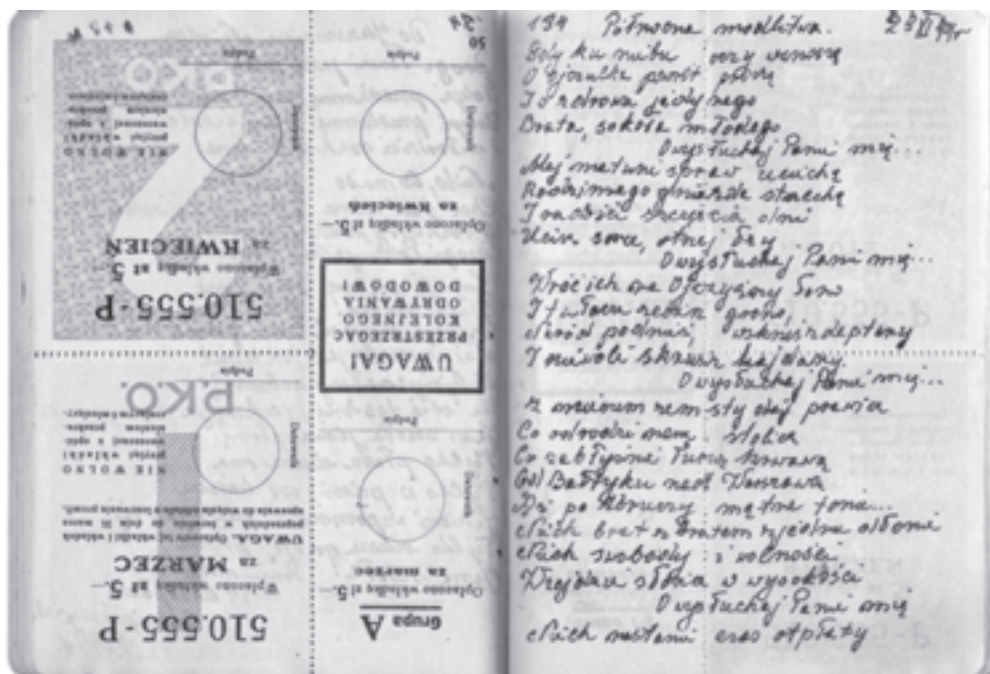


Wanda Jarosławska

Fotografie ze zbiorów prywatnych Autorki



Szkoła polska w Semipalatyńsku, w dniu zakończenia roku szkolnego.
Wanda Jarosławska trzecia od lewej, w górnym rzędzie.



Wiersz 16-letniej Wandy, napisany w Semipałatyńsku
na wolnej stronie książeczki PKO ojca

Jechali siedemnaście dni bez jedzenia i bez wody w przepełnionych wagonach. Mogli liczyć tylko na to, co zabrali z domu. Było zimno. Wanda zapamiętała z tej podróży utratę ukochanej lalki. Posadziła ją na poprzecznej desce wagonu, niedaleko okna. Wiatr wyrwał lalkę na zewnątrz, dziewczynka załża się łzami. „Lalka popełniła samobójstwo, nie chce jechać na Sybir...” – powiedziała ze smutkiem któraś z kobiet w wagonie.



Jurek Jarostawski,
brat Wandy

Wysadzili ich w Nowosybirsku, a potem rozwozili grupami w różnych kierunkach. Kazimiera z dziećmi trafiła do północnego Kazachstanu. Najpierw byli u jakiejś niestycznej biednej miejscowej rodziny sowchoźniczej. Wanda zapamiętała „kolebkę” z dzieckiem, zawieszoną pod drewnianą belką sufitu. Była zrobiona z worka. Zapamiętała też plamy wszy na szarym prześcieradle.

Później trafili do sowchozu „Krasnyj Kazachstan”. Przymierali tam z głodu. Po umowie Sikorski–Stalin czternastoletni Jurek Jarostawski został kadetem w armii gen. Władysława Andersa.

– „W Libanie spotkał sędziego o nazwisku Szumacher i nauczyciela gimnazjum z Tarnopola o nazwisku Juzwa, którzy byli więźniami Kozielska. Byli oni dobrymi znajomymi mojego ojca. W trakcie spaceru więziennego ojcu udało się jednemu z nich przekazać kilka zdań: »Jestem w separatce, śpię na łóżku sprężynowym...« To był ostatni ślad ojca”.

Dzięki własnym staraniom Wanda dostała się do polskiej szkoły w Semipałatyńsku. Nie zaprzestała pisania wierszy, które były coraz dojrzsze. Brakowało papieru, więc wykorzystywała każdy jego skrawek: z sowieckich druków, na których drobnymi literami wpisywała się między wersami, i z zachowanych książeczek oszczędnościowych PKO rodziców. Pani Wanda pisze wiersze do dziś. Ma duży dorobek literacki o szerokim zakresie tematycznym, w tym literatury dziecięcej i baśniowej. Teraz przygotowuje jednak do wydania najważniejszy zbiór swoich wierszy – *Katechizm Katyński* i *Nekrolog Kazachstański*. W 1946 r. w ramach repatriacji wróciła z matką do kraju. O ojcu nie rozmawiała. Za bardzo bolało. Wanda uczyła się w Liceum Pedagogicznym w Częstochowie. Pamięta, że w tamtym czasie prześladowało ją natrętne, bolesne, bo nigdy niespełnione marzenie. Siedząc w ławce szkolnej, przymykała powieki i wyobrażała sobie, że do klasy wchodzi woźny i woła: – Jarostawska, ojciec przyjechał!

Wanda Jarostawska

Pamięci Ojca mego, pułkownika Leona Jarostawskiego, legionisty z Pierwszej Kadrowej, oficera Dwójki, więźnia Kozielska

KATYŃ – GNIEZDOWO 29 PAŹDZIERNIKA 1990 ROKU

...Garść Ziemi Katyńskiej,
...Krzyż z gałęzi katyńskiej
...I drzeweczko katyńskie – świerczyk malusieńki

Posadzony za mogiłą Zosi.
– Tyle mam skarbów przywiezionych
Stamtąd...

Jakbyś Ożył.
Jakbyś Żył.

A to tylko Twa Dusza,
Z łaski Bożej,
Mocarnej o wspomnienie prosi...

A las, wielki był, Las...
I tak niewiele nas
Z pociągu spóźnionego.

Łzy,
Msza Święta...

Hymn Dywizji Katyńskiej,
Modlitwa
Do Matki Boskiej Katyńskiej,
Pod Krzyżem...

A żal coraz wyżej i wyżej...
I z Polski kwiaty...
I Pomordowanych Apel...

A żal coraz wyżej i wyżej!...
Ponad świat,
Ponad Ziemię,

Ponad mocarny,
Cmentarny,
Dziki Las...

– Aż w Zaświaty!...

Ponad jesienny, zwiędły,
Pagórkowaty,
Dziki, Katyński Las...

– W Zaświaty!...

...I łzy, i łzy,
Łzy, jak deszcze...

...I jeszcze
Ta rampa w Gniezdowie,
Gdzie wysiadali ostatni raz...

...I stempel na stacji...

Tylko tyle mam,
Tylko tyle
Z Ojca ukochanego...

O, jakże dużo mam,
O, jak wiele,
Z Najdroższego!...

Zamknij serce. Nie krzycz.
Resztę Historia powie.

...Przed Krzyżem,
Gdzie z Polski kwiaty,
Żal ciągle, coraz wyżej, i wyżej...

Aż w Zaświaty!...

Napisane w Bydgoszczy,
27 listopada 1990 roku



Fot. Leszek Zdrojewski

Wanda Jarosławska, 2005 r.

Kazimiera Iłakowiczówna

Matka Boska Katyńska

Nad Katyńskim lasem – miesiąc,
nad Katyńskim piaskiem szelest,
zeszła tam Pani Niebios, ściele
się ku niej ziele,
piołuny gną liście srebrne całe,
żeby po nich stąpała.

Przystanęła cała w świetle,
rozpostarła płaszczą potęgę,
nabiera do niej piasku
z Katyńskiego krwawego dołu,
nabiera go płynnego jak srebro,
żeby go zabrać do Nieba.

Pyta się Jej księżyc biały, na co Jej
ten piasek krwawy?
Mówi mu Pani Niebios:
„Uleczę nim świat cały
Miłość poległa w bitwach:
Potrzebna wielka Relikwia”.

ON BĘDZIE MIASTO

Lwów w czasie rozbiorów dostał się do zaboru austriackiego. Przesyłano tam z Wiednia urzędników, wojskowych z instrukcją germanizacji miasta. I oni, zamiast kogoś zgermanizować, sami się polonizowali. Mój syn jest historykiem i przygotowuje wypis z ksiąg Cmentarza Łyczakowskiego – pierwsi Herbertowie byli tam chowani od końca XVIII wieku. Już mój dziadek Józef, który urodził się w okresie Wiosny Ludów, czuł się Polakiem i swoim synom nadawał polskie imiona. Były dwie linie Herbertów od tego przodka z XVIII wieku. Jedna – lwowska i oni się spolonizowali, druga – wiedeńsko-galicyska, np. krewny mego ojca, generał Marian Herbert – nie był lwowianinem, pracował w Wiedniu w różnych placówkach wojskowych. I jego synowie nie byli już tak wierni Rzeczypospolitej jak mój ojciec.



Zbigniew Herbert

Miasto

Lwów wspominam, jak wspomina się miasto, w którym się człowiek urodził. Obiektywnie, bez emocji, to jest bardzo piękne miasto, położone w kotlinie, otoczone wieńcem wzgórz, ma bardzo ładną starówkę. Widok na miasto jest też bardzo ładny.

Nasze dzieciństwo było bardzo szczęśliwe. Z jednej strony ta ładna „mała ojczyzna”, chociaż nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy, że to jest taka wartość. Z drugiej strony dom wielopokoleniowy, w którym mieszkała babcia, rodzice i dzieci – to jest ważne, bo dawało poczucie bezpieczeństwa. Teraz jest to bardzo rzadkie, niestety. Rodzina była zamożna, ale nie jakoś wyjątkowo bogata. Pracował tylko ojciec Bolesław, domem zajmowała się mama Maria i babcia Maria z Bałabanów, była także gospoia. Mieliliśmy pewien komfort, w porównaniu z dzisiejszymi dziećmi, które rano muszą wstawać i idą z rodzicami za rączkę do przedszkola. Jeśli chodzi o tropy patriotyczne, to oczywiście Orleńskie. We Lwowie był kult Orląt. My urodziliśmy się pięć, sześć lat po wydarzeniach 1918 roku i to było wszystko bardzo żywe i świeże. Tata codziennie czytał nam na głos książki. Uważam, że miał wielki talent pedagogiczny. Teraz słyszy się: czytaj dzieciom przynajmniej 20 minut dziennie; tata to robił, nie znając tego hasła. Wychowywany był przez matkę po stracie ojca. Nawet swego ojca dobrze nie pamiętał. Stracił go, mając 7 lat, i został wychowany przez matkę na polskiego patriotę. Myślę, że to też był wpływ wspaniałej, polskiej lwowskiej szkoły. Walczę z powszechną opinią, że nasz tata był surowy. On nigdy nie krzyczał, nie podniósł na nas ręki, a miał wielki

autorytet. Jak to robił? To był jego wielki sekret, jego osobowość. Słuchaliśmy ojca. Jak coś spsociliśmy, to wystarczyło nam powiedzieć, „że się ojcu powie”.

Sport

Ze Zbigniewem bardzo się lubiliśmy, czasem – jak to dzieci – biliśmy się. Ja dominowałam, bo byłam starsza o półtora roku. Bardzo długo byłam wyższa od niego. To jest cudowna rzecz – mieć rodzeństwo. Robiliśmy jakieś przedstawienia, przebieraliśmy się, budowaliśmy namioty z obrusów. Nagle jakiś dym wydobywał się spod namiotu, a to my paliliśmy ojcowe papierosy. Zawsze mówię, że rzuciłam palenie przed siedemdziesięciu laty, bo wtedy miałam kilka lat. Mieliśmy sportowe pasje, trochę rywalizowaliśmy, kto szybciej nauczy się pływać, kto lepiej jeździ na nartach. Ojciec bardzo dbał o sportowe wychowanie. Mieliśmy narty, łyżwy, w Brzuchowicach były różne urządzenia sportowe, ping-pong. Graliśmy też w cudowną grę, teraz trochę zapomnianą – w krykieta. Bardzo to lubiliśmy. W Brzuchowicach było bardzo wesoło, przyjeżdżali znajomi na niedzielę, bo nie było wtedy wolnych sobót. Dużo gości u nas bywało, rozsiadali się w ogrodzie, huścili się. Zbigniew od małego miał znakomity dowcip. Bawił towarzystwo dowcipem sytuacyjnym, umiał parodiować. Był wrażliwy. Później czytałam jego autobiograficzne opowiadanie pt. *Początek powieści*; to jest właśnie o Brzuchowicach. Opisał pewną rzecz, która przypomniła mi się dopiero po przeczytaniu. W sąsiednim domu pokazywała się w oknie taka blada twarz chłopca, który był chory. I potem ten chłopiec zmarł. Zbyszek, przechodząc, zawsze patrzył w to okno. Pamiętam, że my specjalnie dla tego chłopca bawiliśmy się i on się czasem do nas uśmiechał.

Psoтник

Zbigniew to był psotny chłopiec. Pamiętam, jak byliśmy mali, na wakacjach w Rymanowie mama wystawiła nas przed dom na chwilę do ogródka. I okazało się, że brat zniknął; poszedł sobie sam, bardzo daleko, do uzdrowiska. Znalaziono go, jak siedział sobie na ławce i popijał wodę mineralną. Miał wtedy cztery lata. Gdy miał siedem lat, mama zobaczyła go, jak wracał ze szkoły, jadąc na buforze tramwaju na gapę. Jego pomysły skończyły się niedobrze, gdy wybrał się kiedyś wieczorem na narty. To było podczas okupacji sowieckiej, była sroga zima. Lwów był otoczony wzgórzami, wystarczyło pójść kawalek od domu i już można było jeździć. Złamał nogę i miało to poważne konsekwencje. Przez całe życie utykał.

Szuflada

Czy wydarzeniem, które zaważyło na twórczości Zbigniewa Herberta, była śmierć brata Januszka? – Nie wiem. Mnie trudno powiedzieć, co zaważyło. W jakimś wywiadzie to się pojawiło, ktoś widocznie lepiej wiedział niż my. On zaczął pisywać jakoś tak naturalnie, pod koniec wojny, mając 18, 20 lat. Długo pisał do szuflady. Uważam to za bardzo charakterystyczne dla niego. Nie lubił później, jak młodzi poeci przysyłali mu do oceny wiersze. Mówił, że jeżeli ktoś chce być poetą, to sam powinien wiedzieć, czy to jest dobre i czy to się nadaje. On długo sam siebie cenzurował, więc miał późny debiut. Swoich pierwszych wierszy nie publikował. Pisał długo, bo utwór poetycki to jest przecież z jednej strony forma, z drugiej jakieś przesłanie. Nigdy nam nie czytał nieskończonych utworów, zawsze dostawaliśmy gotowe, wydrukowane tomiki. Długo nawet nie wiedziałam, że coś pisze. Dopiero jak zaczął publikować, w 1948 roku. I na początku były to pojedyncze utwory, głównie publicystyka kulturalna. Od tego zaczął. Był samoukiem, jeśli chodzi o literaturę, bo przecież studiował praktyczne rzeczy: prawo, ekonomię, także filozofię, ale ona przyszła później. Studia filozoficzne zaczął chyba po

1950 roku. Uważał, że gdy się pisze, to trzeba znać wszystkich najlepszych. I pisać – jeżeli w ogóle – to przynajmniej tak dobrze jak oni. Albo lepiej. Bo inaczej nie warto.

Nasz dom był zdecydowanie humanistyczny, ojciec był humanistą. Podróżował, dużo czytał. Jeżeli chodzi o poezję, to lubił Staffa, skamandrytów, poezję romantyczną.

1939

Wybuch wojny zastał nas w Brzuchowicach. We wrześniu 1939 r. wszystko bardzo gwałtownie się zawaliło. Pamiętam, że byliśmy jeszcze wtedy tak niemądrzy i niedojrzali, że cieszyliśmy się, że nie musimy iść do szkoły 1 września. To wszystko szło wtedy szalenie szybko. Niemcy byli pod Lwowem już około 10 września czy może wcześniej. I my byliśmy zajęci właśnie przez Niemców, bo oni nadeszli od północy i zachodu. Wtedy tłumaczyło się, że nie mają siły uderzyć na Lwów, że muszą się przegrupować, więc nie zajmują Lwowa. A tu okazało się, że oni po prostu czekali. Tragiczne. Jak wyobrażam sobie moich rodziców, jak im się wszystko zawało na głowę? To, oczywiście, było zbiorowe; wszystkim tak zawało się całe życie. Nie widzieliśmy, jak wojska sowieckie wkraczają do Lwowa, bo byliśmy w Brzuchowicach. Pamiętam, że 1 września zachorowała nasza babcia i nie można jej było przewieźć do Lwowa, bo szybko zabrakło aut, karettek. Trzeba więc było zostać w Brzuchowicach z babcią, która niedługo potem umarła.



„Księżę Walii pozuje” – tak podpisał to zdjęcie w albumie ojciec Zbigniewa Herberta, 1930 r.

Gorzki smak klęski

Ogromnie gorzki. Zwłaszcza że już w październiku siedzieliśmy w tych samych ławkach szkolnych, ale była już inna dykcja, obca. Pamiętam, że czułam szalone upokorzenie i gorycz, gdy musiałam pójść na defiladę z okazji rewolucji, z początkiem listopada. Popędzono nas na nią. Mieliśmy krzyknąć „Hurra!” pod trybuną, ale nikt nie krzyknął. To była żeńska szkoła i pamiętam te chusteczki przy oczach. Płakałyśmy wszystkie. Nauczyciele byli z nami, ale był też już politruk. Zbigniew miał z kolei dyrektorkę Rosjankę. On namówił kiedyś całą klasę, żeby ustawili ławki tyłem do portretu Stalina. Dyrektorka mogła zaszkodzić rodzicom, ale nie zrobiła tego. Zbyszek postany został do żeńskiej szkoły zakonnej, do siostr urszulanek. Ześwieczono tę szkołę.

Miasto umiera

To się bardzo szybko stało pod okupacją sowiecką. Wystarczyło takie zarządzenie, które wyszło chyba z początkiem października, że polskie pieniądze są nieważne. I nie było żadnej wymiany. Więc wszyscy zostali bez pieniędzy. Pamiętam, że moja mama, aby zdobyć

żywność, jakieś kartofle, jeździła na wieś na handel wymienny. My razem z nią. Zamienialiśmy ręczniki na jajka. Ludzie zaczęli sprzedawać rzeczy sowieckim żołnierzom, którzy wszystko szalenie chętnie kupowali. Wszystko im się podobało: stare zegarki, których nie mieli.

Ojciec zawsze nam mówił, że to jest dopiero początek, że trzeba przetrwać, że to się skończy... On myślał, że to się lepiej skończy. Ale jak znowu w 1944 nadciągnęła do Lwowa zwycięska armia sowiecka, to wiedział, że jest już po Lwowie; że Stalin już Lwowa nie odda.

Spakowane plecaki

Był to czas, że spakowane plecaki stały przy naszych łózkach. W ten sposób byliśmy przygotowani już do wywózki, bo ludzie budzeni, zrywani w nocy zabierali ze sobą rzeczy niepotrzebne; nie zabierali ciepłej odzieży czy żywności na drogę i to kończyło się dla nich tragicznie. W plecaku Zbyszka było dużo książek... Jakież? Na pewno *Trylogia*.

Lwów był pełen ludzi przyjezdnych, głównie Żydów, którzy zostali już po tej stronie. I oni też byli wywożeni ze Lwowa. Oni byli nazywani *bieżeńcy*, to po rosyjsku znaczy uchodźca. Były więc wywózki także tych bieżęńców.

Drugi Katyń

Najstraszliwsza rzecz wydarzyła się w czerwcu 1941 r., gdy oni wycofywali się ze Lwowa. Wymordowali wszystkich w więzieniach. Mało się to podkreśla, ale to był drugi Katyń. Wtedy zginął serdeczny przyjaciel ojca, mecenas Antoni Konopacki. Kilka tysięcy osób siedziało w więzieniach lwowskich. Wszyscy zginęli. Sowietci nie mogli ich wywieźć, bo front szedł wtedy bardzo szybko, tak jak we wrześniu. Lwów był zajęty po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w kilka dni, trzy czy cztery. Był bombardowany przez kilka dni. Sowietci, wycofując się, wymordowali wszystkich więźniów, a potem przyszli Niemcy i aresztowali od razu profesorów uniwersytetu i politechniki. Zostali rozstrzelani tego samego dnia.

Za czasów okupacji sowieckiej ojciec mojej wujenki – Dziakiewicz, który był pułkownikiem, został od razu aresztowany, chociaż był stary i na emeryturze. Jego żona i dwie córki zostały wywiezione do Kazachstanu. Oni aresztowali wszystkich wojskowych, policjantów i ich rodziny.

Oblicza Ukraińców

Mieliśmy we Lwowie jeszcze jednego wroga – to byli nacjonaliści ukraińscy, którzy chcieli czystki etnicznej. Po zapadnięciu zmierzchu często była jakaś strzelanina, zamachy, np. na polskiego naukowca Bolesława Jałowego, który był profesorem histologii na medycynie. Ukraińcy zabili go. Później nasi zabili w odwecie profesora ukraińskiego. Nazywał się chyba Łatoszewski. Straszne wiadomości dochodziły do Lwowa z prowincji. Wtedy na wsi były prawdziwe czystki etniczne. To było podobne do tego, co teraz dzieje się np. w Palestynie. To jest droga donikąd. Jeśli chodzi o Ukraińców, to myślę, że przed wojną nie działa im się u nas duża krzywda. Pamiętam, że w gimnazjum miałam dwóch profesorów pochodzenia ukraińskiego, jednego nazywaliśmy *bańko*. Jeden uczył łaciny, drugi niemieckiego. Także ojciec miał przyjaciela, a co najmniej dobrego znajomego, Ukraińca, który też skończył prawo i ożenił się z bardzo bogatą lwowską panną. Nazywał się Jarosław Sekieła, był u nas w domu. Ale Ukraińców było we Lwowie niewielu.

Podziemie

Zbyszek nie brał wielkiego udziału w AK. Może nawet go nie chcieli, przecież chodził o kulach. To właśnie w tym czasie miał szereg operacji, był w szpitalu, był poddawany



Rodzeństwo Halina i Zbigniew Herbertowie, Sopot, 1949 r.

rehabilitacji. Oczywiście wiedzieliśmy, że jakieś podziemne struktury istnieją, tajne nauczanie, gazetki. Przychodzili do ojca znajomi, żeby je poczytać, później trzeba było je odnieść dalej. Brat pewnie czuł potem, że jest dłużnikiem ludzi podziemia, ponieważ nie brał wielkiego udziału. Tak myślę. Na pewno miał poczucie, że trzeba zachować o tym pamięć, dawał temu wyraz w swoich wierszach. Wiem, że później, pod Krakowem, starał się dostać do partyzantki, gdzieś chodził, przepadał. To już było pod koniec wojny. Ale nie będę mówić rzeczy, o których nie wiem na pewno.

Szpilek w okupanta

Nasz tata był przesłuchiwany przez NKWD, gdy likwidowano jego biuro, ale nie aresztowali go. Wrócił do domu, a potem trochę się ukrywał. Nie mieszkał w domu. Mama została pielęgniarką, przydzieloną do pomocy dentyście w przychodni.

Żyliśmy w ciągłym poczuciu strachu. Gonienie za wszystkim, zdobywanie żywności – to było takie upokarzające. Takie były te dwa lata pod okupacją sowiecką. Lwów poszarzał, zbiedniał. Ludzie instynktownie się chronili i nie pokazywali się. Ale pamiętam, że mieliśmy jednak nadzieję. Chodziliśmy do kościoła. Święta były biedniutkie, ale były. Pamiętam także, że było fatalnie z opałem. Mieliśmy mieszkanie czteropokojowe i stać nas było na opalenie tylko jednego pokoju. W kuchni był taki wąż od kurka gazowego, tym wężem gaz szedł do pieca, gdzie było zrobione palenisko. To było bardzo niebezpieczne, rodzice nawet nie zdawali sobie chyba z tego sprawy. Wszyscy siedzieliśmy w jednym pokoju, bo tylko w nim było ciepło. W tym pokoju leżał w łóżku Zbigniew, bo był długo rehabilitowany po złamaniu nogi. To było dla niego bardzo bolesne, pamiętam, jak strasznie krzyczał, gdy mu zginano tę nogę. My uciekaliśmy

z domu, żeby tego nie słyszeć. Drugi pokój był zajęty przez sowieckiego *ludynę*. Robiliśmy mu z bratem mały sabotaż, przekuwając szpilką opony w rowerze, który stał w przedpokoju. Poważniejszych „akcji sabotażowych” raczej nie robiliśmy, bo za nie groziła odpowiedzialność zbiorowa. Jak ktoś został aresztowany, to cała rodzina była wywożona – razem z np. 80-letnią babcią i dzieckiem w beciku. Ale humor nas nie opuszczał. Wracając do ojca – dawał nam takie poczucie, że da sobie ze wszystkim radę. Dopóki nie zobaczyłam kiedyś, jak płakał, gdy zmarł nasz mały brat, to uważałam, że ojciec poradzi sobie ze wszystkim.

Zostawić Miasto

Wyjazd ze Lwowa był dla nas dramatycznym przeżyciem. Ja płakałam, nie chciałam. Ale ojciec mi powiedział: „Moja droga, jaką ty masz gwarancję, że my tu zostaniemy? Oni wejdą i będą dalej robili te czystki. To jest w ich stylu, żeby wszystkich przemieszać. Tych, którzy urodzili się we Lwowie, gdzieś wysłać, bo łatwiej jest rządzić takimi ludźmi, którzy utracili korzenie”. I trafił mi tym do przekonania.

Gdy przyjechaliśmy do Krakowa, zrobił on na nas wielkie wrażenie, bo Lwów był jednak strasznie biedny – ciemny, bo obowiązywało zaciemnienie. Dopóki wojna się nie skończyła, mieliśmy nadzieję, że wrócimy do Lwowa. Rodzice zostawili tam wszystko, bo cóż można wziąć ze sobą, gdy wyjeżdża się jako repatriant. Wyjechali wszyscy nasi znajomi, rodzina mojej matki.

Piec

Przed dwoma laty pojechałam do Lwowa na Dni Herbertowskie. Na domu, w którym mieszkaliśmy, gdy byliśmy mali, jest tablica. I gdy było poświęcenie tej tablicy, poszłam do naszego mieszkania. Widziałam dwa pokoje, bo mieszkanie zostało, oczywiście, podzielone; do drugiej części nie mogliśmy wejść, bo nie było właścicieli. Ale zobaczyłam bardzo piękny, biało-niebieski piec, z takim zwieńczeniem na górze jak w świątyni greckiej, z pięknym medalionem. Przypomniałam sobie ten nasz piec. Widziałam też nasze inne domy, blisko śródmieścia, ale tylko z zewnątrz. W tym ostatnim były nasze rzeczy. Gdybym tam zapukała, może bym je zobaczyła, nie wiem...

Zbigniew nigdy nie chciał pojechać, mówił, że nie mógłby patrzeć na to, co się tam teraz dzieje. Takie polskie miasto... Szkoda. A teraz pełni taką poślednią rolę, odległe od stolicy, zaniedbane.

Pokochałam pediatrię

Zaczęłam studia medyczne we Lwowie. Niemcy utworzyli dla Ukraińców medycynę i był *numerus clausus* dla Polaków, tylko 20 procent miejsc było dla Polaków. Tam uczyłam się dwa pierwsze lata, potem w Krakowie. Skończyłam studia w 1947 roku. Jestem starym lekarzem. Czy z powołania? Wtedy, za okupacji, ojciec mówił, że naszym obowiązkiem jest się uczyć. Lekarz to był bardzo ważny zawód w czasie wojny, można było wiele dobrego zrobić. Lekarze jako nieliczni pracowali w swoim fachu; inżynierowie, prawnicy musieli handlować, pracować fizycznie. Ja wybrałam specjalizację z pediatrii i bardzo ją pokochałam.

Później zamieszkałam z mężem w Otwocku, pracowaliśmy jako lekarze, a Zbigniew razem ze swoim przyjacielem w ciężkich warunkach mieszkali w Warszawie. My byliśmy jego zapleczem. Jak już nie dawał rady, to przyjeżdżał do nas, do rodziny. Ja pracowałam w sanatorium polsko-szwedzkim, później to był Wojewódzki Szpital Gruźlicy i Chorób Płuc dla Dzieci.

Zbyszek dużo palił i to go zabiło. Ta jego ostatnia choroba, obturacyjne zapalenie oskrzeli, to jest choroba palaczy. Gdyby przestał palić, to choroba nie cofnęłaby się, ale zatrzymała. A tak postępowała. On późno zaczął palić, po trzydziestce.

Nieprawdą jest, że ojciec zmusił go, aby studiował ekonomię. On nie studiował polonistyki. Można pisać wiersze, nie będąc polonistą.

Smak poezji

Z jego przyjaciół literatów znałam niewielu. Poznałam Najdera. Kiedyś, gdy przyjechałam po Zbigniewa, aby go zabrać do Otwocka, bo był chory, to poznałam u niego Tyrmanda. Rzeczywiście miał szafirową marynarkę ze złotymi guzikami i te słynne skarpety. I tak mnie prosił, żebym się zaopiekowała Zbyszkim. Poznałam też Międzyrzeckiego i panią Hartwig.

Nie od razu miałam przekonanie, że to jest bardzo dobra poezja, ponieważ byłam wychowana na innej poezji, Staffa na przykład. Ale mam zaufanie do krytyków, jeśli mówią, że jest dobra. A od razu miał dobre recenzje. Pamiętam, jaki dumny był nasz ojciec, gdy przeczytał, że Zbyszka pochwalił Wyka, Błoński. I powoli rozsmakowałam się w jego wierszach.



Zbigniew Herbert z ukochanym kotem, Berlin, koniec lat 70.

Zbigniew Herbert i Pan Cogito

Na początku ich utożsamiałam. Później jednak słyszałam wykłady prof. Jacka Łukasiewicza, który mówił, że nie należy ich łączyć; że to jest postać, z którą autor dyskutuje. Jest np. taki wiersz *O dwu nogach Pana Cogito*. Wszyscy myślą, że to jest metafora, te dwie nogi: jedna ascetyczna, druga wesola. Z jednej strony on rzeczywiście taki był – wesoly, a o wszystkim poważnie rozmyślał. A jeśli chodzi o nogi – to ta po złamaniu była zupełnie inna, nawet z wyglądu, krótsza, chudsza i z bliznami. Więc nawet jeśli w części była to metafora, to coś z siebie Panu Cogito przekazał.

Żałuję, że rzadko rozmawiałam z bratem o jego twórczości. W pewnym okresie, gdy wracał po długich pobytach za granicą, to ja, idąc do niego, prawie czekałam na audyencję, aby z nim porozmawiać. Nie wiem, który to był rok, ale czekałam wśród wielu. Wchodzili jacyś ludzie, którzy chcieli zaśpiewać coś bratu, po chwili Wojciech Siemion dzwoni, czy on może wstąpić. A ja czekam. Dopiero jak zachorował... Ale wtedy trudno było z nim rozmawiać, bo miał wielkie kłopoty z głosem. I czasem, gdy mówił do mnie, ja udawałam, że rozumiem.

Upokorzeni peerelem

Czy można było lubić peerel? Przecież to była utopia, bezsens, wielkie zniewolenie i kolaboracja z obcym państwem. I to z jakim? Zbrodniczym. Przecież był Katyń, więzienia lwowskie. To był jeden wielki obóz koncentracyjny. Dlatego mój ojciec wyjechał w 1944 r. I dobrze chyba zrobił, bo nie wiadomo, ile osób zdążyli jeszcze aresztować i wywieźć ze Lwowa między datą wkroczenia, czyli w lipcu 1944 r., a postanowieniem o repatriacji. A mój ojciec

obawiał się, że nie będzie repatriacji, bo w 1939 r. zamknięto granice, dano wszystkim paszporty sowieckie. I świat został zamknięty. To było okropne, pomyśleć, że tak już zostanie. PRL był jednak ciut bardziej liberalny, ale szary, brzydki. Gdy brat przyjechał z zagranicy, wszystko go denerwowało, te sklepy, niegrzeczność urzędników. Ten system szczył jednych na drugich. Wyjazdy za granicę, te zaproszenia, to było upokarzające. Ale jeździłam, zwiedzaliśmy Europę. Nawet po śmierci męża potrafiłam zabrać dzieci do samochodu i zwiedzaliśmy Grecję. Dostałam – na wymianę – 150 dolarów „od Gierka”, dzieci już nie... ale objechaliśmy za te 150 dolarów Grecję, z namiotem. Za granicą spotkałam się dwa razy z bratem w Berlinie. Przyjechałam do Berlina Wschodniego, a on przeszedł z Zachodniego na paszporcie do jednorazowego przekroczenia granicy. Potem jakoś udało mu się wrócić. Zapraszał mnie, ale nie jeździłam do niego, bo wiedziałam, że mu ciężko.

Wybór

Co było celem życia Zbigniewa? – Twórczość. On się długo nie żenił, zupełnie jakby wstąpił do klasztoru, może o nie bardzo surowej regule. Uważał, że nie może się rozprasać, że musi skupiać się na twórczości. I wyrobił sobie specyficzny tryb życia. Żył w nocy, rano zasypiał, budził się późnym popołudniem. Potrzebował ciszy, spokoju. Nie miał też dzieci. Moje dzieci bardzo lubił, ale my nie zawracaliśmy mu głowy. My mieliśmy trochę taki amerykański typ stosunków – my się czujemy świetnie, on też czuje się świetnie, żadnych problemów. Ja mu nigdy nie mówiłam, że mam jakieś zmartwienia. Ale wiem, że czasami cierpiał. Nie lubił jednak roztkliwiania się, sentymentalizmu. Nawet wiersze o Lwowie są oszczędne... „milczenie wieź o świecie”.

Cały mokrzusieńki

Z wierszy brata lubię te o Panu Cogito, *Pan Cogito rozmyśla o cierpieniu*. Kiedyś ktoś powiedział, że literatura o tyle jest ważna, o ile daje pociechę. Więc nie pokazywać cierpienia, „pić napar gorzkich ziół wolno” i nie robić szumu. Albo że nie należy być „małą duszyczką z wielkim żalem nad sobą”. Ja to sobie wzięłam jako motto. Bo ja nie miałam łatwego życia, straciłam bardzo wcześnie męża, dzieci były małe, chora mama, a zawód miałam trudny. Zbyszek był ciągle za granicą.

Dobrze się z nim rozumiałam. Pisał z zagranicy, np. napisał kartkę, że coś zwiedza i jest cały „mokrzusieńki”. Ktoś mógłby pomyśleć, że tam deszcz padał. A to było określenie naszej stryjecznej babci, która zamiast powiedzieć, że jest zmęczona, mówiła: „mówię wam, byłam mokrzusieńka”.

Kryptonim „Herb”

Służba Bezpieczeństwa utrudniała mu życie. Nieprzyjemne to było, oczywiście. Wiem, że kiedyś, jak przyjechał, to mu zabierali czas. Oni chcieli, żeby za granicą mówił dobrze o Polsce. A on odpowiadał: „Wy jesteście od propagandy, ja piszę wiersze. Wy za mnie wierszy pisać nie będziecie”. Nigdy nie wiedział, gdy przyjeżdżał, czy dostanie ten paszport. Ale zawsze, jak paszport się kończył i nie chciano tam przedłużyć, to przyjeżdżał. Nie przedłużyliby, to by został. Nie wybierał emigracji. Ale z tego, czego dowiedziałam się z wyciągu z jego teczek, wiem, że oni woleli, aby był za granicą, aby tutaj nie podpisywał żadnych apeli. Był traktowany jako *enfant terrible* ustroju. My wszyscy byliśmy wrogami ustroju, ale liczyli się bardziej ci, którzy na przeciwnej szali stawiali swoją piękną twórczość. Opowiadał mi, jak na Zjeździe Literatów Polskich poczuł, że ktoś go chciał



Zbigniew Herbert, Berlin, druga połowa lat 70.

otruć. Poczul się źle po wypiciu oranżady. Skoro tak mówił, to tak było. Tam były jakieś wybory, może chodziło o głosy? Nie wiem.

Mój głos nie liczył się tak bardzo jak jego. Ja zresztą też miałam nieprzyjemności. To wszystko opierało się na absurdzie. Na przykład dyrektor pisał sprawozdanie z działalności zakładu 1 stycznia i nie chciał wypisywać chorych. A przecież były święta Bożego Narodzenia, dzieci chciały iść do domu, choćby na urlop w leczeniu. A dyrektor nie pozwalał. Ja wypuszczałam chorych i już był konflikt. Cofnięto mi jakiś tam dodatek.

Narodziny „Solidarności”

Rozmawialiśmy o tym pierwszy raz w sierpniu 1980 r., gdy pojechaliśmy na wycieczkę do NRD. Ta wycieczka zakończyła się w Berlinie Wschodnim. On przeszedł z Zachodnie-

go. Bardzo się cieszył z powstania „Solidarności”, słuchał o niej. Opowiadał mu też dowcipy, np.: „I w dwa Edzie nie pojedzie”. Śmiał się. „Jeden Edziu, to wiadomo – mówić – Gierek, ale drugi?” „No, nasz premier, Babiuch” – odpowiadałam. Cieszył się bardzo i niedługo wrócił do Polski.

Lustracja

Zbigniew był za lustracją. Przecież nie chodziło o to, żeby ich wieszać na latarniach, aresztować. Chodziło o to, aby odsunąć od życia publicznego skompromitowane osoby. Przecież to straszne, że nami rządzą tacy ludzie. My straciliśmy 15 lat, bo na początku nikt z opozycji nie umiał rządzić; nie było ludzi charyzmatycznych. Ale przez te 15 lat wyłowiliby się tę elitę polityczną: ten miał czyste ręce, z tego rządu ten był dobry. A tu straciliśmy tyle lat na rządy postkomunistów... Zbyszek był ogromnie rozczarowany III RP. Ja zachwycam się wtedy Balcerowiczem, ale on nikogo nie uznawał. Chciał innej Polski.

Post Scriptum

Na Cmentarzu Łyczakowskim jest grobowiec, w którym spoczywa nasz brat Janusz. Trzeba ten grobowiec odremontować, jest m.in. wydartą płaskorzeźba Matki Boskiej Bolesnej. Trzeba też dodać tablicę. Okazało się, że nie wolno tam nic robić, trzeba się starać o pozwolenie. Więc wniosłam podanie do dyrekcji cmentarza i je dostałam. Organizator Dni Herbertowskich, pan Rafał Dzieciotowski, jest zdania, że trzeba ten grobowiec rodzinny porządnie wyremontować. To będzie we Lwowie pamiątka po polskiej rodzinie.

Wysłuchał i opracował Jarosław Wróblewski



Halina Herbert-Żebrowska z synem Rafałem na tle grobowca rodzinnego, Lwów, 2003 r.

Wpłaty na renowację grobowca rodziny Herbertów na cmentarzu we Lwowie można

kierować na konto: Instytut Lwowski, ul. Sucharskiego 4/83, 00-391 Warszawa

PKO BP SA, VII Oddział Warszawa

33 1020 1185 0000 4702 0088 0872

Dopisek „Grobowiec Herbertów”

ROK OSTATNI – ROK PIERWSZY. GLIWICE 1945

„Germańskij gorod Głajwic” – bez wątpienia takie przekonanie panowało pod koniec stycznia 1945 r. wśród większości czerwonarmistów wkraczających do Gliwic, pierwszego dużego miasta, które znajdowało się na terytorium państwa niemieckiego. „Armia Czerwona nie mogła robić różnicy między ludnością niemiecką a polską i jednakowo wzywała jednych i drugich do robót i świadczeń na rzecz armii, ponieważ wszyscy byli obywatelami Rzeszy i wszyscy walczyli przeciwko Armii Czerwonej” – oświadczał w kwietniu tegoż roku sowiecki komendant wojenny miasta.

Sowieci wiedzieli, że wkraczali na teren tej części Górnego Śląska, która należała do Rzeszy, generalnie nie mieli jednak pojęcia, iż wchodzi na obszar o wybitnie pogranicznym charakterze, gdzie bynajmniej nie każdy, będąc obywatelem Rzeszy, czuł się Niemcem. Przełomowy rok 1945 – ostatni w Gliwicach dla większości niemieckiej ludności miasta i pierwszy dla wielu polskich osadników – nie doczekał się do tej pory żadnego całościowego opracowania. Pierwszą taką próbę – wydaje się, że udaną – podjął Bogusław Tracz w książce *Rok ostatni – rok pierwszy. Gliwice 1945*, wydanej ostatnio w ramach Serii Monograficznej Muzeum w Gliwicach.

Publikacja wszechstronnie, na podstawie zróżnicowanej bazy źródłowej, przedstawia sytuację społeczno-polityczną w mieście i najbliższej okolicy (w ramach dzisiejszego podziału terytorialnego) od momentu wkroczenia Armii Czerwonej do końca 1945 r., kiedy to nastąpiło względne ustabilizowanie. W sześciu rozdziałach, poprzedzonych krótkim wprowadzeniem w specyfikę i dzieje miasta do momentu wkroczenia Armii Czerwonej, autor przedstawił najbardziej dramatyczny okres pod panowaniem sowieckiej komendantury wojennej; etapy przejmowania władzy przez polską administrację; kwestie związane z bezpieczeństwem i początkami nowego życia politycznego oraz skomplikowane zagadnienia narodowościowe, łącznie z weryfikacją dotychczasowych mieszkańców miasta i jego polonizacją.

W ciągu kilkunastu miesięcy przedwojenne Gliwice praktycznie przestały istnieć. I bynajmniej nie chodziło tu o zniszczenia materialne dokonane w trakcie działań frontowych czy kilkumiesięczną, systematyczną dewastację poczynioną przy okazji wywozu nierzadko całej infrastruktury do Związku Sowieckiego oraz plądrowanie okolicy przez czerwonarmistów. Ogromnym zmianom uległa przede wszystkim struktura narodowościowa miasta. Po zainstalowaniu się wojskowej komendantury na masową skalę rozpoczęły się wywózki górników i innych robotników w głąb ZSRS. Od marca do Gliwic przybywali Polacy z przedwojennej polskiej części Górnego Śląska, Zagłębia Dąbrowskiego, a następnie z innych regionów, głównie Polski centralnej. Jednocześnie nastąpiły, w wielu przypadkach masowe, powroty niemieckiej ludności, która jeszcze przed nadejściem frontu uciekła lub została ewakuowana w głąb Rzeszy. Od kwietnia zaczęli przybywać pierwsi repatrianci ze wschodu, którzy spotykali się z miejscową, w wielu przypadkach indyferentną narodowo ludnością autochtoniczną, za-

mieszkującą przede wszystkim wiejskie okolice Gliwic. Wreszcie w drugiej połowie roku odbyło się przymusowe wysiedlenie ludności uznanej przez Komisje Weryfikacyjne za niemiecką. Na początku roku w mieście przebywało ok. 55 tys. osób, w grudniu według różnych danych między 90 a 120 tys., z czego już około 50 tys. stanowili nowo przybyli przesiedleńcy zza Buga. W ten sposób rozpoczął się proces polonizacji miasta.

Początkowe miesiące „roku pierwszego” w Gliwicach – co dotychczas nie było podejmowane przez badaczy – po okresie pełnej władzy sowieckiej komendantury wojennej zaowocowały powstaniem swoistego rodzaju „trójwładzy”. Obok czerwoarmistów i rozpoczynającej szerszą działalność administracji polskiej jeszcze w kwietniu aktywnie działał niemiecki Komitet Antyfaszystowski, który razem z podległą służbą porządkową prowadził, jak sugeruje autor, wręcz odrębną politykę o wyraźnie antypolskim charakterze, korzystając niejednokrotnie z przyzwolenia sowieckich władz wojskowych. Epizod ten doskonale oddaje tymczasowość sytuacji w 1945 r., kiedy to, szczególnie do momentu zakończenia działań wojennych, wielu Niemców zamieszkujących Gliwice pomimo klęski Rzeszy nie dopuszczało myśli o możliwości opuszczenia swego ojczyźnego miasta. Dla wielu przynależność państwowa tych stron nie była jeszcze przesądzona.

Oprócz dość szeroko zakreślonej panoramy większości ważniejszych wydarzeń i zjawisk zachodzących w mieście autor nie unika omówienia indywidualnych przypadków, które czasami może nawet trafniej oddają ówczesną atmosferę. Przykładowo „zdobyczny” sposób postępowania Armii Czerwonej dość celnie obrazuje działalność specjalnej grupy „poszukiwaczy skarbów”, wyspecjalizowanej tylko w grabieży zabytków i dzieł sztuki. Już w lutym do Gliwic trafił intendent moskiewskiego teatru dramatycznego, którego wojskowa komendantura ubrała w mundur podpułkownika, dodano mu kilku historyków sztuki (w tym kustosa moskiewskiego Muzeum Narodowego), również przebranych za wojskowych, oraz samochód terenowy. Zadaniem tej grupy stało się przeszukiwanie bogatszych domostw i wyłapywanie co bardziej łakomych kąsków w okolicznych pałacach i willach przemysłowców, które następnie niezwłocznie zasyłały sowieckie placówki kulturalne. Ile rzeczy zostało w ten sposób zrabowanych, nie można już w żaden sposób określić. Działalność owej specjalnej grupy „historyków-rabusiów” jest jedną z wielu barwnych historii przytaczanych przez autora.

Przedstawiona publikacja ma oczywiście pewne braki. Ale, co ważne, w większości przypadków ma tego świadomość również sam autor. Pobieźnie w wielu kwestiach zaprezentowany jest na przykład okres do marca, kiedy to miasto pozostawało pod wyłączną władzą Komendantury Wojennej Armii Czerwonej. Nie jest to oczywiście winą autora, lecz efektem słabego lub całkowitego braku dostępu do archiwaliów sowieckich. Skomplikowana i w wielu przypadkach bardzo niejednoznaczna problematyka narodowościowa, przed jaką staje historyk badający rok 1945 na Górnym Śląsku, wymaga zarówno dużej rzetelności badawczej, jak i formułowania bardzo wyważonych sądów. Wydaje się, że sztuka ta w omawianej publikacji w znacznej mierze się udała.

Trzeba również docenić, że autor nie potraktował tematu wyłącznie z punktu widzenia „martyrologicznego”, jak starali się do tej pory przedstawiać te zagadnienia niektórzy badacze. Rok 1945 r. w Gliwicach był niewątpliwie tragiczny, ale nie dla wszystkich – dla niektórych stanowił wręcz początek nowego życia i mimo wszystko zakończenie mniej lub bardziej tragicznego okresu wojennego. Rozwój sytuacji w Polsce po 1945 r. skutecznie ostudził entuzjazm i radość z powodu zakończenia wojny. A to niewątpliwie jest doskonałym tematem na kolejną monografię.

Bogusław Tracz, *Rok ostatni – rok pierwszy. Gliwice 1945, Gliwice 2004, Seria Monograficzna Muzeum w Gliwicach (nr 9).*

MAGIA RADIA

Tysiące nowojorczyków wybiegło 30 października 1938 r. z domów w panicznej ucieczce, szukając schronienia przed Marsjanami i ich zabójczą bronią: Czarnym Oparem i Podmuchem Gorąca. Reporterzy radia publicznego donosili o straszliwych rozmiarach klęski, naukowcy próbowali dawać jakieś rady, na antenie wystąpił także minister spraw wewnętrznych i nie ukrywał przerażenia.

Ta wielka społeczna histeria była wywołana... słuchowiskiem radiowym, którego twórcą był Orson Welles. Wykorzystał on powieść *Wojna światów* Herberta George'a Wellsa i technikę radiową w nowatorski sposób. Słowo, mistrzowsko stopniowany nastrój i elementy dźwiękowej scenografii okazały się potężnym narzędziem manipulacji.

Relację z tego wydarzenia możemy znaleźć w artykule Jarosława Krawczyka *Najazd wielkiej dyni*, zamieszczonym w specjalnym wydaniu miesięcznika „Mówią wieki”. Numer poświęcony jest Polskiemu Radiu, które obchodzi właśnie swoje osiemdziesiątce.

W rozmowie redakcyjnej ze Stanisławem Jędrzejewskim, szefem radiowej Jedyńki, poruszony jest temat rozmaitych modeli funkcjonowania radiofonii. Są kraje, gdzie radio w dużej mierze finansowane jest ze środków publicznych, ale zachowuje dużą niezależność od władzy państwowej (np. we Francji, Wielkiej Brytanii czy Niemczech). „Tę niezależność wyznacza przede wszystkim sposób finansowania (np. przez opłatę abonamentową) oraz sposób wyłaniania zarządu”. Natomiast w krajach byłego ZSRR dominuje model państwowy; radiofonia jest w całości finansowana z budżetu państwa i uzależniona od aktualnej koniunktury politycznej. Sposób finansowania ma oczywisty wpływ na ofertę programową i formę działania radiostacji. O tym, jak w PRL wojowano z radiem, opowiada z kolei obszerny tekst Pawła Machcewicza *Czechowicz i inni. Jak MSW zwalczało Radio Wolna Europa*.

Czytelników ucieszą na pewno rozmowy z wybitnymi postaciami znanymi z anteny. Ksawery Jasieński opowiada Barbarze Grębeckiej o swojej kilkudziesięcioletniej pracy lektora w radiu, w którym wszystko podlegało cenzurze, a jednocześnie wiele zapowiedzi szło „na żywo”, przy otwartym mikrofonie. Spiker musiał dbać nie tylko o „piękno radiowej polszczyzny”, ale także przestrzegać ścisłych reguł przekazu. *Wspomnienie sentymentalne* Jana Borkowskiego przenosi nas do czasów, kiedy do radia wkraczał jazz. Powstała w 1946 r. wielka radiowa orkiestra Jana Cajmera przypominała swingowy big band Glenna Millera. Jeszcze w latach 60. używaliśmy określenia, że ktoś „gra jak Cajmer o północy”. O ile sobie przypominam, było to jednak określenie negatywne... Jest jeszcze rozmowa z nieustrudzonym propagatorem muzyki rockowej i bluesa Wojciechem Mannem, który zaczął pracę w radiu, mając 16 lat, 40 lat temu! Mann, symbol dobrego smaku muzycznego, był nauczycielem kilku pokoleń słuchaczy. Zamiast odznaczyć go orderem, radio ostatnio zesłało go w okolice północy. Co prawda czasowej, nie geograficznej, ale i tak trudno pojąć, dlaczego tak się traktuje inteligentnego autora i jego słuchaczy, płacących abonament.

E.G.



Warszawa, 4 maja 2005 r.

**W. Pan Profesor Leon Kieres
Prezes Instytutu Pamięci Narodowej**

W pierwszych dniach lutego 2005 roku zapoznałem się z tzw. listą Wildsteina. Znalazłem tam swoje imię i nazwisko. Nie byłem tym szczególnie zdziwiony. Mam dobrą pamięć, wiem co w swoim życiu robiłem, wiem też, czego na pewno nie robiłem. Natomiast było mi przykro, gdy nie znane mi (lub słabo znane) osoby starały się mnie znieważać – powołując się na tzw. listę Wildsteina. Rzecz ciekawa, najbardziej brutalnych ataków doznałem się ze strony osobników, którzy w latach 1966–1989 byli funkcjonariuszami służb tajnych PRL. Wnoszę z tego, że upublicznienie listy IPN przez dziennikarza Bronisława Wildsteina przyniosło im niemałą satysfakcję. Satysfakcję podwójną. Po raz pierwszy mieli przyjemność, gdy starali się mi dokuczyć – nader skutecznie – w latach PRL. Po raz drugi – teraz wskutek bezmyślnych działań dziennikarza.

22 kwietnia 2005 roku Instytut Pamięci Narodowej wydał mi zaświadczenie stwierdzające, „że pan Michał Komar jest pokrzywdzony w rozumieniu Ustawy”. Zastanawiam się, co mam z tym zaświadczeniem zrobić. Zawiesić sobie jego kopie na piersiach i plecach, żeby każdy widział? Byłoby głupio, nieprawdaż? Dać ogłoszenie w prasie, kosztami zaś jego publikacji obciążyć dziennikarza B. Wildsteina? Nie da się, a szkoda. Może więc byłoby dobrze, gdyby kierowany przez Pana Profesora Instytut Pamięci Narodowej rozpoczął publikację nazwisk osób pokrzywdzonych (za ich zgodą – rzecz jasna) na łamach „Biuletynu IPN”? O! takie małe zadośćuczynienie.

Dr Michał Komar

ALBUM MILENIJNY

W związku z przypadającą w przyszłym roku czterdziestą rocznicą obchodów roku jubileuszowego 1000-lecia powstania państwa polskiego i jego chrztu Biuro Edukacji Publicznej IPN przygotowuje okolicznościowy album. Prosimy zatem o nadsyłanie do Instytutu wszelkich materiałów ikonograficznych (zdjęcia, plakaty, druki ulotne) z lat 1956–1967 związanych z tym tematem. Wdzięczni będziemy za ich opisanie, tj. podanie informacji o miejscu i dacie ich wykonania, a także wydarzeniu, jakie przedstawiają. Zgodnie z życzeniem przekazującego materiały będą po ewentualnym wykorzystaniu w publikacji zwracane lub też zostaną przekazane do archiwum IPN. Przesyłki – do końca listopada 2005 r. – prosimy kierować pod adres: Bartłomiej Noszczak, Biuro Edukacji Publicznej IPN, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa lub: bartlomiej.noszczak@ipn.gov.pl.

KOMITET POMOŚCI
POLNIKA OFIAR KATYNIA

KOMUNIKAT

INFORMUJEMY ZE WZNIESIENIEM
31 Lipca 1984 w godz. 17-18

POLNIK BOHATERÓW
OFIAR KATYNIA

został ok 130 w nocy 1 VII 1941
ZBESZCZESZCZONY
I SKRAŻDZONY PRZEZ
NIEZNANYCH SPRANCO

PRECZ

Z

MOCODANCAMI

ONYDNEGO

SPONIEWIERANĄ

GRABU BOHATERÓW

JĘNCÓW WOJENNYCH Z

Z KATYNIA!

4-10 1 VII 1984

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Kazimierz Bagiński
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Adam Bion
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Józef Chaciński
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Eugeniusz Czarnomorski
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Józef Szander Dabcki
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Jan Stanisław Tomkowski
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Stanisław Jasłukowicz
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Kazimierz Kobylarski
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Stanisław Michałowski
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Stanisław Mierowa
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Leopold Orlowski Modusinek
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Antoni Fajdak
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Kazimierz Puzak
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Zbigniew Stypulkowski
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Franciszek Urbaniski
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945

POCZTA 
REGION ŚLĄSKO-DĄBRÓWSKI
75 zł.



Aleksander Zawierzynski
PROCES SZESNASTU
18-21 VI 1945